

ZŁOTA KLATKA TO JEDNAK WIĘZIENIE



SAGA O ZŁOTEJ NIEWOLNICY

RAVEN KENNEDY

przełożył Stanisław Bończyk

RAVEN KENNEDY

GILD

SAGA O ZŁOTEJ NIEWOLNICY

przełożył Stanisław Bończyk



CHOMIKO_WARNIA

Tytuł oryginału: *Gild*

Projekt okładki: *Maria Spada*

Opracowanie graficzne: *Imagine Ink Design*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Monika Łobodzińska-Pietruś, Beata Kozieł*

Ostrzeżenie: saga o królu Midasie zawiera śmiałe i mroczne fragmenty, mogące wywoływać silne emocje. W powieściach obecne są sceny erotyczne, wulgarny język, opisy przemocy, m.in. seksualnej, i manipulacji emocjonalnej. Treści te są nieodpowiednie dla czytelników, którzy nie ukończyli osiemnastego roku życia.

Powieść, którą macie w ręku, stanowi część sagi.

Jest przeznaczona dla czytelników 18+

© 2021 by Raven Kennedy

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

© for the Polish translation by Stanisław Bończyk

ISBN 978-83-287-2565-2-999

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Tym, którzy bez skutku starają się dojrzeć gwiazdy.

Nie rezygnujcie, patrzcie w górę.

CHOMIKO - WARNIA

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ZŁOTA WINOROŚL
Podziękowania



ROZDZIAŁ 1

Unoszę do ust złoty kielich, patrząc spoza krat na spektakl nagich ciał. Wokół panuje półmrok, jest to efekt zamierzony. Wyuzdany taniec kształtów oświetlony jedynie blaskiem trzaskającego ognia. Siedem ciał porusza się w harmonii dla jednego spełnienia. Jego spełnienia. Ja tymczasem jestem tu, po drugiej stronie – jak widz na trybunie.

Król wezwał mnie przed dwiema godzinami, gdy wzięła go chęć na zabawę z nałożnicami. Dziewczyny ze służącego mu haremu nazywane bywają „królewskim mięsem”. Dziś akurat król postanowił zabawić się w atrium, zapewne ze względu na akustykę. Cóż, trudno odmówić mu racji: echo ekstatycznych jęków to naprawdę przepiękny dźwięk.

– Tak! Tak, mój królu! Tak!

Skóra wokół moich oczu staje się napięta, łapczywie wypijam kolejny haust wina. Zmuszam się, by odwrócić wzrok i utkwic spojrzeń w nocnym niebie. Atrium jest potężne, a wszystkie jego ściany i wieńcząca je kopuła to ciąg wielkich okien. Z żadnego innego miejsca w pałacu nie rozpościera się tak spektakularny widok... Pod warunkiem oczywiście, że na dostatecznie długo przestanie padać śnieg i w ogóle cokolwiek widać. Teraz na zewnątrz jak zwykle trwa śnieżycy. Niebo przysłania wir białych płatków. Do rana pokryją wszystkie szyby grubą białą czapą, ale obecnie widzę jeszcze słaby blask ostatniej gwiazdy. Jej światło sączy się z wysoka, gdzieś pomiędzy bezlitosnych chmur i żarłocznej bieli. Śnieg – ta skrzęca się, padająca z nieba zmrózona para – jest jak skąpiec, niechętny, by dzielić się widokiem, i zagarniający go zawsze dla siebie. Cieszę się, że teraz załapałam się choć na jego skrawek.

Może monarchowie z zamierzchłych wieków wzniesli to atrium, by obserwować niebo i odczytywać z gwiazd historie, które zapisali w nich dla nas bogowie? A potem natura zakpiła z ich wysiłków i skryła wszystko za gęstymi chmurami? A może cel był bardziej przyziemny? Może dawni królowie chcieli po prostu oglądać przez oszronione szyby smaganą mrozem i śnieżycami krainę, sami nie wystawiając się na chłód. Bardzo możliwe – pasowałyby to do typowej dla władców Orei arogancji.

Zerkam znów przed siebie i widzę scenę, która też do niej pasuje... Król wchodzi ostro w „mięso”, mając wokół siebie krąg poruszających się zmysłowo postaci – każdy ich ruch ma

służyć jego rozkoszy.

A może się mylę i to miejsce wcale nie powstało po to, by spoglądać stąd ku górze? Może zbudowano je, by to bogowie mogli zaglądać z góry do jego wnętrza. Kto wie – przecież wszyscy poprzedni władcy Orei też mogli zabawiać się tu ze swoimi haremami. Może widok nagich ciał miał być formą wyuzdanej ofiary dla bogów? Wśród bóstw nie brakuje podobno lubieżników, więc wydaje się to całkiem prawdopodobne, zwłaszcza że królewskie mięso potrafi naprawdę wiele. Jest na co popatrzeć.

Pomimo tego, że jestem zmuszona przyglądać się orgiom, a kopułę atrium pokrywa zwykle gruba warstwa śniegu, to... lubię tu być. Przebywanie tutaj jest dla mnie namiastką wyjścia na zewnątrz. Jest najbliższe muśnięciom wiatru na twarzy i świeżemu powietrzu w płucach.

Czy ma to jakąś jasną stronę? Cóż, przynajmniej nie muszę się martwić, że będę drzeć z zimna lub że od mrozu spierzchnie mi skóra. Śnieżycy robi wrażenie naprawdę srogiej, a ja staram się zawsze dostrzegać to, co dobre. Nawet siedząc w kutej na miarę klatce. Piękne więzienie dla pięknego trofeum.

– O, Najwyższy! – Ekstacyjny jęk któregoś mięsa, chyba Rissy, wrywa mnie z zamyślenia. Rissa jest blondynką o lekko ochryłym głosie. Bycie piękną przychodzi jej łatwo.

Nie potrafię się powstrzymać i moje spojrzenie znów wędruje ku rozgrywającemu się przede mną seksualnemu spektaklowi. Sześć sztuk mięsa stara się, jak tylko może, zrobić wrażenie na królu. Sześć to jego szczęśliwa liczba – jest w końcu władcą Szóstego Królestwa Orei. Prawdę powiedziawszy, ma na punkcie szóstki lekką obsesję. Nieustannie w jego otoczeniu odkrywam nawiązania do tej liczby. Na każdej szytej na miarę koszuli każe krawcom umieszczać sześć guzików. Jego koronę zdobi sześć szczytów. A teraz na moich oczach pieprzy sześć seksualnych zabawek: pięć kobiet i jeden mężczyzna służą jego królewskiemu spełnieniu.

Słudzy ustawili w atrium łożo, by król, zabawiając się, nie musiał narzekać na niewygody. Rozłożenie na części potężnego mebla, wniesienie go schodami półtora piętra i ponowne złożenie tylko po to, by po kilku godzinach znów rozmontować je i wynieść, wydaje mi się marnotrawstwem sił i czasu. Ale co ja tam wiem? Jestem w końcu tylko ulubionym królewskim mięsem. Na sam dźwięk tego określenia odruchowo się krzywię. Wolę być nazywana królewską faworytą. Brzmi to dużo lepiej, choć zasadniczo oznacza to samo: należę do niego.

Opieram stopy o kratę mojej klatki i opadam na leżące za mną poduszki. Patrzę na królewskie pośladki poruszające się rytmicznie w górę i w dół. Król bierze jedną z dziewczyn, a dwie kolejne kłęczą obok na łóżku, tak by mógł ugniatać dłońmi ich piersi. Wiedzą, że to lubi.

Zerkam na własną pierś, skrytą chwilowo pod złotym jedwabiem. To, co na sobie mam, przypomina bardziej togę niż suknię – ot, kawałek tkaniny złączony na ramionach, swobodnie opadający w dół i dwukrotnie przepasany złotymi ogniwo. Złoto; niczego innego nie noszę ani nie widzę wokół siebie. Niczego innego nie dotykam.

W atrium nie pozostała ani jedna żywa roślina – gałązki i liście, kiedyś pełne soków, są teraz martwe i metaliczne. Wszystko w tym pomieszczeniu, nie licząc tafli szkła, jest złote. Dosłownie. Złota pościel, w której pieprzy się król, złote inkrustacje w ramie łoża, złoty połyskujący marmur na posadzce, złote klamki i złocące się motywy winorośli, pnącej się po pozłacanych ścianach ku łukom sklepienia.

O tak, w będącym siedzibą króla Midasa zamku Highbell złoto jest wszechobecne.

Złote posadzki, złote ramy okienne, złote dywany, obrazy, gobeliny, poduszki, szaty, naczynia i rycerskie zbroje. Nawet ptaszek w klatce, zastygły w martwym blasku. Jak okiem sięgnąć złoto, złoto i jeszcze raz złoto. I to nie tylko z wierzchu! Złote są również schody, bloki, z których wzniesiono mury, i podtrzymujące strop filary.

Widok murów zamku oświetlonych słońcem mógłby boleśnie razić oczy. Nie wydaje mi się jednak, szczęśliwie dla wszystkich, którzy mieszkają na zewnątrz, by słońce kiedykolwiek wychodziło tu zza chmur na dłużej niż chwilę. Gdy nie pada tu śnieg, zwykle przychodzi ślota. A gdy już trafi się dzień bez jednego lub drugiego, to tylko kwestią czasu jest nadejście śnieżycy.

Gdy nadciąga zamieć, bicie dzwonu na najwyższej wieży zamku ostrzega mieszkańców, by nie opuszczali zabudowań. I tak, ten potężny dzwon też jest złoty. Złoty i cholernie głośny. Nie cierpię go! Jego bicie jest bardziej hałaśliwe nawet niż odgłosy gradobicia na szklanym dachu, no ale domyślam się, że brak irytującego dzwonu w zamku o nazwie Highbell[1] byłby bluźnierstwem. Ten nasz słychać ponoć w promieniu wielu kilometrów. Zamek Highbell zdaje się na wszelkie możliwe sposoby przykuwać uwagę: donośne bicie dzwonu, blask żywego złota, wyeksponowane miejsce na ośnieżonym zboczu skalistej góry... Cóż, król Midas nie bawi się w subtelność. Obnosi się ze swoją potęgą, a wszyscy wokół albo padają na kolana, albo zgrzytają zębami z zawiści.

Podchodzę na skraj klatki, by dolać sobie wina, jednak karafka jest pusta. Krzywię się z niezadowoleniem, próbując ignorować dobiegające zza moich pleców piski i męskie stękania. Król dosiadł kolejnej dziewczyny, Polly. Odgłosy wydawane przez nią w czasie seksu drażnią mnie jak skrobanie lodu bolącym zębem. Czuję, jak wzbiera we mnie zazdrość.

Naprawdę przydałoby mi się więcej wina!

Ale wina nie ma. Zaczynam więc opychać się winogronami leżącymi na półmisku obok serów. Może sfermentują w moim żołądku i w ten sposób zdołam się choć trochę upić? Pomarzyć zawsze można.

Łudząc się tą nadzieją, wpycham do ust kolejne grona, po czym wracam w kąt klatki i opadam na poduszki ze złotego pluszu. Zarzucam nogę na nogę i śledzę zmysłowy seans wijących się ciał. Piękny spektakl dla króla.

Dwie z dziewczyn są nowe, nie znam jeszcze ich imion. Nowy jest też chłopak, który stoi wyprężony na materacu. O Najwyższy, co za ciało! Każdy jego centymetr jest perfekcyjnie wyrzeźbiony. Nie dziwię się, że król go wybrał. Te mięśnie w połączeniu z twarzą efeba... naprawdę przyjemnie oglądać tego chłopca. Chyba każdą chwilę, której nie spędza na służeniu królowi, poświęca na pracę nad swoją sylwetką.

Chwycił teraz mocno górną belkę potężnej ramy baldachimu, pozwalając, by jedna z dziewczyn, szeroko rozkładając nogi, usiadła mu na przedramionach. Podtrzymując ją w tej akrobatycznej pozie, zanurza język między jej uda. Oboje są tak sprawni i zmysłowi. Trudno oderwać od nich wzrok.

Druga z nowych dziewczyn klęczy przed chłopakiem. Wzięła go całego w usta i pracuje nimi, jakby wysysała jad po ukąszeniu węża. Jest... dobra. Naprawdę dobra. Nie dziwię się już, dlaczego została wybrana. Przekrzywiam lekko głowę i śledzę uważnie jej ruchy. Zapamiętuję je. Warto podpatrywać takie rzeczy. Kiedyś mogą się przydać.

– Nudzi mnie już twoja cipa – rzuca nagle Midas, na co Polly pośpiesznie podrywa się spod niego. – Teraz ty! – dodaje zaraz, klepiąc dziewczynę, którą jeszcze przed chwilą macał po piersiach. – Wezmę cię w dupę.

– Tak, mój królu – mruczy dziewczyna. Odwraca się i zadziera pośladki, a król wchodzi w nią od tyłu, wciąż mając na kutasie ciepłe soki Polly. Dziewczyna wydaje z siebie przeciągły jęk.

– Udaje – rzucam pod nosem. To nie mogło być przyjemne.

Nie żebym wiedziała to z doświadczenia. Mnie akurat król nigdy nie wziął w ten sposób. Mogę tylko dziękować Najwyższemu.

Ekstazy odgłosy przybierają na sile. Mięso dochodzi. Czy dziewczyny udają – tego

nie wiem. Wiem tyle, że po chwili król wchodzi w dziewczynę po raz ostatni, po czym z głośnym stęknięciem tryska nasieniem.

Mam nadzieję, że tym razem skończył na dobre. Jestem zmęczona i nie mam już wina. Gdy tylko nałożnica osuwa się na łóżko, król znów klepie ją po tyłku i odprawia swoją seksualną świtę.

– Wracajcie do haremu. Na dzisiaj koniec zabawy.

Na dźwięk jego słów wszyscy bez słowa przerywają seans swojej rozkoszy. Piękny chłopak wciąż ma potężny wzwód, ale ani on, ani nikt inny nie próbuje sprzeciwić się królowi. Nikt nawet się nie skrzywi. Byłoby to wyjątkowo głupie.

Wszyscy błyskawicznie wyplątują się z miłosnego kłębowiska i nadzy karnym rządkiem opuszczają atrium. Uda niektórych są wciąż wilgotne i lepkie od potu. To był długi wieczór. Ciekawa jestem, czy mięso dokończy zabawę bez króla, w mieszczącym harem skrzydle zamku. Nie przekonam się o tym, bo nie mam tam wstępu. Nie wiem, jak seksualna świta króla zachowuje się, gdy jego nie ma w pobliżu. Mnie zasadniczo nie wolno udać się nigdzie, no chyba że jestem w swojej klatce lub w towarzystwie króla. Jako jego faworyta mam być zawsze chroniona i pod kluczem. Jestem znakomicie strzeżoną maskotką.

Przyglądam się Midasowi. Gdy ostatnia nałożnica opuszcza pomieszczenie, on zakłada swój złoty szlafrok. Sam jego widok, półnagiego i spełnionego po łóżkowych rozkoszach, sprawia, że czuję w brzuchu ukłucie.

Jest piękny.

Nie ma wyrzeźbionego ciała – na to wie dzie zbyt wygodnicke życie. Jest jednak naturalnie szczupły i ma szerokie ramiona. Jak na panującego monarchę jest przy tym młody: ma niewiele ponad trzydzieści lat i wciąż niemało młodzieńczej energii. Widać to po jego twarzy. Dzięki swojej ciemnej karnacji wygląda na opalonego, choć wokół wiecznie pada śnieg lub deszcz. W jego blond włosach, zwłaszcza w świetle świec, można dopatrzeć się miodowych, czerwonych niemal refleksów. Jego oczy z kolei mają barwę ciemnego brązu.

Obecność króla wyzwała we mnie szczególną energię. Ma w sobie jakiś niebywały urok, któremu nie potrafię się oprzeć.

Mój wzrok wędruje w dół, poniżej jego smukłej talii. Pod jedwabnym szlafrokiem rysuje się kontur mięknącego powoli penisa.

– Nie możesz się napatrzeć, co, Auren? – Na dźwięk swojego imienia natychmiast podrywam wzrok ku twarzy króla. Ten uśmiecha się z lekką ironią, a ja próbuję ukryć zakłopotanie. Czuję jednak, jak płoną mi policzki.

– No... jest na co popatrzeć – odpowiadam z krzywym uśmiechem, wzruszając lekko ramionami.

Król śmieje się i zamaszystym krokiem podchodzi do mojej klatki. Uwielbiam jego uśmiech. Na sam jego widok czuję w brzuchu gąsienice. Gąsienice, nie motyle – tym swobodnie latającym cholerstwom za bardzo zazdrozczę.

Przesuwa po mnie wzrokiem, od moich bosych stóp aż po piersi. Pilnuję się, by nie drgnąć, choć jego spojrzenie natychmiast rozbudza moje ciało. Przekrzywiam tylko lekko głowę i przyglądam mu się wyczekująco. Nauczyłam się wytrzymać w takich sytuacjach bez ruchu. Wiem, że to lubi.

Król pieści mnie niespiesznym spojrzeniem.

– Mmm, ależ dziś wyglądasz. Nic tylko cię zjeść.

Podnoszę się płynnym ruchem, pozwalając, by złota tkanina spłynęła po moim ciele aż po palce stóp. Podchodzę do dzielącej mnie od króla kraty i oplatom dłonią jeden z prętów.

– Więc może wypuścisz mnie z klatki i posmakujesz... – Pilnuję, by mój ton brzmiał

uwodzicielsko, ale i figlarnie, choć od środka aż rozsadza mnie pożądanie.

Wypuść mnie. Dotykaj. Pragnij.

Mój król to skomplikowana istota. Wiem, że mu na mnie zależy, a jednak ostatnio... chciałabym go więcej. Wiem, że tak naprawdę to moja wina. Nie powinnam oczekiwać więcej, tylko cieszyć się tym, co mam. A jednak nie potrafię. Chciałabym, żeby Midas patrzył na mnie tak jak ja na niego. Chciałabym, by, gdy się nie widzimy, rozsadały go takie same łaknienie i tęsknota. A że wszystko powyższe to zapewne mrzonka, chciałabym, by po prostu spędzał ze mną więcej czasu.

Tak, wiem, że i to jest mało realną zachcianką. Midas jest przecież królem, ktoś cały czas zabiega o jego uwagę. Nie potrafię nawet objąć rozumem zakresu jego obowiązków. Powinnam się cieszyć, że w ogóle poświęca mi czas. Dlatego skrywam głęboko rozpierające mnie pragnienie. Jakbym zarzucała grubą warstwą śniegu żarzące się żagwie. Staram się zająć umysł czym innym i brnę tak przez kolejne godziny. Nieważne jednak, ilu ludzi zobaczą danego dnia – i tak budzę się sama i sama zasypiam.

Nie Midas jest tu winny i nie mam się o co dąsać. Donikąd mnie to nie zaprowadzi. Zresztą... żyję w klatce. Nic nie doprowadza mnie do niczego, bo choćbym chciała, nigdzie się nie ruszę.

Słyszając moje wyzywające słowa, król uśmiecha się szerzej i szczerzej. Ma dziś dobry humor i nastrój do zabawy. Nie zdarza się to często, ale uwielbiam widzieć go takim. Przypomina mi to początki naszej znajomości.

Byłam wtedy zupełnie zagubiona. Aż nagle pojawił się on i pokazał mi inne życie. Jego uśmiech sprawił, że sama nauczyłam się uśmiechać.

Król po raz kolejny przesuwa wzrokiem po mojej sylwetce. Czuję ciepło w całym ciele. Jego uwaga mi pochlebia.

Mam linię klepsydry: wyraźnie zaznaczone piersi, biodra i pośladki. Jednak to nie one przykuwają uwagę każdego, kto zobaczy mnie po raz pierwszy. Nie jestem nawet pewna, czy szczególnie interesują one króla.

Ludzie przyglądają mi się nie po to, by podziwiać moje kształty. Nie po to, by próbować wyczytać w moich oczach, o czym myślę. Robią to, bo nie mogą oderwać oczu od mojej skóry.

Złotej skóry.

Nie, nie złotawej. Nie złotej od słońca czy pomalowanej złotą farbą. Moja skóra to szczerze, połyskliwe, satynowe złoto. Nawet moje włosy i tęczówki mają metaliczny złoty połysk. Jestem żywym złotym posągami. Z wyjątkiem białych zębów, białek oczu i figlarnego różowego języka każdy skrawek mojego ciała jest złoty.

Jestem osobliwością. Cennym przedmiotem. Źródłem pogłosek.

Jestem królewską faworytą. Najcenniejszą z kochanek Midasa. To na mnie jednej złożył swój złotodajny dotyk. Mnie jedną trzyma w klatce na najwyższej kondygnacji zamku. Całe moje ciało jest świadectwem przynależności do niego, a zarazem – mojego uprzywilejowania.

Jestem pozłocaną maskotką króla. Ulubienicą pana na zamku Highbell i władcy Szóstego Królestwa Orei. Ludzie zjeżdżają się z daleka, by mi się przyjrzeć. Ciekawię ich na równi ze lśniąącym królewskim zamkiem. Nie ma w królestwie cenniejszego skarbu niż ja.

Tak, żyję życiem więźnia.

Ale jakież piękne jest moje więzienie!



ROZDZIAŁ 2

Mając przed sobą Midasa, natychmiast zapominam o zmęczeniu. Cała moja uwaga skupia się na nim, każdy nerw w ciele reaguje na jego bliskość.

Król spogląda na mnie, a ja korzystam z okazji, by przyjrzeć się jemu. Wodzę spojrzeniem po jego przystojnej, gładkiej twarzy i patrzę w jego wyraziste oczy. Im dłużej go oglądam, tym łatwiej mi wybaczyć mu, że ściągnął mnie tu dzisiejszego wieczora, że zrobił ze mnie gapia mogącego tylko biernie przyglądać się rozkoszy pozostałych.

Midas unosi rękę i sięga do wnętrza klatki.

– Auren, mój ty klejnocie... – mruczy niskim, czułym głosem.

Nieruchomieję, oddech rwie mi się w piersi. Każdy mój nerw trwa w wyczekiwaniu. Król tymczasem sięga dłonią coraz wyżej, by po chwili przesunąć palcem po moim policzku. To muśnięcie wystarczy, bym poczuła na skórze dreszcz podniecenia. Trwam jednak w bezruchu. Boję się choćby zamrunąć. Byle tylko król nie cofnął dłoni.

Proszę, nie przestawaj mnie dotykać.

Mam rozpaczliwą chęć pochylić się naprzód: ocierać się twarzą o rękę i ciało króla, choć przez kraty poczuć na sobie jego dotyk. Wiem jednak, że nie mogę sobie na to pozwolić. Trwam więc dalej nieruchoma. Jedyne, nad czym nie potrafię zapanować, to pożądliwy błysk w moich złotych oczach.

– Dobrze ci się patrzyło? – pyta Midas, wodząc kciukiem po skraju mojej pełnej dolnej wargi. Rozchyłam usta. Mój oddech staje się pożądliwy, owiewa opuszki palców króla. Ciepło oddechu łączy się z ciepłem ciała.

– Jeszcze lepiej byłoby się przyłączyć – odpowiadam, czując przy każdym słowie, jak palce króla poruszają się wraz z moimi wargami.

Midas sięga wyżej i dotyka moich włosów. Pocierając kosmykiem o kosmyk, patrzy, jak skrzą się złotem w blasku świateł.

– Przecież wiesz, że jesteś na to zbyt cenna. Nie będę cię wpychać pomiędzy innych.

– Oczywiście, mój królu – odpowiadam, uśmiechając się zaciśniętymi ustami.

Midas puszcza moje włosy, po czym pieszczotliwie trąca mój nos i wyjmuje rękę z klatki.

Wiele mnie kosztuje, by stać dalej nieruchomo i nie nachylać się ku niemu jak smagane wiatrem drzewo. Gdy krąży swobodnym krokiem wokół klatki, wszystko we mnie lgnie do niego.

– Nie jesteś byle mięsem jak tamte, Auren. Nie jesteś na co dzień. Masz dla mnie o wiele większą wartość. Poza tym lubię, kiedy na mnie stąd patrzysz. Podnieca mnie to. – Płomień w oczach króla się rozpala. Nikt tak jak on nie potrafi jednocześnie wzbudzić we mnie dzikiego pożądania i przyprawić o bolesny zawód. Choć wiem, że nie powinnam, oponuję. Wrzące we mnie samotne łaknienie bierze górę nad rozumem.

– Inne dziewczyny krzywo na mnie patrzą. Słudzy mnie obgadują. Czy naprawdę nie byłoby lepiej, gdybyś choć raz pozwolił mi się przyłączyć? Mogłabym tylko cię dotykać...

– Wiem, jak żałośnie to brzmi, ale nie panuję nad sobą.

Król mruży swoje brązowe oczy, a ja już wiem, że popełniłam błąd. Znowu czuję ukłucie w brzuchu, ale tym razem z zupełnie innego powodu. Wiem, że przez kilka nieroztropnych słów zaraz go stracę. Jego bez troski nastrój uleciał bez śladu. Piękne rysy Midasa zdają się tężeć. Zaczyna bić od niego chłód. Jakby żar jego uroku pokryła warstwa śniegu.

– Jesteś pierwszą z nałożnic. Jesteś moją faworytą, moim klejnotem! – poucza mnie, a ja wbijam wzrok w palce u swoich stóp. – W dupie mam, co gadają słudzy i mięso do ruchania. Jesteś moja i mogę tobą rozporządzać zgodnie ze swoim życzeniem. A moje życzenie jest takie, żebyś pozostała w klatce, gdzie nie może cię osiągnąć nikt oprócz mnie!

Kręcę głową, karząc się w myślach.

Głupia ja. Głupia!

– Masz rację. Pomyślałam po prostu, że...

– Nie ty tu jesteś od myślenia! – rzuca Midas ostro, a jego wybuch aż zapiera mi dech. Jeszcze przed chwilą był w świetnym nastroju, a ja wszystko zepsułam! – Czy nie traktuję cię dobrze? – pyta z pretensją, wyrzucając ręce ku górze. – Czy nie masz tu wszelkich możliwych wygod?!

– Mam...

– Kurwy w tym mieście żyją w nędzy. Szczają do wiader i dają za byle grosz. A ty masz czelność narzekać?!

Milczę. Wiem, że ma rację. O ileż gorsze mogłoby być moje położenie. O ile było gorsze! I to on mnie z niego wyciągnął.

Bycie królewską faworytą ma swoje zalety. Cieszę się przywilejami i bezpieczeństwem, na które inne nie mogą liczyć. Kto wie, co by ze mną było, gdyby król mnie nie uratował. Mogłabym należeć teraz do jakichś strasznych ludzi. Mogłabym być narażona na choroby i okrucieństwo. Mogłabym co dzień bać się o własne życie.

Zznałam już takiego traktowania. Jako ofiara handlu dziećmi wiem, jak to jest żyć na łasce złych ludzi. W swoim życiu widziałam już dość zła i podłości.

Raz udało mi się uciec i trafić do dobrych ludzi – jedynych takich poza moimi rodzicami, których spotkałam wtedy na swojej drodze. Myślałam, że nie będę już cierpieć. Wówczas jednak znowu pojawili się bryganci i koszmar zaczął się na nowo. Gdy nie miałam już nadziei, nieoczekiwanie uratował mnie Midas. Stał się moim wybawcą. Dał mi schronienie przed okrucieństwem i przemocą, które tyle lat musiała znosić moja umęczona dusza. A potem... uczynił ze mnie swój słynny żywy posążek.

Tak, rzeczywiście nie mam prawa skarżyć się ani żądać więcej. Gdy pomyślę, jak mogłoby wyglądać moje życie, nie umiem doliczyć się koszmarów i upokorzeń, których najpewniej bym doświadczyła. Staram się nie dopuszczać do siebie myśli o nich – są zbyt bolesne. Na samo wspomnienie mojej przeszłości mdli mnie i dostaję niestrawności. Tym bardziej więc staram się takich wspomnień unikać. Mdłości i niestrawność nie są mile widziane,

gdy co dzień w dużych ilościach pije się wino. A tak właśnie jest ze mną. Piję co wieczór. To dlatego w każdej sytuacji potrafię dostrzec jasne strony.

Gdy tylko Midas zauważy moją skruchę, wyraz jego twarzy się zmienia. Widać po nim, że jest z siebie zadowolony. Król rozumie, że wystarczyło kilka jego zdań, by zmienić moje myślenie. Jego spojrzenie łagodnieje i po chwili czule przesuwając kostkami dłoni po moim ręku. Gdybym była kotką, zaczęłabym błogo mruczeć.

– Mój złoty skarb... – mówi król, a supeł niepokoju, ściskający mnie od środka, nieco się rozluźnia. Jestem jego złotym skarbem i nic tego nie zmieni. Nas dwoje łączy więź nie do pojęcia dla kogokolwiek innego. Znałam Midasa, zanim nosił na głowie koronę i zanim zaczęto mu się nabożnie kłaniać. Znałam go, nim jego zamek oślepił złotym blaskiem. Jestem przy nim od dziesięciu lat. Przez ten czas nic naszej relacji zacisnęła się mocno.

– Przepraszam – mówię cicho.

– Nie szkodzi – odpowiada łagodnie Midas, raz jeszcze gładząc okolice mojego nadgarstka. – Wyglądasz na zmęczoną, wracaj już do swojej komnaty – dodaje po chwili.

– Wezwę cię rano.

– Rano? – powtarzam ze zmarszczonymi brwiami. Król niemal nigdy nie wzywa mnie wcześniej niż o zachodzie słońca.

– Tak – odpowiada Midas ze skinieniem głowy, ruszając w stronę wyjścia. – Król Fulke jutro wyjeżdża. Wraca na zamek Ranhold.

Pilnuję się, by westchnieniem nie dać po sobie poznać ulgi. Nie cierpię Fulkego, władcy Piątego Królestwa Orei. To oblesny gbur, tyle że obdarzony mocą duplikacji. Gdy zechce, może dotknięciem dłoni podwoić dowolną rzecz. Szczęśliwie dar ten działa w odniesieniu do danej rzeczy tylko raz i nie ma zastosowania wobec ludzi. W przeciwnym razie dawno już miałabym swoją wierną kopię.

Najchętniej nie oglądałabym Fulkego już nigdy w życiu, ale tak się składa, że od kilku lat jest sojusznikiem Midasa. Ich królestwa graniczą ze sobą, a od zawarcia paktu Fulke kilka razy do roku zjawia się u nas na zamku. Zwykle towarzyszą mu wozy pełne przedmiotów, które Midas przemienić ma w złoto. Jestem pewna, że po powrocie Fulke każdy z nich duplikuje. Na sojuszu z Midasem bardzo się wzbogacił.

Co ma z tego układu mój król – tego nie wiem. Nie podejrzewam go jednak o to, by pomagał Fulkemu z czystej dobroci serca. Midas nie słynie z bezinteresowności. Jednak jest przecież królem, a król musi umieć zatroszczyć się o siebie i swoje państwo. Trudno więc mieć do niego pretensje.

– Ach – odpowiadam zdawkowo, świadoma, co to dla mnie oznacza. Fulke przed odjazdem będzie chciał mnie zobaczyć. Ma na moim punkcie niemal obsesję i nie stara się już nawet tego ukrywać. Ale... nie ma tego złego! Przez to, że Fulke tak się do mnie ślini, Midas poświęca mi więcej uwagi. Podczas naszych wspólnych spotkań trzyma mnie zawsze blisko siebie – tak, by Fulke nie miał przypadkiem szansy się ze mną zabawić. Czy widzi, jak uwiera mnie towarzystwo jego sojusznika? Jeśli tak, to nigdy mi o tym nie mówi.

– Dotrzymasz nam towarzystwa podczas śniadania w małej jadalni – poleca Midas, a ja pokornie schylam głowę. – A teraz wracaj do siebie i odpocznij. Masz być rano w dobrej formie. Przyślę kogoś po ciebie.

– Tak, mój królu – odpowiadam, przytakując skinieniem głowy.

Midas posyła mi ostatni uśmiech i zamiatając połamami szlafroka, wychodzi z atrium. Zostaję sama i nagle się czuję, jakbym była w jakiejś zimnej pieczarze.

Z westchnieniem patrzę na odgradzające mnie od świata złote pręty. W głębi duszy ich nienawidzę. Gdybym tylko miała dość siły, by móc je rozgiąć i wysliznąć się z klatki! Nie, nie po

to, by uciec. Tego bym nie zrobiła. Wiem, jak dobre mam tu warunki do życia. Chciałabym po prostu móc swobodnie przemieszczać się po zamku, dołączyć do Midasa w jego sypialni... Więcej wolności mi nie trzeba.

Dla zabawy chwytam dwa pręty i z całych sił ciągnę.

– No, cholerne złote patyki! Puszcząć! – mamroczę pod nosem.

Nie ma co, zbyt potężnymi mięśniami nie mogę się pochwalić. Chyba choć część wolnego czasu powinnam przeznaczyć na ćwiczenia. Trudno zaprzeczyć, że mam go sporo...

Mogłabym wykonywać krótkie sprinty, wspinać się po okratowaniu, podciągać albo... Moje myśli przyprawiają mnie o parsknięcie śmiechem. Odrywam natychmiast ręce od krat. Tak, czasem mi się nudzi. Ale nie aż tak. Ten ślicznie wyrzeźbiony nowy chłopak ma z pewnością więcej motywacji niż ja.

Patrzę przez kraty na wiszącą nieopodal klatkę. Wewnątrz na żerdce siedzi nieruchomo ptak ze szczerego złota. Kiedyś był chyba śnieżką, ma brzusek biały jak śnieg i rozpostarte skrzydełka, dzięki którym dawniej zmagał się z lodowatym wiatrem. Teraz jego upierzenie to już tylko ciąg linii w metalu. Skrzydła nie oderwą się już nigdy od smukłego ciała. Z niemego, złotego gardła już nigdy nie wydobędzie się dźwięk.

– Nie patrz tak na mnie, Dukaciku – zwracam się do ptaszka, który zdaje się karcieć mnie nieruchomym spojrzeniem. – Tak, wiem, jakie to dla Midasa ważne, żebym była bezpieczna. To dlatego trzyma mnie w klatce tak jak ciebie – mówię, przekrzywiając lekko głowę. Potem przesuwam wzrokiem po otaczających mnie luksusowych produktach. To jedzenie, te poduszki, te szaty... Są tacy, którzy zabiliby dla takiego luksusu. I nie, to nie jest przenośnia. Są ludzie, którzy byliby gotowi zabić, by mieć to, co mam ja. Nędza to źródło najokrutniejszej motywacji. Wiem to niestety aż za dobrze.

– Oczywiście widzę, jak dba o to, by było mi tu wygodnie – ciągnę. – Wiem, że nie powinnam być chciwa i domagać się więcej. To byłaby niewdzięczność z mojej strony. Mogłoby przecież być mi znacznie gorzej.

Ptak wciąż gapi się na mnie niewidzącym spojrzeniem, a ja przywołuję się do porządku i kończę tę rozmowę z martwym przedmiotem. Od chwili, gdy Dukat po raz ostatni odetchnął swoją drobną piersią, minęło wiele czasu. Nie pamiętam już nawet, jakie odgłosy wydawał za życia. Zapewne, nim stał się połyskującym złotym widmem, pięknie śpiewał.

Czy taki sam los czeka mnie?

Czy za pięćdziesiąt lat moje ciało też będzie nieruchomą złotą bryłą? Czy organy wewnętrzne przestaną funkcjonować, a głos w moim gardle bezpowrotnie zamrze? Czy z białek moich oczu ujdzie krew, a powieki na wieczność pozostaną otwarte, choć nigdy już niczego nie zobaczę? Czy będę jak ten złoty ptak na swojej żerdce? Stanę się przedmiotem? Mijający klatkę będą przyglądać mi się przez kraty, rzucając w moją stronę słowa, na które nie będę mogła zareagować?

Nigdy nie wypowiedziałam tych obaw na głos, ale towarzyszą mi one nie od dziś. Kto wie, co wydarzy się mocą magii. Może pewnego dnia naprawdę stanę się posągiem.

Teraz pozostaje mi śpiewać na cały głos i stroszyć piórka. Póki mogę, będę oddychać pełną piersią. Bo nie jestem jak Dukat.

Przynajmniej na razie.

Odwracając się, przesuwam dłońmi po kratkach, by po chwili pozwoić rękom opaść.

Dobre strony, Auren. To o nich myśl!

No dobrze, muszę przyznać, że w klatce nie grozi mi ciasnota. Midas z biegiem lat rozbudował ją tak bardzo, że dziś zajmuje ona całą najwyższą kondygnację pałacu. Polecił rzemieślnikom wybić w pokojach dodatkowe otwory drzwiowe, przez które wprowadzono

okratowane, rozszerzające się w głąb pomieszczeń alejki. Wszystko to specjalnie dla mnie!

Mogę teraz przemieszczać się swobodnie pomiędzy atrium, salonem, biblioteką, królewską małą jadalnią i moimi prywatnymi komnatami w północnym skrzydle. Mam więc dla siebie większą przestrzeń niż wielu ludzi w tym królestwie.

Moja prywatna kwatery obejmuje nie tylko sypialnię, ale też pokój kąpielowy i potężną garderobę. Całość urządzona jest z przepychem: to ciąg gigantycznych klatek, połączonych okratowanymi chodnikami pozwalającymi swobodnie przechodzić z pomieszczenia do pomieszczenia. Dzięki nim nie muszę nigdy opuszczać bezpiecznego zamknięcia – chyba że Midas zechce zabrać mnie gdzieś ze sobą. On jednak nigdy nie zabiera mnie dalej niż do sali tronowej.

O ja nieszczęsna – złota królewska faworyta... Tak, wiem, jaka muszę się wydawać niewdzięczna. I nie znoszę tego w sobie! To jak jątrząca się rana, którą raz za razem rozdrapuję, choć wiem doskonale, że powinnam zostawić ją w spokoju i pozwolić jej się zabliznić.

A jednak – choć otaczają mnie elegancja i przepych – wrażenie życia w luksusie dawno przygasło. Chyba z czasem po prostu musiało się tak stać. Zresztą, czy to naprawdę takie istotne, że klatka, w której spędza się życie, jest ze szczerego złota? I tak nie można jej opuścić. Klatka to klatka – choćby wykuto ją z najszlachetniejszego kruszcu.

Sęk w tym, że to ja sama błagałam Midasa, by zatrzymał mnie u siebie i otoczył ochroną. Obiecał mi to i obietnicy dotrzymał. To ja próbuję podkopywać łączący nas układ. Mój własny umysł wodzi mnie na manowce i podsuwa mi myśli, do których nie mam prawa.

Czasem, gdy już wypiję dostatecznie dużo wina, udaje mi się zapomnieć, że jestem w klatce. Swędząca zadra choć na moment daje mi wtedy spokój.

Dlatego właśnie nie żałuję sobie wina.

Robiąc głęboki wydech, unoszę wzrok na szklany stop atrium. Z północy nadciąga jeszcze więcej gęstych chmur. Uciekły księżycowi, który teraz od tyłu oświetla ich pierzaste formy. Nocą na Highbell spadnie pewnie kolejne trzydzieści centymetrów śniegu. Nie zdziwię się, jeśli rankiem zza szyb atrium nie będzie widać zupełnie nic. Śnieg i lód kolejny raz sprawią, że przestanę widzieć niebo.

Jasna strona? Na razie wciąż mogę się cieszyć widokiem ostatniej gwiazdy.

Kiedy byłam mała, mama opowiadała mi, że gwiazdy to przyszłe boginie, czekające na wyklucie się ze światła. Ot, ładna historyjka dla kilkuletniej dziewczynki. Dziewczynki, która wkrótce miała stracić dom i całą rodzinę.

Miałam pięć lat, gdy pewnej nocy kazano mi szybko wstawać z łóżka. Ja i reszta dzieciaków z okolicy szliśmy rządkiem naprzód, słysząc w pobliżu odgłosy walki. Staraliśmy się przekraść w bezpieczne miejsce pod osłoną ciepłego zmierzchu. Gdy rodzice przytulili mnie i kazali uciekać, płakałam. Miałam być dzielna, a ja płakałam mimo ich pocałunków i zapewnień, że niedługo się zobaczymy.

Jedno polecenie, jedna obietnica, jedno kłamstwo.

Ktoś musiał wiedzieć o naszej ucieczce. Ktoś musiał donieść. Ani ja, ani inne dzieci nie dotarłyśmy w bezpieczne miejsce. Nim w ogóle zdążyliśmy wydostać się z miasta, z cienia runęli na nas rozbójnicy. Czekali na nas. Momentalnie zaszlachtowali naszych przewodników, nasze przerażone buzie zbryzgała gorąca krew. Na samo wspomnienie tamtej chwili wciąż chce mi się płakać. W tamtym momencie dotarło do mnie, że senny koszmar stał się rzeczywistością. Próbowałam wzywać pomoc. Wołałam rodziców. Na próżno. Zaraz zresztą zatkano mi usta skórzanym kneblem, smakującym dębową korą.

Mogłam tylko płakać. Gdy wykradano nas z miasta, po moich policzkach ciekły łzy. Z sercem ciężkim jak głaz wlokłam stopy po bruku, a gdzieś za mną zniknął dom. Z oddali

słyszałam krzyki i szcęk broni, ale potem zapadła cisza. I ta cisza była najgorsza.

Patrzyłam w gwiazdy, błagając, by narodziły się z nich boginie, które nas uratują; które zabiorą mnie do rodziców i pozwolą wrócić nam wszystkim do bezpiecznych, ciepłych łóżek.

Nic takiego się nie stało.

Ktoś mógłby pomyśleć, że od tamtej pory mam żal do gwiazd, ale tak nie jest. Wciąż są mi bliskie, bo ilekroć w nie spojrzę, widzę swoją mamę. A przynajmniej jakiś skrawek wspomnienia o niej. Skrawek, którego trzymam się rozpaczliwie od dwudziestu lat.

Upływ czasu i pamięć się nie lubią. Każde z uporem ciągnie w swoją stronę, naprężając łączącą je nić do granic możliwości. Choć pozornie nie uczestniczymy w ich sporze, to my tracimy na nim najbardziej.

Pamięć i czas. Gdy sprzymierzamy się z jednym, zawsze tracimy drugie.

Nie pamiętam już twarzy matki ani głosu ojca. Nie pamiętam ich dotyku, gdy przytulali mnie po raz ostatni. Pamięć o tym wszystkim się zatarła.

Z nieba mruga do mnie samotna gwiazda. Widzę ją jak przez mgłę, bo do oczu napłynęły mi łzy. Jeszcze chwila i zakrywają ją gęste chmury, przetaczające się po niebie, a ja czuję w sercu bolesne rozczarowanie.

Jeśli gwiazdy to naprawdę czekające na narodziny boginie, powinnam je przestrzec. Niech lepiej zostaną tam w górze, pośród mrugających świateł. Bo co czeka je tu, na dole? Życie tutaj to mrok, samotność, hałaśliwe dzwony i wieczny deficyt wina.



ROZDZIAŁ 3

Rano budzi mnie bicie tego cholernego dzwonu. Czuję, jak spod moich oczu rozpełza się ból głowy. Unoszę powieki i ścieram z nich sen. Gdy dźwigam się z łóżka, na złotą podłogę stacza się ze mnie butelka, która najwyraźniej przeleżała na mnie całą noc.

Rozglądam się i po drugiej stronie krat dostrzegam dwóch królewskich wartowników. Moja klatka wypełnia niemal całe pomieszczenie, ale jest w nim jeszcze dość miejsca, by straż mogła prowadzić obchód.

Szybkim ruchem ocieram zaśliniony kącik ust i przeciągam się, czekając, aż dzwon wreszcie umilknie. Moja głowa jest wrażliwa na hałas; nim w końcu udało mi się zasnąć, wlałam w siebie sporo alkoholu.

– No, ucisz się w końcu! – Zgrzytając zębami, przesuвам dłońmi po twarzy.

– Najwyższa pora, żeby wstała – odzywa się męski głos.

Spoglądam na strażników i dostrzegam Digby'ego – to ten starszy, z siwymi włosami i gęstą brodą – który trzyma wartę przy drzwiach. Jednak to nie jego głos usłyszałam. Przypisano go do mnie na stałe już dobrych kilka lat temu. Jest bardzo zasadniczy i poważny. Nigdy nie daje się wciągnąć w pogawędkę ani tym bardziej w jedną z moich alkoholowych zabaw.

To drugi ze strażników się odezwał. Nie znam go, jest tu nowy. Pomimo kaca nieco się ożywiam. Nowe twarze to tutaj rzadkość.

Przyglądam się świeżakowi. To wciąż dzieciak. Wygląda na nie więcej niż siedemnaście lat. Ma patykowate kończyny i blizny po trądziku. Pewnie świeżo wcielony. Każdy chłopak z miasta, o ile nie ma prawa do ziemi, gdy tylko osiągnie pełnoletniość, musi odbyć obowiązkową służbę w armii Midasa.

– Jak masz na imię? – pytam, podchodząc do krat i kładąc na nich ręce.

Młody wartownik natychmiast kieruje na mnie wzrok, poprawiając swój złoty pancerz z dumnym godłem dzwonu – symbolem Highbell.

– Joq – odpowiada.

Digby natychmiast posyła mu karcące spojrzenie.

- Nie rozmawiaj z nią – poucza go.
- Ale dlaczego? – Joq, nie rozumiejąc, przygryza wargę.
- Bo taki masz rozkaz. Dlatego.

Joq wzrusza ramionami, a we mnie zaczyna kiełkować zaciekawienie. Czy ten chłopak odważyłby się zagrać kiedyś ze mną w jakąś pijacką grę?

– Myślisz, że cipę też ma złotą? – pyta obcesowo Joq, jednocześnie zerkając na mnie. *Serio?!* No dobra. Przynajmniej wiem, że to nie gry go interesują.

– Grzecznie tak gadać o czyjejs cipie, kiedy ten ktoś stoi tuż obok? – pytam dosadnie, a Joq unosi brwi zdziwiony.

– Jesteś mięsem – odpowiada po chwili, lekko marszcząc nos. – Tyle z ciebie pożytku, co z twojej cipy.

Grubo. Nie mam już wątpliwości, że Joq to kawał gnoja.

Zaciskam dłonie na kratkach i przyglądam mu się, mrużąc oczy.

– Królewska kochanka to nie tylko cipa. Większość z nas ma też świetne cycki – rzucam sucho.

Joq nie wyczuwa jadu w moim głosie, za to ewidentnie wygląda na podnieconego. Jest więc też chyba idiotą.

– Pilnuj się, młody – zwraca się do niego Digby. – Niech tylko król się dowie, że mówisz tak do jego faworyty, a zatknie twój łeb na złotej tyce, zanim zdążysz zakląć.

Joq dalej wodzi po mnie wzrokiem, jakby w ogóle nie usłyszał starszego kolegi.

– Mówię tylko, że jest niezła... – papla dalej, jakby nie potrafił się zamknąć. – A myślałem, że z tym złotym mięsem Midasa to tylko gadanie... – Joq przeczesuje palcami swoje potargane włosy w kolorze błota. – Jak myślisz, jak on to zrobił?

– Co zrobił? – pyta wyraźnie poirytowany Digby.

– No... ją. Mówią, że wszystko, czego dotknie, zmienia się w szczerę złotą. To jakim cudem ona nie jest posągiem?

– Rozejrzyj się, młody. – Digby patrzy na niego jak na durnia. – Król zmienia niektóre rzeczy w szczerę złotą, a inne zostają, jakie były, tylko nabierają złotego koloru. Popatrz na zasłony i inne takie pierdoły. Nie wiem, jak dokładnie to robi, i mam to gdzieś. Nie jestem tu od tego, żeby się tym interesować, a od tego, żeby trzymać wartość przy jego faworycie. Robię swoje, a ty, jeśli masz choć trochę rozumu, rób to samo. A teraz zasuważ na obchód.

– Dobrze już, dobrze... – Skarcony Joq ostatni raz zerka w moją stronę, po czym znika za drzwiami.

Kręcę głową.

– Ci młodzi gwardziści, co jeden, to głupszy. Nie, Dig?

Digby ledwie na mnie zerka, po czym wbija wzrok w przestrzeń przed sobą i przybiera swoją najbardziej wartowniczą pozę. Po tylu latach przyglądania mu się wiem już, że traktuje swoją pracę niesłychanie serio.

– Niech lepiej panienska Auren się szykuje – rzuca szorstko. – Późno już.

Wzdycham, przyciskając kciuk do obolałej skroni. Potem okratowanym chodnikiem kieruję się w stronę łącznika między pomieszczeniami i przechodzę do garderoby. Digby szanuje moją prywatność i nie towarzyszy mi podczas przebierania. Dla niektórych strażników wcale nie jest to takie oczywiste. Są tacy, którzy leżą za mną i próbują podejrzeć coś zza krat. Całe szczęście, że z sufitu zwisa obszerna złota kotara, za którą mogę się schować. Zasłania ona część wnętrza klatki, ale najwyraźniej prześwituje przez nią kontur mojego ciała – dlatego te fiutki za mną łażą.

Digbym nie muszę się martwić. On nie będzie się ślinić, wpatrując się przez draperię

w moją sylwetkę. Nie jest jak tamci, przez wszystkie te lata ani razu nie próbował mnie podglądać.

Nachodzi mnie myśl, że może właśnie dlatego tak długo jest już moim wartownikiem. Nie brakuje takich, którzy uchowali się znacznie, znacznie krócej. Ciekawe, czy Midas nakazał zatknąć ich głowy na złotych tyczkach.

Tego ranka w mojej garderobie jest ponuro i mrocznie. To zresztą typowe. Pomieszczenie oświetla pojedynczy świetlik w suficie, który zazwyczaj zapadany jest śniegiem. Za źródło światła służy mi więc głównie stojący na stole kaganek. To przy nim zazwyczaj się przebieram. Swoją dzień zaczynam w jego ciepłym, miękkim świetle.

Dziś mam zostać wezwana przez Midasa. Muszę więc być gotowa o czasie. Wodzę wzrokiem po rzędach wiszących na wieszakach szat, starając się wybrać najwłaściwszą. Wszystkie mają oczywiście złotą barwę i uszyte zostały złotą nicią. Jako faworyta Midasa nie mogłabym pokazać się w niczym innym.

Mój wybór pada ostatecznie na suknię o kroju empire z niemal całkowicie odkrytymi plecami. Zresztą wszystkie moje suknie są bez pleców. Inaczej być nie może – przez moje wstęgi. Nazywam je wstęgami z braku lepszego słowa: nie wiem, jak inaczej nazwać tuzin długich wypustek po każdej ze stron mojego kręgosłupa. Pierwsze mają swój początek tuż poniżej ramion, ostatnie – w pobliżu kości ogonowej. Moje wstęgi są długie: gdy idę, ciągną się za mną po posadzce jak tren sukni.

Postronni często sądzą, że wstęgi to właśnie ozdobny element mojej szaty. Nie przyjdzie im nawet na myśl, że tak naprawdę to część mojego ciała. Trudno im się dziwić – sama z początku nie mogłam w to uwierzyć. Wstęgi wyrosły z moich pleców na krótko przed tym, jak Midas mnie uratował, i nie było to bynajmniej bezbolesne. Póki wypustki nie osiągnęły pełnej długości, całymi tygodniami pociałam się i doświadczałam potwornego pieczenia.

O ile mi wiadomo, w całej Orei nikt poza mną nie ma takich wstęg. Oczywiście nie oznacza to, że ja jedna mam magiczne ciało. Magię mają w sobie chociażby wszyscy królowie – bez niej żaden z nich nie mógłby sięgnąć po koronę. A i oni nie są jedynymi. Magiczny dar spotkać można także u plebejuszy. Sama widziałam kiedyś błazna, który potrafił strzelać z palców smugami światła – wystarczyło, że pstryknął lub zaklaskał. Mógł dzięki temu dać prawdziwy popis gry cieni.

Sęk w tym, że moje wstęgi to coś więcej niż ozdoba czy patent na zabłyśnięcie salonową sztuczką. Są chwytne! Panuję nad nimi tak samo jak nad rękoma i nogami. Owszem, zwykle pozwalam im zwisać luźno, niczym kawałkom sprężystej tkaniny, jednak jeśli zechcę, mogę dowolnie nimi poruszać. I są znacznie silniejsze, niż na to wyglądają.

Zrzucam z siebie wymiętą kreację z wczorajszego wieczora i odkładam na stos w sąsiedztwie kraty, skąd bez trudu będą mogły ją zabrać służki. Następnie wciągam na siebie świeżą suknię i poprawiam na sobie materiał, tak by zasłonić wszystko, co powinno zostać zasłonięte.

Siadam przy toalecie i przeglądam się w lustrze. Wstęgi na moich plecach się unoszą: przeczesują i układają moje włosy. Pracują wytrwale, aż na czubku mojej głowy pojawia się misterny układ warkoczy, a wszystkie niesforne złote kosmyki, opadające wcześniej na plecy, zostają schludnie splecione powyżej karku.

Mam bujne włosy, a ułożenie ich wymaga sporo pracy. Król jednak ma na moim punkcie taką obsesję, że nie dopuszcza do mnie nawet fryzjera. Skutek jest taki, że muszę obcinać się sama, a wychodzi mi to marnie.

Kiedyś, po szczególnie tragicznej wpadce fryzjerskiej, dłuższy czas chodziłam z kompletnie spartaczoną, krzywą grzywką. Dopiero po jakichś dwóch miesiącach odrosła na

tyle, że mogłam zacząć odgarniać ją za uszy. I nie, nie było w tym nic uroczego.

Od czasu tamtej spektakularnej wpadki jak tylko mogę, unikam nożyczek. Ograniczam się do niezbędnego minimum i podcinam tylko końcówki. Raz dostałam nauczkę i wystarczy.

Inna sprawa, że grzywka – nawet równa – chyba w ogóle nie jest dla mnie. Błędem było już samo zdecydowanie się na nią. Cóż, tak to bywa z decyzjami, które podejmuje się po wypiciu całej butelki wina.

Gdy moje włosy są ciasno zaplecione, odchodzę od toaletki i wracam do sypialni. Akurat zdążyła pojawić się służka. Lekko zziębnięta po wejściu stromymi schodami, skinieniem pozdrawia Digby'ego.

– Król Midas życzy sobie widzieć faworytę w małej jadalni – oznajmia po chwili.

Gdy Digby potwierdza ruchem głowy przyjęcie polecenia, służka oddala się, zerkając jeszcze przez ramię w moją stronę.

– Gotowa? – pyta mnie wartownik.

W odpowiedzi opieram palec wskazujący o wargę.

– Mam parę spraw do załatwienia. Jestem umówiona z kilkoma osobami. W sumie to zupełnie nie mam teraz czasu – mówię z rozbawieniem.

Ale Digby nie zamierza się ze mną droczyć. Ba, nawet się nie uśmiechnie. Tylko jak zwykle cierpliwie się we mnie wpatruje.

– Dig... – wzdycham. – Czy ty nigdy nie zaśmiejesz się z żadnego mojego żartu?

– Nie – odpowiada Digby, kręcąc przecząco głową.

– Jeszcze kiedyś mi się uda, zobaczysz. Przebiję się przez tę twoją gburowatą fasadę.

– Skoro tak panienska twierdzi... Jest panienska gotowa? Nie każmy jego królewskiej mości czekać.

Sfrustrowana robię długi wydech. Niech ten mój ból głowy choć trochę przejdzie! Łatwiej będzie mi wtedy znieść spotkanie z królem Fulkem.

– Tak, tak, jestem gotowa. Za to tobie przydałoby się trochę kindersztuby. Chwila kurtuazyjnej rozmowy to naprawdę nic strasznego. I czy aż tak by cię bolało, gdybyś czasem bąknął do mnie coś życzliwego?

Digby tylko patrzy na mnie milcząco. W jego brązowych oczach nie ma krzty wyrazu.

– No dobrze już, idę – rzucam mrukiwie. – Do zobaczenia za jakieś półtorej minuty, będę tęsknić – rzucam szyderczo, posyłając mu całusa, po czym odwracam się i wychodzę z sypialni. Kieruję się na drugi kraniec klatki, a potem w głąb zbudowanego specjalnie dla mnie korytarza. Stąpam złotymi pantoflami po złotej posadzce. Za mną ciągną się rąbek sukni i moje wstęgi.

Wokół mnie panuje mrok, ale na szczęście korytarz ma tylko kilka metrów długości. Jeszcze chwila i wchodzę do obszernej biblioteki. Choć słudzy regularnie tu sprzątają, moje nozdrza uderza nieprzyjemny zapach zatechłego powietrza i butwiejącego pergaminu.

Przechodzę przez okratowaną część biblioteki i na ułamek sekundy zanurzam się w mrok. Następnie mijam atrium i wchodzę do ostatniego korytarza na swojej drodze – ten prowadzi już prosto do małej królewskiej jadalni. Przed samym wejściem do niej przystaję na moment. Chcę jeszcze przez chwilę pomasaować obolałe skronie, nasłuchując przy okazji rozmowy dobiegającej z jadalni. Słyszę głos zwracającego się do służki Midasa i odgłosy rozstawiania naczyń na stole. Jeszcze jeden głęboki oddech i ruszam naprzód. Widać mnie już w niewielkiej, wychodzącej na jadalnię klatce.

Po drugiej stronie krat stoi długi stół, zastawiony – a jakże – sześcioma nakryciami. Na blacie widzę także sześć dzbanów z napojami i sześć bukietów kwiatów, rzecz jasna szczerozłotych, pasujących do zastawy. Inaczej być nie mogło: Midas na każdym kroku musi zadośćuczynić swoim fetyszom – złotu i liczbie sześć.

Na widok jedzenia czuję nudności. Dobrze, że król nie oczekuje, bym siadła do stołu. Nie wypadłabym najlepiej, wymiotując na niego i gości.

Do wnętrza sący się szare, przyprószone śniegiem światło, sprawiając, że cały jego przepych wydaje się przygaszony. Na kominku buchają płomienie, ale nie jest tu gorąco. W jadalni można palić do woli, a nigdy do końca się ona nie nagrzeje. Ogień na próżno próbuje przegnać stąd wieczny chłód.

Natychmiast odnajduję wzrokiem Midasa. Król siedzi u szczytu stołu. Ma na sobie piękną tunikę, a na jego starannie przyczesanych blond włosach idealnie leży korona.

Po jego lewej stronie siedzi król Fulke, któremu sponad pasa wylewa się wielki brzuch rozpustnika. Zgodnie z obowiązującą w Piątym Królestwie modą ma na nogach aksamitne purpurowe rajtuzy. Górę jego ubioru stanowi tunika, również purpurowa – to kolor jego państwa. Złota, wysadzana klejnotami korona rozmiarów mojej pięści na łysej głowie Fulkego jest przekrzywiona. Ot, znak jego niechlujstwa.

Nie wiem, czy jako młody mężczyzna Fulke był przystojny. Teraz widzę tylko jego wiotczącą skórę i otłuszczone ciało. Jednak to nie tusza króla tak mnie odpycha, a jego poźółkłe od palenia fajki zęby. No i oczywiście ten lubieżny błysk w oku, ilekroć mi się przygląda. Sama już nie wiem, co jest gorsze.

Nogi Fulkego ozdobione są nie tylko purpurowymi rajtuzami. Na obu jego kolanach siedzą skąpo ubrane dziewczyny, które karmią go owocami i ciastem w ramach swojej pełnej dyspozycyjności dla króla.

Jedna z nich to Polly, a druga – Rissa. Ta ostatnia akurat karmi króla borówkami, głośno przy tym chichocząc. Fulke tymczasem miętosi piersi obu dziewczyn. To takiego śniadania sobie zażyzył...

Na mój widok obie dziewczyny posyłają mi krótkie, chłodne spojrzenia, by odtąd zupełnie mnie ignorować. Nie przepadają za mną, to jasne – nie tylko dlatego, że jestem faworytą Midasa, również dlatego, że to mnie Fulke pożąda najbardziej, ilekroć zjawi się na zamku.

Chyba po prostu widzą we mnie konkurentkę. Wiadomo przecież, co dzieje się z mięsem, gdy ich wdzięki przebrzmiają. Takie dziewczyny zostają odprawione, a ich miejsce zajmują nowe – ładniejsze i jędrniejsze.

Szkoda, bo gdyby tylko spędziły ze mną trochę czasu, na pewno by mnie polubiły. Jestem strasznie fajna i trudno o lepsze towarzystwo niż ja. Muszę taka być – nie bardzo ma się inne wyjście, gdy za jedyną kumpelę ma się samą siebie. Inaczej przecież zanudziłabym się na śmierć.

Chyba poczekam, aż Midas będzie w dobrym nastroju, i poproszę go wtedy, by pozwolił kilku dziewczynom wpaść do mnie któregoś wieczora. Przydałoby mi się inne towarzystwo niż milkliwy służbista Digby.

Właśnie, skoro o Digby mowa. On i pięciu innych członków królewskiej straży stoją teraz pod przeciwległą ścianą i żaden nawet nie mrugnie na widok mocno rozerotyzowanego śniadania. Czysty profesjonalizm.

Królom towarzyszy przy stole jeszcze kilku mężczyzn; to ich doradcy. Są też ponadto dwie dziewczyny. Pierwsza masuje właśnie kark jednemu z dworzan Fulkego, druga rzuca na prawo i lewo uwodzicielskie spojrzenia.

– Mój skarb! – zagaja ciepło Midas, gdy tylko mnie zauważy. – Postanowiłaś dotrzymać nam towarzystwa!

Oczywiście, że tak „postanowiłam”. Kazaleś mi tu być.

Rzecz jasna, nie mówię tego na głos. Zamiast tego kiwam tylko głową, skromnie się uśmiechając. Pora teraz zająć miejsce na tapicerowanym taborecie ustawionym przy harfie. Siadam i zaczynam delikatnie trącać struny. Wiem, czego chce mój król: mam być spektaklem

dla jego gości.

Za każdym razem wygląda to tak samo. Ilekroć na zamku pojawią się przybysze z innego królestwa, Midas się mną chwali. Siadam w jadalni bezpieczna w swojej klatce, by goście mogli się na mnie gapić, jednocześnie opychając się tartą i jajkami. Mam być żywym przykładem potęgi Midasa.

– Mmm... – mruczy z zadowoleniem Fulke, nie przestając przeżuwać. – Lubię oglądać tę twoją złotą dziwkę – dodaje z pełnymi ustami, gapiąc się na mnie.

Jeżę się w środku na to określenie, ale nie daję niczego po sobie poznać. Wiecie, co jest gorsze od bycia nazywaną mięsem? Bycie nazwaną dziwką. Jasne, powinnam była dawno do tego przywyknąć. Ale nie przywykłam. Gdy ktoś tak mnie nazwie, mam chęć zadusić go wstęgami albo kopnąć w jaja.

Oczywiście niczego takiego nie robię. Grzecznie brzdąkając dalej na harfie, postanawiam wykonać jeden ze swoich ulubionych utworów, *O rannym ptaszku*. Ten nieco dwuznaczny tytuł świetnie wpisuje się w mój obecny nastrój.

Midas uśmiecha się, przeżuając kolejny kęs owocu.

– Wiem o tym – odpowiada Fulkemu.

Ten przygląda mi się, wyraźnie się nad czymś namyślając.

– Może jednak użyłbyś złotodajnego dotyku na któreś z moich dziewczyn? – pyta po chwili, nie przestając ugniatać tyłka siedzącej mu na kolanach Polly.

– Nie. – Midas kręci przecząco głową. – Na ten zaszczyt zasłużyła tylko moja Auren. I chcę, by pozostała jedyna w swoim rodzaju.

Fulke żartobliwie wydaje z siebie teatralny jęk zawodu. Ja za to aż przygryzam wargę z uciechy: mój król nie będzie się dzielić moją wyjątkowością.

Polly i Rissa ukradkiem wymieniają niezadowolone spojrzenia. Po chwili zaczynają pieścić się nawzajem na blacie stołu, jakby chciały znów skupić uwagę wszystkich na sobie.

– Nie dziwię się, że wybrałaś właśnie ją – mówi Fulke, ignorując zupełnie dłoń Rissy na swoim kroczu. – To niezrównana piękność.

Aż przechodzi mnie dreszcz, gdy jednocześnie czuję na sobie pożądlivy wzrok Fulkego i sztylety, które wbijają we mnie spojrzenia Rissy i Polly. Wystarczy mi jednak jedno zerknięcie na Midasa. Błysk w jego oczach zdradza, że jest ze mnie bardzo zadowolony. Niewiele rzeczy cieszy go tak, jak zawiść ze strony innych.

– Oczywiście, że to niezrównana piękność. Jest przecież moja – odpowiada Midas pyszałkowatym tonem.

Na dźwięk jego głosu czuję gorąco na policzkach i wewnątrz ciała. Ukradkowo zerkam na króla przez struny harfy. Chcę dać mu swoją grą jak najwięcej przyjemności, złożyć mu ofiarę jak bóstwu.

Fulke zwraca się teraz do Midasa.

– A co powiesz na to, żebym spędził z nią jedną noc? – pyta. – Sowiec ci to wynagrodzę.

Moje palce trafiają w niewłaściwą strunę. Ułamek sekundy nieuwagi sprawił, że zepsułam swoje ulubione crescendo.

Spojrzenie moich złotych oczu natychmiast pada na Midasa. Wiem, że odmówi, ale jak Fulke w ogóle śmiał?! Czy Midas ukarze go za tę zniewagę? Czy wymierzy mu przy wszystkich policzek? W pomieszczeniu zapada kompletna cisza, a mnie aż skręca. Kiedyś coś podobnego powiedział do króla jeden z ambasadorów skarbu – Midas nakazał obciąć mu palce u nóg i rąk, a następnie wrzucił je do kadzi z płynnym złotem. Gdy złoto zastygło, polecił zawiesić je na drzwiach domu okaleczonego. Surowa kara? Owszem, ale jednocześnie czytelne ostrzeżenie pod adresem wszystkich tych, którzy poczuli się zbyt pewnie i mogliby pozwolić sobie na zbyt wiele.

Teraz wszyscy z zapartym tchem czekają na reakcję Midasa. Królewscy doradcy wymieniają niespokojne spojrzenia, a moje palce zamierają na strunach. Żadna melodia nie byłaby w tej chwili wymowniejsza niż cisza.

Midas powoli odkłada widelec i mierzy Fulkego wzrokiem. W powietrzu wisi nieznośne napięcie, a mnie serce wali jak młotem. Nie mogę się już doczekać, by zobaczyć, jakiej reprimendy mój król udzieli Fulkemu.

Midas opiera łokieć na podłokietniku i podpira ręką brodę. Mnie tymczasem znów aż skręca w środku – tym razem jednak z zupełnie innego powodu. W oczach króla widzę niebezpieczny blask. Zawahał się. Najwyższy! Czyżby on poważnie rozważał propozycję Fulkego?!

CHOMIKO – WARNIA



ROZDZIAŁ 4

Nie. To niemożliwe!

Nie dopuszczam do siebie myśli, że mój król mógłby choć na jedną noc oddać mnie innemu. Nie, Midas nigdy nie zgodziłby się na to, by miał mnie ktokolwiek poza nim. Jest na to zbyt zaborczy. Kocha mnie i zbyt wysoko mnie sobie ceni. Nie zmieniło się to od dnia, gdy przybył mi na ratunek. A jednak – każda kolejna sekunda jego milczenia sprawia, że mój żołądek zaciska się nieznośnie.

– Więc jak? Co ty na to? – dopytuje Fulke. – Podaj tylko cenę.

Na widok namyślającego się Midasa żółć podchodzi mi do gardła.

Co się z nim, do cholery, dzieje?!

W końcu Midas wykonuje półkolisty gest. Jakby chciał przypomnieć Fulkemu, że spotkali się pośród złotych ścian i sklepień, by stąpać po złotej podłodze i jeść ze złotej zastawy naprzeciw szczerozłotego paleniska. Złoto, złoto i złoto – jak okiem sięgnąć.

– Może nie zauważyłeś, ale naprawdę nie potrzebuję, by ktokolwiek za cokolwiek mi płacił. Mam więcej złota niż wszystkie pozostałe królestwa razem wzięte, wliczając twoje. Nie ma na tym świecie bogatszego ode mnie.

Chwała Najwyższemu!

Fulke jednak, zamiast unieść się honorem, zbywa słowa Midasa machnięciem ręki.

– Też coś! To nie musi być złoto. Wybierz cokolwiek innego, coś, czego pragniesz.

Nerwowo wodzę spojrzeniem pomiędzy nimi dwoma. Mój ból głowy, który zdążył już nieco zelzeć, powrócił z całą mocą. Czuję się, jakby ktoś tuż przy mojej skroni bił w potężny bęben. Słyszę nieznośny rytm. Rytm strachu.

To nie może się dziać naprawdę!

Dotąd król Fulke ograniczał się do zbereźnych komentarzy na temat tego, „co by ze mną zrobił?”. Midas nie dawał się podpuścić, więc kończyło się na gadaniu. Dziś sprawy zaszły znacznie dalej. Fulke pozwolił sobie na o wiele większą zuchwałość, a Midas... patrzy na niego

cwaniackim spojrzeniem, które znam aż za dobrze. Widzę po nim, że naprawdę się namyśla.

Czuję w żołądku podsycany lękiem wir. Jeden z doradców Fulkego zdobywa się na odwagę i nieśmiało nachyla do swego pana.

– Wasza wysokość...

– Cisza! – wypala Fulke, nawet na niego nie patrząc.

Dworzanin natychmiast milknie. Wymienia tylko z pozostałymi spojrzenia pełne niepokoju.

Gdy Midas nachyla się w końcu ku Fulkemu, mało nie zapiera mi tchu. Unosi palec wskazujący z taką miną, jakby miał złapać swego rozmówcę na haczyk.

– Za jedną noc z nią oddasz mi pod komendę swoją armię. Użyję jej podczas uderzenia, które zaplanowałem na przyszły tydzień. Już dziś zmobilizuj swoje siły. Mają niezwłocznie dołączyć do moich oddziałów maszerujących na granicę Czwartego Królestwa.

Co takiego?

Jestem w szoku, z trudem łapię oddech. Zawijam palce na strunach harfy, jakbym chciała chwycić rzeczywistość i ją rozerwać. Napięte struny wbijają się w opuszki moich palców. Na posadzkę skapuje kilka kropel złotej krwi. Ja jednak nie czuję już nawet bólu.

Fulke uśmiecha się drwiąco i spycha dziewczyny ze swoich kolan, by móc pochylić się bardziej naprzód. Polly i Rissa zrywają się na nogi i posłusznie ustawiają się za nim.

– Za późno na to, Midasie. Moje oddziały nie dadzą już rady dogonić twoich. Zresztą znasz moje zdanie w kwestii natarcia.

– Zdążą, jeśli wydasz rozkazy już dziś, a ja pošlę swoje wojska inną trasą – oponuje natychmiast Midas, który sprawia wrażenie, jakby miał już wszystko przemyślane.

Staram się nadążyć myślami za tym, co się dzieje.

Czy on każe mi rznąć się z innym władcą, żeby zdobyć więcej wojska?

– To niezgodne z Przymierzem Oreańskim – odpowiada Fulke.

– Nie udawaj, że nie robiłeś już podjazdów na granicy. Od dawna posyłasz żołnierzy na granicę z Czwartym.

– Czwarte Królestwo próbowało zagarniać moje ziemie. Bronilem tylko swoich terytoriów! – W głosie Fulkego słychać zdenerwowanie, za to Midas ma minę jak kot, który dobrał się do miski mleka.

– Ja po prostu myślę zapobiegliwie. Już czas na uderzenie wyprzedzające na Czwarte Królestwo. Inaczej znów spróbuje zagarniać nie swoje ziemie.

W milczeniu wbijam przerażone spojrzenie w Midasa. Zamierza zaatakować Czwarte Królestwo? Przecież każdy wie, że na Czwarte Królestwo się nie napada! Jego władca, król Ravinger, nie przypadkiem nazywany jest „Gnilcem”. To monarcha równie potężny, co okrutny i bezwzględny. Co też Midasowi strzeliło do łba?!

Siedzący przy stole sojusznicy wymieniają spojrzenia. Obaj głowią się i namyślają. Przypominają mędrców pochylających się nad pradawnymi zwojami w poszukiwaniu odpowiedzi.

Mija sekunda za sekundą. Dramatyzmu chwili dodają dobiegające z zewnątrz odgłosy podmuchów lodowatego wiatru. Szalejąca śnieżycą to zarazem niezła ilustracja burzy, która rozpułała się w moim sercu.

Ten sam doradca, który wcześniej odważył się przemówić do Fulkego, znów się do niego nachyla. Szepcze coś do ucha swojego pana. Ten, słuchając, wodzi wokół wzrokiem. Po krótkiej chwili dworzanin wraca na miejsce.

Fulke sięga swoim ciężkim łąpskiem po stojący przed nim kielich. Bawiąc się nim, przypatruje się w skupieniu Midasowi.

– Jesteś moim sojusznikiem – zaczyna po chwili. – Popieram twój zamiar, by ukrócić wypady Czwartego Królestwa na nasze ziemie. Ale... jedna noc ze złotą dziwką nie jest warta potęgi całej mojej armii.

Midas wzrusza tylko ramionami.

– I tu się mylisz. Mówimy o nocy z moją słynną faworytą. Nie tknął jej dotąd nikt poza mną samym, a jej ciało jest warte więcej niż cała zawartość twojego skarbcza. Noc z nią za komendę nad twoimi wojskami to więcej niż uczciwa oferta.

Fulke przymruża oczy, a ja mam wrażenie, że z każdą sekundą zwięża się moje pole widzenia. Moja obolała głowa pulsuje rytmem narastającego strachu – jest jak koń okładany coraz mocniej przez okrutnego woźnicę.

– Chcę ją na miesiąc.

Gdy słyszę kontrpropozycję Fulkego, zaczyna palić mnie w gardle. Jeszcze mocniej wbijam palce w struny harfy.

– Jedna noc – powtarza nieugięcie Midas. – Jedna noc i pozostajemy sojusznikami. Zwycięstwo nad Czwartym Królestwem będzie naszym wspólnym. Podzielimy się łupami i zdobytymi ziemiami. Czy może mam się ponownie zastanowić, ile jesteś dla mnie wart jako sojusznik?

Znów na ułamek chwili zapiera mi dech. Napięcie w jadalni szybuje na jeszcze wyższy poziom. W oczach Fulkego dostrzegam szok – zdradza go przelotny błysk, który mogłabym przeoczyć, gdybym nie przypatrywała mu się od dłuższej chwili. Jest szczerze zaniepokojony perspektywą, że Midas mógłby przestać pomnażać jego bogactwa. Szok niemal natychmiast ustępuje miejsca złości – nie na tyle szybko jednak, by nie zdążył go dostrzec również Midas. Teraz wie już, że ma Fulkego na widelcu.

– Grozisz mi? – podnosi głos Fulke.

– Nic podobnego. Po siedmiu latach sojuszu i w obliczu starcia ze wspólnym wrogiem proponuję ci zacieśnienie naszej współpracy. To gest uznania z mojej strony, że proponuję ci noc ze swoją faworytą.

Ból w mojej głowie jeszcze się wzmaga. Aż nagle nieznośne ciśnienie znajduje ujście.

– Nie! – wrywa się z moich ust.

Oczy wszystkich natychmiast kierują się na mnie. Serce wali mi tak mocno, że nie potrafię skupić się na niczym innym niż na bólu, który przewędrował nagle z głowy w głąb piersi.

Nie wiem nawet, kiedy poderwałam się na nogi. Nagle orientuję się, że stoję. Wpatruję się w Midasa z poranionymi dłońmi wyciągniętymi naprzód, jakbym usiłowała odepchnąć od siebie grożący mi los.

– Mój królu – błagam. – Nie...

Midas nie zwraca na mnie uwagi, za to Fulke łąpczywie wodzi po mnie wzrokiem. Połowa mojego ciała kryje się w chłodnym cieniu, połowę oświetla bijący z paleniska żar.

– Jedna noc, ale nikt nie będzie nas nachodził i będę mógł robić z nią, co zechcę? – upewnia się Fulke.

Midas potwierdza skinieniem głowy, a ja omal nie tracę równowagi. Opadam naprzód, by w ostatniej chwili oprzeć się o kraty. Przylegam do nich, zaciskając na metalu poranione palce.

– Chcę też połowę Czwartego Królestwa – ciągnie Fulke.

– Oczywiście – potwierdza Midas, jakby dawno już przystał na te warunki. Jakby uknuł ten plan w chwili, gdy Fulke pojawił się na zamku.

Kolejny raz czuję na sobie pożądliwe spojrzenie.

– A więc ustalone, Midasie.

Mój król zadziera podbródek. Przez jego twarz przemyka wyraz triumfu.

– Będę mieć do dyspozycji twoją armię?

Fulke naradza się szeptem z jednym z doradców, po czym kiwa głową.

– Tak, wyruszy przed zmierzchem.

Moja dusza kwaśniej nagle jak winny moszcz. Żołądek burzy się falami, uderzając kwasotą w kolejne organy mojego ciała. Mój organizm szaleje wraz ze wzbierającym we mnie wyparciem.

Przecież Midas nigdy nie pozwala nikomu mnie dotknąć. Jestem jego. Tylko jego. Od zawsze to powtarza. Jestem jego skarbem, klejnotem. Towarzyszę mu od dziesięciu lat i przez cały ten czas nigdy nikogo do mnie nie dopuścił.

Midas mnie uratował. Wyciągnął mnie ze zgliszc i dał mi dom w zamku. Ja oddałam mu serce, a on obiecał mnie chronić. Jedno spojrzenie – tyle wystarczyło. Twierdził zawsze, że pokochał mnie od pierwszego wejrzenia. Ja zresztą natychmiast odwzajemniłam to uczucie. Jak mogłabym go nie kochać? Był pierwszym mężczyzną, który okazał mi dobroć. Czy naprawdę jest gotów wszystko to zniszczyć, oddając mnie innemu? Do tego akurat Fulkemu?!

Panika sprawia, że robi mi się ciemno przed oczami. Zaciskając palce na prętach, zaczynam urywanym głosem błagać:

– Tyndallu, proszę... nie.

Polly i Rissie na dźwięk imienia króla wyrrywają się przestraszone westchnienia. Nikt nie śmie zwracać się do Midasa tak poufale. Niejednego ścięto za mniejszą zuchwałość. A jednak – jego imię wymusnęło mi się całkiem bezwiednie. Pozwolił mi nazywać się Tyndallem, kiedy byłam jeszcze dziewczynką, a on moim wybawcą w lśniącej zbroi. To jednak było dawno temu. Teraz jego imię wyrwało mi się pewnie dlatego, że mój przerażony umysł rozpaczliwie usiłuje znów zobaczyć w Midasie wybawcę. Zaciśnięte szczęki króla natychmiast jednak dają mi do zrozumienia, że popełniłam błąd. Midas patrzy na mnie ostro swoimi brązowymi oczami.

– Miarkuj się, Auren. Lepiej dla ciebie, żebyś знаła swoje miejsce. Jesteś królewskim mięsem, a król będzie częstować nim, kogo zechce!

Czuję w oczach pieczenie od napływających łez. Nie płacz! – strofuję samą siebie. Nie wolno mi się załamać.

Fulke przekrzywia swoją łysą głowę i bez żenady mi się przygląda. Już ma mnie za swoją.

– Mogę ją ukarać, jeśli chcesz. Swoje nałożnice świetnie nauczyłem pokory.

Mimo moich starań pierwsza łza ścieka mi po policzku. Zatacza łuk, jakby chciała upodobnić się do wisielczej pętli.

Midas kręci przecząco głową.

– Żadnych kar. To wciąż moja faworyta.

A więc mam i jasną stronę...

Fulke gorliwie potakuje, jakby obawiał się, że Midas zmieni jeszcze zdanie.

– Oczywiście, palcem jej nie tknę. Tylko kutasem! – Wybuchł śmiechem, aż jego wielki brzuch trzęsę się jak galareta. Doradcy mu wtórują, jednak widać po nich zdenerwowanie.

Midas nie śmieje się z nimi. Całą swoją uwagę skupia teraz na mnie. Czuję się przyszpilona jego spojrzeniem. Mam w sobie mieszanek bólu, strachu i uległości. Ależ mam chęć walnąć samą siebie w łeb za wczorajsze narzekania na samotność. Tak to się kończy, gdy człowiek nie umie być wdzięczny za to, co ma.

– Mój królu... – odzywam się cicho, błagalnie. Ostatni raz próbuję przemówić do prawdziwego Midasa, który kryje się za fasadą bezwzględnego władcy myślącego wyłącznie o podbojach.

W brązowych oczach Midasa nie ma jednak krzty ciepła. Jest jak zimny pień, odcięty przemocą od własnych korzeni.

– Czy mówiłem, że możesz przestać grać?

Słyszając te słowa, mrugam z niedowierzaniem i aż rozdziawiam usta. Puszczam kraty, moje ręce opadają z rezygnacją. On to zrobi. Naprawdę to zrobi...

– Usiądź grzecznie i skup się na tym swoim brzdąkaniu. Daj mężczyznom rozmawiać.

Wzdrygam się na te słowa. Czuję się, jakby Midas mnie spoliczkował. Moje wstęgi wzdłuż kręgosłupa przenika dreszcz – jakby chciały się ukryć i na dobre zniknąć.

Powoli odwracam się i ruszam w stronę taboretu. Kiedy siadam, drżą mi nogi. Czuję się jak ciśnięty w głębinę kamień, który sięgnął dna, wzburzając muł. Nie widzę już słońca. Mam wrażenie, jakbym znalazła się poza własnym ciałem. Widzę tylko swoje zakrwawione palce zbliżające się ku strunom harfy. Pulsują mi skronie. Siadam idealnie wyprostowana, jakby nienaganna linia ramion mogła stać się tarczą, która obroni mnie przed przeszywającymi spojrzzeniami.

Utwór *Drżący łut szczęścia* zdaje się sam płynąć z nut. Każde kolejne trącenie struny równa się nowym cięciom – nie tylko na moich palcach, ale i na moim sercu. Każda nuta to lament, a każda upływająca chwila to męka. Każda kadencja niesie się cierpieniem. Padające na posadzkę kropelki krwi są jak ofiara.

Gram swojemu królowi. Swojemu obrońcy. Wybawcy. Gram mężczyźnie, którego kocham, odkąd poznałam go jako piętnastoletnia dziewczyna. Gram, wspominając, jak uczyłam się tej pieśni, a on akompaniował mi pięknym śpiewem przy trzasku polan w ognisku i głośnym cykaniu świerszczy.

W czasie poza czasem

tańczyliśmy o brzasku

upojeni rannym słońcem

w miłości blasku.

Po moim policzku spływa kolejna łza. Tak przejmujące jest wspomnienie jego głosu sprzed wielu, wielu lat.

A teraz mężczyzna, który przyrzekł mnie chronić, oddaje mnie jak zabawkę innemu i nic nie mogę na to poradzić.



ROZDZIAŁ 5

Król Fulke zmienia plany i nie wyjeżdża. Miałby wyjechać tuż po tym, jak zobowiązał się pomóc Midasowi w szykowanym potajemnie ataku na Czwarte Królestwo? Tuż po tym, jak dobili targu i wreszcie może ostrzyć sobie zęby na noc ze mną?

Jego wojska ruszyły na spotkanie z oddziałami Midasa. Z każdym dniem są bliżej, a ja mam wrażenie, jakby to na mnie miały przypuścić atak.

Zaciskam palce na trzymanej na kolanach książce. Wodzę oczami po stronicy, ale tak naprawdę nie czytam, a podsłuchuję. Grzecznie odgrywam przy tym swoją rolę ozdoby: siedzę wyprostowana w klatce w bibliotece, wstęgi zarzuciwszy równo na obicie szeszlona. Cały czas wsłuchuję się jednak w toczące się nieopodal rozmowy.

Midas i Fulke od sześciu dni odbywają tu spotkania ze swoimi doradcami. Ślęczą nad mapami, obmyślają strategię ataku i już zaczynają dzielić skórę na niedźwiedziu. Oddziały Fulkego mają połączyć się z armią Midasa następnego dnia nad ranem. Zjednoczone siły przekroczą następnie granicę i uderzą na Czwarte Królestwo, grzebiąc tym samym traktat pokojowy wiążący sześć królestw Orei.

Usiądź grzecznie i skup się na tym swoim brzdąkaniu. Daj mężczyznom rozmawiać.

Midas nie podejrzewał zapewne, jak bardzo wezmę sobie do serca jego słowa. Chciał mnie tylko zdyscyplinować, ja natomiast od niemal tygodnia naprawdę grzecznie przygrywam mężczyznom, pozwalając im rozmawiać. Oni rozmawiają, ja się przysłuchuję. Obserwuję ich. Zapamiętuję i układam sobie w głowie strategię, którą chcą zastosować przeciw Czwartemu Królestwu. Zabawne – jak długi język ma się przy kobiecie, gdy widzi się w niej jedynie swoją własność.

Midas – w imię dyskrecji! – uznał, że narady wojenne najlepiej będzie odbywać w bibliotece na najwyższej kondygnacji zamku. Skutek tego jest taki, że słyszałam każde ich słowo. I dowiedziałam się naprawdę niemało.

Szybko stało się jasne, że Midas od tygodni – jeśli nie miesięcy – planował szturm na granicę. Sądząc po tym, jak przygotowany wydawał się do targów z Fulkem, zapewne od dawna

planował również posłużenie się mną jako kartą przetargową. Gdy więc kazał mi stawić się na królewskim śniadaniu, zarzucał po prostu przynętę. Byłam złotą monetą rzuconą pod stopy chciwego Fulkego. Ten rzecz jasna nie potrafił nie podnieść jej i nie schować do kieszeni.

Fulke wierzy, że nie tylko mnie posiadzie, ale także zyska szansę dobrania się do połowy ziem i bogactw Czwartego Królestwa. Fakt, nie wiem zbyt wiele o działaniu królewskich umysłów. Nie wiem też, co podpowiadają Fulkemu doradcy. Wiem natomiast jedno: każdy mężczyzna – czy to król, czy chłop – pożąda tego, czego nie ma. I tak dwaj mężczyźni, których mam przed sobą, pożądamy Czwartego Królestwa.

– Jesteś pewien? – dopytuje Fulke, wpatrując się w przestrzenną mapę Orei wrytą w blacie stołu. Midas użył na niej złotodajnego dotyku, więc każda górską grań czy koryto rzeki mienią się złotym blaskiem. – Musi być niepodważalne, że to Czwarte Królestwo naruszyło traktat. Ostatnie, czego nam trzeba, to żeby pozostałe królestwa wypowiedziały nam wojnę.

– Nie wypowiedzą – odpowiada Midas zwięźle i bez wahania. – Chcą pozbyć się Gnilca tak samo jak my. Różni nas tylko to, że tamci sami nie odważą się działać. Boją się go.

– Być może słusznie – rzuca Fulke. – Widziałem, na co go stać. Ty zresztą też – dodaje ponuro. – Nie przypadkiem nazywają go „Gnilcem”. Żołnierze stacjonujący na granicy opowiadali mi o fetorze, jaki się nad nią unosi. Zatykają nosy skórzanymi czopkami nasączonymi olejkami, a i tak od smrodu pieką ich oczy.

Przebiega mnie dreszcz, aż moje wstęgi falują nerwowo. Zła sława króla Ravingera sięga daleko. Krążą niezliczone pogłoski o jego okrucieństwie i nieludzkich sposobach narzucania dyscypliny poddanym. Mówią, że w walce nie dba ani trochę o honor. Ponoć swoją mocą sprawia, że ciała przeciwników ropieją i gniją, a potem porzuca je na pobojuwisku na pastwę much i larw.

– Zasiał w ludziach strach, żeby mieli go za nietykalnego – oponuje Midas, a ja starannie przysłuchuję się każdemu jego słowu. – Ale nie jest nietykalny. Dowiedzimy tego przed całym światem, odbijając ziemie, które próbował sobie przywłaszczyć!

Siedzący naprzeciw Midasa Fulke zerka na swojego rozmówcę, przesuwając łapą jak bochen po obszarze lśniących gór na mapie.

– Co z kopalniami wokół Blackroot?

Wiedziałam!

Po królewskim śniadaniu byłam nie tylko boleśnie zszokowana, ale też zdezorientowana. Kompletnie nie rozumiałam, po co Midas porywa się na Czwarte Królestwo. Po co ktokolwiek miałby porywać się na takie ryzyko! Wiedziałam jednak, że nie może chodzić tylko o podjazdy i naruszanie granic. To byłby zbyt błahy powód. Musiał istnieć inny.

Przeprowadziłam więc małe śledztwo i na ile mogłam – wspinając się po kratkach – poszperałam na półkach biblioteki. Udało mi się osiągnąć kilku tomów z zakresu historii i geografii. Nie było tego wiele, ale poszczęściło mi się – jedna z ksiąg opisywała zasoby naturalne Orei. To tam znalazłam informację o złożach i kopalniach położonych w samym środku Czwartego Królestwa.

– Jak to co? – Midas uśmiecha się szelmowsko. – Będą nasze.

Choć dzieli nas od siebie cała szerokość pomieszczenia, dostrzegam błysk w jego oku. Widzę, jak podekscytowany, prostuje ramiona. Co takiego jest w kopalniach – tego nie wiem, ale nie ma wątpliwości, że tym dwóm piekielnie na tym czymś zależy.

Uspokojony Fulke kiwa głową. Jego doradcy również potakują z aprobatą. Już ostrzą sobie zęby na nowe wpływy do królewskiego skarbcza. Życiem poddanych posłanych na śmierć zbytnio się nie przejmują. Łatwiej na zamku przestawiać figurki na mapie taktycznej niż samemu dobyć miecza na polu bitwy.

– Chcę północne złoza – zastrzega Fulke. Ma na sobie purpurowe pończochy i tunikę w identycznym odcieniu. Za jedyną ozdobę służy mu dziś skórzany pas wokół otłuszczonej talii.

Midas marszczy brwi, w czym wtóruje mu doradca. A jednak – ku mojemu zaskoczeniu – nie odmawia.

– Zgoda – odpowiada po chwili ze skinieniem głowy. – Północne złoza będą twoje.

Fulke rozpromienia się i klaszcze w dłonie.

– Zatem ustalone! Teraz niech tylko nasze siły się połączą i weźmiemy, co nasze!

– Otóż to! – odpowiada Midas z uśmiechem.

– Jaki mamy kolejny punkt obrad? – pyta Fulke, zwracając się do doradcy.

Tyczkowaty mężczyzna ubrany bardzo podobnie do swego pana sięga po zwój, w którym opisano porządek dnia. Sprawdza, jakie tematy pozostały do omówienia. Mnie bardziej jednak zaprzęta to, co zostało już powiedziane. Głowię się, co też kryje się w kopalniach, że ci dwaj gotowi są zdeptać traktat pokojowy i ryzykować przegraną wojną. I to właśnie teraz. Są albo bardzo pewni siebie, albo zdesperowani. Albo jest coś jeszcze, czego nie dostrzegam.

Kątem oka widzę jakiś ruch. Spirala myśli w mojej głowie na moment ustaje, a mój wzrok kieruje się ku Rissie tańczącej na blacie stołu pod oknem. Król Fulke nie byłby sobą, gdyby na obrady nie zabrał ze sobą mięsa. Rissa i Polly to najwyraźniej jego faworytki, bo niemal cały czas widzę go albo z którąś z nich, albo z obiema. Czasem po prostu masują mu plecy lub podają jedzenie, ale zawsze są na każde jego zawołanie.

Blond włosy obu dziewczyn są dziś upięte przy pomocy złotych krążków. Obie mają też na sobie dopasowane odcieniem sukienki – rozcięte od stopy aż po biodro i wydekoltowane niemal do pępka.

Polly pilnuje, by żadnemu z uczestników narady nie zabrakło w kielichu wina. Ilekroć któremuś dolewa, jest mniej lub bardziej niewybrednie obmacywana. Rissa natomiast, gdy tylko się pojawiła, usłyszała, że ma tańczyć. Kołysze się więc zmysłowo w rytm bezgłośnej muzyki. Jej ciało porusza się z uwodzicielską gracją. Fulke nakazał jej tańczyć trzy godziny temu i wciąż nie pozwala skończyć. A przecież ledwie na nią zerka. Cały jej wysiłek idzie na marne.

Patrząc na nią, zauważam coś, na co nikt inny nie zwraca uwagi. Choć Rissa zdaje się poruszać bez najmniejszego wysiłku, widzę, że tak naprawdę jest zmęczona. Co jakiś czas jej twarz przebiega grymas – ból mięśni, tak długo zmuszanych do ciągłego ruchu, musi dawać jej się we znaki. Widzę też cienie pod jej niebieskimi oczami. To sygnał, że nie dosypia. Fulke zapewne nie daje jej w nocy spokoju, a i za dnia przez jego kolejne pomysły Rissa nie ma kiedy odpocząć.

Słyszę, jak mężczyźni zaczynają głośno dyskutować o tym, któredy wycofają swoje wojska do domu po udanej ofensywie. Ich własne głosy całkowicie ich absorbują – w ogóle nie zwracają uwagi na otoczenie.

Cicho zamykam książkę, kładę ją sobie na kolanach i przyglądam się okładce. Jej złoty grzbiet ma tak wysoki połysk, że można używać go jako lusterka. Delikatnie przesuwam po nim palcem, by poczuć pod opuszką jego perfekcyjną gładkość. Przez ułamek sekundy przyglądam się swojemu odbiciu, po czym znów kieruję spojrzenie na Rissę.

Podnoszę się, nie odkładając książki. Przeciagam się lekko, następnie, starając się wyglądać możliwie nonszalancko, niespiesznym krokiem ruszam w stronę dziewczyny, która tańczy przy przeciwległym krańcu mojej klatki.

Będąc już blisko okna, opieram się o kraty i przez chwilę udaję, że przeglądam książkę. Dopiero potem pomału zwracam się w stronę Rissy.

– Wiesz? Mogłabyś się przewrócić i udawać, że zemdlałaś ze zmęczenia. Wstawię się za tobą – mówię cicho, niemal szeptem.

Rissa na ułamek sekundy przestaje kołysać biodrami, po czym posyła mi lodowate spojrzenie.

– Nie gadaj do mnie, złocona cipo – rzuca. – Nie widzisz, że pracuję?

– Skąd u wszystkich ta obsesja na punkcie mojej cipy? – odpowiadam mrukliwie.

Rissa przewraca oczami.

– No właśnie nie mam pojęcia skąd... – rzuca cicho.

Patrzę na nią chłodno, ale gdy wymyka jej się westchnienie ze zmęczenia, znów robi mi się jej żal.

– Słuchaj... widzę, że jesteś zmęczona. Mogę jakoś odwrócić ich uwagę – proponuję nieprzekonująco. Potem rozglądam się po klatce. Za wiele tu nie ma: ot, kilka półek z książkami wewnątrz, kilka kolejnych, do których mogę dosięgnąć przez kraty, szezlong, poduszki i kilka jedwabnych narzut i koców.

– Nie chcę od ciebie żadnej pomocy – cedzi Rissa przez zęby, z rozmysłem odwracając ode mnie wzrok. Zaraz jednak potyka się i o mało nie traci równowagi. Zaciskam mocno usta. Widzę, że uparła się mnie nie znosić, ale mam już tego serdecznie dość. Ona jest wykończona tańcem, a mnie wykańcza bycie wiecznie postrzeganą jako znienawidzona rywalka. Chcę jej pomóc i pomogę – za jej zgodą albo bez niej!

Gdy mój wzrok pada na złoconą książkę, którą wciąż mam w dłoniach, podejmuję spontaniczną decyzję. Bez namysłu ani sekundy planowania wystawiam rękę za kratę i ciskam książką w Rissę.

Bam!

Trafiam ją prosto w twarz.

O cholera...

Rissa chwieje się i z krzykiem upada. Zwykle słucham innych krzyków w jej wykonaniu, ale mniejsza z tym. Ma tyle gracji, że nawet wywaliła się ładnie. Łąduje na tyłku, a prześwitująca kiecka owija się wokół jej długich nóg. Rissa przyciska dłoń do ust i podbródka.

Gapię się na nią szeroko otwartymi oczami, żałując, że zadziałałam tak kompletnie bez zastanowienia. Skoro już musiałam rzucić, to mogłam chociaż inaczej wycelować. Widzę, że Rissa aż gotuje się teraz w środku.

W głupawym geście unoszę kciuk do góry i drętwo się uśmiecham.

– Dobra, odwróciłam ich uwagę! – szepczę, jakbym precyzyjnie zrealizowała swój zamiar. W sumie mniej więcej o to chodziło... ale nie chciałam, żeby biedna Rissa oberwała przy tym w twarz. Wyobrażałam sobie, że książka trafi ją w pierś i to będzie pretekst, żeby dać jej cyckom odpocząć. Midas je lubi, byłam pewna, że sam jej to zaproponuje.

Gdy Rissa odgarnia włosy z twarzy, widzę pierwsze krople krwi ściekające po jej podbródku i barwiące jej dłoń. Ma rozcięte usta. Cudownie... Mało, że trafiłam ją w twarz, to nie pomyślałam nawet, jak ciężka musi być złocona książka.

– Auren, co ty, do cholery, wyprawiasz?

Słyszając głos Midasa, natychmiast zwracam się w jego stronę. Siedzi nadal przy stole, lecz widzę, że jest wściekły. Wszyscy inni mężczyźni też patrzą na mnie. Pod ich świdrującymi, pełnymi reprimendy spojrzeniami mimowolnie zaczynam się nerwowo wiercić.

Mrugając oczami, patrzę na króla i próbuję odgrywać niewiniątko.

– Szarpnęłam ręką i książka mi się wyslizgnęła... mój królu.

Midas zaciska szczęki.

– Wyślizgnęła? – powtarza, cedząc sylaby. Przeszywa mnie wzrokiem tak, że czuję się, jakby ktoś wbijał we mnie zardzewiałe gwoździe. Obok słyszę cichy płacz Rissy i walczę ze sobą, by się nie wzdrygnąć. Naprawdę nie chciałam aż tak jej przywalić... Nie mogłam okazać

się tak silna, kiedy kilka dni temu próbowałam rozgiąć kraty? Szlag by trafił te moje mięśnie.

Polly próbuje zamordować mnie wzrokiem, za to Fulke... zaczyna rechotać.

– No popatrz, Midasie. Mięso nam się żre... – rzuca, rozbawiony.

– Na to wygląda – odpowiada Midas beznamiętnie.

Robię smutną minkę, bo król wciąż na mnie patrzy. Po chwili jednak odwraca wzrok.

– Zabrać tę dziewczynę z powrotem do haremu – warczy Midas w stronę jednego ze strażników. Potem na dobre odwraca się do mnie plecami.

Dwóch strażników jednocześnie wrywa się naprzód. Gdy trzeba iść do skrzydła, w którym mieści się harem, nagle robią się dziwnie gorliwi.

– No i widzisz? – szepczę w stronę Rissy. – Udało się.

Próbuję tchnąć w nią trochę optymizmu.

– Nie będziesz już musiała tańczyć – dodaję zaraz. Rissa jednak wciąż patrzy na mnie wściekle. Z jej wargi dalej obficie sączy się krew. Gdybym miała się założyć, postawiłabym na to, że nie jest jeszcze gotowa, by dostrzegać jasną stronę sytuacji...

– Auren? – Głos Midasa jest podejrzenie spokojny.

Zwracam się natychmiast w jego stronę, a tymczasem Rissa zostaje wyprowadzona z pomieszczenia.

– Tak, mój królu? – mówię do jego pleców. Midas pochyla się nad mapą i nawet na mnie nie patrzy.

– Skoro pozbawiłaś króla Fulkego tancerki, przejmiesz jej obowiązki.

Najwyższy, niech cię szlag.

Gdy stoję tak, gapiąc się na króla, przechodzi mi przez myśl, by rzucić teraz książką w siebie samą. Może i siebie w ten sposób wyeliminuję...

Jedno spojrzenie Fulkego sprawia, że Midas staje się jeszcze bardziej spięty. Nie mam już złudzeń: ci dwaj kazaliby mi tańczyć, nawet gdybym broczyła krwią.

Za dobry uczynek zawsze musi być kara...

Przez moją twarz przebiega grymas frustracji, ale pokornie przechodzę na środek klatki. Zaczynam kołysać biodrami z rękoma uniesionymi nad głową. Fulke oblizuje się z oblesnym uśmiechem, a mnie na jego widok kipi kwas w żołądku. Teraz to kwestia dni, kiedy Midas mu mnie odda. Ilekroć spojrzę na Fulkego, czuję się, jakbym patrzyła na piasek nieubłaganie przesypany się w klepsydrze.

Nie ruszam się tak dobrze jak Rissa, ale robię, co mogę. Odtwarzam w głowie spowolnioną wersję *Rannego ptaszka* i staram się podążać ruchami za melodią.

Wiele bym dała, by móc teraz zranić Fulkego w ptaszka...

Ten śledzi każdy mój ruch, ja tymczasem, jak umiem, staram się go ignorować i wpatruję się w punkt na ścianie powyżej jego głowy. Moje wysiłki jednak na niewiele się zdają, bo zaraz słyszę charakterystyczny szelest królewskich pończoch. Fulke idzie w moją stronę i zatrzymuje się tuż przed klatką. Nadal dzieli nas od siebie jakieś dwa metry, ale jak na mój gust to i tak o wiele za blisko.

– Jutro będziesz moja, zabaweczko. – Fulke szczerzy się w uśmiechu, gładząc swoimi tłustymi paluchami złoty pręt klatki. Przesuwa po nim dłoń w aż nadto sugestywny sposób. Jego oczy lśnią głodem i podnieceniem, ale ja się trzymam. Moja głowa jest moją twierdzą. Wsluchuję się w wyobrażoną muzykę, tańczę i wytrwale udaję, że nie mam przed sobą Fulkego. Jemu najwyraźniej się to nie podoba, bo ustawia się tak, by znaleźć się na mojej linii wzroku.

– Spuszczę się na ciebie tyle razy, że spod spermy nie będzie widać złota – mówi, po czym wybucha mrocznym, chrypiącym śmiechem palacza.

Poziom jego grubiaństwa sprawia, że na moment mnie zatyka. W efekcie niezbyt

zgrabnie przystaję w tańcu i wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami. Po ustach Fulkego pełza uśmiezek satysfakcji. Widzi, że wygrał.

– Tak właśnie się z tobą zabawię.

Wstęgi zwijają się przy moim kręgosłupie niczym węże szykujące się do ataku. Przenoszę spojrzenie na drugiego z królów, by zorientować się, że i Midas teraz już na mnie patrzy. Znów ściska mnie w żołądku. Czyżby Fulke tym razem przesadził? Czyżby mój król wreszcie się opamiętał i odstąpi od tej ohydnej, poniżającej mnie transakcji? Midas jednak milczy. Po prostu tam stoi, pozwalając, by Fulke tak się do mnie odnosił. Jakby ani trochę mu to nie przeszkadzało.

Przełykam ciężko ślinę. Odwracam piekące oczy od Midasa i jego zdrady, by znów spojrzeć na stojącego przede mną obleśnego satyra. Fulke oblizuje swoje żółte zęby.

– Mmm, tak... Będziesz się kąpać w mojej spermie. A potem przez tydzień nie będziesz mogła chodzić – obiecuje, a ja ze wszystkich sił staram się to zamilczeć i nie uciec do innego pomieszczenia. Swoją drogą, nic by to nie dało. Midas i tak nakazałby siłą sprowadzić mnie z powrotem.

– Auren... – Głos Midasa sprawia, że znów tli się we mnie iskierka nadziei.

Przerwij ten koszmar. Obroń mnie. Wycofaj się z tych obrzydliwych targów i...

– ...nie tańczysz.

To nie stwierdzenie, a rozkaz. Wydany tonem ostrym jak uderzenie linijką po dłoni. Na jego dźwięk aż się wzdrygam, za to Fulke znów szczerzy się w aroganckim uśmiechu. Potem odwraca się i rusza w stronę mapy. Widać nasycił się już prowokowaniem mnie.

Bliska płaczu unoszę ręce nad głowę. Wstyd sprawia, że jest mi gorąco na całym ciele. Czuję, jak pocę się w tańcu.

Usiądź grzecznie.

Skup się na tym swoim brzdąkaniu.

Daj mężczyznom rozmawiać.

Sztab wznawia obrady. Poruszam się przy dźwiękach męskich rozmów – głosy królów stają się akompaniamentem dla rytmu wybijanego przez moje serce.

Z każdym ruchem bioder i uniesionych rąk niemal czuję sterujące mną sznurki. Jestem jak marionetka w teatrze lalek. Tymczasem jedyne, na co mam teraz ochotę, to uciec do sypialni i zakopać się pod pościelą, z dala od uśmiezków i nieszczerych spojrzeń. Nie mogę jednak tego zrobić.

Czy to wszystko ma jakąś jasną stronę? Cóż, mimo wszystko mogło być gorzej...

W tym momencie drzwi biblioteki otwierają się na oścież. Do sali wchodzi piękna jasnowłosa kobieta o wysoko zarysowanych kościach policzkowych. Jej głowę zdobi złota korona.

Królowa Malinea.

A więc poprawka. Jest gorzej.

Inne dziewczyny do zabawy? Owszem, nie lubią mnie. Za to królowa... mnie, kurwa, nienawidzi.



ROZDZIAŁ 6

Malineo, nie spodziewałem się ciebie... – Midas wita małżonkę drętym uśmiechem.

Polly, która trzyma w dłoniach dzban wina, natychmiast odsuwa się od stołu ze wzrokiem wbitym w podłogę. Czuję niemal ulgę, widząc, że inne dziewczyny reagują na królową z podobnym przestachem jak ja.

Królowa rozgląda się po pomieszczeniu. Na jej twarz zakrada się wyraz zniesmaczenia.

– To widać... – stwierdza bezceremonialnie.

Ma nienagannie proste plecy i wytwornie zadarty podbródek, jej postawa to uosobienie królewskość. Na jej widok doradcy natychmiast gną się w ukłonach. W swojej szmaragdowej sukni i przyozdobiona szafirową biżuterią królowa Malinea jest niczym przepiękny paw. Emanuje władczością i wytwornym szykiem. Jest jak żywy posąg mający przykuwać uwagę i onieśmielać.

Królowa zerka na Polly i jej bardzo skąpą sukienkę, po czym kieruje spojrzenie z powrotem na swojego męża.

– Naprawdę, Tyndallu? To tak pracujesz nad strategią? Co za nieokrzesanie – mówi tonem nieznoszącej sprzeciwu reprimendy.

Pięgowate policzki Polly robią się czerwone ze wstydu. Spuszcza głowę jeszcze niżej, pozwalając, by opadające ze skroni włosy zakryły jej twarz.

Midas dopilnowuje zawsze, by mięso i jego żona nie miały ze sobą kontaktu. Dziś, jak widać, królowa zdeptała granicę, którą tak pieczołowicie wyznaczył.

Doradcy wodzą wzrokiem między królem a królową. Żaden nie śmie się odezwać. Zamilkł nawet Fulke.

Midas unosi kąciki ust, siląc się na swobodę, ale ja dostrzegam w jego oczach błysk irytacji. Między tymi dwojgiem nie ma miłości. Są małżeństwem od prawie dziesięciu lat. On nienawidzi jej za to, że nie urodziła mu dziedzica, ona jego za to, że nosi koronę, która z urodzenia należała się jej. Sęk w tym, że Malinea urodziła się bez magicznych mocy. Zgodnie z prawem Orei nie mogła zatem władać sama, musiała poślubić kogoś, kto będzie taką moc

posiadał. W przeciwnym razie musiałyby zupełnie się usunąć, zrzekając się tronu na rzecz kogoś innego.

Dzięki temu, że związała się z Midasem, pozostała chociaż królową. Choć, rzecz jasna, to on sprawuje rzeczywistą władzę.

Związek tych dwojga dzieli królestwo. Niektórzy pozostają lojalni wobec królowej – w końcu to jej ród od pokoleń panował na zamku Highbell. Ojciec Malinei zmarł na krótko po tym, jak wyszła za Midasa, a ten ostatni w oczach wielu wciąż uchodzi za obcego.

Dworzanie i poddani współczują królowej. Pamiętają śliczną królową, której przyszłość nagle przestała malować się w jasnych barwach. Wszystkim było jej żal, gdy nieoczekiwanie nie objawiła się w niej moc. Współczuto jej również, gdy okazało się, że nie może mieć dzieci.

W Highbell, zwłaszcza wśród arystokratów, nie brak jednak i takich, którzy są lojalni wobec Midasa. Gdyby im pozwolił, całowałiby go po stopach, bo zawdzięczają mu bogactwo. Przed pojawieniem się Midasa Highbell stało na krawędzi bankructwa. Gdy pojawił się na scenie ze swoją propozycją matrymonialną, zapowiadając ocalenie podupadłego Szóstego Królestwa, rozkochał w sobie możnych. Ojciec Malinei przystał na ofertę Midasa, a ten wkrótce obsypał zubożałe państwo złotem.

Zastanawiam się, czy mimo wszystko Malinea nie żałuje, że tak się stało.

Obserwuję teraz milczącą konfrontację królewskiej pary. Pomiędzy tymi dwojgiem czuć potężne napięcie, ale tak jest od zawsze. Nie przypominam sobie, by potrafili kiedykolwiek dać sobie coś więcej niż tolerowanie się nawzajem.

Trwam w milczeniu i bezruchu. Tylko wstęgi bezgłośnie falują na moich plecach.

Tych dwoje, gdy staną obok siebie, zawsze wyglądają na piękną parę. Nie cierpię tego widoku. Od Midasa bije jego naturalna charyzma, a Malinea jest nieskazitelnie wytworna. Doskonała. Jej karnacja jest tak jasna, że przez skórę widać niebieskawe żyłki na rękach, szyi i skroniach. Malinea ma jednak w sobie coś, co nadaje jej bladości elegancję. Nawet z białymi włosami jest jej do twarzy. Ponoć z takimi się urodziła. Białe włosy to cecha charakterystyczna członków rodu Colier.

Wodzę wzrokiem pomiędzy królem a królową, czując, jak żołądek zawiązuje mi się na supeł. Dzieje się tak zawsze, gdy znajdę się w pobliżu Malinei. Odkąd Midas sprowadził mnie do Highbell, jego żona ani trochę nie kryje się z nienawiścią wobec mnie. Przyznam, że z początku nawet nie miałam jej tego za złe.

W końcu Midas nieznacznie pochyla głowę, jakby dawał znać, że gotów jest tym razem uznać zwycięstwo królowej.

– Słyszałaś królową – rzuca w stronę Polly z niedbałym machnięciem dłoni. – Twoja obecność jest nie na miejscu. Jesteś wolna.

Polly nie trzeba dwa razy powtarzać. Natychmiast odwraca się i opuszcza bibliotekę – tak szybko, jak tylko poniosą ją boscie stopy. Zapomina nawet odstawić dzban z winem.

Gdy Malinei udało się już pozbyć Polly, kieruje spojrzenie na mnie. Jest tak lodowate, że może śmiało konkurować z tutejszymi zimami. Więcej! Nawet z najdłuższą odnotowaną tu śnieżycą, która trwała dwadzieścia siedem dni.

– Nie powinieneś wyciągać swojej połyskliwej zabaweczki podczas narad wojennych, mężu. – Ton Malinei jest zjadliwy.

Zaciskam usta i pilnuję się, by siedzieć cicho. Malinea zwraca się teraz ku Midasowi, nie bacząc zupełnie na pozostałych mężczyzn w pomieszczeniu.

– Możemy porozmawiać?

Oczy Midasa zdradzają, że jest zdenerwowany. Wie jednak, że królowa nie wyjdzie, nim nie zgodzi się z nią pomówić.

– Wybaczcie – rzuca do pozostałych, by następnie w towarzystwie królowej opuścić bibliotekę.

Gdy wychodzi, Fulke klepie go jeszcze po ramieniu.

– Ech, kobiety... – śmieje się protekcyjnie.

Słyszając to, królowa zaciska pięści na tkaninie sukni, lecz się nie odzywa i za mężem wychodzi na korytarz.

To moja szansa! Mowy nie ma, żebym pod ich nieobecność tkwiła tu i wystawiała się na strzały Fulkego. Stąpając bezgłośnie, odwracam się i wymykam okratowanym ciemnym korytarzem.

– Gdzie ona się podziała? – Rozdrażniony głos Fulkego sprawia, że przyspieszam jeszcze kroku. Oczywiście przez pośpiech robię idiotyczny błąd. Wymknęłam się najbliższym przejściem, a to oznacza, że zamiast w stronę swojej prywatnej kwatery idę w stronę atrium. No nic, tam również mogę przeczekać, aż Midas wróci albo Fulke pójdzie sobie w diabły.

Gdy docieram na miejsce, oddycham z ulgą. Witają mnie znajome kraty i obszerna, pusta przestrzeń tonąca w półmroku. Zerkam w górę, by przekonać się, że cały przeszklony sufit przykrywa gruba czapa śniegu. Dokładnie tak, jak się spodziewałam.

Przysypane śniegiem atrium natychmiast staje się bardziej klaustrofobiczne. Do wnętrza sączy się jedynie nikłe szare światło, a to nie sprzyja raczej ukojeniu nerwów. Miałam nadzieję, że uda mi się zobaczyć choć małe skrawki nieba, ale nic z tego.

Jasna strona? Przynajmniej zdemontowano już łożo, na którym Midas zabawiał się poprzedniej nocy. Chociaż jego widok nie będzie dodatkowo psuć mi nastroju.

Przesuwam palcami po złoconym bluszczu na przeszklonej ścianie. Stąpam pantoflami po złotej, lśniącej podłodze. Otaczają mnie zastygłe w złocie rośliny i złote posągi. Niesamowite bogactwo zgromadzone w jednym pomieszczeniu. Złoto jest wszechobecne w całym pałacu, ale coś sprawia, że właśnie tu jego nagromadzenie zdaje się obsceniczne. Może to za sprawą zasypanych okien i zderzenia z niegościnnym krajobrazem na zewnątrz? A może dlatego, że w atrium nie oszczędzono nawet roślin? Midas, rozglądając się po tej przestrzeni, widzi bogactwo, ja – cementarzysko.

Przechodzę na drugi kraniec klatki. Leży tam stos koców i poduszek. Atrium jest bardzo obszerne, a do tego stropu jest tu wyjątkowo wysoko – w efekcie jest tu lodowato. Nawet dwa potężne paleniska po obu stronach pomieszczenia nie wystarczają, by je ogrzać.

Kilkoma ruchami stopy przesuwam poduszki w odpowiadające mi miejsce, po czym siadam, okrywając nogi jednym z koców. W sumie mogłabym równie dobrze...

W tym momencie drzwi gwałtownie otwierają się na oścież, a ja podskakuję zaskoczona.

– I to było takie ważne, że musiałaś przerwać mi spotkanie, Malineo?

Zamieram, gdy dociera do mnie, że król i królowa na miejsce swojej rozmowy na osobności wybrali właśnie atrium.

– Też mi „spotkanie” – cedzi kąśliwie królowa. – Tyndallu, jak mogłeś nakazać szturm na Czwarte Królestwo, nawet mnie o tym nie informując?!

Niech to Najwyższy!

Jeśli mnie tu nakryją... Aż drzę na myśl o tym, co mogliby mi zrobić. Muszę natychmiast się stąd zabierać.



ROZDZIAŁ 7

Król i królowa idą dalej w głąb atrium. Ich kroki niosą się echem jak ciche trzaśnięcia bata.

Za nic nie uda mi się wymknąć korytarzem, nie będąc przy tym zauważoną. Są coraz bliżej i tylko kilku złotym roślinom w donicach zawdzięczam to, że jeszcze mnie nie zobaczyli. Dobrze chociaż, że moje ciało wtapia się w otoczenie. Mam więc swoją jasną stronę.

Garbię się, po czym kładę na brzuchu i przykrywam kocem. Staram się ani drgnąć. Robię, co mogę, by nie przypominać człowieka, tylko jakąś walającą się w kącie rzecz.

– Nie mam obowiązku ci się tłumaczyć, Malineo. Jestem królem i rządzę, jak uznaję za stosowne.

– Zataiłeś to przede mną celowo. Mówiłeś, że wyprowadzasz armię na manewry ofensywne!

– Takie właśnie zastosuję – odpowiada Midas zblazowanym tonem.

Królowa reaguje krótkim szyderczym śmiechem.

– Kiedy idziesz na wojnę, powinienes pytać mnie o zdanie. To moje królestwo, Tyndallu!

– Ton Malinei staje się gwałtowny. – Colierowie władali nim od pokoleń!

Unoszę brwi zaskoczona tym, jak śmiało królowa poczyną sobie z Midasem.

– Za to ty jesteś pierwszą z rodu, która nie odziedziczyła mocy – odcina się król donośnym barytonem, niosącym się echem po atrium. – Mało tego! Twoja rodzina do cna ogłosiła królewski skarbiec. Gdy się zjawiłem, wy i to królestwo byliście bankrutami! Gdyby nie ja, byłabyś królową nędzarką z tonami długów do spłacenia! Więc nie pusz się z łaski swojej i nie opowiadaj, że Highbell jest „twoje”. Przestało być twoje w chwili, gdy wszedłem za bramę tego zamku.

Serce łomocze mi coraz mocniej. Przysłuchuję się... bardzo osobistej rozmowie. Nie powinno mnie tu być. Gdyby Malinea dowiedziała się, ile usłyszałam, zapewne kazałaby obciąć mi uszy.

Niby nie powinnam, ale... nie potrafię się powstrzymać, by nie podważyć koca palcem

i nie zerknąć w stronę królewskiej pary. Przez maleńką dziurkę widzę teraz konfrontację małżonków. Stoją naprzeciw siebie, oddaleni o jakieś trzy metry. W ich twarzach aż kipi złość, a w oczach – nienawiść. Jest tajemnicą poliszynela, że królowa nie ma realnej władzy. Nikt jednak dotąd nie rzucił jej tego tak obcesowo w twarz. A może... było tak już nieraz? Może po prostu zawsze dzieje się to za zamkniętymi drzwiami?

– To nie ma nic do rzeczy – syczy gniewnie królowa. – Łamiesz traktat pokojowy, który wszystkim sześć królestw honoruje od stuleci! I nie wspomniałeś mi o tym słowem!

– Wiem, co robię – odpowiada spokojnie Midas. – Dobrze byłoby, gdybyś nie zapomniała, czym ty powinnaś się zajmować, żono.

– Czym? – Królowa mruży gniewnie swoje lodowatobłękitne oczy. – Siedzeniem w komnacie z dwórkami? Szydełkowaniem? Spacerowaniem po ogrodzie lodowym? – Kręci głową, śmiejąc się bezgłośnie. – Nie jestem jak twoje nałożnice, Tyndallu.

– Nie, zdecydowanie nie jesteś jak one... – rzuca Midas, patrząc na nią z pogardą.

Na blade policzki królowej wkrada się rumieniec złości. Jej pięści znów zaciskają się na tkaninie sukni.

– A czyja to wina, że przestałeś odwiedzać moje łóżko?

Aż kurczę się w sobie. Czuję, że moje uszy niemal płoną. Czy wcześniej miałam poczucie, że słucham czegoś nazbyt intymnego? Teraz zrobiło się jeszcze gorzej!

– Jesteś jałowa – rzuca zjadliwie Midas, a ja dostrzegam, jak królowa się wzdryga. Cofa się, jakby król wymierzył jej policzek. – Nie zamierzam tracić czasu. Ani w łóżku, ani dłużej rozmawiając teraz z tobą. Jeśli wylałaś już swoje kobiece żale, to pozwól, że wrócę do pracy.

Midas zaczyna się oddalać. Nie uszedł jednak jeszcze trzech kroków, a głos królowej sprawia, że staje w miejscu jak wryty.

– Znam prawdę, Tyndallu.

Patrzę to na jedno, to na drugie, zastanawiając się, o jaką prawdę może chodzić. Mijają kolejne sekundy. Sztywnie ramiona Midasa zdradzają ogromne napięcie. Minie dłuższa chwila, nim odwróci się i spojrzy królowej w oczy. Jego spojrzenie musi być absolutnie jadowite, bo Malinea aż cofa się o krok. Chyba przeceniła swoje siły. Wciąż nie wiem, jaką kartę rozgrywa.

– Na twoim miejscu bardzo bym się pilnował. – Ton Midasa jest spokojny, ale przeszywający.

Na moich oczach król grozi królowej, a w jego głosie jest tyle okrucieństwa, że czuję, jak włoski na szyi stają mi dęba. Malinea patrzy na króla, a ja boję się drgnąć, choćby mrugnąć powieką.

– Wracaj do siebie – kończy Midas chłodno.

Królowa ciężko przełyka ślinę. Widzę, jak drżą jej ręce, które skryła pod suknią. Nim jednak wyjdzie, z godnością uniesie podbródek. Po chwili oddała się, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Nie jest kwiatuszkiem, który zdmuchnie byle podmuch – to muszę jej oddać. Ja tymczasem trwam dalej w bezruchu. Serce wali mi jak młotem. Wyczekuję kolejne sekundy, aż pęczniąc od wstrzymanego oddechu.

Midas oddycha głęboko, po czym poprawia na sobie tunikę. Przygląda również dłońmi włosy, dopilnowując, by ani jeden niesforny kosmyk nie ułożył się krzywo. Jeszcze chwila i rusza w stronę wyjścia, znikając mi z oczu. Ja jednak nie wypuszczam nawet powietrza z płuc, póki do moich uszu nie dobiegają odgłosy zamykanych drzwi i oddalających się kroków. Dopiero wtedy zrzucam z siebie koc i siadam. Muszę teraz niezauważona przemknąć obok biblioteki do swojej sypialni – i to zanim do biblioteki wróci Midas. Jeśli mnie wezwie, a ja nie będę u siebie, natychmiast zorientuje się, że byłam w atrium i słyszałam jego rozmowę z królową. A to... raczej nie skończy się dla mnie dobrze.

Podnoszę się i wymykam z atrium. Przemykam szybko prywatnym korytarzem, by przystanąć dopiero przed samym łukiem na tyłach biblioteki. Dobiegają z niej niewyraźne głosy doradców i głośnie mlaskanie Fulkego. Żucie, wdech przez usta, znów żucie i tak w kółko. Ohyda.

Wyglądam ostrożnie zza węgła, by stwierdzić z ulgą, że wszyscy zwróceni są w stronę stołu i nikt nie patrzy w moim kierunku. Midas nie wrócił jeszcze do biblioteki.

Słońce chyli się ku zachodowi, zabierając ze sobą szare światło dnia. Męska narada na pewno nie skończy się jeszcze długo. Doradcy prawdopodobnie znów będą pracować całą noc – jak przez kilka poprzednich dni – a ja nie zamierzam tu z nimi utknąć.

Jeśli mam mieć szansę ukryć się na resztę nocy w swojej kwaterze, muszę dotrzeć tam, zanim z powrotem pojawi się Midas. Gdy zniknę, zapomną o mnie. Co z oczu, to z serca. Taką mam przynajmniej nadzieję. Król po rozmowie z królową prawie na pewno będzie w podłym nastroju, a ja nie zamierzam sama wystawiać się na cel.

By dostać się do swoich prywatnych pokoi, muszę przemknąć jakoś przez bibliotekę. Midas polecił przebudować najwyższe piętro zamku tak, bym mogła się po nim swobodnie poruszać. Klatki wbudowane w poszczególne sale nie są odseparowanymi pomieszczeniami – każda z nich przechodzi w jeden z przygotowanych specjalnie dla mnie korytarzy, którymi mogę dotrzeć aż na drugi kraniec pałacu. Sęk w tym, że z jednego końca na drugi da się przejść tylko w jeden sposób: pokonując kolejno wszystkie znajdujące się po drodze pomieszczenia.

Raz jeszcze upewniam się, że nikt nie patrzy, po czym ruszam na palcach przez okratowaną dla mnie część biblioteki. Kierując się ku wylotowi korytarza na drugim końcu, poruszam się żwawo, ale zarazem bardzo ostrożnie. Z jednej strony nie mogę iść zbyt szybko, bo jeszcze ktoś kątem oka wychwyci mój ruch, z drugiej – muszę zdążyć, nim pojawi się Midas.

Od celu dzielą mnie już tylko trzy kroki. Wtedy jednak za plecami słyszę głos.

– O! Jesteś z powrotem.

Zamieram. Zaraz jednak orientuję się, że zebrani patrzą nie na mnie, a na Midasa, który pojawił się właśnie w drzwiach biblioteki.

Chwytam w ręce brzeg sukni i jednym susem docieram do korytarza. Ruszam biegiem przed siebie, nim Midas zdąży mnie zauważyć. Zatrzymuję się dopiero, minawszy swoją łazienkę i garderobę. Wpadam do komnaty i opieram się ciężko o ścianę. Oddycham głęboko i przywieram głową do chłodnego muru. Odpoczywam tak chwilę, ciesząc się z udanej ucieczki. Miałam szczęście, że mnie nie złapali.

Stoję chwilę oparta o ścianę i układam sobie w głowie wszystko to, czego się dowiedziałam – nie tylko z podsłuchanej rozmowy w atrium, ale i podczas narady wojennej w bibliotece. Wygląda na to, że królowa także ma obawy w związku z zuchwałym projektem wojennym Midasa. Jednak nie dziwię się, że jej o nim nie powiedział. Król tak już działa – kieruje się wyłącznie własnym interesem i z nikim nie uzgadnia swoich planów. To jedna z rzeczy, które zawsze w nim podziwiałam – ta niezachwiana pewność siebie. Nie pochodzi z królewskiego rodu jak Malinea. Nie wychowywano go na monarchę. Tymczasem on, choć bywa szorstki i okrutny, potrafi rządzić. Highbell potrzebowało złota i silnego przywódcy. W osobie Midasa dostało jedno i drugie.

Mrugam, zorientowawszy się, że dzień na dobre minął i zapadła noc. Po plecach przebiega mi dreszcz. Pocieram rękoma o siebie, by ukoić ich drżenie. Jasna strona: gdyby Midas miał po mnie posłać, już zdążyłby to zrobić.

Resztki światła w mojej komnacie ustąpiły miejsca ciemności. Wszystko okrywa już całun mroku. Odsuwam się od ściany i stawiając stopy na pamięć, kieruję się na drugi koniec komnaty. Po chwili udaje mi się dotrzeć do stolika stojącego przy samych kratkach. Jestem pewna,

że zostawiłam na nim świecznik. Próbuję namacać jego metalową stopę, ale zamiast tego moja dłoń napotyka coś miękkiego i ciepłego. Coś, co się porusza...

Wzdrygając się, cofam rękę, ale zbyt późno. Ktoś chwytą mnie za nadgarstek i szarpie w swoją stronę. Opadam tułowiem na stół, rozpaczliwie próbując podeprzeć się rękami. Ten, kto trzymał mój nadgarstek, puszcza go, by błyskawicznie chwycić w garść moje włosy.

W panice instynktownie sięgam w górę, próbując rozerwać żelazny chwyt. Na próżno – ktokolwiek mnie trzyma, nie puszcza, chociaż szarpie z całych sił. Zaczynam drapać, próbuję rozciąć paznokciami skórę napastnika. Czuję na palcu krew i słyszę syk bólu. Agresor uderza moją głową o kraty tak mocno, że widzę gwiazdy przed oczami.

Uginają się przede mną kolana. Ledwie trzymam się na nogach, w głowie czuję pulsowanie. Obejmująca mnie w żelaznym uścisku dłoń nie puszcza. Skóra na mojej głowie wyje z bólu. Chcę krzyknąć, lecz gdy tylko otwieram usta, druga dłoń napastnika błyskawicznie je knebluje. Jednocześnie zatkany zostaje mój nos, co blokuje mi dostęp powietrza.

Oszołomiona po uderzeniu o kraty i niemal nic nie widząc, zaczynam panikować. Rzucam się i szarpie bezładnie, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Mój nos i szyja desperacko łakną powietrza. Na to wszystko nakłada się szok związany z tym, że dotyka mnie ktoś inny niż Midas. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz dotknął mnie ktokolwiek poza nim. Nikt inny nie śmiał, a król jest wobec mnie oszczędny w pieszczotach. Teraz więc spadło na mnie prawdziwe sensoryczne przeciążenie.

– Przytrzymaj ją – pada ciche, lecz stanowcze polecenie. Wypowiada je głos kompletnie wyprany z emocji, który po chwili z przerażeniem rozpoznaję.

Królowa!

Ktokolwiek mnie trzyma, ciągnie moją twarz ku sobie, niemal wciskając ją w kraty. Za to przynajmniej zdejmuję drugą rękę z moich ust. Nareszcie mogąc odetchnąć, biorę łapczywe, nierówne wdechy. Moja szyja jest wygięta pod nienaturalnym kątem, a biodra pozostają wciśnięte w stół – nie mam innego wyjścia jak leżeć nieruchomo na blacie.

Mrugam, gdy królowa wkracza w moje pole widzenia. Trzyma w ręku świecę. Padające na jej bladą cerę refleksy płomyka sprawiają, że jej twarz zdaje się lśnić.

– Myślałaś, że nie widziałam, jak podsłuchujesz z ukrycia? – pyta po chwili. Przysuwa przy tym świecę tak blisko mojej twarzy, że zaczynam się bać. Otwieram usta, chcąc odpowiedzieć, ale królowa nie daje mi nawet dojść do słowa.

– Milcz – ucina natychmiast.

Momentalnie zamykam usta. Jednocześnie czuję ból, nieznaną żelazną dłoń znów szarpie mnie za włosy. Do oczu napływają mi łzy.

Malinea przypatruje mi się beznamiętnie.

– Królewska faworyta... – cedzi to słowo, jakby najszczerzej go nienawidziła. I tak zapewne jest. – Od lat się głowię: po co marnował złotodajny dotyk na niewartą złamanego grosza sierotę? Żeby z kogoś takiego robić sobie trofeum... – Spojrzenie królowej jest pełne pogardy. – Cóż, Midas zawsze miał swoje obsesje.

Nie jestem „obsesją”, Midas mnie kocha. Po prostu królowa za nic nie chce tego przyznać.

Zupełnie jakby dostrzegła w mojej twarzy sprzeciw, nagle wybucha śmiechem.

– Wydaje ci się, że oddał ci serce? – pyta tonem podszytym zarazem kpina i współczuciem, patrząc mi prosto w oczy. Jest tak blisko mnie, że czuję na skórze powiew oddechu z jej bezbarwnych ust. – Moja droga, nie różnisz się niczym od ozdobnego psa w budzie. Trzyma cię dla przechwałek. Wydaje mu się, że czyni go to bardziej interesującym.

Wiem, że to kłamstwo, ale nie mam dostatecznie grubej skóry. Nie potrafię słuchać

nieporuszona, gdy ktoś rzuca mi w twarz tak obelżywe i zawistne słowa. Do łez fizycznego bólu dołączają łzy wywołane przez królową. Nie potrafię dłużej ich powstrzymać i pierwsza spływa po moim policzku.

Malinea wzdycha, kręcąc głową. Jej spojrzenie wędruje w stronę oprószonego śniegiem okna.

– Byłam młodziutką, głupią królewną, kompletnie bezsilną. I wtedy pojawił się Tyndall.
– Słucham królowej, przypatrując jej się w zupełnym bezruchu. Moje włosy pozostają w żelaznym uścisku, a ja nie chcę się narażać na kolejną dawkę bólu.

– Mój ojciec nazywał Midasa darem niebios – ciągnie królowa. – Przystojny wybawca, pięknymi słowami proszący mnie o rękę, a jednocześnie sypiący złotem? Nic dziwnego, że z radością się zgodziłam... Wtedy naprawdę wydawał się nieoczekiwanym wybawieniem. Nie wadziło mi nawet, że trzyma ciebie.

Kręci mi się w głowie, gdy zamiast na bólu staram się skupiać na słowach królowej. Jednocześnie wyrzucam sobie w myślach, że dałam się tak podejść. Jak mogłam być tak nieuważna, by nie spostrzec, że Malinea na mnie czyha!

– W końcu każdy mężczyzna ma jakieś wady, myślałam wtedy – kontynuuje królowa. Jej ton jasno daje mi do zrozumienia, co o mnie myśli. – Wadą Tyndalla była fanaberia robienia z ciebie trofeum rodowego. Zamknął pozłacaną sierotę w klatce, żeby zatrzymać ją dla siebie i móc się nią przechwalać. Wymyślił sobie jaskrawe cacko. Za to dla mnie byłaś zawsze bez znaczenia. I wtedy, i teraz. A wiesz dlaczego?

Zaciskam zęby, czując, jak gniew rozpala mi powieki; każde mrugnięcie jest teraz jak oparzenie. Moje wstęgi suną bezszelestnie naprzód, ku nogom trzymającej mnie osoby. Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że mogę nimi poruszać, ale nie mam wyjścia. Bezpieczeństwo jest ważniejsze od tajemnicy.

Malinea i ja miałyśmy już kilka spięć, ale zazwyczaj starałyśmy się wzajemnie unikać. Nigdy dotąd nie napadła też na mnie w taki sposób. Obawiam się, że jej dzisiejsza reakcja to początek nowych, brutalniejszych stosunków. Mogłam znieść jej poniżające komentarze i pogardliwe spojrzenia, ale to? Mam żyć w ciągłym strachu, że czyha na mnie gdzieś w ciemnościach? Na samą myśl o tym przebiega mnie dreszcz.

– Dlaczego? – pytam. To jasne, że królowa tylko na to czekała.

– Dlatego – oczy Malinei lśnią – że ja jestem tu, a ty tam, za kratą.

To proste stwierdzenie trafia mnie prosto w serce i przeszywa je jak kły krwiożerczej bestii. Malinea dostrzega coś w wyrazie mojej twarzy, bo uśmiecha się triumfalnie. Potem kieruje wzrok w górę, ku siepaczowi trzymającemu mnie za włosy.

– Możesz ją puścić.

Moje wstęgi natychmiast się wycofują i układają się na podłodze za mną.

Moje włosy wreszcie są wolne, ale na odchodne zostają raz jeszcze wepchnięta w kratę. Podciągam się na niej, wstając z trudem. Gdy pomału gładzę obolałą głowę, mój wzrok wyłuskuje z ciemności osobistego przybocznego królowej. To rosły brodaty mężczyzna o srogim wyglądzie. Po jego oczach widać, że jest z siebie bardzo zadowolony, a ja nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymuję się, by z miejsca nie zadusić go wstęgami.

– Znaj swoje miejsce, zabaweczko – rzuca królowa, ruszając pomału w stronę wyjścia.
– Jesteś dla Midasa kawałkiem mięsa. Zabawką do pokazywania gościom.

Przystaje w drzwiach, by ostatni raz zerknąć na mnie przez ramię.

– Jeszcze raz przyłapię cię na szpiegowaniu, a każę obciąć ci te złote uszy.

Zaciskam dłonie w pięści. *Suka*, myślę, posyłając jej lodowate spojrzenie. Oczywiście nie śmiem powiedzieć tego na głos.

Malinea kiwa głową na swojego siepacza.

– Dopilnuj, żeby dobrze zapamiętała naszą rozmowę – rzuca w jego stronę.

Marszczę brwi, nie wiedząc, czego spodziewać się po takich słowach, i w tym momencie czuję potężne uderzenie w brzuch. Zbir królowej wymierzył pomiędzy prętami klatki cios, który posyła mnie na ziemię. Krztuszę się i chwytam za obolały brzuch, starając się nie zwymiotować.

– Zrozumiałaś królową? – pyta brodac.

– T-tak – wykrztuszam z trudem, posyłając mu wściekłe spojrzenie.

– Dobrze – warczy sługus Malinei, po czym bez słowa wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Niech Najwyższy przeklnie ten dzień! Żałuję, że w ogóle podniosłam się rano z łóżka.

Przez kilka minut oddycham głęboko na podłodze, by w końcu się z niej dźwignąć. Brzuch i skóra na głowie potwornie mnie bolą i nie chce mi się nawet zapalać świec. Po omacku docieram do łóżka. Jasna strona? Gdyby nie chroniła mnie klatka, pewnie obeszliby się ze mną jeszcze gorzej.

Gdy układam się na łóżku, wstęgi otulają moje ciało jedwabistą zasłoną, chroniącą mnie przed światem. Kokon skrywający gąsienicę.

Po pewnym czasie dociera do mnie, że to nie myśl o królowej i jej siepaczu nie daje mi zasnąć. To również nie przez obolałą głowę czy brzuch. Spokoju nie daje mi myśl, że kończy mi się czas. Wkrótce oddziały Midasa i Fulkego połączą się, by przystąpić do wspólnego szturm na Czwarte Królestwo. A wtedy Fulke upomni się o swoją zapłatę.

O mnie.



ROZDZIAŁ 8

Boję się obudzić.

Zwykle jest tak dlatego, że po prostu nie jestem rannym ptaszkiem. Często budzę się z kacem po wypitym winie, więc zrywanie się jest mi tym bardziej nie w smak – zwłaszcza że nigdy nie wita mnie słońce. Jego porannych promieni nie widziałam od lat.

Ten dzień jest jednak inny. Gdy otrząsam się z resztek snu, ogarnia mnie nie moja typowa poranna gnuśność, a narastający strach. Bo wiem, że mój czas się skończył.

Skąd to wiem – tego nie umiem powiedzieć. Może coś wisi w powietrzu, a może powiedziały mi to szalejące za oknem wicher i burza, przyprawiające stolarkę okienną o żalodne skomlenie. Cokolwiek to jest – wiem już, że w klepsydrze przesypały się wszystkie bez wyjątku ziarenka piasku.

Otwieram oczy i kieruję wzrok w stronę okna. Wzdrygam się, widząc, że szybę zniekształca warstwa mętnego lodu. Odklejam wstęgi od ciała i zaraz z moich ust wyrywa się jęk. Jestem cała obolała. Mam wrażenie, że po wczorajszej napaści skóra na mojej głowie i brzuchu są jednym wielkim sińcem.

Ostrożnie siadam i wyglądam przez kraty na wolną część pomieszczenia. Widzę Digby'ego, który zdążył już objąć poranną wartę. Żałuję, że nie było go tu wczoraj, ale stało się tak z mojej własnej winy. To ja, mając osiemnaście lat, wymogłam na Midasie, by odwołał z mojej komnaty nocne warty. Czułam się potwornie nieswojo, gdy ktoś przyglądał mi się podczas snu. Wtedy doceniałam fakt, że Midas pozwolił mi cieszyć się odrobiną prywatności, za to teraz... żałuję nieco swojego uporu.

Choćby chciała to zrobić sama królowa, nie sądzę, by Digby pozwolił napaść na mnie na swojej warcie. A przynajmniej poinformowałby o całym zajściu Midasa. Ja nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Rozwścieczyłoby to tylko królową jeszcze bardziej, a to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

Podnoszę się z trudem, krzywiąc się z bólu, gdy mój brzuch lekko się naciąga. Digby

dostrzega to natychmiast i mruży podejrzliwie oczy. Jest aż nadto spostrzegawczy – jeszcze może mieć przez to kłopoty.

– Żołądek mi wariuje. Przesadziłam z winem – kłamię, poklepując się delikatnie po brzuchu. Nie chcę, by nabrał dalszych podejrzeń i zaczął zadawać pytania. Pytania zawsze stanowią zagrożenie.

Odwracam się i przecieram oczy. Wtem kątem oka zauważam wiszącą na kracie sukienkę. Jest złota i zwiewna, tak prześwitująca, że aż trudno nazwać ją sukienką...

Zaciskam zęby i czuję, jak cała sztywnieję. Ta sukienka to wiadomość od Midasa. Wiadomość bardzo prosta i dosadna. Tego wieczora mam wyglądać jak mięso, bo zostanie wypuszczona z klatki.

Wpatruję się w cieniutką tkaninę, absurdalnie głęboki dekolt i wycięcia odsłaniające nogi. Moje wstęgi zwijają się w tym samym momencie, gdy dłonie zwierają się w pięści. W całe moje ciało wkrada się napięcie, bo wygląd tej kiecki boleśnie pasuje do słów królowej.

Jesteś dla Midasa kawalkiem mięsa.

Zabawką, którą może pokazywać gościom.

Odwracam się i przechodzę z sypialni do garderoby, cały czas czując na sobie spojrzenie Digby'ego. Gdy jestem już sama, poza zasięgiem jego wzroku, przystaję w półmroku i oddycham głęboko. Moje wstęgi z pewnym oporem się rozwijają.

Słyszę, jak w sąsiednim pomieszczeniu zamykają się drzwi. To znak, że Digby rozpoczął obchód. Oczywiście zrobił to właśnie teraz, by dać mi nieco prywatności.

Odwracam się i podchodzę do toaletki. Wstęgi ciągną się za mną po posadzce. Siadając przy blacie, sięgam po lampę, by nieco rozświetlić przestrzeń wokół siebie. Okna znów pokrywa warstwa śniegu.

Posługuję się wstęgami, by się rozebrać, pozwalając szacie opaść pod moje stopy. Gdy jestem już naga, przyglądam się w lustrze swojemu ciału. Na mojej złotej skórze widać wyraźną skazę – siniak wielkości pięści, przypominający purpurową chmurę. To ślad po ciosie wymierzonym przez brodacza. Nawet delikatne dotknięcie tego miejsca sprawia, że krzywię się z bólu. Ten widok przywodzi mi na myśl złotą zastawę herbacianą Midasa, którą służba wiecznie musi pucować. Mój siniec to zmatowiała skaza, którą trzeba wypolerować.

Z westchnieniem zdejmuję dłonie z brzucha, po czym sięgam po wiszący przy lustrze długi szlafrok. Zakładam go i przewijam w pasie.

Pora teraz sprawdzić, jak ma się skóra na mojej głowie. Wciąż jest strasznie obolała. Ledwie jej tknęłam, a już syczę z bólu. Będę musiała bardzo ostrożnie się czesać.

– Dobrze spałaś? – Pytanie Midasa zaskakuje mnie tak bardzo, że przestraszona odwracam się gwałtownie, przyciskając dłoń do serca.

– Niech to Najwyższy! Ale mnie wystraszyłeś – odpowiadam z wyrzutem. Midas otworzył drzwi i zbliżył się do mnie zupełnie bezszelestnie. Teraz uśmiecha się do mnie oparty o kratę u wylotu korytarza.

– Ej, ej, Auren. Nie bluźnij.

Moje serce przestaje pomału łomotać, gdy widzę, że Midas jest sam. Wygląda tak dobrze w miękkim porannym świetle. Jego złota tunika wydaje się na nim karmelowa, a włosy swoim odcieniem przywodzą na myśl koniak.

– Czym mogę służyć, mój królu? – Mój dobór słów jest odpowiedni, ale ton już nie. Słysząc w nim wahanie, niepewność.

Midas sięga ręką do mojego podbródka i przypatruje mi się z uwagą. Staram się nie poruszać pod jego świdrującym spojrzeniem, choć mając na sobie tylko cienki szlafrok, czuję się, jakbym stała przed nim naga.

– Wiem, że jesteś na mnie zła. – Nie takich słów Midasa się spodziewałam. Przyglądam mu się, próbując wyczytać z jego twarzy, co też chodzi mu po głowie, i zupełnie nie wiem, co odpowiedzieć.

Gdy milczę, Midas smutnieje. Przez ułamek chwili nie jest potężnym monarchą, a po prostu Tyndallem.

– Powiedz coś do mnie, Auren. Brakuje mi twojego głosu. Tęsknię za spędzaniem z tobą czasu – mówię po chwili, a ja patrzę już na niego nieco łagodniej. Wciąż jednak jestem na niego wściekła. Czuję się zdruzgotana i nie wiem, na czym stoję. Nie powiem mu jednak tego, nie potrafię. Zamiast tego więc tylko odchrząknę.

– Byłeś ostatnio bardzo zajęty – stwierdzam lakonicznie.

Potakuje skinieniem głowy, lecz nie zbliża się do mnie. Ja do niego również. Dzieli nas coś więcej niż kilka metrów przestrzeni. Wyrosła między nami ziejąca przepaść. Z przerażeniem myślę, że jeden fałszywy krok sprawi, iż runę w nią, by nigdy się z niej nie wydostać.

Wpatruję się w Midasa, czując, jak jednocześnie wzbierają we mnie lęk i nadzieja. Ostatnio był wobec mnie ostry, ostrzejszy niż kiedykolwiek. Jednak przecież wiem, że zмага się z wielkimi obciążeniami, a ja nie powinnam była publicznie się tak zachowywać. Czuję jednak, że tracę w nim oparcie.

Do tego ten targ z Fulkem...

Moje złote oczy są utkwione w Midasie.

Chcesz mnie oddać Fulkemu.

Choć w środku cała krzyczę, uporczywy głos z tyłu mojej głowy nie znika. To nadal Midas, mówi mi. Mam przed sobą mężczyznę, który dawniej nie nosił korony. Był mścicielem, samozwańczym bohaterem. Ot, po prostu silnym człowiekiem, któremu przyświecał cel. Uratował mnie i zabrał do siebie. Wywyższył mnie i sprawił, że stałam się sławna w całym Szóstym Królestwie. Ba, w całej Orei! Uczynił ze mnie swój złoty skarb i postawił mnie na piedestale. A jeszcze zanim to zrobił – był mi przyjacielem.

Teraz, gdy na niego patrzę, widzę coś, czego nie dostrzega nikt inny. Coś, czego Midas nie pozwala innym zobaczyć. Widzę chmurną troskę i napięte ramiona. Widzę lata obciążeń, które odcisnęły się na jego twarzy zmarszczkami wokół oczu.

– Wszystko w porządku? – pytam cicho, nieco niepewnie.

Moje pytanie jakby go spłoszyło. Midas wypręży się nagle. Przerywa gwałtownie chwilę milczącej serdeczności pomiędzy nami.

– Spraw się dziś, Auren. To ważne.

Mrugam na dźwięk jego słów. Mój mózg zaczyna je mleć, próbując kolejnych interpretacji. Stara się nadać im jakiś inny sens, ale... innego sensu być tu nie może.

– Mam się... „sprawić”?

– Załóż suknię, którą ci posłałem. Nie odstępuj wartowników i nie odzywaj się niepytana, a wszystko będzie dobrze. Ufasz mi, prawda? – Spojrzenie Midasa jest penetrujące i nieustępliwe, a ja czuję swędzenie w kącikach oczu.

Ufałam, mam chęć powiedzieć. Teraz nie jestem już pewna.

– Chyba zawsze powinnam ci ufać? – pytam po chwili ostrożnie.

– Oczywiście, najdroższa. – Na twarzy Midasa znów pojawia się uśmiech.

Król następnie odwraca się i wychodzi z mojej garderoby. Słyszę echo jego oddalających się kroków i odgłos zamykanej kraty. Stoję jeszcze chwilę nieruchomo, aż do moich uszu dobiega trzaśnięcie drzwi komnaty. Teraz dopiero wypuszczam powietrze i ciężko opadam na krzesło przy toaletce. Niewidzącym wzrokiem wpatruję się w lustro, czując, jak dłonie drżą mi z nadmiaru emocji. Targają mną tak silne, sprzeczne uczucia, że zbiera mi się na mdłości.

Weź się w garść, Auren! – strofuję samą siebie i przyciskam spody dłoni do oczu, starając się ukoić ich swędzenie.

Mój król chce, żebym była posłuszna. Chce, żebym mu zaufała. A czy przez wszystkie te lata nie zasłużył na moje zaufanie? *Czy na nie zasłużył!?*

Odpowiedzią powinno być gromkie „tak”. „Tak”, które powinno przyjść mi z łatwością. Niestety – nie przychodzi.

Zgrzytając zębami, zrywam się na nogi i chwytam stojącą na blacie lampę. Nim uświadamiam sobie, co robię, ciskam nią z całej siły w lustro. Słysząc brzęk, moja złość znajduje ujście, a ja nasycam się zniszczeniem. Dysząc ciężko, patrzę na odłamki szkła i mój własny zniekształcony, rozbity na troje obraz w strzaskanym zwierciadle.

– Pani? – Sztywno obracam głowę i dostrzegam Digby’ego. Stoi po drugiej stronie kraty i przygląda mi się z zatroskanym wyrazem twarzy. Ponieważ roztrzaskałam lampę, pomieszczenie tonie w mroku; jedynym źródłem światła jest trzymana przez Digby’ego świeca. Wartownik coś mówi, ale jego słowa do mnie nie docierają; dzwoni mi w uszach, a mój oddech wciąż się nie uspokoił.

Kręcę głową, by choć trochę ochłonać.

– Co? – dopytuję.

Digby przekrzywia głowę i patrzy nieco w dół. Oszołomiona podążam za jego spojrzeniem, by dotrzeć w ten sposób do własnej dłoni. Unoszę ją i dopiero wtedy wszystko staje się jasne. Jakby mój mózg nagle odzyskał łączność z nerwami. Poparzyłam się, chwytając rozgrzaną lampę!

Dotykam delikatnie oparzonego miejsca i krzywię się z bólu. Ale nie jest najgorzej. Skóra jest tylko przebarwiona i nieco obolała.

– Nic mi nie jest – uspokajam Digby’ego.

Ten tylko chrząka, nic nie mówiąc. Opuszczam rękę i patrzę na niego.

– Wiem, jak to musi dla ciebie wyglądać... – zaczynam, kręcąc głową. – Królewska faworyta urządza scenę, chociaż kąpie się w złości – tłumaczę się tonem reprimendy pod własnym adresem.

– Nic takiego nie mówiłem – oponuje Digby. Jego ton niby jest szorstki, ale jego słowa... wydają mi się nieoczekiwanie miłe. Jakby chciał podnieść mnie choć trochę na duchu. Nim jednak mam szansę cokolwiek odpowiedzieć, wartownik odwraca się i wychodzi. Zostaję sama, ale na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

Digby wraca po niespełna minucie z nową lampą w ręku. Ta jest większa; zapewne przyniósł ją z biblioteki. Przekłada ją ostrożnie pomiędzy prętami i umieszcza na podłodze klatki.

– Dziękuję – mówię cicho, sięgając po lampę i stawiając ją na blacie.

Czuję lekkie zażenowanie, widząc w lepszym świetle, jakiego bałaganu narobiłam. Słudzy, którzy sprzątają moją kwaterę, raczej nie będą zachwyceni...

Przyklękam i zaczynam zbierać rozbite szkło, ale Digby natychmiast stuka w kratę, by zwrócić mi uwagę.

– Niech panienska to zostawi.

– No ale... – Zatrzymuję się na moment z ręką w pół drogi po szkło.

– Proszę zostawić.

Z westchnieniem unoszę brew.

– Jak na kogoś, kto odzywa się od święta, strasznie rozstawiasz ludzi po kątach.

Digby milczy, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Ponownie wzdycham i pomału wstaję.

– No dobrze już, dobrze. Nie patrz tak na mnie.

Digby kiwa głową, drapiąc się po siwiejącej brodzie. Jest wyraźnie zadowolony, że postawił na swoim. Mój wierny wartownik traktuje moje bezpieczeństwo bardzo serio – jak widać, również wtedy, gdy musi chronić mnie przede mną samą.

– Wiedziałam, że z ciebie dobry kumpel, Dig – przekomarzam się. W półmroku i tak nie zobaczyłabym jego uśmiechu, ale miło chociaż poudawać. Desperacko czepiam się jakichkolwiek emocji w relacji z Digbym, a odpycham od siebie to, co związane z Midasem. Chcę w ten sposób odzyskać jaką taką równowagę.

– Ej, co powiesz na małą pijacką grę? – pytam z nadzieją w głosie.

Digby przewraca oczami.

– Nie – odpowiada zdawkowo, po czym odwraca się na pięcie i wychodzi. Wyraźnie mu ulżyło, że się uspokoiłam i nie zamierzam niczego więcej rozbić.

– No chodź! Chociaż jedna rundka! – wołam za nim. On jednak nawet się nie zatrzymuje, tak jak się spodziewałam. Kolejny raz uśmiecham się pod nosem, tym razem szerzej.

Gdy zostaję znów sama, siadam naprzeciw rozbitego lustra i wzdycham. Nastrój na przekomarzanie się i żarty ulatuje ze mnie znacznie szybciej, niżbym chciała. Przez chwilę przyglądam się swojemu roztrojonemu odbiciu, po czym biorę się za siebie. Pozwalam wstęgom delikatnie rozczesać włosy na obolałej głowie tak, żeby dało się zapleść je w warkocz. To chyba równie pracochłonne, co zakładanie na siebie pełnej zbroi.

Na razie wciąż trwa dzień, a to oznacza, że mam jeszcze czas. Jestem bezpieczna. Gdy jednak zapadnie zmierzch, a na niebie pojawią się gwiazdy, mam wystąpić jako ulubiona maskotka króla Midasa. Mam się sprawić.

Gdy o tym myślę, nie daje mi spokoju jedno pytanie: co będzie, jeśli tego nie zrobię?



ROZDZIAŁ 9

Bardzo niespiesznie czeszę się i zaplatam warkocz. Zupełnie jakby to żółwie tempo miało w jakiś sposób odwlec to, co mnie czeka. Udaję sama przed sobą, że nie jest to nieuchronne. Cóż, w życiu można udawać przed sobą różne rzeczy. Niekiedy wychodzi nam to tak dobrze, że zaczynamy wierzyć we własne kłamstwo. Każde z nas jest aktorem i stoi na scenie w świetle reflektorów. Odgrywamy taką rolę, która jest nam potrzebna do przebrnięcia przez kolejny dzień, lub która pozwoli nam zasnąć w nocy.

Skupiam się teraz na prostych ruchach, nie pozwalając sobie na myślenie o tym, co wydarzy się wieczorem. Moje ciało już to jednak wie i daje mi o tym znać. Czuję ucisk w klatce piersiowej. Oddycham z coraz większym wysiłkiem. Cały czas szukam sobie zajęcia, ale nie da się w nieskończoność grać na harfie czy szydełkować – w końcu umysł zaczyna wariować z nudów.

W pewnym momencie nerwy biorą górę i zaczynam chodzić w kółko po klatce. Zza krat muszę przypominać rozdrażnioną tygrysyce krążącą po wybiegu.

Jasna strona? Oparzenie na dłoni przestaje mi dokuczać. Na mojej skórze widać tylko drobną pręgę – pomarańczowawe pasemko, odcinające się na tle złotego otoczenia. Mój brzuch jest wciąż obolały, za to ze skórą na głowie mam już spokój – pod warunkiem że jej nie dotykam.

Gdy wyglądam przez jedyne okno w swojej komnacie, widzę, że śnieżycy nie odpuszcza. Raz za razem podmuchy wiatru ciskają o szybę białe confetti.

Pomału nadciąga zmierzch, a ja żałuję, że nie potrafię zatrzymać wędrowki słońca po niebie. O niczym innym teraz nie marzę. Tyle że o spełnienie marzeń prosi się gwiazdy, a ja niemal ich nie widuję.

Oddziały Fulkego i Midasa powinny być już pod granicą Czwartego Królestwa. Mogłabym łatwo się co do tego upewnić, ale to wymagałoby wizyty w bibliotece, która jest ostatnim miejscem, w którym chcę dziś być.

Nadal uważam, że szturm na ziemie króla Ravingera to szaleństwo. Midas chce pogwałcić wielowiekowe przymierze po to, by porwać się na władcę, który bynajmniej nie słynie

z dobroci i życzliwości. Ravinger naprawdę nie przez przypadek nazywany jest Gnildcem. Ma moc siania śmierci i rozkładu, a przy tym jest ponoć tak okrutny, że strach się do niego zbliżyć. Jego królestwo to kraina rozpadu i gnicia, gdzie pozwala się rozkwitać złu. Ravinger posiada moc, dzięki której może upodlić i zubożyć wszystko: plony, zwierzęta, ziemię, ludzi... A i tak najgorsze w nim jest chyba jego okrucieństwo.

Naprawdę mam nadzieję, że Midas wie, na co się porywa. Robienie sobie wroga z kogoś takiego jak Ravinger to igranie z ogniem. Jeśli Midasowi się nie powiedzie, może się okazać, że żadne bogactwo nie wystarczy, by zadośćuczynić konsekwencjom jego decyzji. Tego się właśnie obawiam.

Czasem chciałabym, żeby nie był aż tak pewny siebie, tak święcie przekonany, że każdy napotkany problem rozwiąże przy pomocy złota. Midas bierze bogactwo za pewnik... i trudno mu się dziwić. Wystarczy się rozejrzeć – każda powierzchnia w zamku i każdy otaczający go przedmiot są złote. Midas wie, że do końca swoich dni będzie tak bogaty, jak tylko zapragnie.

Królowa Malinea uważa, że ja jestem „jaskrawym cackiem”. Ale co w takim razie powiedzieć o zamku i wszystkich zgromadzonych w nim przedmiotach? Podeszwy jej własnych butów są ze złota. Pot z jej stóp spływa na szczerze złoto! Nawet lochy zamku są złote, aż po sam fundament. Gnijących tam skazańców z każdej strony otacza złoto! Przyjdzie im zdechnąć w celach z bezcennego kruszcu. I tak, wszyscy na zamku sikamy do złotych nocników.

Jeśli pobyt w Highbell czegoś mnie nauczył, to tego, że bogactwo tego rodzaju szybko staje się bez znaczenia. Jest puste. Można kąpać się w złocie i wciąż nie mieć niczego naprawdę wartościowego.

A może... może prawdziwym powodem nienawiści królowej do mnie nie jest wcale to, że Midas zatrzymał mnie, mimo że poślubił ją? Może królowa nienawidzi mnie po prostu dlatego, że to nie na niej złożył złotodajny dotyk. Wie przecież, co ten dotyk symbolizuje. Słyszysz, jak to mnie Midas nazywa swoim skarbem.

Ta jedna myśl sprawia, że robi mi się żal królowej. Kobiety żyjącej w bezdzietnym, wyzutym z miłości małżeństwie. Kobiety, która straciła swoje królestwo, nim naprawdę je posiadała. Kobiety zmuszonej rywalizować z pozłocaną sierotą.

Myśląc o tym wszystkim, opieram się o złote pręty klatki i patrzę przez okno na wirujące płatki śniegu. Zazdrość – jeśli o zazdrość faktycznie tu chodzi – toczy królową od lat i nie da się jej już zaradzić. Co się stało, to się stało. Malinea nigdy już nie spojrzy na mnie, czując cokolwiek innego niż nienawiść. Po prostu.

Jeśli jednak zazdrosna jest przede wszystkim o złotodajny dotyk... to znaczy, że niczego nie rozumie. Nie twierdzą, że nic dzięki niemu nie zyskałam, ale moje położenie ma również wiele wad. Wszyscy widzą we mnie wyłącznie żywe złoto. Nikogo nie obchodzi, co kryje się za moją złotą skórą i złotymi kosmykami włosów. Z wyjątkiem oczu i zębów jestem tylko złotym posągami, przedmiotem, który się ogląda – nie osobą, której się słucha.

Jestem towarem, który można kupić na jedną noc.

Odskakuję od okna, bo nagle otwierają się drzwi mojej sypialni. Gdy się odwracam, widzę służkę zbliżającą się do Digby'ego, który wciąż stoi na baczność pod ścianą. Kobieta szepcze mu coś do ucha, a we mnie zaczyna wzbierać niepokój. Gdy tylko służka wychodzi, wracam do sypialni i kieruję się w stronę wartownika.

– Co się dzieje? – pytam.

– Już pora – odpowiada Digby, wskazując na wiszącą na kracie suknię.

Czuję, że mój żołądek rozpada się na tysiąc zimnych, twardych kawałków.

– Już? – pytam głosem, który sama ledwie rozpoznaję. Brzmi cicho, niemal żałośnie. Jak pisk myszy. A ja nie mogę być dziś myszą. Muszę być silna.

Digby potwierdza skinieniem głowy, a ja nerwowo dmucham w kosmyk włosów opadający mi na twarz. Zmuszam się do przełknięcia śliny, jakbym mogła wchłonąć własne zdenerwowanie i ukryć je gdzieś głęboko.

Sięgam za siebie po wieszak z prześwitującą suknią. Czując, jak łomocze mi serce, sztywnym krokiem ruszam do garderoby. Tam, przed rozbitym lustrem, zdejmuję prostą podomkę i wkładam na siebie półprzezroczystą, wyzywającą kreację. Całą pracę wykonują moje wstęgi. Poruszam rękoma zupełnie mechanicznie, a moja twarz jest kompletnie bez wyrazu.

Gdy jestem już gotowa, przeglądam się. Trudno mi pogodzić się z tym, co widzę w lustrze: tkanina prześwituje tak bardzo, że nie tylko pozwala prześledzić wszystkie moje kształty, ale i dojrzeć czubki złotych sutków.

Sukienka ma ażurowe rękawy z misternej złotej koronki i dwa złote zapięcia utrzymujące ją na ramionach. Materiał opada ku piersiom głębokim dekoltem – tak głębokim, że odsłania skrawek siniaka na moim brzuchu. Dół rozcięty jest na całej długości, od stopy aż po biodro. Nieważne więc, z której strony ktoś będzie mnie obserwować – zawsze zawiesi oko na kawałku nagiego złota. Tkanina luźno otula moje ciało: nie będzie żadnym problemem wsunąć pod nią dłoń i dotknąć jego dowolnego miejsca. Również bardzo intymnego.

Midas nigdy dotąd tak mnie nie ubierał. Owszem, miewałam na sobie kreacje podkreślające sylwetkę, ale nigdy czegoś tak wyzywającego. W pewnym sensie chował mnie dla siebie. Moje ciało w pełnej krasie było dostępne tylko jemu. Dziś, po raz pierwszy w życiu, jestem ubrana jak mięso z królewskiego haremu, czekające tylko, by się do niego dobrać.

Wiem, kiedy gaśnie światło dnia. Da się wtedy wyczuć w powietrzu chłodny powiew. Gdy zerkam przez swoje niewielkie okno, widzę zapadające ciemności. Dopada mnie ponure poczucie pustki. Przechodzi mnie dreszcz, na ramionach czuję gęsią skórkę.

Spraw się.

Jesteś zabawką do pokazywania gościom.

Usiądź grzecznie.

Daj mężczyznom rozmawiać.

Zgrzytam zębami, czując, jak narasta we mnie bunt. Midas życzy sobie tego stroju? W porządku, ale nie mówił, że nie wolno mi go po swojemu ulepszyć.

Moje wstęgi biorą się do pracy zgodnie z moją wizją. Nim kreacja jest gotowa, mija dobrych kilka minut zaplatania, przetykania i owijania. Jestem jednak zadowolona z końcowego efektu. Wstęgi tworzą teraz na gorsecie misterne sploty i konstrukcje: część opada sponad piersi, by nieco ciaśniej otoczyć mnie w talii, a część zwisa swobodnie ku ziemi na całym obwodzie sukienki. Nadal widać więcej, niżbym sobie tego życzyła, ale jest znacznie, znacznie lepiej. Całość w miarę mnie okrywa – przynajmniej to, co najbardziej intymne, jest zakryte. Będę musiała pilnować się podczas chodzenia, bo pomimo wstęg moje boki pozostają częściowo odsłonięte. No ale najważniejsze, że nie czuję się już naga.

Nie licząc kosmyków, którym pozwoliłam swobodnie opaść, moje włosy są już zaplecione. Daję więc spokój swojej głowie. Zwłaszcza że słyszę głosy dobiegające z sypialni. Przybyli dodatkowi strażnicy, by towarzyszyć mi w drodze na dół.

Powinnam umierać z głodu, bo cały dzień nic nie jadłam. Wiem jednak, że nie dałabym rady niczego teraz przełknąć, nawet gdybym bardzo chciała. Gdy słyszę nawoływania Digby'ego, wsuwam stopy w złote pantofle i się prostuję.

Nie wolno ci być myszką, Auren.

Przechodzę do sypialni, by stanąć naprzeciw grupy strażników, czekających po drugiej stronie krat. Zaraz odprowadzą mnie na dół, gdzie nie byłam od miesiący. Minęło dużo czasu od dnia, gdy Midas pozwolił mi opuścić klatkę ostatni raz. Robi to niezmiernie rzadko, bo jest

zaborczy. Jeśli już się to zdarza, to albo dlatego, że król zatęsknił za moim towarzystwem podczas kolacji, albo dlatego, że chce mieć mnie obok siebie w sali tronowej w trakcie wizyty jakiegoś dostojnika.

Gdy się zbliżam, Digby dostaje do ręki klucz od klatki. Żelazny i ciemny. Kiedy trafia do zamka, myślę, że to pewna ironia losu: ten jeden przedmiot nie jest wykonany ze złota.

Klucz obraca się w zamku przeraźliwie głośno. Aż bołą mnie bębenki w uszach. Czuję się tak, jakby w mojej głowie rozszalała się nagle chmara insektów.

Digby otwiera drzwi w kracie. Towarzyszący mu strażnik cofa się o krok, by zachować między nami odpowiednią odległość. Wie, że jeśli tylko zanadto się zbliży, mój wierny gwardzista doniesie o tym królowi, a tego nie chciałby nikt.

Wychodzę przez szeroko otwarte drzwi klatki. Są jak otwór w piersi, przez który wydostaje się z niej serce.

Tym razem wstęgi nie ciągną się za mną po posadzce, tylko okalają moje ciało niczym zewnętrzny szkielet. Opuszczam sypialnię, u każdego boku mając wartownika. Idziemy krok w krok, lecz choć jest ich czterech, czuję się, jakbym szła sama. Każdy odgłos przesuniętego po wypolerowanej posadzce pantofla to dla mnie zapowiedź strachu. Jest nią także mój niespokojny oddech, którym przysysam wargę do zębów.

Ufasz mi, prawda?

Chyba zawsze powinnam ci ufać?

Oczywiście.

Nie mam nic poza tymi słowami króla. Po prostu muszę mu zaufać.

Ale nie zamierzam być myszą.



ROZDZIAŁ 10

Pamiętam, jak dziesięć lat temu po raz pierwszy szłam przez zamek. Jego skrzydło pałacowe na tle pałaców, które widywałam wcześniej, wydało mi się... nierzeczywiste. To było coś z innego wymiaru.

Miałam wtedy piętnaście lat, ale raczej trudno byłoby wciąż nazywać mnie dziewczynką. Jak to się mówi, moja niewinność zdążyła zostać utracona. Tak ujęliby to niektórzy – nie ja. Bo to nie ja się jej pozbawiłam. Nie straciłam jej przez nieuwagę czy lekkomyślność. Nie, brutalnie mi ją odebrano, poddając mnie jednemu okrutnemu nadużyciu po drugim. Pamiętam dobrze, jak zrywano ją ze mnie – kawałek po kawałku, aż pozostawiono mnie nagą, wystawioną na złe żywioły tego świata, pełną gorzkiego obrzydzenia i urazy wobec niego.

Nie byłam więc niewinna, gdy pojawiłam się w Highbell. Midas jednak przywrócił mi coś, co uważałam za bezpowrotnie stracone w moim życiu.

Zaufanie.

Wtedy jeszcze Midas nie był królem, a zamek nie był ze złota. Gdy widzę go dziś i przypomnę go sobie wtedy, aż trudno mi uwierzyć, że to to samo miejsce. Mury były z nakrapianego kamienia wykutego bezpośrednio w zboczu, na którym posadowiono zamek. Szara, przysypana śniegiem forteca wydawała się ponura i przygnębiająca mimo pysznego wystroju.

I ja, gdy pojawiłam się tu po raz pierwszy, byłam w ponurym nastroju. Owszem, otaczał mnie przepych, ale wiedziałam jednocześnie, że po kilku miesiącach dobiegnie końca czas, gdy mam Midasa tylko dla siebie.

– *Poproszę o rękę córkę króla Szóstego Królestwa.*

Zdumiały mnie te słowa. Wcześniej nawet nie zająknął się na ten temat. Widziałam, że ma różne plany i pomysły, ale prawdę mówiąc, nie interesowały mnie one. Delektowałam się odzyskanym poczuciem bezpieczeństwa, spokojem i przyjaźnią. Choć oczywiście wiedziałam, że w końcu wydarzy się coś złego.

Spojrzałam na Midasa – mojego przystojnego koczownika z blond włosami

przyprószonymi śniegiem. Obozowaliśmy przy skutej lodem rozpadlinie skalnej. Połyskujące sople u jej wylotu sprawiały, że wyglądała jak paszcza zwierzęcia wystawiającego się na światło księżyca.

– Dlaczego? – Z emocji łamał mi się głos, ale nawet jeśli Midas to wychwycił, nie skomentował. Spojrzenie jego brązowych oczu stało się jednak łagodniejsze. Pamiętam, jak patrzył na mnie ponad trzaskającym niepokojąco ogniem.

– Królewski skarbiec jest pusty. Nie mają nic.

Zmarszczyłam nos.

– Jak królestwo może nie mieć nic?

Midas uśmiechnął się do mnie, ocierając tłuste palce o spodnie i odrzucając ogryzioną z mięsa kość.

– To całkiem proste. Królestwo może bardzo szybko popaść w ruinę. Choć akurat Highbell ma trudności od lat. To w końcu zamarznięty wygwizdów gdzieś na końcu świata. Nie mają liczącego się rolnictwa ani dochodowych kopalni. Nie mają z czego się utrzymać, bo brak im odpowiednich sojuszy i układów handlowych. To cud, że dotąd nikt ich nie najechał.

Podkurczyłam palce w swoich ocieplonych futrem butach, usiłując przejść myślami od jego słów do faktycznych zamiarów. Był ode mnie o siedem lat starszy, ale ja nie byłam już naiwna.

– A co ze mną? – spytałam. Nie wiem, jakim cudem w ogóle wydusiłam te słowa, bo w gardle miałam potężną gulę.

Midas stanął naprzeciw mnie. Pamiętam, że śnieg sięgał mu do kostek.

– Zostaniesz ze mną. Przecież ci to obiecałem, prawda? – Słyszając jego słowa, poczułam ciepłą falę ulgi. Tak ciepłą, że na moment niemal zapomniałam o chłodzie nocy. – Z tobą u swojego boku ocalę Szóste Królestwo.

Uśmiechnęłam się do niego, a patrząc mu w twarz, znów doceniłam, jak gładka jest jego skóra. Golił się każdego ranka bez wyjątku, mimo że byliśmy w nieustannej podróży i często nie oglądał nas nikt poza nami samymi. W dbałości o swój wygląd Midas był jednak nie mniej pieczołowity niż we wszystkim innym.

Nie musiał zwierzać mi się ze wszystkiego, a jednak robił to. Powierzał mi swoje lęki, nadzieje i marzenia. On – człowiek z lichego raczej rodu, bez rodziny i ziemi – zamierzał ocalić całe królestwo. Zamierzał przywrócić chwałę krainie przypominającej skutą lodem grobowiec.

Tamtej nocy długo rozmawialiśmy. Midas wyłożył przede mną wszystkie swoje plany i zamysły. Powiedział też, jaką rolę dla mnie widzi w swoim życiu. Jego plan był znakomity, przemyślany w najdrobniejszych szczegółach. Nie mogłam wyjść z podziwu. Pamiętam też moment, gdy Midas podciągnął mnie na nogi. Jego dłonie były ciepłe i spokojne.

– Będziesz mieszkać w pałacu, Auren – powiedział, stojąc naprzeciw mnie. – Bezpieczna, blisko mnie.

– Przecież poślubisz tamtą.

Midas przesunął czule kciukiem po moim policzku, a ja przylgnęłam twarzą do jego dłoni. Był pierwszym mężczyzną, przy którym byłam taka. Czulałam się jak kwiat, który po długiej zimie otwiera się na słońce.

– Tak, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dostanie moje nazwisko. Za to ty, najdroższa, masz moją miłość. Co znaczy obrączka, gdy oddało się komuś serce?

Tamtej nocy Midas kochał się ze mną. Na puszystym śniegu, który wtedy zdawał mi się chmurą, w namiocie z grubej skóry, która nasiąkła naszym słonym potem, a powietrze było gorące od szeptów. Midas trzymał mnie w ramionach, póki na niebie nie zagasty ostatnie gwiazdy.

Moje oczy pomału przywykają do ostrzejszego światła w korytarzu. Idę w dół, po obu stronach mając strażników. Wokół mnie nie ma już śladu po wyblakłych brązach starych deskowań. Ściana nie jest już ciągiem ponurego, omszałego kamienia sprzed stuleci. Idziemy po złotej posadzce wymagającej nieustannego polerowania – tysiące kroków dzień w dzień pozostawiają na miękkim kruszcu rysy. Ściany również lśnią, pieszczone nieustannym, uważnym dotykiem sług. Balustradę schodów czuć solą i octem, którymi jest pieczołowicie konserwowana.

Moja kwatery znajduje się na najwyższym piętrze zamku, a to oznacza, że będziemy musieli pokonać schodami sześć kondygnacji. Z każdą sekundą coraz bardziej pieką mnie nogi – wyraźny znak, że zbyt długo pozostawałam w zamknięciu.

Z kolejnych mijanych portretów przyglądają mi się nieżyjący od dawna monarchowie. Idziemy wciąż w dół, a na każdym kolejnym piętrze na ścianach znajduje się więcej kinkietów. Ich płomyki coraz skuteczniej przepędzają mrok nocy. Gdy docieramy na parter i do moich uszu dobiega muzyka, zaczynam czuć w głowie własny narastający puls.

Moja świta zatrzymuje się przed rzeźbionymi drzwiami. Pilnujący ich wartownik otwiera nam, po czym odsuwa się na bok.

– Może panienska wchodzić – komunikuje.

– Wiem... – mruczę pod nosem. – Tyle że wcale nie chcę.

Digby odchrząkuje, a ja biorę głęboki wdech, czując na sobie potoki światła, gorąca i dźwięków dobiegające zza otwartych właśnie drzwi.

Przecież nie ucieknę i nie będę się chować. Nie jestem myszą!

Wstęgi zaciskają się lekko na mnie – jakby dając sygnał, bym wzięła się w garść i ruszyła przed siebie.

Przekraczam próg sali i natychmiast omiatam ją wzrokiem. Na samym jej środku grają muzycy. Oni i ich instrumenty są jak oko cyklonu, a wokół rozciąga się morze tańczących ciał. Muzyka sprzyja zmysłowości, ma w sobie żar. Wtórjuje jej ruch tkanin na rozgrzanej skórze, nogi i ręce splatające się w nieuchwytną melodię.

Salę oświetlają trzy ogromne żyrandole, rzucające na posadzkę setki refleksów. W ich świetle bawi się nie mniej niż dwieście osób – wszystkie pławią się w ostentacyjnym bogactwie Midasa, a ich stroje magnetyzują szczodrością barw. Wspólna im wszystkim woń potu i perfum oszałamia. Choć na zewnątrz szaleje śnieżycy, a sala przede mną jest ogromna, żar ciał sprawia, że czuję na karku kropelki potu. A może to nie z gorąca, a z nerwów?

I pod ścianami jest barwnie: przy długich stołach piją goście. Widzę rozgrzane alkoholem rumiane twarze i rozdziawione usta. Gdzie nie spojrzeć – dziewczyny. Mięso sprawia, że uczta staje się jeszcze bardziej obsceniczna i wyuzdana, a widzę, że tutaj goście bawią się już dłuższą chwilę.

Dwie grupki zaspokajają swoje żądze pod ścianami, udając same przed sobą, że płytkie alkowy zapewniają im prywatność. Za to na samym środku parkietu dwóch mężczyzn dzieli się jedną dziewczyną. Trzymają ją dłońmi wsuniętymi pod rozpięty gorset i spódnice. Dziewczyna głośno jęczy, dodając do muzyki swoją chrapliwą, ekstatyczną serenadę.

A w głębi, ponad tym wszystkim, widzę na podwyższeniu mojego króla.

W każdym calu wygląda teraz na tego, za kogo ma go lud – przesławnego złotego monarchę. Od lśniących butów po skrzącą się koronę. Każdy, kto na niego spojrzy, wie, że ma przed sobą cud dostatku, pana losu i króla bogactw.

Gdy ruszam pomału w głąb sali, odnajduje mnie swoimi rudobrunatnymi oczami.

Siedzi na tronie. Jest sam. Nieobecność królowej nie dziwi, biorąc pod uwagę, co dzieje się wokół. Midas ma przy boku trzy sztuki mięsa. Dwie siedzą na podłokietnikach tronu, a jednak u jego stóp – poddańczo i nabożnie oparłszy głowę o królewskie kolano. Wszystkie trzy mają

odślonięte piersi i kuse, prześwitujące spódnice – podobne do mojej, lecz czarne. Za Midasem widzę mieszaną wartę złożoną z jego ludzi oraz ze strażników Fulkego. Na znak sojuszu wystawiono również oba godła: złote i purpurowe.

Król Fulke siedzi na tronie ustawionym obok tronu Midasa. Na kolanach ma Rissę, ale ja od razu wyobrażam sobie, że sama jestem na jej miejscu. Że czuję, jak jego łapska macają moje ciało, a poźółkłe zęby skubią moją skórę.

Spraw się.

Patrzę znów na Midasa. Ten zwraca się akurat do jednego z gwardzistów, ale jestem zbyt daleko, bym miała szansę cokolwiek usłyszeć. Po chwili muzyka milknie. Oszołomieni tancerze zastygają w bezruchu, a spojrzenia wszystkich kierują się w stronę monarchy. Ten odprawia dziewczyny, po czym wstaje z tronu.

– Obywatele Highbell – zaczyna mocnym głosem, który niesie się po całej sali.
– Uczujemy dziś na cześć potęgi Szóstego Królestwa!

Zgromadzeni wiwatują i krzyczą entuzjastycznie jakieś niezrozumiałe słowa. Ja tymczasem nie potrafię nie zmarszczyć brwi i nie zacisnąć ust. *Zrobili to!* Zaatakowali Czwarte Królestwo, a szturm najwyraźniej powiódł się na tyle, by stać się pretekstem do uctowania.

– Nie świętowalibyśmy jednak dzisiaj – ciągnie Midas – gdyby nie król Fulke i nasz sojusz z Piątym Królestwem! – Wielkodusznie wskazuje na siedzącego obok sojusznika. Korona na łysej głowie Fulkego jest nieco przekrzywiona. Jego rumiane poliki pęcznieją w szerokim uśmiechu. Dobrze chociaż, że nie trzyma już na kolanach Rissy. – Królu Fulke, zgodnie z obietnicą ofiarowuję ci noc z moją złotą faworytą! – Midas, mimo dzielącej nas odległości, dosłownie unieruchamia mnie spojrzeniem. Jego brązowe oczy potrafią sprawić, że czuję się jak przygnieciona potężnym ciężarem.

– Auren, podejdź – mówi po chwili.

Dwieście par oczu kieruje wzrok w moją stronę. Słyszę, jak goście szepczą gorączkowo między sobą, by zaraz rozstąpić się i pozostawić wolną drogę pomiędzy mną a miejscem, w którym czeka na mnie król.

Midas nie tylko oddaje mnie Fulkemu. Robi z tego spektakl dla zebranych.

– Śmiało – szepcze Digby ledwie słyszalnie, ale to wystarczy, bym ruszyła się z miejsca. Przełykam ślinę i zmuszam się do postawienia kilku pierwszych kroków. Moje ciało porusza się naprzód, choć jedyne, czego teraz chcę, to odwrócić się i uciec w przeciwnym kierunku. Pozostali strażnicy zostają z tyłu, jedynie Digby wciąż mi towarzyszy. Z poważnym wyrazem twarzy krok w krok idzie ze mną w stronę tronu.

Wodzę wzrokiem po wgapiającym się we mnie tłumie. Zewsząd dobiegają mnie zaaferowane szeptki. Zebrani przerzucają się przeróżnymi uwagami: od tego, jak lśniąca jest moja skóra, po to, ile mogą być warte moje paznokcie. Patrzą na mnie w sposób, który uświadamia mi, że nie jestem dla nich kobietą, a błyskotką – przedmiotem od święta wystawianym na widok. Teraz każdy chce wykorzystać szansę i przyjrzeć mi się, jakbym była zwierzęciem, przedstawicielką zagrożonego gatunku.

Droga przez tłum gości zdaje się ciągnąć kilometrami. W końcu jednak docieram pod podwyższenie, a szeptki milkną. Nie słyszę teraz nic poza łomotaniem własnego serca i skowyczącym na zewnątrz wiatrem.

Z wyuczoną elegancją uginam kolana w pokłonie i spuszczam głowę.

– Powstań, najdroższa.

Wykonuję polecenie. Spojrzenia moje i króla spotykają się. Widząc wyciągniętą dłoń Midasa, wchodzę na podwyższenie i staję obok niego. Jest taki przystojny, że gdy patrzę na niego, czuję w środku ukłucie bólu.

Midas nie odwzajemnia jednak moich spojrzeń. Zamiast tego zwraca się ponownie do zebranych.

– Świątujcie dalej!

Gdy tylko wypowiada te słowa, muzycy znów zaczynają grać, a goście ruszają do tańca, na nowo łącząc się na parkiecie w zwarty tłum.

– Hm, widzę, że zrobiłaś kilka przeróbek... – mówi król, wodząc wzrokiem po miejscach, które okrywają moje wstęgi.

Nie ma sensu zaprzeczać.

– Tak, mój królu – odpowiadam.

Midas cmoka cicho z dezaprobatą, ale gładzi mnie wierzchem dłoni po policzku. Gdy tylko czuję na sobie jego dotyk, całe moje ciało opanowuje pragnienie, by przytulić się do jego piersi i dać mu się objąć. Marzę, by uratował mnie od tego szaleństwa. Byśmy znów mogli być parą wędrowców wśród śniegu – rozmawiających godzinami i odpoczywających w swoich ramionach. Midas jakby wyczuwa kierunek, w którym podążyły moje pełne nostalgii myśli. Sięga dłonią do mojego podbródka i unosi go delikatnie, tak by nasze spojrzenia się spotkały.

– Jesteś zjawiskowa, wiesz o tym?

Nie odpowiadam, mój język jest uwiązany do supełów w moim żołądku. Midas gładzi czule mój podbródek, po czym cofa dłoń.

– Będiesz grzeczną dziewczynką?

Spraw się.

Usiądź grzecznie.

Przełykam gorycz, czując, jak spływa w dół mojego gardła.

– Tak, mój królu.

Midas się uśmiecha, co sprawia, że jego przystojna twarz nabiera swobodnego wyrazu, a mnie ściska się serce.

– Idź, usiądź z królem Fulke – mówi cicho. – Jesteśmy mu to winni.

Nigdy w życiu tak mocno nie czułam się żywą monetą.

Midas pokrzepia mnie skinieniem głowy, po czym odwraca się i sięga po podany przez służbę kielich z winem. Następnie siada na tronie, gdzie od razu dołączają do niego dwie nowe, chichoczące lubieżnie sztuki mięsa. Uwagę króla niemal natychmiast zaprzęta rozmowa z dwojgiem możnych, którzy zbliżyli się do tronu. Jestem oficjalnie zdana na siebie.

Odwracam się i z brodą zadartą wysoko ruszam w stronę Fulkego. Nie dam po sobie poznać, z jakim przestachem myślę o spotkaniu z nim. Gdyby to wyczuł, miałby dodatkowy powód do uciechy. Ja tymczasem najbardziej chciałabym, by zupełnie stracił mną zainteresowanie. Gdy w nocy nie mogąc zasnąć, przewracałam się z boku na bok, obiecałam sobie, że cokolwiek się wydarzy – wytrzymam. Królewskie mięso dzień w dzień jest zmuszane do oddawania ciała ludziom, których nie lubi. Sama zresztą znosiłam już nie takie upokorzenia. Poza tym – Midas rozbudowuje swoje imperium, jednocześnie uwalniając Oreę od okrutnego despoty. Może to robić dzięki temu, że jedna noc ze mną warta jest całej sojuszniczej armii.

Fulke szczerzy się na mój widok swoimi poźółkłymi, gnijącymi zębami. Wodzi po mnie wygłodniałym, zachłannym wzrokiem. Choć dzięki wstęgom udało mi się choć częściowo okryć, pod jego lubieżnym spojrzeniem znów czuję się naga. Widzę, jak rozbiera mnie wzrokiem, wyobrażając sobie wszystko to, czego nie widzi.

– Jesteś dziś moja, złociutka. Świątujmy!

Muzyka wchodzi w efektowne crescendo.

Ja w środku zapadam się na samo dno.



ROZDZIAŁ 11

Fulke każe mi się karmić.

Stół pomiędzy tronami zastawiony jest półmiskami pełnymi jedzenia. Midas i Fulke cieszą się ucztowaniem i towarzystwem dziewczyn. Jest tu wszystko: mięsa, sery, czekolada, owoce, chleb, pachnące ciasta i sosy ze szlachetnymi octami. Siedząc na podłokietniku tronu, częstuję Fulkego wszystkim po kolei. Jestem zwrócona ku niemu tylko na tyle, na ile muszę. Unikam dotykania go którąkolwiek częścią ciała. Staram się chwycić jak najmniejsze kęsy i niczego nie upuszczać, ale i tak Fulke wciąż ssie moje palce, oblizuje ich opuszki i skubie zębami moje paznokcie. Podsunięty przeze mnie kawałek czekolady zostaje natychmiast złapany w zęby, a nim zdążę cofnąć dłoń, wargi króla zaczynają znów ssać moje palce. Fulke przeżuwa, śmiejąc się. Potem oblizuje umazane czekoladą żółte zęby.

– Z twojej złotej ręki wszystko ma bogatszy smak!

Czuję na sobie wzrok pozostałych dziewczyn. Oceniają, knują, kalkulują. Szacują, na ile jestem dla nich zagrożeniem. Jakbym to ja prosiła się o ich uwagę.

Midas rozmawia z kolejnymi wielmożami. Miejsce przy jego tronie jest nieustannie zajęte. Jeden arystokrata za drugim stara się dostać do królewskiego ucha. Midas, odkąd nakazał mi zająć się Fulkem, nie spojrzął na mnie ani razu.

– Otwórz buzię...

Odwracam szybko wzrok i widzę rękę Fulkego tuż przed swoją twarzą. Trzyma w palcach kawałek mięsa, z którego sos kapie na jego czarne aksamitne pończochy. Gdy kręcę głową, przerażona wizją jego paluchów w pobliżu moich ust, Fulke unosi krzaczastą brew. Pyta? Żąda?

Spraw się.

Rozchyłam lekko wargi, a wtedy Fulke natychmiast wpycha mi mięso do ust. Wkłada w to znacznie więcej siły, niż to konieczne. Gdy następnie próbuje wpakować mi do ust palce, zaciskam wargi i momentalnie odwracam głowę.

Fulke uśmiecha się szyderczo.

– Złościca z ciebie.

Czuję na sobie wzrok Midasa i natychmiast spinam ramiona.

– I dobrze... zapowiada się podniecający wieczór!

Fulke wpycha mi teraz do ust chleb. Potem ser. A potem winogrona. Przeżuwać bezmyślnie, milcząc i zachowując ciągłą czujność. Moje wstęgi pozostają szczelnie zaciśnięte.

Fulke dwukrotnie stuka wyprostowanym palcem wskazującym w swój kielich, a ten za sprawą jego mocy natychmiast się duplikuje. Król podaje mi naczynie. Jedno pstryknięcie palców i sługa podbiega do nas, by nalać trunku nam obojgu.

– Wypijmy za naszą noc – mówi Fulke, po czym pochyla kielich i kilkoma haustami wypija całą jego zawartość. Ja pociągam niechętnie tylko jeden mały łyk.

Gdy królowi nudzi się już karmienie mnie, odstawia kielichy na stół i odpędza służbę proponującą mu kolejne przekąski. Nareszcie! Mój żołądek jest ciężki od jedzenia, a język dość ma już smaku palców Fulkego, od którego wciąż nie mogę się uwolnić.

Oczywiście to nie koniec mojej udręki. Fulke wskazuje teraz palcem na swój pulchny polik.

– Pocałuj mnie.

Przymrużam oczy i napinam się cała. Moje ukryte w tkaninie sukienki palce zaciskają się. Gdy się nie poruszam, w oczach Fulkego pojawia się błysk. Chwyta mnie za ucho i przyciąga ku sobie moją twarz, aż moje usta lądują na jego poliku. Jest szorstki, nie zadbany i gładki jak u Midasa. Nalana twarz i pulchne policzki Fulkego czuć winem, ale jednocześnie unosi się wokół niego smród niezdrowego podniecenia.

Moje usta nie marszczą się, bo nie całuję Fulkego. Moja twarz zostaje po prostu przyciśnięta do jego skóry, podczas gdy on kciukiem i palcem wskazującym wciąż trzyma moje ucho.

– No i co? Nic trudnego, prawda? – śmieje się Fulke.

Gdy tylko puszcza moje ucho, odsuwam się energicznie. Omal nie spadam przy tym z tronu, lecz król chwyta mnie mocno za rękę, coraz głośniejsze przy tym śmiejąc.

– Nie musisz jeszcze padać przede mną na kolana! – rechocze, rozbawiony.

Czuję falę gorąca na policzkach. Ze wstydu i ze złości. Mam ochotę uciec. Chcę być na górze, bezpieczna w swojej klatce, za jedyne towarzystwo mając hulający za oknem wiatr.

Fulke nie puszcza mnie od razu, tylko ścisza mnie jeszcze mocniej. Aż zastanawiam się, czy na moją złotą skórę wyjdą później brązowe sińce.

– Coś za daleko się ode mnie trzymasz! – rzuca Fulke i nieoczekiwanie ciągnie mnie ku sobie, sadzając na swoich kolanach. Jestem pod pewnym wrażeniem: byłam tak zeszywniała, że to cud, iż w ogóle zdołał ruszyć mnie z miejsca.

Niezgrabnie i drętwo ląduję na kolanach Fulkego. Gdy tyły moich nóg uderzają o jego uda, wyprężam tułów, by nie oprzeć się o jego pierś. Usiłuję chwycić się podłokietnika, ale król błyskawicznie łapie mnie za nadgarstek i kładzie moją dłoń na swoim kroczu.

– Ręka tutaj, złociutka.

Otwieram szeroko oczy, czując, jak przewraca mi się w żołądku. Ukryty pod pończochami miękki członek Fulkego zaczyna twardnieć pod moją dłoń. Chcę cofnąć rękę, ale nie mam szans – król zdumiewająco mocno trzyma mój nadgarstek. Choć mieszkam na co dzień w klatce, nigdy nie czułam się tak zniewolona jak w tej chwili.

– Wasza wysokość? – Słyszę nagle głos stojącej przed tronem Rissy. Fulke patrzy na nią ponad moim ramieniem. – Czy zatańczyć dla ciebie? – pyta Rissa z wyzywającym uśmiechem. Jej długie blond włosy opadają falami na nagie piersi, częściowo je zasłaniając. Fulke

przekrzywia głowę i wodzi po jej ciele wygłodniałym wzrokiem. Potem skinieniem daje jej znać, by zaczęła tańczyć.

Rissa zaczyna zmysłowo się poruszać. Tkanina jej czarnej spódnicy szeleści cicho na gładkiej posadzce, omiatając jej kostki. Jej biodra podążają za pulsującą muzyką, a w oczach i na ustach maluje się pokusa.

Fulke puszcza wreszcie mój nadgarstek i rozpiera się na tronie. Gdy skupia się na tańczącej Rissie, mam szansę w końcu uwolnić rękę.

– Patrz na nią. – Fulke przysuwa usta do mojego ucha znacznie bliżej, niżbym chciała.
– To jest mięso, które robi, co trzeba. Ucz się od niej, jak zadowala się mężczyznę.

Zadowolić mężczyznę... – jakby to miało być racją bytu kobiety, obojętne, czy jest mięsem, czy nie. Kącik moich ust unosi się w dyskretnie szyderczym uśmiešku. Rissa natomiast uśmiecha się szczerze – cieszą ją słowa uznania ze strony króla. Mierzy mnie wzrokiem, jakby próbowała ustalić, czy jestem zazdrosna. Oczywiście nie jestem – jeśli coś w tym momencie czuję, to jest to ulga. Nie wiem, czy Rissa chciała mi zrobić przysługę, ale zawdzięczam jej moment wychnienia od nieustannej uwagi Fulkego. Dała mi to, co ja próbowałam dać jej w bibliotece.

Nikt z obecnych nie zauważył zapewne delikatnej opuchlizny na jej nosie i makijażu pod okiem, który niemal na pewno maskuje siniaki. Ja natomiast widzę je aż nadto dobrze i aż wzdrygam się w środku. Naprawdę nie chciałam zrobić jej krzywdy!

– Niezła z niej tancerka, co, zabaweczko?

Posłusznie przytakuję. Fulkego wyraźnie podnieca, gdy się dla niego tańczy. Rissa, jak zawsze dająca z siebie wszystko, cały czas uwodzicielsko się kołysze.

Jest piękna. Ma idealnie zarysowane kości policzkowe i duże, okrągłe oczy. Jej blond włosy sięgają niemal do talii. Do tego smukłe, zgrabne ciało i pełne różowe usta. Nic dziwnego, że tak podoba się Fulkemu. Rissa ma zresztą nie tylko urodę. Wszystkie dziewczyny z haremu Midasa są piękne, lecz ona ma do tego pewność siebie. Potrafi przejrzeć mężczyznę na wylot; wie, jak go uwodzić. Stosownie do sytuacji zmienia chód i sposób mówienia. Potrafi stać się dokładnie tym, czego dany mężczyzna pragnie.

Fulke opiera dłoń na moim biodrze. Czuję jego grube palce powyżej miednicy: wpijają się w moje ciało coraz bardziej zapalczywie. W końcu jednak i to mu się nudzi, a wtedy każe mi usiąść na posadzce i oprzeć się o jego nogi. Widać podnieca go myśl, że oto ma największy skarb Midasa u swoich stóp.

Przysiadam na podkulonych nogach – tylko w ten sposób mogę chociaż częściowo pozostać zakryta. Tymczasem niektórzy możni robią się coraz śmielsi. Wino ewidentnie robi swoje. Podchodzą kolejno w okolice podestu i gapiąc się na mnie, wymieniają uwagi. Odpowiadam im tak samo impertynenckim spojrzeniem. Nie pochylam głowy i nie odwracam wzroku.

Niech gadają.

Niech patrzają.

Fulkego pochłania akurat rozmowa z Midasem i kilkoma innymi mężczyznami. Dyskutują o przebiegu nowych szlaków handlowych z Czwartego Królestwa i potencjalnych bogactwach, które przyniosą im kopalnie w Blackroot. Jakby mało im było, że znajdują się w szczyrołotej sali balowej...

Im dłużej jestem zmuszona siedzieć na posadzce, tym bardziej dają mi się we znaki kolana i łydki. Staram się zmieniać pozycję, by sobie ulżyć i spowodować, by krew sprawniej docierała do moich umęczonych kończyn.

Nagle cała sztywnieję, bo na swojej głowie czuję dłoń Fulkego. Zachowuje się jak pan

poklepujący wiernego psa.

– Właśnie, co do nowych towarów... – zaczyna myśl Fulke, przeczesując palcami moje włosy. – Jeden kosmyk z jej głowy musi być wart tyle, co miesięczna wypłata parobka.

– Hm... – Ton Midasa jest niezobowiązujący, ale widzę, że król obserwuje dłoń Fulkego na moich włosach. Jego spojrzenie jest zaborcze, jednak Midas nie interweniuje. Nie zamierza powstrzymać swojego sojusznika. Czuję nagle coś jakby wilgotny trzask w oczach, jakby w moich tęczęwkach zamigotał raptem niewidzialny płomień. Czuję wzbierające łyzy i mam wrażenie, że zmagam się z płynnym ogniem. W tej właśnie chwili na fundamencie dziesięcioletniego zaufania pojawia się rysa. Obraz tego, na którego zdałam się w pełni, zostaje ukruszony niczym szkło. Na jego tafli pojawia się pierwsza niteczka pajęczej sieci rozpadu.

Rissa przestaje tańczyć i podchodzi od tyłu do Fulkego. Swoje zręczne palce kieruje ku jego ramionom, jednocześnie z gracją zarzucając nogę na podłokietnik tronu. Gdy on dalej prowadzi rozmowę, ona wprawnie wędruje dłońmi w dół, wiodąc zmysłowym dotykiem od ramion, przez brzuch, po pas. Gdy przesuwając ręką po naprężającym się członku, uśmiecha się szelmowsko, czując na sobie wzrok innych mężczyzn. Widzi, że obserwują jej ruchy wygłodniałym wzrokiem. Potrafi dać spektakl nie tylko dla króla, po którym wędrują jej dłonie.

I nagle dociera do mnie, że ta kobieta, ta sztuka mięsa, ma wielką moc. Nie magiczną, jak królowie czy królowe, ale pozwalającą zyskać nad kimś władzę. Gdy wodzi wprawnymi dłońmi po ciele króla, ma w garści wszystkich mężczyzn wokół: napędza ich emocje, włada ich pragnieniami i karmi ich fantazje.

Przez wszystkie lata na dworze ani razu nie zrobiłam czegoś takiego jak ona teraz. Nigdy się tego nie nauczyłam i nie uważałam, że powinnam spróbować. I tak z nikim się mną nie dzielono. Tymczasem przy Rissie muszę wydawać się najgorszym mięsem, jakie tylko można sobie wyobrazić: oto siedzę sztywna jak kij, z dłońmi złożonymi przed sobą, i wzdrygam się na najdrobniejszy dotyk Fulkego.

– Dobra w tym jesteś – szepczę do Rissy tak, by nie usłyszał nas nikt inny.

– Jak to mięso – mówi to tak, jakby to jedno słowo starczało za całą odpowiedź.

I chyba rzeczywiście wystarcza.

– Na nas już pora, zabaweczko – komenderuje nieoczekiwanie Fulke, wpatrując się głęboko w mój dekolt. – Idziemy na górę. Czas, żebym zanurkował w twojej złotej cipce, skoro Midas o świcie chce mieć cię z powrotem. – To mówiąc, szarpie mnie za rękę do góry, by postawić mnie na nogi. Czuję, jak błyskawicznie wraca mi krążenie.

– Ty już zmykaj – zwraca się do Rissy. – Dziś nie będę cię potrzebować.

– Tak jest, wasza wysokość – odpowiada mu pokornie Rissa, po czym kłania się i z gracją oddala w stronę grupki mężczyzn, którzy tak baczenie jej się przyglądali.

Fulke, wciąż trzymając mnie za ramię, zwraca się teraz do Midasa.

– Życzę zatem dobrej nocy – mówi z szyderczym uśmiechem. – Mam chęć zostać z nią sam na sam.

Midasa odpowiada mu skinieniem głowy, jednak jego wzrok pada na mnie.

– Miłego – rzuca zdawkowo.

Tyle ma do powiedzenia: „miłego”. Jakbym była zabawką albo czymś do zjedzenia! Odwracam głowę, nie potrafię dłużej na niego patrzeć. Rysa na szkle wydłuża się o kolejny centymetr.

Otocza nas kilku strażników. Towarzyszą nam, gdy Fulke schodzi z podwyższenia i rusza w stronę komnaty. Tych kilku zbrojnych to jedyne, co oddziela mnie od rechoczącego tłumu. Gdy idziemy przez salę, co i rusz rozlegają się rozochoczone okrzyki.

– Weź ją na ostro, panie!

– Niech złota cipa poczuje królewską lancę!

Zaciskam zęby, gdy zalewa mnie ta fala wulgarności. Potwornie mnie korci, by odwinąć z siebie wstęgi, zaostrzyć ich krawędzie i pochlastać te szczerzące się chamskie twarze. Gdy Fulke ku ucieście gawiedzi ostentacyjnie klepie mnie w tyłek, końcówki wstęg zaciskają się na moich żebrach niczym palce zwierane w pięść.

Muszę być silna.

Muszę.

Tylko że... już samo to, że musnął mój tyłek, wystarcza, bym wzdrygnęła się ze wstrętem. Jak dam radę pozwolić mu dotykać się gdzie indziej? Jak mam przez to wszystko przebrnąć?

Zabaweczko.

Usiądź grzecznie.

Spraw się.

Zaufaj mu.

I nagle, w tej właśnie chwili, pośrodku sali balowej otoczona przez rechoczących satyrów, postanawiam, że tego nie zrobię.



ROZDZIAŁ 12

Nie chcę, żeby ten człowiek mnie dotykał. Nic mnie nie obchodzi ani to, że jest królem, ani to, że mój król mnie prehandlował. Nie obchodzi mnie nawet to, że dzięki tym swoim targom wygrał bitwę. Nie dam sobie tego zrobić. Nie zamierzam ot tak położyć się i tego przyjąć. Nie sprawię się. Midas... po prostu nie może tego ode mnie wymagać. Nie ma prawa tego ode mnie żądać!

Zatrzymuję się raptownie tuż przed złotymi drzwiami prowadzącymi na korytarz. Fulke i strażnicy przez moment nie zauważają nawet, że przestałam dotrzymywać im kroku. Zbyt pochłania ich atmosfera święta. Wszyscy są zbyt podnieceni.

Dopiero po chwili, już pod drzwiami, orientują się, że nie ma mnie przy nich i zostałam o dobrych kilka kroków z tyłu. Król odwraca się jako ostatni, za to jako pierwszy się odzywa.

– No chodź, złociutka – rzuca, marszcząc krzaczaste brwi.

Czuję się, jakbym miała szyję z kamienia. Udaje mi się jednak zmusić do tego, by pokręcić głową.

– Nie.

Słowo daję, że mój głos niesie się echem. Niedorzeczne, przecież wokół gra muzyka i tłoczy się dwieście pijanych osób. A jednak – moje jedno cicho wypowiedziane słowo zdaje się mieć efekt porównywalny z łoskotem lawiny. Wszyscy milkną i nastawiają ucha. Wszyscy są ciekawi przyczyny wiszącego w powietrzu napięcia.

– Co takiego? Coś ty powiedziała? – Z twarzy Fulkego natychmiast ulatuje rozbawienie. Jego ciemne oczy lśnią teraz oburzeniem i niedowierzaniem.

Cofam się o krok i pomimo strachu z rozmysłem raz jeszcze kręcę przecząco głową.

– Jestem królewską faworytą! – mówię mocnym głosem, unosząc podbródek; z moją hardą postawą nie licują jedynie trzęsące się ręce. – Może i jestem złota, ale nie dam się traktować jak moneta.

Myślałam, że już wcześniej zaległa cisza. Myliłam się. Dopiero teraz jej bezmiar jest wręcz przygniatający. Ucichł nawet wiatr za oknami.

Rozglądałam się, choć sama nie wiem za czym. Czyżbym szukała sojusznika? Żadnego przecież nie mam.

Nie widzę zbliżającego się ciosu do chwili, gdy moja głowa odskakuje w prawo, a ja czuję eksplozję przeszywającego, krwistego bólu. Nie upadam tylko dlatego, że Fulke trzyma w garści tył mojej sukienki. Czuję, jak miażdży między palcami kilka moich wstęg.

Następnie popycha mnie w stronę Midasa, który zmierza już w naszym kierunku. Ludzie rozstępują się przed nim, jakby był zabójczą falą wcinającą się w łąd.

– To tak zwraca się twój harem do koronowanych głów?! – Fulke z wściekłością wypluwa słowa, a jego ślina ląduje na mojej obolałej twarzy, gdy mną potrząsa. – Powiniennem jej za to ścigać łeb!

– Oddałem ci jej cipę, nie głowę – odpowiada spokojnie Midas, mijając kolejnych zdumionych gapiów.

Czuję na policzkach cienkie strużki. Żalodne krople spadające nadaremno na posadzkę u moich stóp.

Wiem, że powinnam siedzieć cicho. Wiem to. Ale nie wytrzymuję. Zresztą i tak już wpakowałam się w kłopoty, więc co mi szkodzi? Czy mam cokolwiek do stracenia?

– Tylko tyle jestem warta? – pytam cicho. Zwracam się nie do Fulkego, a do Midasa. Pytam nie o wartość mojego złotego ciała, a o miłość, którą mam w sercu. Czy naprawdę nie jest warta więcej?

– Warta? – Midas zdaje się gotować ze złości, gdy zatrzymuje się naprzeciw mnie. Mówi cicho, jednak stojący najbliżej i tak nas słyszą. Krąg gapiów się zacieśnia; każdy chce usłyszeć, jakie będą następne słowa króla. – Jesteś warta więcej niż całe złoto w tym pałacu. Ale należysz do mnie i będę tobą rozporządzał, jak uznam za stosowne.

Nie słyszałam dotąd, jak łamie się serce. Okazuje się, że brzmi to jak rysa biegnąca z trzaskiem po szkle.

Przecież obiecałeś, że będę bezpieczna. Obiecałeś, że twoje serce zawsze będzie moje.

Chcę powiedzieć to na głos, ale milczę. Tylko moje mokre od łez oczy niemo wykrzykują prawdę.

Król jej nie słyszy. Patrzy tylko na swojego sojusznika.

– Zechciej wybaczyć, królu Fulke. Daruj jej głupotę, byłem wobec niej zbyt pobłażliwy. Więcej ci się nie sprzeciwi.

Nie wiem, czy Fulke się uspokoił, bo na niego nie patrzę. Midas tymczasem zwraca się ponad mną do strażników.

– Odprowadzić Auren do komnat króla Fulkego! – rozkazuje.

– Nie! – W przyływie desperacji próbuję się wyrwać, lecz natychmiast chwyta mnie dwóch przybocznych Fulkego. Wloką mnie naprzód bez najmniejszego wysiłku. Uwięziona pomiędzy purpurowymi zbrojami strażników jestem tygłem złości i szoku. Miotam przekleństwa na lewo i prawo, ale żelazny chwyt się nie rozluźnia.

Idący na czele król Fulke na moment przystaje w drzwiach.

– Cisza! – rzuca ostro w moją stronę. – Albo zleję cię tak, że cała będziesz w złotych sińcach!

Milknę, choć wcale nie jestem pewna, czy pozwoli mi to ocalić skórę. Znieważylam Fulkego publicznie, a z tego, co wiem, królowie nigdy nie pozostawiają takiego afrontu bez kary.

Opuszczamy salę balową. Jestem prowadzona przez główny korytarz w stronę reprezentacyjnej klatki schodowej. Nim jednak do niej docieramy, frontowe wrota otwierają się na oścież. Wpada przez nie umundurowany żołnierz Fulkego. Trzymający wartę ludzie Midasa nakazują mu się zatrzymać, lecz ten, dostrzegłszy Fulkego, ignoruje ich i rzuca się w jego stronę.

Purpurowa peleryna przybysza pokryta jest śniegiem i lodem, jego buty oblepia zamrznęta śniegowa breja. Biegając, ślizga się na posadzce, mimo to nie traci równowagi.

– Panie!

Fulke przystaje, marszcząc brwi.

– Co to ma znaczyć?

Gdy pokryty błotem i śniegiem żołnierz staje przed nami, dyszy tak bardzo, że musi przyklęknąć, by złapać oddech, zanim zacznie mówić. Pancierz na jego piersi pokrywa lodowa skorupa, a jego twarz jest czerwona i spierzchnięta od wiatru.

– Skąd przynosisz wieści, żołnierzu? – pyta jeden z przybocznych króla, stając pomiędzy nim a nowo przybyłym.

– Spod granicy Czwartego Królestwa, panie – odpowiada żołnierz.

Przyboczny marszczy brwi.

– Gdzie Gromes? – pyta.

Żołnierz kręci głową.

– Posłaniec padł w boju. Generał wyprawił jeszcze dwóch kolejnych, ale tylko mnie udało się dosiąść skrzydłoroga i nie zostać zestrzelonym. Leciałem cały dzień i całą noc.

Nagle rozlega się donośny śmiech. Przez otwarte drzwi sali balowej na korytarz wytacza się kilku uczestników przyjęcia. Idą jak po omacku, zupełnie nie wiedząc, co się dzieje.

Po chwili pojawia się także Midas w asyście sześciu (a jakże) strażników, pośród których zauważam Digby'ego. Szybkim krokiem zacierają w naszą stronę. Na widok posłańca Midas natychmiast się zasępia.

– Chodź, pomówimy na osobności. Z dala od oczu i uszu tych hulaków – zaprasza żołnierza, ruchem głowy wskazując wejście do znajdującej się po lewej stronie kancelarii. Liczę na to, że w tym zamieszaniu uda mi się wymknąć, lecz strażnicy wciąż trzymają mnie mocno. Ciągną mnie teraz korytarzem, lecz już nie w stronę schodów, a do pomieszczenia, które wskazał Midas. Cała nasza grupa wchodzi do środka.

We wnętrzu stoi kilka stołów z krzesłami. Wałają się na nich arkusze pergaminu, świece, pióra i butelki z inkaustem. Każdy, kto chce napisać i nadać list, może z nich skorzystać.

Drzwi zamykają się za nami. Jestem teraz w kancelarii z dwoma królami, z których każdemu towarzyszy po pięciu strażników.

Posłaniec nie wygląda na ani trochę bardziej opanowanego niż w chwili, gdy wbiegł do pałacowego holu. Przeciwnie, mam wrażenie, że jego oddech jest jeszcze bardziej nerwowy. Gdy staje za jednym ze złotych stołów, natychmiast zaczyna niespokojnie rozglądać się po pomieszczeniu.

– A zatem? – pyta Fulke tonem niecierpiącym zwłoki. – Mów, dlaczego mój posłaniec nie żyje, a spod granicy przysłano tu ciebie?

Ręce żołnierza drżą. Czy z wycieńczenia, czy z nerwów – tego nie wiem.

– Panie – zaczyna niepewnie – gdybyś zechciał wysłuchać mnie na osobności...

Fulke tylko gniewnie mruży swoje ciemne oczy.

– Czyżbyś zdradził, żołnierzu? Zdezterowałaś?

– Co takiego? – Oczy posłańca rozszerzają się w zdumieniu. – Nic podobnego, panie!

– Więc tłumaczcie, o co chodzi! – żąda Fulke, uderzając pięścią w stół. Ja i posłaniec aż kurczymy się ze strachu.

Na twarzy żołnierza pojawia się ponura determinacja, wciąż jednak zaciska nerwowo dłoń na rękojeści miecza.

– Gdy tylko twoje wojska przekroczyły granicę Czwartego Królestwa, panie, ludzie króla Ravingera przypuścili szturm. Twój korpus ekspedycyjny został zdziesiątkowany.

Król Fulke marszczy brwi.

– Mylisz się, żołnierzu. Przełamaliśmy ich linie nad ranem i zajęliśmy Cliffhelm. Połączone siły nasze i Szóstego Królestwa odniosły zwycięstwo. Czwarte Królestwo zostało wzięte zaskoczenia i już trwają negocjacje.

Posłaniec rozgląda się nerwowo. Na moment zatrzymuje wzrok na stoickim, wyzutym z emocji obliczu Midasa, po czym ponownie zwraca się do Fulkego.

– Nie, wasza królewska mość.

– „Nie”? – powtarza za nim Fulke, jakby nigdy nie słyszał tego słowa. – Co to znaczy „nie”?

– My... nie zajęliśmy Cliffhelm. W pobliżu były koszary pełne żołnierzy. Runęli na nas, nim zdążyliśmy drasnąć mury.

Jeden z przybocznych Fulkego klnie. Sam król zaciska palce w pięść.

– Mówisz, że cała moja dywizja została rozbita?

Posłaniec się waha.

– Tak, panie – odpowiada po chwili. – Ale...

Fulke sięga po kałamarz i z wściekłością ciska nim o ścianę. Szkło rozpryskuje się z głośnym brzękiem, a wokół bryzga inkaust.

– Ale co?! – grzmi Fulke. – Wyduś to z siebie!

Coś tu jest bardzo nie tak. Bardzo. Przecież świętowano. Plan rzekomo się powiódł. Marszczę brwi, a w mojej głowie rozpędza się gonitwa myśli. Co wydarzyło się w ostatnich godzinach? Jak to możliwe, że królom przekazano tak bardzo nieprawdziwe informacje? A może... żołnierz kłamie? Tylko po co miałby to robić?

Posłaniec, którego Fulke mierzy gniewnym spojrzeniem, zaciska palce na rękojeści miecza i nie jestem jedyna, która to dostrzega.

– Co robisz, żołnierzu? – pyta jeden z przybocznych podejrzliwym tonem, sam także sięgając po broń. Żołnierz jednak nie patrzy na niego. Ani nawet na Fulkego. Patrzy na Midasa.

W moim ciele wzbiera napięcie. Mój instynkt na cały głos krzyczy, że zaraz wydarzy się coś bardzo złego. Nie mam jednak pojęcia co.

– Wyjaśnij mi, jak to możliwe, że rano doniesiono nam o zdobyciu Cliffhelm, a teraz ty zarzekasz się, że moich ludzi wyrżnięto? – pyta ostro Fulke. – W jaki sposób niby ludzie Ravingera mieli rozbić moje wojska i wojska Midasa, że żaden z nas by się nie dowiedział?!

Przybocznicy Fulkego ciśnieją otaczając posłańca. Są jak wataha wilków, które wyczuły zdrajcę. Kłamcę.

Osaczają jednak nie tego, kogo trzeba.

Posłaniec podnosi wysoko głowę. Stoi dumnie wyprostowany, choć w jego oczach widać cień rezygnacji.

– Nie rozbili armii Midasa, ponieważ jej tam nie było. Oddziały Szóstego Królestwa nie stawiły się na granicy i nie dołączyły do naszych. Twoi ludzie, panie, starli się z wojskami króla Ravingera sami. Doniesienia, które dotarły do ciebie wcześniej, były kłamliwe. – Oskarżycielskie spojrzenia natychmiast wędrują w stronę mojego króla. – Midas cię zdradził.



ROZDZIAŁ 13

Przez jeden oddech nikt się nie porusza. Słowa posłańca sprawiają, że zapada druzgocąca, podszyta zdumieniem cisza. Lecz zaraz obie grupy strażników formują szyk obronny wokół swoich panów.

Król Fulke marszczy brwi wyraźnie zbity z tropu.

– Mylisz się, żołnierzu. Nie zrobił tego.

– On mówi prawdę.

Na dźwięk tych zuchwałych słów mój wzrok natychmiast przenosi się na Midasa. Ten przygląda się tylko Fulkemu arogancko, robiąc wrażenie zadowolonego z siebie. Z twarzy Fulkego znika wyraz dezorientowania, a wkrada się na nią szok, który w ułamku sekundy ustępuje miejsca wściekłości. Gniew rozpełza się po jego ciele, w miarę jak dociera do niego, co się stało.

– Zdradziłeś mnie? – Pytanie Fulkego jest jak smagnięcie biczem. Otaczający go przybocznicy mocno ściskają broń. Na rękojeściach ich mieczy widać godło królestwa: lodowe sople otoczone purpurą.

Jeszcze przed chwilą uctowali. Pili i śmiali się razem. Teraz mierzą się wzrokiem, a atmosfera gęstnieje z każdą sekundą.

Sojusznicy wrogami.

– Niech to będzie dla ciebie ostatnia lekcja, Fulke. – Głos Midasa jest opanowany. Widać, że ani trochę nie udziela mu się wiszące w powietrzu napięcie. – Prawdziwi królowie nie oddają armii za dymanie.

Nie wiem, kto wygląda na bardziej zszokowanego – Fulke czy ja. Władca Piątego Królestwa wpatruje się w Midasa, jakby widział go po raz pierwszy, jakby nagle przestały oślepiać go wszechobecne złoto i niezmierzone bogactwo.

– W ogóle nie zamierzałeś atakować Czwartego Królestwa... – mówi słabnącym tonem, wreszcie rozumiejąc.

Midas się śmieje. Wprost wyśmiewa stojącego naprzeciw króla.

– Oczywiście, że nie. Każdy wie, że nie najeżdża się Czwartego Królestwa. Ravinger wybije do nogi wszystkich, którzy ośmielą się próbować.

Widzę, jak na twarzy przybocznych Fulkego zakrada się ponura nienawiść. Przenika je mrok, a w ich oczach pojawia się niebezpieczny błysk.

Ogarnia mnie przerażenie, gdy uświadamiam sobie skalę podstępu Midasa. Od lat pielęgnował relacje z Fulkem. Uwodził go złotem i napełniał nim jego kufry. Fulke zaś ochoczo i łapczywie sięgał po więcej. Zawsze zastanawiało mnie, co właściwie Midas ma z tego sojuszu. Teraz już rozumiem. Nigdy tak naprawdę nie zamierzał uczynić Fulkego bogatym, traktował po prostu Piąte Królestwo jak swój drugi skarbiec. Fulke był tylko chłopcem na posyłki, który przewoził złoto z miejsca na miejsce. Midas tymczasem czekał na właściwy moment.

Genialny plan. Brutalnie genialny.

Wiem już ponad wszelką wątpliwość, że z kancelarii tylko jeden z królów wyjdzie żywy.

Fulke zaciska wargi. Na jego skroni pojawia się kropla potu. Kiwa głową. Nie wiem, czy to znak pogodzenia się z losem, czy zrozumienia. Nie widać po nim strachu. Gdy kolejne elementy układają się w całość, on tylko patrzy lodowato na Midasa.

– W ogóle nie posłałeś wojsk do szturm. Od początku kłamałeś, żeby wydać moich ludzi na rzeź. Odciągnąłeś ich na granicę, żeby samemu móc najechać moje królestwo.

Oczy Midasa aż lśnią, gdy napawa się satysfakcją. Fulke patrzy na niego coraz bardziej nienawistnie.

Sojusznicy wrogami.

Kropla potu spływa po skroni Fulkego niewidzialną linią. Równie niewidzialną jak granica, którą przekroczył Midas.

Nie ma żadnego ostrzeżenia. Nie wiem nawet, który z królów pierwszy nakazuje atak. Wiem tyle, że w ułamku sekundy wywiązuje się walka.

Nim zdążę choćby mrugnąć, ktoś rzuca mnie na ziemię. Mój upadek amortyzuje tylko dywan; na moment aż zapiera mi dech.

Złoto i purpura ścierają się w wirze metalicznego szczęku. Zaraz dołącza do nich czerwień – ostre krwawe bryzgi.

Słyszę urywane okrzyki. Klingi zderzają się, zamach za zamachem. Gwałtowność tego wszystkiego oszałamia mnie i przywołuje wspomnienia. Moja przeszłość i teraźniejszość nieoczekiwanie się spotykają.

Starcie jest głośne i toczy się tuż obok mnie. A ja leżę płasko na ziemi, tak samo jak innej nocy, gdy wokół toczyła się inna walka. Tamta toczyła się pod żółtym księżycem o kształcie drapiącego niebo paznokcia. Dziesięć lat temu, gdy do wioski, w której mieszkałam, wdarli się bryganci. Robili to, co zwykle – przywłaszczali sobie wszystko, co nie było ich: pieniądze, trzodę, ziarno. I kobiety.

Gdy po latach znów słyszę szczęk mieczy, jest on dla mnie jak krwawa melodia. Jak odgłos śmierci, przywołujący wspomnienie o tawernianej pieśni, którą grałam kiedyś na harfie.

Złupili wieś do cna,

spalili, co się da.

Nie służą żadnemu królowi,

a pokłonią się pierścieniowi.

Nieudolne rymy raz za razem powracają w mojej głowie, gdy leżę na posadzce, zatykając

uszy. Będąc myślami na zmianę to tam i wtedy, to tu i teraz, zaczynam pełznąć do tyłu, chcąc dotrzeć pod ścianę. Jeśli mi się uda, może zdołam doczołgać się do drzwi, a wtedy...

W tym momencie pada na mnie czyjeś ciało. Impet uderzenia jest tak potężny, że walę podbródkiem o posadzkę i przez moment widzę przed oczami gwiazdy. Głośno stękając, z ogromnym wysiłkiem usiłuję zepchnąć z siebie człowieka, który mnie przygniótł. Gdy w końcu mi się to udaje, orientuję się, że jest nieżywy. Na amen.

Nim w pełni dociera do mnie, że przed momentem runął na mnie trup bez głowy, ktoś stawia mnie na nogi. Dzwoni mi w uszach i raz po raz wraca do mnie ta cholerna piosenka. Tymczasem ktoś przyciska mi do gardła ostrze.

– Suczy synu! – wrzeszczy Fulke tuż przy moim uchu, popychając mnie przed sobą. Z moich ust wyrывa się jęk, bo szarpiąc mną, zbyt mocno przyciska sztylet do mojej szyi. Czuję, jak ostrze nacina moją skórę. – Myślisz, że jesteś taki przebiegły?! Chcesz mnie zabić? – ryczy Fulke. – No to zabiorę ze sobą twoją złotą dziwkę!

Nierzeczywiste wrażenie: czuć na sobie oddech śmierci, całkiem dosłownie. W tym wypadku śmiercią jest Fulke, a gorące wyziewy z jego gardła rozlewają się po mojej skórze jak wino. Czuję, jak z każdą sekundą nasączają ją strachem.

Fulke ściska ręką sztyletu tak mocno, że wprawia go w drżenie. To zaś powoduje, że ostrze coraz mocniej naciska na moją skórę. Czuję, jak zbiera się pod nim krew.

Na posadzce i stołach leży ośmiu mężczyzn. Życie ucieka z każdego z nich czerwoną strużką i rozlewa się po podłodze. Mrugam, przyglądając się czerwonym kałużom. Wciąż trudno mi uwierzyć, że to nie farba, a to wszystko nie jest koszmarem sennym, któremu wtóruje ta straszna, nawracająca melodia.

A jednak – nie jest.

Wszyscy ludzie Fulkego, łącznie z posłańcem, są już martwi. Nie żyje również trzech żołnierzy ze straży przybocznej Midasa. Dwóch ostatnich jest wciąż u jego boku, gotowych bronić go dalej splamionymi czerwienią złotymi mieczami.

Na zewnątrz wyje wiatr. Słysząc, jak o okienne szyby bije grad. Midas patrzy na mnie – w jego oczach jest coś nieuchwytnego. Moje za to są pewnie wielkie ze strachu.

Zaciskam powieki. Nie chcę widzieć, co się zaraz wydarzy. Nie chcę oglądać reakcji na widok mojego rozplatanego gardła.

Zginę. Wiem, że zginę.

Ledwie zamykam oczy, a czuję, jak ostrze znów naciska na moją szyję. Jakby osaczało mnie i zaganiało w pułapkę. Czując, że groźba Fulkego zaraz się wypełni, biorę swój ostatni wdech. Zatrzymuję powietrze w piersi, zbierając się w sobie, jakbym próbowała siłą woli nie dać się pozbawić tchu.

Jednak gdy czekam już tylko na śmiertelne cięcie, ciało króla nagle zamiera. Ktoś szarpie mnie za ramię i odciąga na bok, gdy tymczasem Fulke pada na ziemię i zaczyna się trząść w konwulsjach. Gdy oszołomiona patrzę w dół, widzę, że jest na wylot przeszyty mieczem. Wtedy dopiero obracam głowę w prawo i widzę Digby'ego. No tak, Digby! Zapomniałam, że w ogóle był w kancelarii, a teraz to on podtrzymuje mnie silnym ramieniem. Jego twarz jest czerwona od krwi, a u jego boku wisi pusta pochwa.

Słyszając makabryczny charkot, spoglądam znów w dół. Krztuszący się krwią Fulke wije się na posadzce, bezgłośnie poruszając ustami. Trzyma za miecz w miejscu, gdzie klinga wychodzi z jego tułowia. Ostrze kaleczy mu dłoń, on jednak nie zwalnia chwytu, jakby próbował zakłąć miecz i narzucić mu swoją wolę.

Po chwili umiera w tej właśnie pozycji – z rękoma kurczowo zaciśniętymi na złotym mieczu. Jego twarz zastyga w makabrycznie szyderym uśmiechu. Jakby z jego ust spłynęła

kłątwa, która pośle nas wszystkich do piekła.

Midas stoi po przeciwległej stronie pomieszczenia. On i towarzyszących mu dwóch strażników nie spuszczają wzroku z Fulkego aż do jego ostatniego krwawego tchnienia. Nie widzę w tej chwili nic poza raną, z której wystaje klinga i z której sączy się gęsta niczym syrop krew. Dostaję drgawek. Widzę tunelowo. W głowie słyszę łomotanie serca. Łup, łup, łup. A może to wciąż grad bijący o okienną szybę?

Odwracam się i opieram głowę na piersi Digby'ego. Nie dbam o to, że ma na sobie twardą zbroję. Wtulam się w niego, czując, jak całe moje ciało drży.

– Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję... – powtarzam, szepcząc w jego pierś. Mój spokojny, milkliwy strażnik zabił właśnie króla, by uratować mi życie.

Słyszę głosy – Midasa, jednego z przybocznych i chyba również Digby'ego. Nie docierają do mnie wypowiedane przez nich słowa i nie mam siły się na nich skupić.

Chwieję się na nogach, przed oczami zaczynam widzieć mroczki. Tamci nadal rozmawiają. Grad nadal uderza o szyby. Melodia nadal powraca.

– Zabierz ją do komnaty – mówi Midas. A może tylko to sobie wyobrażam?

Digby mnie obejmuje. Unosi mnie, pozwalając mi nadal opierać twarz o swoją pierś.

– Ty masz na sobie krew. Ja mam na sobie krew... – Mój głos wydaje się odległy, ledwie słyszalny. Jakże nieistotna jest odrobina krwi wobec wszystkiego, co się przed chwilą stało. Nie wiem sama, dlaczego w ogóle o niej wspominam.

Digby niesie mnie daleko, daleko. A potem na górę.

– Potrzebuję... jasnej strony – mamroczę.

Muszę dostrzec w tym koszmarze jasną stronę. To pozwoli mi odzyskać równowagę. Jeśli jej nie znajdę, stoczę się w otchłań.

Jasna strona...? Jasna strona... Nie zostałam zabita ani zgwałcona.

Na Najwyższego! Co za dno! To ma być jasna strona?

Digby milczy. Nie podsuwa mi żadnych sugestii. Zresztą nie spodziewałam się tego po nim. Miarowy odgłos jego kroków przynosi mi jednak pewne ukojenie. Czuję się pewniej, choć mój umysł wciąż szaleje, a czarnych plam przed oczami przybywa.

– Zabiłeś dla mnie króla, Digby – mamroczę.

Za całą odpowiedź dostaję chrząknięcie.

Na moment zamykam oczy, ukołysana miarowymi krokami wartownika. Gdy je otwieram, w pierwszej chwili myślę, że minęło ledwie kilka sekund, jednak zaraz orientuję się, że jestem już na najwyższej kondygnacji zamku. Dotarliśmy do mojej sypialni, a Digby układa mnie właśnie na łóżku.

Siadam na materacu, podpierając się rękami. Zanurzam palce w pościeli. Digby na odchodne raz jeszcze zerka na mnie, po czym oddala się cicho. Słyszę skrzypienie furty w mojej klatce i odgłos ostrożnie zamykanych drzwi. Zostaję sama. Za jedyne towarzystwo mam teraz zapalone świece.

Miałam tej nocy zostać zgwałcona przez króla. Król ten jednak nie żyje – został przeszyty ostrzem, stojąc kilka centymetrów ode mnie. Moje pantofle są wciąż mokre od jego krwi. Wciąż na karku czuję jego gorący oddech.

Ta noc mnie przytłacza. Miażdży ze wszystkich stron. Na mój umysł zewsząd nacierają wspomnienia o tym, co się stało. Raz po raz w szczegółach widzę bieg wydarzeń od chwili, gdy przebudziłam się rano, aż po tu i teraz.

Długo siedzę i myślę, wsłuchując się w wicher i gradobicie. Głowię się, czy w poprzednim życiu zrobiłam coś, czym głęboko uraziłam boginie. A może po prostu Szóste Królestwo, chmury i śnieg skryły mnie tak głęboko, że gwiazdy nie mogą mnie dostrzec?

Kolejna godzina upływa mi na rozmyślaniu. Tymczasem na moich butach krzepnie krew zabitego króla, a na szyi zasycha płytka rana od ostrza sztyletu.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 14

Z zamyślenia wyrywa mnie odgłos przekręcanego w zamku klucza. Drzwi otwierają się i daje się słyszeć odgłos kroków kilku ludzi. Słudzy wchodzą do mojej klatki i zdecydowanym krokiem mijają mnie, kierując się do łaźni. Z niesionych przez nich wiader unosi się para. Nie mija minuta, a wszyscy wychodzą, zamykając za sobą klatkę i drzwi na korytarz.

Nie odwracam się ani nie poruszam. Czekam i nasłuchuję. Czuję za sobą jego obecność i wiem, że patrzy na mnie. Siedzę jednak bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w okno, za którym szaleje śnieżycyca.

W końcu Midas zbliża się do mnie. Widzę teraz jego ciemną sylwetkę kilka kroków przed sobą.

Przez moment stoi bez ruchu. Nie widzę jego oczu, ale wyczuwam ich ruch: wiem, że patrzy na szramę na mojej szyi. Po chwili Midas robi trzy kroki naprzód i wyciąga do mnie dłoń.

– Chodź, najdroższa. Obmyję cię.

Podnoszę wzrok i patrzę w jego twarz. Nie podaję mu jednak ręki. Wyraz twarzy Midasa zdradza, że gnębią go wyrzuty sumienia.

– Wiem – mówi ochryłym głosem. – Wiem... ale pozwól mi wszystko wyjaśnić. Chcę cię przytulić... Chcę się tobą zaopiekować. Daj sobie pomoc, Auren.

Rysa na szkle przestaje się wydłużać. Jakby czekała, namyślając się. „Daj sobie pomoc” – Midas już kiedyś zwrócił się do mnie w ten sposób. Czy dlatego teraz użył tych słów? Chce mi o czymś przypomnieć?

Kiedy żyłam na ulicy, spałam w dzień, a nocami przemykałam się z miejsca na miejsce. Często doskwierał mi głód, zawsze towarzyszył lęk. Bałam się cokolwiek kupić, więcej – podejść do kogokolwiek. Robiłam to wyłącznie wtedy, gdy absolutnie musiałam.

Przemieszczałam się sama, trzymając się w ukryciu. Tylko w ten sposób dziewczynka taka jak ja mogła pozostać względnie bezpieczna. Musiałam się strzec, by kolejny raz nie znaleźć się w sytuacji, z której raz już uciekałam.

Żli mężczyźni. Wiedziałam już, że światem rządzą żli mężczyźni.

Jak mogłam, starałam się więc nie rzucać w oczy. Pozostawać niewidzialna. Jednak nie udawało mi się. Wiedziałam, że nie mogę zbyt długo pozostawać w jednym miejscu. Wiedziałam, ale zmęczenie brało górę. Miałam dość. Z wycieńczenia stałam się nieostrożna. Czulałam, że to tylko kwestia czasu, aż spotka mnie przez to coś złego.

Tamtej nocy zjawili się bryganci. Paląc i siekąc toporami, zajęli wioskę, w której się ukrywałam, a którą powinnam była opuścić już kilka dni wcześniej. Brali, co tylko chcieli. Miejscowi gospodarze nie mieli szans. Nikt nie uczył ich nigdy, jak się bronić, a za jedyny oręż mieli widły i łopaty.

Próbowałam uciekać, ale za późno. O wiele za późno. Dorwali mnie w bocznej uliczce i wrzucili na wóz z kobietami wywleczonymi nocą z łóżek. Wszystkie płakały i zawodziły, ja jedna milczałam pogodzona z losem. Zrezygnowana. Wiedziałam, że to koniec. Wiedziałam, że nie ma szans, bym zdołała uciec po raz drugi. Los nie jest tak łaskawy.

Zebrałam się więc w sobie, gotując się na spotkanie z życiem, przed którym próbowałam uciec. I wtedy pojawił się on. Midas. Zupełnie jakby zesłały go same boginie – nadjechał na jabłkowitym koniu z sześcioma zbrojnymi.

Z początku, słysząc krzyki, myślałam, że to walczą ostatni z wieśniaków. Zaraz jednak zobaczyłam, jak bryganci padają jeden po drugim. Jeszcze chwila i wóz został oswobodzony, a kobiety rozbiegły się, szlochając – tym razem przepełnione ulgą.

Ja nie miałam rodziny, do której mogłabym wrócić. Nie miałam dokąd pójść. Powleklam się więc z powrotem do swojego zaułka. Oparłam się ciężko o mur, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Dziękowałam niebiosom, ale wciąż nie dowierzałam, że to nie sen.

Niedługo później odgłosy walki ustały i zagaszono podpalone strzechy. Moje wychudzone, brudne ciało ogrzewał już tylko unoszący się w powietrzu dym.

I wtedy w uliczce pojawiła się samotna postać. Złęknioma skuliłam się za stosem skrzyń, lecz nieznamy zaraz stanął naprzeciwko mnie.

Spojrzałam na niego. Był przystojny i uśmiechał się do mnie. To nie był szyderczy grymas ani okrutna drwina. To był szczery, ciepły uśmiech. Ten jeden widok wystarczył, bym przestała drżeć. Mężczyzna, wciąż się uśmiechając, wyciągnął do mnie dłoń.

– Nic ci już nie grozi. Chodź, daj sobie pomóc.

Mówił prawdę. Nic mi nie groziło, a on mi pomógł.

Od tamtej chwili dzięki niemu byłam bezpieczna. Gdy chciałam ukryć się przed światem, dawał mi pelerynę z kapturem. Kiedy lękałam się zbliżyć do ludzi, dopilnowywał, żebyśmy pozostali na uboczu. Gdy wtulałam się w niego, obejmował mnie. Gdy pierwszy raz go pocałowałam, natychmiast odwzajemnił pocałunek.

Nic ci już nie grozi. Chodź, daj sobie pomóc.

Miałam już dość bycia bezbronną i wiecznie na coś narażoną. On zadbał o to, by już nigdy tak nie było.

Przełykając ślinę, patrzę na Midasa. Mam wrażenie, jakby otulała nas nasza przeszłość. Jakby znów wyprowadzał mnie z ciemnego zaułka.

Przypomniał mi, skąd razem przybyliśmy. Przypomniał mi, co dla mnie zrobił i czym zaskarbił sobie moje zaufanie. Moją miłość i lojalność.

Gdyby nie zdołał tego zrobić, nie byłabym teraz tutaj, w złotej klatce.

– Proszę – mówi łagodnie.

Tego się nie spodziewałam. Odkąd Midas nosi na głowie koronę, nigdy o nic nie prosi.

Przez ułamek sekundy się waham, jednak przeszłość ma wielką moc. Zaraz podnoszę rękę i podaję Midasowi dłoń. Jego twarz rozświetla uśmiech, gdy pozwalam pomóc sobie wstać i zaprowadzić się do pokoju kąpielowego. Jednocześnie i we mnie kiełkuje ciepło. Moje ciało

przestaje drżeć.

W sąsiednim pomieszczeniu czeka już złota wanna z przygotowaną kąpielą. W powietrzu unoszą się obłoki pary, a dolany do wody olejek nadaje jej woń ostrokrzewu.

Przystajemy na środku łaźni. Rozpalone wcześniej kinkiety rzucają kojące, ciepłe światło. W lustrze ponad umywalnią widać nas oboje. Stojący o krok za mną Midas gładzi dłonią mój kręgosłup, po czym wsuwa palce pomiędzy wstęgi, które wciąż oplatają mój tułów. Delikatnie i pomału odwija jedną za drugą, warstwa za warstwą. Wstęgi nie pomagają mu w tym, ale też nie blokują jego ruchów i nie wyrywają mu się spomiędzy palców. Dłonie Midasa pracują powoli, niespiesznie. Po kilku chwilach ostatnia długa wstęga opada swobodnie na podłogę. Obserwuję w lustrze każdy ruch rąk Midasa, a moje serce bije coraz szybciej. Uporawszy się ze wstęgami, pomaga mi zdjęć z siebie haremową suknię. Jego palce ani razu nie wędrują na boki, nie szukają pretekstu, by zboczyć. Ruchy dłoni Midasa służą wyłącznie temu, by pomóc mi się rozebrać.

Gdy tkanina zsuwa się po moim ciele na posadzkę, Midas patrzy mi w oczy w lustrzanym odbiciu. Przygląda mi się chwilę, po czym bierze mnie za rękę i prowadzi do wanny. Wchodzę do niej jedną nogą, potem drugą i w końcu siadam. Zanurzam się w ciepłej wodzie aż po ramiona. Na powierzchni unosi się kilka pęcherzyków powietrza, wędrujących wraz z omywającym moje ciało olejkiem.

Wzdycham.

Midas sięga po taboret i siada przy krawędzi wanny. Następnie bierze do ręki mały ręcznik i namacza go w wodzie. Po chwili jego spojrzenie znów wędruje ku mojej twarzy.

– Mogę?

Nie odzywam się. Nie kiwam nawet głową. Delikatnie zadzieram tylko podbródek.

To wystarczy Midasowi za zaproszenie. Sięga ręką ku mojej szyi i zaczyna delikatnie przemywać krwawą zadrę. Wzdrygam się lekko, czując szczypanie.

– Przepraszam – mówi natychmiast. Jego ton jest jednostajny i łagodny, tak samo jak ruch jego dłoni na moim gardle.

– Za co dokładnie? – pytam. Mój głos jest nieco chrapliwy. To pewnie dlatego, że dłuższy czas milczałam. Albo z emocji. A może od jednego i drugiego?

Midas kolejny raz namacza tkaninę. Nowa porcja ciepłej wody pozwala zmyć więcej zakrzepłej krwi. Po chwili rana jest czysta.

– Nie miało ci się nic stać.

Zadzieram wysoko brwi, słysząc te słowa. Wzbiera we mnie oburzenie, które szybko bierze górę nad towarzyszącym mi od kilku godzin odrętwieniem.

– Ta szrama na gardle to naprawdę najmniejszy problem – odpowiadam bez cienia przesady.

Odsuwam się od Midasa i jego troskliwych zabiegów. Cała, wraz z włosami i głową, zanurzam się w ciepłej wodzie. Zamykam oczy i pozwalam, by omywała mnie w całości. Chcę poczuć ją na każdym skrawku ciała i zaznać dzięki niej ukojenia. Gdyby tak mogła jeszcze ukoić moje obolałe serce.

Pomału kieruję wzrok na Midasa. Nie kryję żalu i złości, nie staram się ich ukryć przed nim.

Midas kiwa głową, jakby na znak, że uznaje mój niemy wyrzut.

– Wiem – mówi ponownie, jak wcześniej w sypialni. – Wiem, co myślisz.

To, co myślę, nie jest nawet w połowie tak okropne jak to, co czuję. Tego mu jednak nie powiem.

– Nie wierzyłam, że naprawdę zrealizujesz ten pomysł – mówię oskarżycielskim tonem.

– Bałam się, byłam tym wszystkim zniesmaczona, ale coś we mnie do końca wierzyło, że masz

plan. Że nie zmusisz mnie do tego. – Mój oddech przyspiesza, woda podnosi się wraz z nim i opada, a unoszące się na niej wstęgi znów oplatają mnie ciasniej. Jakby próbowały uchronić mnie przed rozsypaniem się na kawałki. – Ufałam ci, Midasie. Wciąż w nas wierzę. Po wszystkich tych latach i tym, co dla ciebie zrobiłam...

Midas z poważnym wyrazem twarzy ujmuje moją dłoń w swoje dłonie.

– Ani przez chwilę nie zamierzałem pozwolić mu cię tknąć.

– Co takiego? – Marszczę brwi zbita z tropu.

– Posłuchaj... – mówi Midas – od dawna wiedziałem, że Fulke cię pożąda. Co tam ja, wszyscy wiedzieli. A że był głupcem, ośmielił się poprosić o to, co należy tylko do mnie.

Mrugając powiekami, przypominam sobie ten poranek, gdy Fulke zażądał nocy ze mną i dobił targu z Midasem.

– Celowo go podpuściłeś?

Midas przekrzywia głowę.

– Tak? Myślisz, że to właśnie chciałem zrobić?

Moje usta układają się w podkówkę. Czuję się nagle zdezorientowana.

– Nie rozumiem.

Midas przyciąga stopą taboret bliżej wanny, nie puszczając jednocześnie mojej dłoni. Po jego skórze wędrują kropelki wody.

– Fulke handlował ludźmi.

– Co takiego? – pytam zdumiona.

Midas z poważnym wyrazem twarzy kiwa twierdząco głową.

– Pogłoski o tym słyszałem już dawno, a kilka miesięcy temu zyskałem pewność. Od tamtej pory wiedziałem, że jakoś trzeba to ukrócić.

Staram się nadążyć za opowieścią Midasa i jakoś powiązać ze sobą fakty.

– Czyli obmyślałeś, jak się go pozbyć? Jak go zabić?

Midas zaciska wargi, słysząc mój potępiający ton.

– Wolalabyś, żebym pozwolił mu dalej sprzedawać własnych poddanych?

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Auren, jestem królem, a królowie muszą podejmować niełatwe decyzje. Kiedy stało się jasne, że Fulke nie tylko nie jest wartościowym sojusznikiem, ale nawet dobrym człowiekiem, postanowiłem działać.

– Stosując podstęp i zastawiając na niego pułapkę. Posyłając jego ludzi na bezsensowną rzeź – wyliczam z wyrzutem. – Pomyślałeś, ilu żołnierzy straciło przez to życie?

– Najmniej, jak tylko się dało. Tylu, by plan miał szansę zadziałać.

– Też coś! – rzucam sarkastycznie. – To niczego nie usprawiedliwia!

– Lepiej, by dorośli mężczyźni ginęli z honorem w bitwie, niżby choć jedno dziecko sprzedano do niewoli. Chyba się zgodzisz, Auren?

I tu mnie ma.

Trafił w samo sedno. Jego słowa ubodły mnie w brzuch, serce i gardło. Jednym zdaniem rozdarł mnie na pół, sprawiając, że wraz z natłokiem wspomnień do moich oczu natychmiast napłynęły łzy.

– Zrobiłem to dla ciebie, Auren – mówi po chwili Midas. Tym razem ciszej i już bez obronnego tonu. – Dopilnowałem, by żadne dziecko nie przeszło więcej przez to co ty.

Gdy po moim policzku ścieka łza, Midas klnie cicho i natychmiast ją ociera.

– Przepraszam – mówi z poważnym wyrazem twarzy. – Znasz mnie przecież. Wiesz, jak działałam. Gdy zrodzi mi się w głowie jakiś plan, przestaję myśleć o czymkolwiek innym. Nie przemyślałam dostatecznie możliwych konsekwencji. Wiedziałem tylko, że muszę się go pozbyć.

Na dobre. Raz na zawsze.

Z utkwionym we mnie spojrzeniem Midas ujmuję dłonią mój policzek.

– Ale wierz mi co do jednego: nigdy nie pozwoliłbym mu cię mieć. To był fortel.

Zasycha mi w gardle. Nim daję radę wydobyć z siebie słowo, muszę odchrząknąć.

– Nie mogłeś po prostu mi powiedzieć? Dlaczego nie mogłam od początku wiedzieć, jaki masz plan?

– Obawiałem się, że w jakiś sposób się to wyda. Że nie zdołasz przekonująco udawać. Fulkego nic nie mogło zaniepokoić. Miałaś skutecznie odwrócić jego uwagę i odegrałaś swoją rolę znakomicie.

Spuszczam głowę, jednocześnie nią kręcąc.

– Byłam tak potwornie przerażona... Tak mnie to wszystko zabolalo. Nie wiem, czy się z tego otrząsnę.

– Przyznaję, nie przemyślałem tego. – Midas raz jeszcze gładzi mój policzek, po czym cofa dłoń.

– Zabiłeś króla, Midasie. A wcześniej posłużyłeś się nim, żeby zaatakować kolejnego. Co teraz zrobisz? – Przygryzam wargę, czując, jak zaczyna mnie dręczyć obawa.

– O to się nie martw – odpowiada Midas. – Wszystko już zaplanowałem.

Nie potrafię powstrzymać pełnego gorczy prychnięcia.

– Rozumiem, że znów nic mi nie powiesz? Tak jak nie powiedziałaś, że oddanie mnie Fulkemu to tylko element podstępu?

Midas wzdycha.

– Nie odważyłem się powiedzieć ci więcej. Auren, nikt poza nami dwojgiem nie wie tego, co ci właśnie powiedziałem. Nikt. Kolejne ruchy w tej partii muszę rozegrać tak samo ostrożnie i tak samo starannie. A ty musisz mi to wybaczyć, najdroższa. Zrozum, zależy mi na tym.

Czy rozumiem? Czy rzeczywiście go rozumiem?

Mogę powiedzieć tyle, że poczułam ulgę po kilku dniach potwornego napięcia. Wiem już, że Midas nie zamierzał oddać mnie Fulkemu. Miał plan. Plan okrutny i niewzględniający moich uczuć, ale niewątpliwie sensowny. Cóż, tak działa Midas. Taki jest, od zawsze. Ma umysł wybitnego stratega, ale czasem brak mu namysłu nad emocjami. Potrafi ukuć perfekcyjny plan, ale zapomina o wymiarze ludzkim.

– Byłam na ciebie taka wściekła.

Midas się śmieje, a ja czuję, jak ulatuje część nagromadzonego między nami napięcia. Robimy krok ku temu, czym dla siebie byliśmy. Czym powinniśmy dla siebie być.

– Wiem, chociaż do pewnego momentu myślałem, że udajesz. Sądziłem, że mi ufasz i po prostu grasz. Dopiero w sali balowej zorientowałem się, że jesteś wściekła.

Czuję, jak moje policzki robią się gorące.

– No tak... Przepraszam, że przy wszystkich ci się przeciwstawiłam.

Midas uśmiecha się łagodnie.

– Nie szkodzi – odpowiada, wstając i sięgając po suchy ręcznik dla mnie.

Traktuję to jako sygnał i podnoszę się, by wyjść z wanny i pozwolić mu otulić się tkaniną.

Gdy jestem już sucha i mam na sobie koszulę nocną, Midas prowadzi mnie z powrotem do sypialni. Wilgotne wstęgi zwisają swobodnie z moich pleców razem z włosami. Opieram głowę o pierś Midasa i pozwalam mu je wycierać.

O tak. Tego mi właśnie brakowało. Ile to już nocy, odkąd zajmował się mną w ten sposób po raz ostatni? Musiały minąć całe miesiące. Sama nie wiem nawet ile.

– Kiedyś co noc trzymałeś mnie w ramionach – mówię miękko, przysuwając usta do jego opalonej skóry. Spod rozwiązanej u góry tuniki wyłania się kawałek jego torsu. Nogi skrzyżował

w kostkach. Leżymy razem na kocach, bez przykrycia. Wystarczy nam ciepło, które dajemy sobie nawzajem.

Czuję na skroni, że Midas się uśmiecha.

– To prawda – odpowiada. – Choć chyba nie było to najwłaściwsze, skoro byłem świeżo po ślubie.

Rzeczywiście, ale i tak tego łaknęłam.

– Jeśli królowa była zazdrosna, to okazywała to w dziwny sposób – zauważam. – Na urodziny podarowała ci trzy nowe kochanki do haremu.

Pamiętam, jak mnie to zdumiało. Byłam zadziwiona i zazdrosna. Oto jego własna żona akceptuje fakt, że będzie sypiać z trzema innymi kobietami. Wręcz go do tego zachęca.

Byle tylko nie sypiał ze mną.

Gdy pierwszy raz wziął jedną z nich, strasznie mnie to ubodło. Potem do tego przywykłam. Nie żeby ani trochę mnie to już nie bolało, ale rozumiałam. Jest królem. Czego ja się w sumie spodziewałam?

Midas, jakby wyczuł, w którą stronę wędrują moje myśli, przyciąga mnie i kładzie na sobie. Leżymy teraz twarzą w twarz.

– Kiedy przychodzę tu do ciebie, jesteśmy tylko my dwoje – przypomina. – Nie istnieje wtedy nic poza tą klatką.

– Tak, wiem – potakuję z niespiesznym skinieniem głowy.

Jego spojrzenie pada teraz na szramę na mojej szyi. Zaraz potem czuję, jak Midas obejmuje mnie rękoma w talii.

– Jesteś moja – mówi.

To akurat też wiem.

Jego wzrok wędruje coraz niżej. Midas coraz mocniej przyciska mnie do siebie. Pożądanie skrzy się między nami, a mój oddech staje się nierówny. Nareszcie! Ile to już czasu?

Nie wiem już, jak długo musiałam czekać, by znów tak na mnie patrzył. By znów miał dla mnie czas i nie kazał zadowalać się przelotną pieszczotą czy pospiesznym uśmiechem. By znów był przy mnie nie królem, zobowiązanym zachowywać się w określony sposób, a po prostu Midasem. Moim Midasem.

– Jesteś moja – powtarza, jedną dłonią podtrzymując tył mojej głowy, drugą przesuwając na moje pośladki. – Brakowało mi ciebie – szepcze w zagłębienie poniżej mojej szyi, tuż obok śladu pozostawionego przez ostrze sztyletu. – Wspaniale dziś wyglądasz. Tak kusząco...

Wsuwa palce pod moją koszulę nocną. Po chwili czuję na udzie jego całą, ciepłą dłoń. Mój oddech przyspiesza. Gdy raz za razem łączywie mnie całuje, w głąb jego ust ulatuje moje westchnienie.

– Ja też za tobą tęskniłam – odpowiadam.

Midas, trzymając mnie na kolanach, unosi się do siadu, a ja chwytam się jego ramion. Czuję na sobie jego wygłodniałe spojrzenie. Zaraz zsuwa ze mnie koszulę nocną, pozwalając jednocześnie, bym rozwiązała troczki jego spodni.

– Jesteś piękna, mój skarbie. Taka piękna!

Moje serce bije coraz szybciej, a żołądek z emocji zawiązuje się na supeł, gdy wargi Midasa wędrują po mojej szyi i zuchwie. Gdy dotykam jego wyprężonego członka, z jego ust dobywa się cichy jęk rozkoszy. Rozsmakowuję się w nim. Chcę go zachować dla siebie.

Bierze mnie. Prze biodrami naprzód, coraz głębiej i głębiej. Obejmuje mnie coraz mocniej; przyciska do siebie, mówiąc, że nigdy nie da mi odejść. Jęczę, przymykając oczy, czując na ciele jego język. Opanowuje moje ciało, biorąc coraz więcej i więcej. A ja daję. Daję mu się całą. Serce pęcznieje mi w piersi, gdy Midas ssie mój język, jednocześnie wchodząc we

mnie cały. Poruszam się wraz z nim. Pracuję ciałem, by dać mu rozkosz, radość i wszystko, czego mu trzeba.

Wychodzi ze mnie i z jękiem rozkoszy tryska nasieniem na mój brzuch. Wtedy kładę się przy nim, oparta o jego śliską od potu pierś. Uśmiecham się, błogo wzdychając. A jednak – po moim policzku na wargę spływa łza, która zdradza ukrytą prawdę. Nadaje chwili radości słonawy posmak i zmazuje uśmiech z moich ust.

Przed świtem Midas żegna mnie pocałunkiem, ale jego usta nie uwalniają mnie od goryczy. Gdy zostaję sama, płaczę pośród ciemności. Ten potajemny szloch, który tłumię poduszką – oto brutalna prawda o mnie. Prawda, z którą nie śmiem się jeszcze zmierzyć.

Tuż przed brzaskiem zasypiam więc w pościeli mokrej od łez, szczerząc wobec siebie odkładając na później.

CHOMIKO - WARMIA



ROZDZIAŁ 15

Obserwuję przemierzających moją sypialnię strażników, którzy wynoszą ostatnie z wypełnionych przeze mnie skrzyń. Przestrzeń wokół mnie częściowo opustoszała. Garderoba robi wrażenie wyraźnie odchudzonej po tym, jak część sukien i obuwia została spakowana.

Na zewnątrz zapadł już zmierzch. Zaraz pora jechać.

Zdaje się, że akurat nie pada śnieg, ale tym nie należy się sugerować. Jeśli nawet nie pada, to zapewne niedługo zacznie – tak już tutaj jest. Dlatego mam na sobie podszyty futrem strój z ciepłej wełny i solidne buty z owczej skóry. Wszystko, rzecz jasna, aż po moje skórzane rękawiczki, lśni szczerozłotym odcieniem.

Włosy ciasno związałam w niezliczone warkoczyki. Nie chcę, by miotał nimi wiatr, więc w całości chowam je pod kaptur.

– Już czas.

Gdy odwracam się od okna, widzę oczekującego przed klatką Digby’ego. Jest cichy i sprawia wrażenie szorstkiego, jak zawsze. Ani śladu po mężczyźnie, który przeszył dla mnie mieczem króla obcego państwa i troskliwie niósł mnie zakrwawioną po schodach. Jednak to właśnie w nim cenię. Jest niezłomny i nic nie mąci jego spokoju.

Odruchowo sięgam do blizny na szyi. Przesuwam palcem po miejscu, do którego król Fulke trzy tygodnie wcześniej przytknął ostrze, grożąc, że rozplata mi gardło. Digby zauważył mój ruch i podąży wzrokiem za moimi palcami. Natychmiast opuszczam rękę. Po tamtej nocy wykształciłam w sobie nerwowy nawyk i muszę w końcu się go pozbyć. Mój umysł każe mi czasem przeżywać ją na nowo – budzę się wtedy z krzykiem i dłońmi kurczowo zaciśniętymi na szyi, przekonana, że krztuszę się własną krwią. Kiedy indziej w koszmarach sennych wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby nie przybył posłaniec, Fulke zawlókłby mnie na górę, a Midas nie zjawiłby się, by go powstrzymać. Niezależnie od tego, który koszmar mnie dopadnie, w taką noc nie jest mi już dany zdrowy sen. Pewnie dlatego mam pod oczami cienie podobne do sińców – odcinające się od złota plamy o odcieniu brązu.

Żałuję, że nie ma przy mnie Midasa. Po zajściu z Fulkem został na zamku tylko trzy dni.

Potem z pułkiem wojska musiał wyruszyć do Piątego Królestwa.

Stałam u jego boku w sali tronowej w noc, gdy zginął Fulke. Przypatrywałam się, jak Midas realizuje swój plan, snując własną opowieść o tym, co się właśnie wydarzyło. Ludzie znają go jako tego, który włada złotodajnym dotykiem. Ale Midas jest także złotoustym mówcą. W tym tak naprawdę kryje się największa siła.

– Zostaliśmy oszukani!

Na sali natychmiast zaległa cisza. Wszyscy możni od razu utkwili wzrok w zasiadających na tronie królu i królowej. I on, i ona z troską, ale i zdecydowaniem powiedli wzrokiem po zebranych.

– Mój sojusznik, król Fulke, nie żyje – podjął po chwili Midas, a na sali dało się słyszeć poruszenie. Jak okiem sięgnąć, wszyscy robili wielkie oczy i rozdziawiali usta ze zdumienia. – Król Fulke chciał ustrzec nadgraniczne terytoria przed zgnilizną. Chciał zagwarantować, że nasze ziemie będą bezpieczne. I za to został zamordowany!

Stałam tuż obok, o krok przed wartownikami. Midas snuł swoją opowieść, a moja obecność miała potwierdzać, że wobec tragedii wszyscy jesteśmy zjednoczeni.

– Posłał swoje oddziały na pogranicze, chcąc służyć swojemu ludowi. Został jednak zdradzony przez własnego rodaka. Człowiek ten zaniósł nieprzyjacielowi wiadomość i dlatego wojska króla Fulkego zostały krwawo rozbite przez oczekującą już tam na nie armię Czwartego Królestwa. Nie dość jednak było zdrady! Ów dwulicowy człowiek przybył następnie na zamek Highbell – jakoby celem dostarczenia wiadomości – i pozbawił życia swego nie podejrzewającego pana.

Nastroje na sali co i rusz się zmieniały – od przestachu po oburzenie.

Midas skinął na jednego ze swoich przybocznych. Ten wystąpił naprzód, trzymając w rękach jakiś przedmiot owinięty czarnym suknem. Na sygnał Midasa rozwinął materiał, a wtedy wśród zebranych dały się słyszeć nerwowe westchnienia. Nie zdołałabym ich zliczyć. Ludzie czuli odrazę, a jednak nie potrafili oderwać wzroku od tego, co im pokazano – ściętej głowy posłańca. Człowieka, który niczym nie zawinił.

Naznaczona złotodajnym dotykiem głowa lśniła złowieszczo. Agonalny grymas posłańca miał pozostać na jego twarzy już na zawsze, utrwalony w twardym kruszcu. Jego głowie nie dane będzie rozłożyć się z resztą ciała, jak powinno się stać. Uczyniono z niego zdrajcę i wystawiono na pokaz zgromadzonym.

Midas powiódł wzrokiem po obecnych na sali.

– Oto właśnie – wskazał na wykrzywioną boleśnie, zastygłą twarz – zgnilizna, która czyha w Czwartym Królestwie! Temu chciał położyć kres król Fulke. Wystąpił nie tylko przeciw naruszaniu naszych granic, ale również przeciw szerzeniu się nielojalności i zdrady. Przeciw podnoszeniu ręki na własną ojczyznę!

Cóż, był świetny. Midas to naprawdę znakomity mówca. Jak nikt potrafi zjednać sobie tłum. Jest jak pająk, który tka swoją sieć i łapie w nią kolejno wszystkich zebranych.

Po chwili głowę żołnierza znów owinięto w sukno. Bez wątpienia po to, by następnie wkuć ją w bramę wjazdową. To tam po pozłoceniu kończą wszystkie czaszki zdrajców – wystawione na opluwanie przez pospólstwo i lodowate wichry.

– Wyruszam niebawem do Piątego Królestwa – ogłosił zebrany Midas. – Wspomogę jego lud w potrzebie. Dopilnuję, by ani królestwo, ani zamieszkujący je poddani nie ucierpieli przez brak władcy. Obejmę tron po królu Fulkem. Jako że za życia byliśmy sojusznikami, teraz, po jego śmierci, zjednoczę nasze państwa. Zadbam o bezpieczeństwo naszych granic i nie dopuszczę do szerzenia się zgnilizny. Będę stać na czele obu królestw, póki prawowity następca króla Fulkego nie osiągnie pełnoletności i nie obejmie tronu po ojcu.

Nie trzeba było wiele czasu, by wieść o śmierci Fulkego trafiła na języki i dotarła do najdalszych zakątków kraju jak niesiony wichrem śnieg. Midas za jednym zamachem zdołał zrobić z siebie bohatera, dać ludziom zdrajcę do potępienia i sięgnąć po władzę w ościennym państwie. Teraz natomiast wezwał mnie, bym dołączyła do niego w Piątym Królestwie – w sekrecie.

Niemal wszyscy sądzą, że jestem już na miejscu. Że od razu wyruszyłam do Piątego Królestwa z Midasem. On jednak w rzeczywistości zdecydował inaczej – chciał najpierw upewnić się, że nic nie będzie mi tam grozić. Wiedział jednocześnie, że pozostawienie mnie samej na zamku również będzie wiązać się z ryzykiem. Znow więc wykorzystał fortel i włączył do swojego orszaku inną kobietę. Nie posłużył się wobec niej złotodajnym dotykiem, lecz polecił pomalować ją tak, by do złudzenia przypominała mnie.

Ja tymczasem w tajemnicy, strzeżona dniem i nocą, oczekiwałam na wyjazd. Na moje piętro nie wpuszczano nawet służby. Nikomu, nawet królowej, nie powiedziano, że wciąż jestem na zamku. Jedyni ludzie, z którymi miałam kontakt w ostatnich dniach, to garstka strzegących mnie wartowników – dobranych ponoć osobiście przez Digby'ego.

Teraz jednak nadszedł czas, by ruszyć w drogę.

Ostatni raz zerkam za okno, po czym odwracam się ku wyjściu. Targają mną mieszane uczucia. Gdy idę w stronę przytrzymującego dla mnie drzwi Digby'ego, staram się nie dać po sobie poznać zaniepokojenia. Stojąc już w progu, raz jeszcze oglądam się na klatkę i wszystkie rzeczy, które towarzyszyły mi w niej, odkąd sięgam pamięcią.

Dziwne, lecz gdy zwracam się znow ku wyjściu i podążam za Digbym i resztą strażników... mam coś na kształt poczucia straty. Klatka, ta przestrzeń, towarzyszy mi od lat. Owszem, nieraz zdarzało mi się jej nienawidzić. Jednocześnie jednak była moją bezpieczną przystanią. Teraz tę przystań opuszczam.

Ruszamy schodami w dół, na główną kondygnację. Nasza piątka idzie w ciszy, a i cały zamek wydaje się uśpiony.

Gdy docieramy na dół, odruchowo zerkam w prawo, w stronę zamkniętych drzwi kancelarii. Ciekawa jestem, którym sługom powierzono zadanie posprzątania po tej krwawej łaźni. Ciekawe też, czy słudzy ci nadal żyją, czy też zakrwawione szmaty zabrali ze sobą do grobów. W końcu...

Nie! Nie będę teraz o tym myśleć. Jestem lojalna. Lojalna!

Zmuszam się, by skierować wzrok w inną stronę. Widzę, że otwarto już potężne drzwi prowadzące na zewnątrz. Czuję podmuchy mroźnego, zimowego powietrza. Poniżej kamiennych schodów, na krańcu dziedzińca, widzę rząd zaprzęgów konnych, mających zabrać nas do Piątego Królestwa.

Nagle coś jakby uszczypnęło mnie w kark. Odwracam się i widzę stojącą na balkonie królową Malinę. Przygląda mi się z ręką opartą na balustradzie. Jej gładkie białe włosy upięte są na wzór wianka, a wyrazu jej twarzy nie sposób rozszyfrować. Jej spojrzenie sprawia jednak, że czuję w gardle potężną kulę.

To nienawiść. W jej oczach widać nienawiść, bo oto zrozumiała, że Midas ją okłamał. Dotarło do niej właśnie, że przez cały ten czas byłam na zamku i dopiero teraz wyruszam w drogę, by dołączyć do króla, który mnie wezwał.

Na jej miejscu sama chyba też bym się znienawidziła.

– Pani?

Odwracam się i widzę czekających na mnie strażników. Jeden z nich trzyma przygotowane dla mnie grube futro.

– Dziękuję – rzucam pod nosem, wsuwając dłonie w rękawy.

Nie odwracam się więcej w stronę królowej, ale czuję na sobie jej wzrok, odprowadzający mnie w noc. Mocniej otulam się futrem. Jest ciężkie, ale i miękkie. Podszyto je dodatkowo skórą; wiem, że posłuży mi podczas srogich mroźnych nocy. Wychodząc z zamku, wsuwam na głowę kaptur i schodząc po schodach, żegnam się z resztkami ciepła.

Jednocześnie czuję nieoczekiwanie, że zaczyna opuszczać mnie napięcie. Ledwie przekraczam próg, a mój podbródek się unosi. Po chwili zadzieram wzrok ku górze.

Dziesięć lat.

Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz postawiłam stopę na zewnątrz.

Zimny wiatr owiewa mnie leniwymi podmuchami. Jego szept wokół mojej twarzy jest jak życziwe powitanie.

Strażnicy, przestępując z nogi na nogę, wymieniają spojrzenia. Nie zwracam jednak na nich uwagi i dalej stoję w miejscu.

Ta chwila jest moja.

Gdy postanawiałam żyć w ukryciu, byłam właściwie jeszcze dzieckiem. Bezbronnym, przerażonym, pokiereszowanym przez los. Miałam dość wszystkiego, co świat miał mi do zaproponowania.

Dlatego z chęcią skryłam się w klatce. Po wszystkim, co przeszłam, sama chciałam w niej zamieszkać. Kraty były mi sojusznikami – mniejsza, że uniemożliwiały mi wyjście, ważne, że dzięki nim nikt nie mógł zbliżyć się do mnie.

A jednak brakowało mi tego: świeżego powietrza w płucach i zapachu wiatru. Chłodu na policzkach i ziemi pod stopami.

O tak, ależ mi tego brakowało!

– Pani – zagaja nieśmiało jeden ze strażników. – Powinniśmy ruszać.

Pozwalam spojrzeniu jeszcze przez chwilę błądzić po nocnym niebie. Chmury połyskują srebrzystą szarością na tle kryjącego się za nimi księżycy. Ale daję słowo, że przez ułamek sekundy widzę na niebie jedną mrugającą do mnie gwiazdę.

Więc i ja puszczam do niej oko.



ROZDZIAŁ 16

Siedziska w zaprzęgu obito aksamitem, ścianki skórą, zaś podłogę wyłożono grubym kilimem. Nasz złoty pojazd jest naprawdę luksusowy, lecz mimo tego obawiam się, że po długich godzinach jazdy zaczniesz mi się wydawać przyciasny.

Na razie jednak dopiero opuszczamy Highbell, a ja cieszę się widokami za oknem i świeżym powietrzem wnikającym przez szczeliny.

W osobnych powozach jedzie kolejnych dwanaście dziewczyn. Wszystkie mamy dołączyć do Midasa w Piątym Królestwie. Towarzyszy nam obstawa konnych. Zaprzęgi suną krętą drogą wijącą się zбочem oblodzonej góry.

Jedziemy bardzo wolno, ale nie przeszkadza mi to. Przeciwnie, cieszę się drogą, nocą i równym krokiem koni, dzięki któremu oddalam się od klatki i zamku, a zmierzam ku czemuś nowemu.

Po pewnym czasie chmury nad nami gęstnieją, a pogoda nagle się pogarsza. Zaczyna padać deszcz – jego opalizujące strugi zamarzają, nim zdążają dotrzeć do ziemi.

Nasz konwój brnie jednak dalej. Strażnicy po prostu naciągają kaptury, a konie dawno już przywykły do chłodu i słyty Szóstego Królestwa. Nocna podróż błotnistą drogą w dół zбочa nie wydaje im się niczym strasznym.

Ilekoć koło poślizgnie się na płachetce lodu lub uderzy o kamień, serce podskakuje mi do gardła. Moi przewodnicy brną jednak niestrudzenie naprzód, a ja staram się nie myśleć o tym, że jeden fałszywy krok może sprawić, że potoczemy się w dół zбочa.

Strażnicy i konie mają na szczęście ogromną wprawę w przedzieraniu się przez śniegi. Będziemy jechać całą noc, jak nakazał Midas. Spać będziemy w dzień, wtedy wartownikom łatwiej będzie wypatrzeć ewentualne niebezpieczeństwo.

Mozolna podróż zajmie nam dwa tygodnie, w najlepszym razie półtora – o ile utrzyma się dobra pogoda. Tu zaś dobra pogoda nie utrzymuje się nigdy. Midas i jego ludzie z pewnością przebyli tę samą trasę szybciej, ale nasz konwój jest inny. Większość z nas nie przywykła do podróży i kapryśnych żywiołów, więc będziemy przemieszczać się wolniej i ostrożniej.

Śledzę nasz mizerny postępek przez szybę zaparowaną od mojego oddechu. Co jakiś czas muszę przecierać ją rękawiczką, by cokolwiek widzieć. Rękawiczki – czuję, że bardzo się z nimi zaprzyjaźniłem. Prawdopodobnie nie zdejmę ich, póki nie znajdę się w ciepłych wnętrzach zamku w Piątym Królestwie. Cóż, gdy przemierza się mroźną głuszę, trzeba iść na takie jak to niewielkie ustępstwa.

Gdy docieramy do podnóża góry, jest już zupełnie ciemno. Całun chmur całkowicie przesłonił gwiazdy i księżyc. Jedyne światło, które oświetla drogę, pochodzi teraz z lamp zawieszonych na powozach.

Przejeżdżamy most Highbell, wzniesiony z łupków wykutych z góry za nami. Kopyta miarowo uderzają o bruk, gdy długim przesłaniem pokonujemy drogę nad przepaścią. W oddali, w głębi doliny, widać już miasto Highbell, ciągnące się wzdłuż granicy lasu pełnego potężnych sosen smołowych – tak wysokich, że nawet gdy zadrze się głowę, nie widać ich wierzchołków, tak masywnych, że trzeba kilku mężczyzn, by opasać ich pień. Drzewa te prężą się dumnie ku niebu, jeżąc się błękitnymi i białymi igłami, tocząc gęstą żywicę i raz po raz zrzucając z siebie ostre sople. Te prastare drzewa, liczące sobie niekiedy po kilkaset lat, zapewniają miastu wytchnienie przed spadającym z gór wiatrem. Ich konary przyjmują na siebie lodowate szkwały i uderzenia śnieżyc.

Miasto niemal przy nich niknie, na tle ich majestatycznych pni wydaje się prawie komiczne. Nawet teraz, w ciemnościach, widzę, że sosny wznoszą się powyżej światła nawet najwyższych z budynków.

I nagle dociera do mnie poczucie, że jestem od tego wszystkiego zbyt oddalona. Odgradzona. Chyba dopiero teraz naprawdę uświadamiam sobie, że nie jestem już w klatce. Ani na zamku. Ani nawet na zamkowej górze. Nie ma obok Midasa i nikt niczego ode mnie nie oczekuje. Nie mam do odegrania żadnej roli. A więc – chcę teraz zobaczyć wszystko! I to nie z zaprzęgu. Nie z za szyby, która sprawia, że nadal czuję się jak w zamknięciu! Chcę poczuć przestrzeń, wreszcie nacieszyć się światem na zewnątrz.

Gdy tylko koła zaprzęgu zwalniają na miejskim bruku, pukam w szybę. Jadący od mojej strony Digby (naturalnie, że on!) słysząc to, natychmiast zwraca się ku mnie. Ja jednak nie mówię do niego nic, tylko bez ostrzeżenia – choć ostrożnie – wyskakuję z toczącego się wciąż powozu.

Digby klnie i natychmiast nakazuje woźnicy, żeby się zatrzymał. Jest już jednak za późno, zdążyłam sprężyć się wylądować na ziemi. Digby zwraca konia w moją stronę i zmęczonym wzrokiem patrzy na mnie spoje. Na jego widok aż się uśmiecham.

– Już się dąsasz, Dig? – przekomarzam się. – No to nasza podróż nie zapowiada się najlepiej...

– Proszę natychmiast do środka, panienko. – Digby nie wygląda na ani trochę rozbawionego. No bo jakżeby!

Ja tymczasem uśmiecham się do niego jeszcze szerzej.

– Więc jednak będziesz się dąsał? – mówię, kiwając głową. – Tak czy siak, chcę rozprostować nogi. Czuję się tam jak w kojcu.

Digby mruży lekko oczy, jakby nie dowierzał. Serio? – zdaje się pytać spojrzeniem. – Od dziesięciu lat mieszkasz w klatce i teraz się tak czujesz?

Wzruszam tylko ramionami na jego nieme obiekcje.

– Dasz mi pojechać trochę na koniu?

– Jest gołoledź. – Digby kręci głową.

– Przesadzasz, to tylko odrobina lodu. – Macham ręką. – Przecież tu zawsze jest coś nie tak z pogodą. Jestem ciepło ubrana – przekonuję. – Chcę tylko poczuć wiatr na twarzy, przez

chwilę.

Digby marszczy swoje siwe brwi, przyglądając mi się z siodła. Niezrażona macham ręką w kierunku zabudowań i chodzących po ulicach ludzi.

– Przecież w Highbell jest bezpiecznie, prawda? – pytam.

Wiem, że jest. Inaczej nie zadałabym tego pytania.

– W porządku – godzi się ostatecznie Digby. – Ale jeśli pogoda się załamie, albo będzie panience zimno, to koniec z jazdą konno.

Potakuję, starając się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie.

– Umie panienka jeździć? – dopytuje Digby, wciąż nieprzekonany.

– Oczywiście. – Gorliwie kiwam głową. – Jeżdżę bardzo dobrze.

Widząc mój uśmiech, przygląda mi się z lekkim powątpiewaniem, ale nie oponuje dłużej. Ja tymczasem nie jestem taka pewna, czy nadal potrafię jeździć konno. Cóż, zaraz się przekonam.

Digby gwizdze i po chwili inny ze strażników podprowadza za uzdę śnieżnobiałego konia. Podchodzę do zwierzęcia i wodzę wzrokiem po jego sylwetce. Moją uwagę zwraca jego długa, gęsta sierść.

Konie Szóstego Królestwa są specjalnie hodowane tak, by dobrze znosiły chłód. Całe ich ciało pokrywa gęste włosie, które największą długość osiąga na klatce piersiowej i tuż powyżej kopyt. Ale nawet mimo tego grzbiety naszych wierzchowców okryte są solidnymi wełnianymi derkami, a ich nogi – grubymi ocieplaczami.

Podchodzę do konia i cicho nucę łagodne przywitanie. Zwierzę mruga. Gdy unoszę okrytą rękawiczką dłoń i delikatnie głaszczę jego pysk, macha zaplecionym w warkocz ogonem. Na uprząży dumnie prezentuje się złote godło Highbell.

Gdy na moment ośmielam się przestać go głaszać, koń trąca mnie pyskiem. Uśmiecham się i natychmiast wznawiam pieśczętę.

– Jak ma na imię? – pytam.

– Rzeški – odpowiada strażnik, który przyprowadził konia. Chroniące go przed zimnem kaptur, peleryna i rękawice dobrane są pod kolor.

Mrucząc pod nosem, raz jeszcze patrzę zwierzęciu w oczy.

– Pomożesz mi trochę, dobrze, Rzeški? – szepczę do niego, by następnie ruszyć pomału w stronę siodła.

Koń nie jest na szczęście bardzo rostry. Bez trudu udaje mi się umieścić nogę w strzemieniu. Teraz staję wyprostowana, modląc się w myślach, żebym nie narobiła sobie wstydu i nie wylądowała zaraz na tyłku. Zaciskając zęby, zarzucam nogę na grzbiet wierzchowca. Moja dłoń ślizga się lekko po siodle, ale zaraz udaje mi się mocniej złapać i usiąść prosto. Gdy dosiadam już pewnie Rzeškego, z zadowoleniem patrzę na Digby'ego. Dopiero teraz orientuję się, że wszyscy strażnicy gapią się na mnie, jakby zobaczyli upiora.

– No co? – pytam, przestając się uśmiechać.

Digby karci wzrokiem pozostałych.

– Jazda! – rzuca ostro, przywołując wszystkich do porządku. Pozostali strażnicy natychmiast ustawiają się przodem do kierunku jazdy i nasz konwój rusza w dalszą drogę.

Zerkam na Digby'ego, poprawiając jednocześnie na głowie kaptur, chroniący mnie przed marznącym deszczem. Strażnik popędza lekko konia, trzymając się po mojej prawej. Widzę, że nie zamierza mi wyjaśnić, o co przed chwilą chodziło. Zwracam się więc w stronę gwardzysty jadącego po mojej lewej.

– Dlaczego wszyscy tak na mnie patrzyliście? – pytam go.

Spogląda na mnie, zmieszany. Jego blade policzki paśowieją. Widzę to nawet pomimo

kaptura.

– No bo... damy zwykle nie dosiadają koni okrakiem.

Patrzę na swoje nogi zwisające po bokach wierzchowca.

– A... – bąkam.

No jasne. Zapomniałam. Jeździłam tak od zawsze, ale dawniej nie musiałam przejmować się tym, czy jest to stosowne.

Słyszę, jak dziewczyny w jadącym z tyłu powozie podśmiewają się ze mnie.

– Patrzcie! Jednak lubi mieć nogi szeroko... – mówi drwiąco jedna z nich. Rozpoznaję głos Polly.

Czuję gorąco na policzkach.

– Czy mam... – zaczynam, ale gwardzista natychmiast kręci głową.

– Nie, tak jest bezpieczniej. To lepsza pozycja do długiej jazdy. Proszę się nimi nie przejmować – odpowiada, wskazując na powóz.

Kiwam głową, po czym ciągnę lekko za wodze i przyciskam stopę do boku Rzeńskiego, by skierować go w prawo. Chcę odjechać nieco naprzód, by nie słuchać dłużej chichotu dziewczyn. Koń posłusznie reaguje, a ja oddycham z ulgą. A więc nie zapomniałam, jak to się robi!

Im dłużej jadę, tym bardziej jestem rozluźniona. Przestaje mnie nawet obchodzić, co mają na mój temat do powiedzenia dziewczyny z haremu.

Gdy tak zmierzamy przed siebie, napawam się przestrzenią i powietrzem. Cieszę się, że nie siedzę już w zaprzęgu. Deszcz, choć niezbyt intensywny, jest bardzo zimny, ale nawet to mi nie przeszkadza. Jestem zbyt rozradowana, by się tym przejmować.

Rzeński idzie równym krokiem, a jego długa sierść sprawia, że nie zmarznę tak bardzo od pasa w dół. Cieszę się też, że mam pod suknią tak grube pończochy, a na nogach solidne buty.

Miasto Highbell nocą wygląda naprawdę ładnie. Chłonąc widoki, przestaję myśleć o temperaturze. Większość budynków ma tu trzy kondygnacje, wzniesiono je z tego samego górskiego kamienia.

Ulice są miejscami nierówne, ale lubię odgłos uderzających o kamień brukowy kopyt. Zawieszona na duktach latarnie rzucają na naszą krętą drogę migoczące światło. Jest tu tak malowniczo, że nie potrafię przestać się uśmiechać.

Ludzie wyglądają z domów, by się nam przyjrzeć. Orszak z zamku królewskiego to dla nich nie lada atrakcja. Pilnuję cały czas, by z głowy nie zsunął mi się kaptur. Nie chcę zwrócić na siebie uwagi nawet włosami. Za to haremowe mięso wystawia piersi przez okna i rozsyła całusy gwardzistom.

Strażnik po mojej lewej odchrząkuje i odjeżdża nieco naprzód po tym, jak jedna z dziewczyn składa mu bardzo szczodłą propozycję. Trudno mieć jej za złe – gwardzista jest przystojny, ma szczerą, przyjazną twarz. Jest typem, który zawsze wygląda życzliwie – pewnie nawet wtedy, gdy jest wściekły. Ma przy tym włosy w kolorze popielatego blondu, oczy w odcieniu morskiego błękitu i lekki zarost na żuchwie – widać nie udało mu się jeszcze zapuścić gęstej brody.

– Jak masz na imię? – pytam.

Gdy zwraca się w moją stronę, dopiero orientuję się, jaki jest młody. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Sail, pani – odpowiada.

– Masz powodzenie, Sail. – Ruchem głowy wskazuję na powóz, z którego wciąż dobiegają rozochoczone okrzyki dziewczyn. Słysząc, że ze wszystkich gwardzistów to Saila upodobały sobie najbardziej. Ten robi się coraz czerwieniej na policzkach i wiem, że to nie od rzeńskiego powietrza.

– Matka sprawiłaby mi lanie, gdybym znieważył kobietę, zaciągając ją do łóżka za garść monet – tłumaczy.

Natychmiast decyduję, że go lubię.

– Od niektórych usłyszysz, że to dla kobiety jeden z niewielu sposobów, by dobrze zarabiać i pozostawać niezależną – odpowiadam przekornie.

Sail nieco blednie, jakby dopiero dotarło do niego, co powiedział, a przy tym przypomniał sobie, kim jestem.

– Ja... nie chciałem powiedzieć, że praca w haremie to coś złego... Jestem pewien, że wiele nałożnic to zacne osoby. Chciałem tylko...

– Spokojnie – przerywam jego męczarnie.

Sail tymczasem zerka nerwowo w stronę wiozącego mięso powozu. Jakby upewniał się, czy dziewczyny się nie przysłuchują.

– Póki tylko nimi nie pogardzasz, nie ma o czym mówić – wyjaśniam.

– Nigdy bym sobie na to nie pozwolił – mówi z naciskiem. – Nałożnice w tym mieście są wytrwalsze niż nasza armia! Ileż one muszą znieść...

Rozglądając się po ulicy, widzę, jak niektórzy przechodnie bezceremonialnie gapią się na powóz. Na ich twarzach nie widać pożądania, a brutalny zwierzęcy głód i gorzką zawiść.

Kiwam powoli głową, zwracając się do Saila.

– Tu się zgodzę.



ROZDZIAŁ 17

Wieść o naszym przejeździe przez miasto rozniosła się szybko. Kolejni gapie schodzą się na ulice i niedługo jest już ich miejscami pięć czy sześć rzędów. Machają, nawołują i dociekają, jakie to ważne osobistości mają szansę zobaczyć.

Nie podnoszę głowy. Trzymam wodze i nie ośmielam się nawet zerknąć w górę, by przypadkiem nie zsunął mi się kaptur. Jadący z przodu gwardziści torują drogę, jednak poruszamy się bardzo wolno. Nieustannie muszą nakazywać ludziom, by się odsunęli i zrobili dość miejsca dla zaprzęgów.

Jakiś czas później zjeżdżamy z brukowanego duktu. Oddalamy się od tłumu gapiów i wjeżdżamy w prawdziwe serce miasta.

Gdy przestają śledzić nas setki par oczu, oddycham z ulgą i przestaję kurczowo ścisnąć wodze. Ten stan nie trwa jednak długo; z każdą chwilą widać dookoła coraz większą nędzę. Highbell przechodzi z pięknego, nieskazitelnego niemal miasta w płataninę ciemnych, zapuszczonych zaułków.

Z niepokojem rozglądam się wokół. Nawet odgłosy są tu inne. Gdy słyszę przypadkowych ludzi, w ich głosach nie ma nic z dobroduszości, którą słyszeliśmy na głównym trakcie. Dookoła rozlegają się tylko płacz dzieci, pokrzykiwania mężczyzn i łoskot zatraskiwanych drzwi.

– Normalnie zostalibyśmy na trakcie, ale gdy jedzie się do Piątego Królestwa, południowy przejazd to najszybsza droga poza miasto – tłumaczy Sail cicho, podjechawszy do mnie. On i Digby jadą teraz tuż przy mnie, bo droga staje się coraz węższa. Domy po obu jej stronach nie są już z ciosanego kamienia, a z drewna. Widać przy tym, że nie są to konstrukcje zbyt solidne; część z nich chyli się lub wręcz zaczyna się rozpadać. Domy po latach zmagania ze śniegiem i wiatrem przegrywiają starcie z naturą. I nawet potężne sosny wydają się w tej okolicy nadwyreżone: ich kora jest pobrużdżona i spękana, a część gałęzi ogołocona z igieł. Latarni oświetlających drogę jest coraz mniej, a kolejne napotykamy coraz rzadziej. Aż wreszcie – znikają zupełnie. Kończy się również bruk. Jedziemy teraz polną drogą pełną pośniegowego

błota, które raz po raz rozchlapywane jest przez końskie kopyta.

Powietrze nie jest już czyste i rześkie, czuć wszechobecny odór. Wisi w nim zatechła stagnacja – jakby nasiąkło sypiącymi się domami, znużonymi twarzami i fetorem potu i szczyń. Smród wokół jest tak nieznośny, że aż zaczynają łzawić mi oczy.

– Gdzie my jesteśmy? – pytam, rozglądając się po przygnębiającym otoczeniu.

– To dzielnice barakowe – odpowiada Sail.

Słysząc płacz kolejnych dzieci i kolejne klótnie. Wąskimi uliczkami przemykają złowrogie cienie, a wychudzone i zmarznięte bezpańskie psy na próżno obwąchują kolejne zaułki w poszukiwaniu jedzenia. To Highbell nie jest ani trochę malownicze.

– Od dawna tu tak jest? – pytam, nie mogąc oderwać wzroku od przygnębiającego obrazu nędzy.

– Od zawsze – odpowiada Sail, wzruszając ramionami. – Sam pochodzę z podobnej dzielnicy na wschodzie miasta. Tam nie byliśmy aż tak stłoczeni, ale poza tym... było tak samo.

Kręcę głową, patrząc na kolejne mijane kałuże. Wiem, że nie stoi w nich woda, tylko nieczystości, wylewane wiadrami z okien wprost na ulicę.

– Ale przecież... Midas ma tyle złota... – mówię zdezorientowana. Może jestem naiwna, ale sądziłam, że odkąd został królem i kamienny zamek przemienił w złoty, również miasto Highbell stało się bogate. Nie przyszło mi nawet do głowy, że niektórzy jego poddani mogą tu, niemal w środku miasta, żyć w takiej nędzy. Bo i dlaczego mają tak żyć? Midasa stać przecież, by płacić godziwie nawet za najprostsze zajęcie. Złota ma więcej niż dość, więc dlaczego jego poddani żyją w takim ubóstwie?

– Myślę, pani, że swoje złoto przeznacza na inne cele – odpowiada zdawkowo Sail. Gdy zerka na swoją złotą zbroję, a potem znów na wszechobecną nędzę, widać, że ma poczucie winy.

Jest cały czas w pogotowiu. Pozostali gwardziści również. Jakby spodziewali się, że lada moment ktoś nas napadnie. Gdy rozglądam się wokół, trudno mi uznać taki scenariusz za nieprawdopodobny. Niektórzy ludzie, których mijamy, wyglądają na tak zdesperowanych, że mogliby się na to porwać.

Jednak kiedy gwardziści dobywają mieczy i wprost grożą nimi mijanej biedocie, coś we mnie pęka. Czuję nagle w sercu nieznośny ucisk, który nie chce ustąpić. Gdy widzę dzieci w łachmanach wyglądające zza stosów śmieci, podążające za nami z wygłodniałym spojrzeniem i brudnymi buziami, ucisk staje się jeszcze bardziej dojmujący.

Zbieram wodze i skręcam Rześkiego tak, by przeciąć drogę Sailowi, po czym zjeżdżam za zaprzęg.

– Pani! – krzyczy Sail. Słyszę też, jak Digby klnie, gdy zauważa, że zatrzymałam konia. Ja tymczasem nieco zbyt energicznie zeskakuję na ziemię i omal nie przewracam się na oblodzonym podłożu. W ostatniej chwili chwytam się ścianki powozu. Gdy uwieszam się na klamce, ten wciąż się toczy. Na moje szczęście zaraz jednak się zatrzymuje i mogę bezpiecznie się podciągnąć.

– Pani, nie możemy się tu zatrzymywać! – Słyszę zza pleców głos Saila. Ignoruję go jednak, by zaraz otworzyć drzwi powozu i uchylić obite aksamitem siedzisko. Błyskawicznie przekopuję swój przewożony pod nim bagaż.

– Na koń! Natychmiast! – drze się na mnie Digby. Ja jednak nie przestaję. Odrzucam na bok szale, zapasowe rękawiczki i niestrudzenie szukam...

– Jest!

Wracam z powozu na ulicę. Nasz nieoczekiwany postój zdążył już zgromadzić widownię. Wokół przybywa ciekawskich oczu i ciemnych sylwetek.

– Na koń! – powtarza Digby.

– Chwilę! – odkrzykuję. Nie patrzę przy tym na niego, bo bacznie rozglądam się wokół. Aż znajduję. Są po przeciwnej stronie ulicy, stłoczone wokół studni. W rękach trzymają popękane wiadra i porwane sznurki. Ruszam w ich stronę, słysząc, jak strażnicy zaczynają gderać, a dziewczyny z powozu dopytują, dlaczego stoimy. Zaraz daje się też słyszeć charakterystyczny odgłos zeskakiwania z konia i długie, miarowe kroki. Ktoś już za mną idzie.

Ja jednak nie przystaję i wciąż kieruję się w stronę grupki dzieci.

Są załęcznione. Gdy dostrzegają, że się zbliżam, dwoje z nich czmycha w mrok. A może przestraszyły się nie mnie, tylko idącego za mną gwardzisty? Jakkolwiek było – najmłodsze z dzieci nie ucieka. To dziewczynka, mniej więcej czteroletnia. Gdy inne dzieci się kryją, ona pozostaje na przedzie i przygląda mi się, gdy przyklekam naprzeciw niej.

W sumie mam przed sobą dwanaścioro dzieci, nie licząc tych, które uciekły. Wszystkie są wychudzone i umorusane, jednak najbardziej uderza mnie co innego: w ich oczach i zwieszonych ramionach widać starość – znużenie całkowicie niepasujące do ich wieku.

– Jak masz na imię? – pytam.

Dziewczynka nie odpowiada. Przygląda mi się tylko badawczo, dojrawszy spod kaptura złoty połysk mojej skóry.

– Jesteś księżniczką? – pyta starsza dziewczynka.

– Nie – odpowiadam, kręcąc z uśmiechem głową. – A ty?

Inne dzieci reagują drwiącymi uśmieszkami.

– Co za księżniczka mieszkałaby w ruderze i włóczyła się po ulicy?

Zsuwam kaptur i uśmiecham się porozumiewawczo do dziewczynki.

– Są też nieodkryte księżniczki.

Kilkoro z dzieci patrzy na mnie z rozdziawionymi buziami.

– Jesteś złotą dziewczyną, którą król trzyma na zamku!

Otwieram już usta, by odpowiedzieć, ale w tym momencie staje przede mną wyraźnie spięty Digby.

– Pora jechać – mówi.

Potakuję skinieniem głowy i wstaję. Na odchodne jednak sięgam jeszcze po aksamitną sakiewkę.

– No dobrze, moi nieodkryci książęta i księżniczki. Wystawcie dłonie.

Dzieci natychmiast wyczuwają, co się święci. Wyciągając przed siebie ręce, zaczynają się przepychać.

– O nie, nie w taki sposób – upominam je. Potem po kolei umieszczam w dłoni każdego z nich po jednej monecie. Dzieciaki zmykają, gdy tylko poczują w garści złoty dukat. Nie czuję się urażona i nie zaskakuje mnie to. Kto żyje na ulicy, uczy się nie zwlekać – zwłaszcza gdy wpadnie mu w rękę grosz lub coś do jedzenia. Przecież w każdej chwili ktoś większy lub brutalniejszy może pozbawić nas cennej zdobyczy.

Gdy przychodzi kolej na stojącą z przodu milczącą dziewczynkę, oddaję jej sakiewkę, w której są jeszcze trzy monety. Dziewczynka na ich widok robi wielkie oczy. Jednocześnie, jakby jej ciało wyczuło dobry omen, z jej brzuszka rozlega się burczenie prawie tak głośne jak szczekanie bezpańskich psów.

Przykładam palec do ust.

– Jedną wydaj, jedną ukryj, a jedną się podziel – mówię szeptem.

To pewne ryzyko – dawać jej tyle pieniędzy. Ba, to ryzyko dawać cokolwiek któremukolwiek z tych dzieci! Mam jednak nadzieję, że dziewczynka jest na tyle bystra i ostrożna, że nic nie będzie jej grozić.

Kilkulatka dziękuje mi, pochylając z namaszczeniem głowę, po czym oddala się biegiem;

tak szybko, jak tylko pozwalają jej krótkie nóżki. Zuch dziewczyna.

– Do powozu. Już.

Natychmiast zwracam się w stronę gwardzisty. Digby nosi na twarzy złość, tak jak niektórzy noszą stroje. Narzuca ją na siebie grubą warstwą. Mam już zacząć się z nim droczyć, gdy orientuję się, że wszyscy gwardziści czekają z bronią w pogotowiu. Naprzeciw nich przybywa ludzi wychylających się z ciemnych zaułków. Musieli zauważyć, jak rozdają złote monety. Warte tyle, że gotowi byliby za nie zabić.

Obdarci, wygłodniali i zdesperowani mężczyźni i kobiety podchodzą coraz bliżej. Ich spojrzenia ślizgają się po złoceniach na naszych zaprzęgach i pysznych zbrojach gwardzistów. Każde z nich zastanawia się pewnie, ile dostaliby za choćby kawałek takiego pancerza.

Zaraz jednak spojrzenia wszystkich skupiają się na mnie. Na moich włosach i mojej twarzy. Dopiero teraz dociera do mnie, że zapomniałam założyć z powrotem kaptur.

– Królewska faworyta!

– Złocona kobieta!

– To ta złota maskotka króla!

Ludzie krzyczą jeden przez drugiego, pchając się coraz bliżej pomimo ostrzeżeń ze strony gwardzistów. Zaczynają trawić mnie wyrzuty sumienia.

To, co zrobiłam, było głupie. Naprawdę głupie.

W powietrzu wisi napięcie. Czuje się, że ludzie są krok od tego, by poważić się na atak. By zaryzykować starcie z uzbrojonymi gwardzistami dla zdobycia Midasowego złota.

Czuję na ramieniu dłoń Digby'ego.

– Do środka, szybko – ponagła mnie.

Ruszam natychmiast w stronę powozu. Głosy i dźwięki stąpania w błocie są coraz głośniejsze. Zbliżają się.

Mam właśnie wsiąść do powozu, gdy jeden z mężczyzn rzuca się na mnie. Wycelowuje we mnie palce jak drapieżny ptak szpony i krzyczy, że weźmie sobie moje złote włosy.

W mgnieniu oka pojawia się Digby i barkiem naciera na tułów intruza. Mężczyzna pada na plecy, prosto w na wpół zmrożone błoto.

– Cofnąć się! – krzyczy Digby z uniesionym mieczem do tłoczących się wokół. Ludzie zatrzymują się, ale nie rozchodzą.

Wskakuję do powozu, a Digby natychmiast zatrząskuje za mną drzwiczki. Ruszamy. Wokół słychać komendy i krzyki gwardzistów. Grożą każdemu, kto próbuje zbyt blisko się zbliżyć.

Aż podskakuję, słysząc na zewnątrz szarpaninę. Dają się słyszeć uderzenia pięści i gniewne okrzyki. Gdy ruszamy, ludzie bluzgają na mnie i urągają królowi. Boję się nawet wyrzeć przez okno. Siedzę tylko kompletnie zeszywniała i wyrzucam sobie własną głupotę.

Przecież wiem, że nie wolno świecić ludziom złotem po oczach w tak ubogiej okolicy. Jednak kiedy zobaczyłam te dzieci... poczułam się, jakbym zobaczyła samą siebie sprzed lat. Przez chwilę nie myślałam racjonalnie.

Krzyki za oknem są coraz donośniejsze. Zaprzęg przyspiesza na tyle, na ile to tylko możliwe na zmarzniętym, błotnistym podłożu. Modłę się, by nikt nas nie zaatakował. Błagam gwiazdne boginie, by powstrzymały rozgniewany tłum. Nie boję się o siebie ani o przedmioty, które mogłyby zostać skradzione. Nie chcę po prostu, by gwardziści musieli komukolwiek zrobić krzywdę. Ci ludzie dość już wycierpieli. Są jedną wielką raną, której Midas pozwolił gnić.

To nie ich wina, że są tak zdesperowani. Że byli o krok od napaści w imię zdobycia monety czy koca. To zwykła chęć przetrwania. Każde z nas, bez wyjątku, zachowywałoby się na ich miejscu dokładnie tak samo. Każde z nas zmagałoby się z pytaniem: „A gdyby tak?”.

Na szczęście nikt nie atakuje. Na szczęście gwardziści mogą odłożyć miecze do pochew.

Ja jednak nie czuję ulgi, a tylko wyrzuty sumienia. Zamachałam potrzebującym przed nosem marchewką, po czym bezdusznie zbiegłam.

Mający w oddali złoty zamek musi być dla tych ludzi jak cierń. Nieustannie przypomina im o bogactwie, które nigdy nie będzie w ich zasięgu.

Gdyby tak słońce weszło wcześniej. Gdybym tak w moim trzosie było więcej złota. Gdybym tak mogła obsypać całą tę ulicę złotem.

Jestem jednak bezsilna, a moja bezsilność ciąży mi coraz bardziej, gdy bez przygód pokonujemy kolejne kilometry, zostawiając za sobą ostatni walący się dom i ostatnią groźną twarz.

Tej nocy ze smutkiem coś sobie uświadamiam. Skoro nawet miasto rządzone przez złotego króla doświadcza takiego ubóstwa, to jaka jest nadzieja dla reszty Orei?

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 18

Sądziłam, że po przejechaniu przez dzielnicę nędzy nie mogą nas już czekać bardziej przynębiające widoki. Myliłam się.

Gdy docieramy na rogatki miasta, mrużę oczy, starając się rozszyfrować kształt majaczący w blasku pochodni za posterunkiem straży.

– Co... – nie kończę nawet zadanego samej sobie pytania.

Zaprzęg staje. Na zewnątrz słysząc głosy.

Gdy widzę, że Digby zsiada z konia i idzie naprzód, natychmiast otwieram drzwiczki i wysiadam. Ruszam przed siebie, wciąż wpatrując się w tajemniczy kształt w oddali.

Mijam powozy przewożące mięso – zastęp dziewczyn i przystojnego Rosha. Ten ostatni wychyla się przez okno i pociąga nosem.

– Czujesz? – pyta kogoś w środku.

Nie słyszę, jaka pada odpowiedź.

Na drodze zaraz staje mi Sail. Za jego plecami widzę grupę gwardzistów rozmawiających z załogą posterunku. Sam posterunek to prosta kamienna baszta strażnicza. Ot, rogatka, na której musi stawić się każdy przybywający do miasta.

Próbuję podejść bliżej posterunku, ale Sail mnie powstrzymuje.

– Powinniśmy zaczekać tutaj.

– Co... Co to jest? – pytam, wpatrując się w sylwetki ledwie widoczne z oddali za rzędem pochodni. Z tej odległości nie widać szczegółów, a nie potrafię oprzeć się ciekawości. Korci mnie, by podejść bliżej.

Przeciskam się przy koniach naprzód. Sail natychmiast rusza za mną. Wiem, że będzie nalegał, bym zawróciła, ale nie potrafię się zatrzymać – nawet wtedy, gdy wzbiera we mnie koszmarnie przeczucie.

Gdy jestem o niespełna dziesięć metrów od tajemniczych sylwetek, moje nozdrza uderza potworny fetor. To samo spotyka zaraz Saila, który aż przystaje, krztusząc się.

Przygryzam język i idę dalej. Gdy docieram do grupki gwardzistów, wreszcie udaje mi się

zobaczyć to, co tak mnie zaintrygowało. Mój umysł z trudem składa w całość informacje, których dostarczyły mu mój wzrok i węch.

Oto naprzeciw mnie, u bram Highbell, wisi sześć ciał kołyszących się na smaganych wiatrem sękatych konarach.

Nie są to jednak zwykłe ciała wisielców, a coś... bardziej odrażającego. Przerazającego.

To nie pozłoczone głowy zatknięte na tyki i służące za przestrożę.

Nie.

Te zwłoki...

– Gniją – mówi ponuro Sail, jakby słyszał moje myśli. – To dlatego tak cuchną. Król Gnilec od tygodnia podsyła nam takie podarki.

Na widok przegniłej skóry nieszczęśników zasycha mi w gardle. Wiszące ciała są w niektórych miejscach pokryte pleśnią – jakby król Ravinger skazał je swoją mocą tak, by gnily jak owoce. Kępy zielonej, białej i czerniejącej pleśni wokół śmiertelnych ran wyglądają z oddali jak makabryczne upierzenie. Gdzie indziej ciała są zbrązowiałe i pomarszczone, przypominają łupiny pozostawione zbyt długo na słońcu. I wreszcie, ich części... po prostu nie ma. Wygląda na to, że znaczne fragmenty zwłok zgniły do szczytu i nie zostało z nich nic poza strzępami skóry i rozdrobnionymi na pył kośćmi.

Czuję, jak do gardła ciśnie mi się żółć. Przykrywam nos i usta dłonią.

Nie muszę pytać Saila, kim są ci nieszczęśnicy. Na resztkach ich zbroi widzę wyraźnie purpurowe godła. To żołnierze króla Fulkego.

– Przysyła zwłoki i tu, i do Piątego Królestwa – wyjaśnia poważnym tonem Sail. Tymczasem kilka kroków od nas Digby i pozostali wciąż rozmawiają.

– Po co to robi? – pytam.

Sail wzrusza ramionami.

– To chyba wiadomość dla nas. Gnilec pokazuje, że się rozsierdził, a ludzie Fulkego nie mieli szans.

– Ale po co przysyła zwłoki tutaj? – dopytuję. – Przecież to nie wojska króla Midasa najechały jego państwo.

Jakkolwiek zdradziecko zachował się Midas, fakt pozostaje faktem.

Gwardzista znów wzrusza ramionami.

– Widać Ravinger wie, że król Midas to sojusznik króla Fulkego i że właśnie objął po nim tron. Myślę, że mu się to nie podoba.

Zaczyna we mnie wzbierać niepokój. Nie chcę nawet sobie wyobrazić, jak by to było – stanąć z królem Ravingerem twarzą w twarz. Skoro posyła tu zwłoki, choć to nawet nie armia Szóstego Królestwa wtargnęła za jego granicę... to nie chcę myśleć, jak zareagowałby, wiedząc, że tak naprawdę za wszystko odpowiedzialny był właśnie Midas.

Wygląda na to, że stojący nieopodal Digby wydał właśnie rozkaz. Grupa się rozchodzi: kilku żołnierzy idzie w stronę zwłok, gdy tymczasem załoga posterunku wraca na swoje stanowiska. Sail i ja przyglądamy się, jak gwardziści przecinają sznury i zdejmują z drzew gnijące zwłoki. Na nosach żołnierze mają skórzane ochraniacze – inaczej fetor uniemożliwiłby im wykonanie zadania.

Kolejnych kilku gwardzistów zaczyna kopać w śniegu zbiorową mogiłę. Trafiają do niej po kolei wszystkie ciała. Martwi ludzie Fulkego przypominają nasiona wysiewane w ogrodzie makabry.

Teraz gwardziści zasypują nieszczęśników śniegiem. Jeszcze chwila i jedynym śladem po zabitych jest niewielki śnieżny kopiec.

Gdy jest już po wszystkim, powietrze pomалу uwalnia się od koszmarnego fetoru.

Wzdrygam się i szczerzej otulam futrem. W tym właśnie momencie zauważa mnie Digby, który wcześniej nie zorientował się, że byłam tak blisko.

Rusza w moją stronę, a ja już zbieram się w sobie.

– Szykuj się – rzucam pod nosem w stronę Saila.

Digby zatrzymuje się tuż przede mną. Na jego czole pomimo chłodu widać krople potu. Przez chwilę przygląda mi się bez słowa. Trudno mi ustać spokojnie pod jego świdrującym spojrzeniem.

Wiem, że zaraz wysłucham kazania.

Wiem, że w mieście naraziłam siebie i pozostałych. Było to głupie i bardzo nierozważne. Wiem, że podjęta pod wpływem chwili decyzja, by rozdawać pieniądze, mogła uruchomić ciąg bardzo nieprzyjemnych zdarzeń. Sęk w tym, że wtedy o tym nie myślałam. Chciałam po prostu pomóc. Chciałam sprawić, że życie tych dzieci choć na moment stanie się mniej ponure.

Digby wodzi spojrzeniem po mojej twarzy, ale jego wzrok po chwili łagodnieje.

Wzdycha.

– Następnym razem proszę nie wysiadać.

Nie mówiąc nic więcej, Digby oddala się w stronę pozostałych gwardzistów. Wydaje rozkazy i ich ponagla. Chce natychmiast ruszać w dalszą drogę.

Wypuszczam powietrze, a mój oddech przemienia się zaraz w obłok pary. Sail trąca mnie delikatnie.

– Nie było chyba tak strasznie, co?

Śmieję się cicho, kręcąc głową, po czym ruszam za Sailem w stronę zaprzęgów.

– Rzeczywiście, upiekło mi się – odpowiadam.

Midas wściekłby się na mnie za zrobienie czegoś tak lekkomyślnego.

Gdy jesteśmy już przy powozie, Sail otwiera przede mną drzwiczki.

– Jeśli to dla panienki cokolwiek znaczy, podobało mi się to, co panienka zrobiła – mówi nieoczekiwanie.

Przypatruję mu się zaskoczona. Sail tylko nieśmiało wzrusza ramionami. Nie wiem, czy zawstydziły go jego własne słowa, czy to, z jaką uwagą na niego patrzę.

– To było nieostrożne... ale zobaczyłem, że panience zależy. Dostrzegła panienka tych ludzi. Nikt inny nawet by się przy nich nie zatrzymał – wyjaśnia Sail, a ja wiem już po jego tonie, kim jest i jak dorastał.

Czuję na twarzy, jak wzbiera we mnie smutek, więc dopilnowuję, by szybko się uśmiechnąć.

– Ty, Sail – odpowiadam. – Ty też byś się zatrzymał.

Choć dopiero go poznałam, mam całkowitą pewność, że tak właśnie by postąpił. Wiem już, że ten żołnierz z dzielnicy nędzarzy nie różni się tak bardzo ode mnie.

Sail pochyla głowę. Nim zamykam za sobą drzwiczki powozu, uśmiecham się jeszcze do niego. Dobrze wiedzieć, że na każdego łajdaka jak Ravinger przypada taki Sail. Dzięki temu jest w świecie równowaga.

Jedziemy kolejne dwie godziny, a tuż przed świtem Digby zarządza postój. Jesteśmy już daleko od miasta. Nie ma wokół nas nic poza białym bezkresem i majaczącymi daleko w tyle górami. Złoty zamek Midasa dawno przestał być widoczny.

Najbliżej ogniska gwardziści rozbijają solidny, wzmocniony skórą namiot dla mnie. Trzymający przy nim wartę Sail puszcza do mnie oko, gdy wsuwam się do środka. Nie dojadłszy nawet swojej racji podróźnej, miałam chęć jak najszybciej ułożyć się na pościeli.

Nim noc rozrzedza się i nastaje świt, dawno leżę owinięta złotą pościelą i swoimi wstęgami. Nogi i plecy mam obolałe od długiej jazdy, ale znacznie bardziej boli mnie

wspomnienie o gnijących nieszczęśnikach i nędzarzach w Highbell.

Ale... jestem na wolności! Przemieszczam się, zamiast tkwić w miejscu. Przemierzam świat i otwieram się na niego, zamiast się przed nim kryć. To już coś!

Co zrobię, gdy znajdę się w Piątym Królestwie – tego nie wiem. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Jestem w podróży jedną noc, a już zdążyłam stać się świadkiem upadającego ubóstwa i przerażającego okrucieństwa.

A jednak – daję radę.

Choć nie chroni mnie już klatka, nie czuję, by świat mnie miażdżył.

Nie czuję, by mnie niszczył.

Jak na razie mam się dobrze.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 19

Niech to Najwyższy piorunem trzaśnie! – zżymam się pod nosem, ściskając w dłoniach wodze i starając się usiedzieć bez bólu w siodle.

Nie jadę wcale długo, minęło nie więcej niż pół godziny. Noc jest jednak ciemna i nieprzenikniona. Człowiek ma wrażenie, że w powietrzu wisi zmrożona mgła, która uparła się, by oblepić go ze wszystkich stron.

Spałam jak zabita przez cały dzień. Powinam być wypoczęta i gotowa do dalszej drogi, ale... nie jestem. Czuję się zmęczona, przemoczona i wyżęta jak mokra szmata.

Zaciskam zęby, czując, jak znów drżą mi uda. Wewnętrzne strony obu moich nóg zdają się wielkimi sińcami. A i od zewnątrz nie brakuje siniaków. Przy każdym kroku Rześkiego boleśnie się spinam. Całe moje ciało jest obolałe.

Ostatnie siedem dni było dla mnie katogą. Choć pogoda jest dla nas raczej łaskawa, i tak nie jest łatwo podróżować noc w noc, pośród ciemności i osławionego chłodu Szóstego Królestwa.

Mam wrażenie, że co noc zmagam się na nowo z powtórą nauką jazdy konnej. Moje mięśnie mają już tego serdecznie dość. Jestem w stanie jechać wierzchem najwyżej kilka godzin. Potem niemal spadam z Rześkiego i obolała kuśtykam do powozu. Nie lubię jednak się w nim kisić – dlatego usiłuję jak najdłużej jechać w siodle. Walczę ze sobą i próbuję zapanować nad swoim ciałem, bo w zamian dostaję otwarte przestrzenie i świeże powietrze. Mogę też pogadać z Sailem, który zawsze chętnie się do mnie przyłącza. Ma dla mnie uśmiech i różne historie, a to dla mnie przyjemność nie do opisania.

Nie umiem nawet wyrazić tego, jaką radość sprawia mi fakt, że mam kolegę, z którym mogę spędzać czas poza klatką. Nawet jeśli ceną za to jest odmrażanie sobie tyłka.

Niestety tej nocy moje uda i plecy buntują się wcześniej niż zazwyczaj. Co gorsza, również mój żołądek ma mi coś za złe. Zjedzenie suszonego mięsa tuż po przebudzeniu nie wystarczyło – znów jestem głodna. To będzie długa noc.

– Wszystko w porządku? – pyta Sail z nieco ironicznym uśmiechem. Po tygodniu

w podróży na jego twarzy pojawiło się nieco więcej bladego, rzadkiego zarostu. Choć rośnie nierównymi kępkami, jakimś cudem wygląda to uroczo.

– W porządku – kłamię przez zaciśnięte zęby, raz jeszcze próbując ulżyć nogom i plecami zmianą pozycji w siodle. Na próżno – udaje mi się tylko zirytować Rzeńskiego.

Sięgam rękawiczką w dół i gładzę jego białą sierść.

– Przepraszam, kochany.

– Ja potrzebowałem miesięcy, żeby przestać spadać z siodła – zwierza się Sail, który jedzie równo ze mną na swojej pięknej, spokojnej klaczy. Jej umaszczenie jest białe, ale z brązowymi pasmami.

– Tak? Twoi przełożeni musieli być zachwyceni – odpowiadam z przewrotnym uśmiechem.

Sail krzywi się lekko.

– Po każdym upadku musiałem za karę czyścić stajnie z gnoju. A machanie widłami w lodowatej stajni to naprawdę gówniane zajęcie. Dosłownie.

– Tyle szczęścia...

– Cóż, w naszej dzielnicy nie było koni – mówi Sail bez gorczy, stwierdzając po prostu fakt.

– Domyślam się.

– Musiałem przestać się bać tych choler. Kiedy mi się udało, przestałem panikować i już więcej nie spadałem – mówiąc to, głaszcząc klacz po karku. Ona wyraźnie lubi jego dotyk.

– I teraz jeżdżę już porządnie, prawda, moja piękna? – zwraca się do niej melodyjnie.

– Szkoda, że nie widzą cię teraz tamci dowódcy – mówię ze śmiechem.

Sail uśmiecha się, prostując się w siodle.

– A panienka? Spadła kiedyś z konia albo musiała sprzątać stajnie?

– Na szczęście nie. Ale nigdy nie mów „nigdy”, prawda?

– Królewskiej faworycie raczej nie grozi praca widłami. – Sail znów szeroko się uśmiecha.

Zdziwiłby się, gdyby usłyszał, jakie rzeczy robiłam w życiu. Co musiałam robić. Celowo mu tego nie mówię. Z tego samego powodu, dla którego nie wyjawiałam mu, w jakich okolicznościach i od kogo nauczyłam się jeździć konno.

Podczas jazdy zerkam czasem na Saila, gdy ten na mnie nie patrzy.

To dla mnie aż dziwne – mieć kolegę.

Dopiero teraz dociera do mnie, że tego brakowało mi nawet bardziej niż otwartych przestrzeni. Widzę, że łaknęłam więzi z innym człowiekiem. Nie sojuszu w myśl wspólnych interesów czy dyktowanego polityką, a po prostu ludzkiej życzliwości. Przyjaźni. Ot, dwoje ludzi lubi się, rozmawia, dzieli opowieściami i śmieje, za jedyny cel mając to, żeby oboje czuli się dobrze.

Ciekawa jestem, jak by to było – kochać kogoś takiego jak Sail. Chyba byłoby to łatwiejsze: ulec szczeremu, nieskomplikowanemu uczuciu i temu prostolinijnemu ciepłu. Kto wie, może w innym życiu. Innym ciałem.

– Dziś coś zimniej – zauważa Sail, wrywając mnie z zamyślenia.

– Rzeczywiście – przytakuję, by po jego słowach jeszcze dotkliwiej odczuć ziąb.

Musiałam przywyknąć do podróżowania nocą. Z początku każdy najmniejszy cień wydawał mi się złowieszczy i niebezpieczny. Nauczyłam się jednak koncentrować na drodze; na jadących przede mną gwardzistach i kołyszących się latarniach przytroczonych do powozów.

Widoki nie zmieniły się zbytnio od naszego wyjazdu z Highbell. Jak okiem sięgnąć ośnieżone wzgórza poprzecinane skałami. Dawno już zostawiliśmy za sobą nawet najbardziej

odludne gospodarstwa. Pogoda przez większość czasu jest stabilna. Z rzadka tylko poproszy śnieg lub popada śnieg z deszczem.

Rzeźki szarpie lekko pode mną, omijając skałę. Gdy zaciskam na nim uda, by nie zsunąć się z siodła, znów krzywię się z bólu. Moje nogi są wciąż cholernie obolałe.

– Do zaprzęgu. – Słyszę szorstkie polecenie Digby’ego, który właśnie do mnie podjechał.

Przemierza nocny mrok, dopilnowując wszystkiego. Raz po raz przemieszcza się, kontrolując przód, środek i tył naszego konwoju. Pieczołowicie upewnia się, czy wszystko jest jak należy. Dbą o to, byśmy wszyscy zachowywali czujność, trzymali tempo i nie zbaczali z trasy.

– Jeszcze nie – oponuję, kryjąc grymas bólu za uśmiechem.

Digby kręci głową, mrużąc coś pod nosem.

– Idzie nawałnica. – Słyszac Saila, znów kieruję się w jego stronę.

– Tak myślisz? – pytam, zerkając w górę. Widzę tylko chmury sunące po słabo oświetlonym niebie. Wygląda to tak, jakby księżyc próbował się przez nie przebić, ale nie miał dość siły. Na moje oko dzisiejsza noc nie różni się niczym od wcześniejszych.

Sail wskazuje na swój nos.

– Potrafię wyczuć grubą nawałnicę. Taki mam dar.

Mruczę potakująco.

– Jak pachnie „gruba nawałnica”? – pytam po chwili.

– Jak zamarznęte piekło.

Parskam śmiechem.

– „Jak zamarznęte piekło”? Nie przesadzasz trochę z tą złowieszczością? Przecież tutaj chmury zawsze wyglądają tak jak dziś.

Sail kręci głową.

– Poczekaj, a się przekonasz. Czuję, że nieźle nam się oberwie.

– Założymy się?

Sail entuzjastycznie kiwa głową, ale Digby nie daje mu się nacieszyć.

– Nie – zabrania sucho.

Patrzę w jego stronę.

– O co ci chodzi? Dlaczego nie?

– Żadnych zakładów z królewską faworytą – zwraca się Digby do Saila ponad moją głową.

– Ej, to żadna zabawa! – krzywię się.

Digby wzrusza tylko ramionami.

– Zabawy też ma nie być.

– To już zwyczajna złośliwość – mówię, mrużąc gniewnie oczy.

Digby posyła mi cierpiętnicze spojrzenie, po czym cmoka na konia i wyjeżdża naprzód.

– Niech się panienka nie martwi – przerywa ciszę Sail. – Gdyby nie Digby, przegrałaby panienka zakład. To była przysługa z jego strony.

Śmieję się, zadzierając głowę ku srożącemu się niebu.

– Teraz mnie podpuszczasz!

Sail unosi lekko jasne brwi.

– To co? Założymy się jednak?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, gdy jakiś żeński głos nie daje mi dojść do słowa.

– Trochę to dziecinne, nie powiesz?

Prostuję się w siodle na dźwięk słów Polly. Powóz wiozący dziewczyny toczy się tuż przed nami, a Polly wystawiła akurat rękę za okno; jej blond włosy opadają w zagłębienie łokcia.

Patrzy na mnie z pogardą.

Myślałam, że a nuż wspólna podróż z dziewczynami z haremu ociepli nasze relacje. Że przestaną odnosić się do mnie z aż taką niechęcią.

Jednak tak się nie stało. Praktycznie nie mamy ze sobą kontaktu. Od początku podróży spjrzałam w ich stronę nie więcej niż kilka razy. Dziewczyny nie ruszają się z powozu, a podczas postojów współdzielią osobne namioty. Żadna nie spróbowała choćby się do mnie odezwać.

Z wyjątkiem Polly. Choć ona z kolei... nie tyle ze mną rozmawia, co słownie manifestuje swoją niechęć do mnie.

– To druga z ulubionych rozrywek mężczyzn w tym królestwie. Więc chyba nie ma w zakładach nic dziecinnego – odpowiadam jej.

– Jaka jest pierwsza? – interesuje się Sail.

– Wydawanie pieniędzy na spotkania z mięsem – odpowiadam z ironicznym uśmiechem.

Sail śmieje się nieśmiało, za to Polly szyderczo parska.

– Znalazła się! Jakbyś miała o tym cień pojęcia! Kiedy król nas wzywa, z tobą się jakoś nie bawi. Żadne z ciebie mięso. Pozwala ci tylko patrzeć, jak robi to z nami! W sumie to aż mi cię żal. Jesteś tylko figurką do ozdoby. Żaden pełnokrwisty facet nie chce w łóżku takiej oziębłej suki.

Czuję, jak zalewa mnie fala zażenowania. Całe moje rozbawienie momentalnie ulatuje. Czuję się poniżona. Czym innym jest musieć znosić fanaberie Midasa, a czym innym słuchać o tym tak wprost. I to jeszcze w obecności Saila i pozostałych gwardzistów.

Uśmiezek Polly zdradza, że jest z siebie zadowolona.

– Spokojnie! – rzuca do mnie. – Już ja dopilnuję, żeby królowi było dobrze.

Sail patrzy na mnie ze współczuciem, ale to jakimś sposobem sprawia, że jest mi tylko gorzej. Ściskam Rzeńskiego piętami i wysuwam się naprzód. Bez słowa. Nie będę wciskać Sailowi bajek o tym, dlaczego chcę akurat teraz pobyć sama.

W milczeniu oddalam się i od niego, i od powozu. Nie patrzę w stronę Polly i kurczowo ściskam wodze. Kieruję się na sam przód kolumny, przepychając się wraz z Rześkim pomiędzy gwardzistami. Niech się przesuną, trudno. Potrzebuję teraz dystansu.

Mijam slalomem jeźdźca za jeźdźcem, aż znajduję się niemal na czele konwoju, z dala od Polly i jej niewyparzonej gęby. Pcham się naprzód, jakbym naprawdę mogła uciec od rozczarowań. Od bólu, wstydu i mrocznych myśli, które co noc nachodzą mnie przed snem.

Przyjdzie pewnie dzień, gdy te natarczywe myśli nie dadzą się dłużej ignorować. Dopadną mnie na dobre. Przestaną kryć się w mokrej od łez poduszce czy w pęknięciach stłuczonego zwierciadła.

Prędzej czy później każda bolesna myśl i każda kropla skrywanej goryczy wybiją na wierzch i zmuszą mnie, bym się z nimi zmierzyła.

Ale jeszcze nie teraz.

Nie dziś.



ROZDZIAŁ 20

Zwalniam i pozwalam Rześkiemu iść kłusem.

Pozbyłam się właśnie wszelkich złudzeń w kwestii ocieplenia relacji z pozostałymi dziewczynami. Moje nadzieje zgasły jak lont ściśnięty mokrymi palcami. Pora pogodzić się z tym, że nic z tego nie będzie. Powinnam się cieszyć, że mam w tej kolumnie choć jednego przyjaciela. No – jest jeszcze mój szorstki obrońca. Może nie garnie się do pogawędek, ale przecież zabił króla, by mnie ratować! To więcej, niż śmiałabym oczekiwać.

Przez kilka minut jadę w ponurej ciszy. Niedługo jednak dołącza do mnie Sail. Byłam pewna, że tak właśnie zrobi.

– Nie ma co się przejmować Polly. Jest po prostu zazdrosna.

Patrzę na niego cierpko, udając, że jej słowa wcale mnie nie dotknęły.

– Mam się nią nie przejmować? Ty jakoś przejmujesz się Frilly. Łatwo było to wczoraj zauważyć.

Sail czerwienieje i ucieka z twarzą w bok.

– Że co? Do niczego nie doszło... Po prostu potrzebowała dodatkowego koca.

– Spokojnie. Żartuję sobie tylko.

Sail rozgląda się dookoła. Jakby przestraszył się, że ktoś po moich słowach uwierzy w mniej niewinną wersję wydarzeń niż ta prawdziwa. Ale nie dziwię mu się. Królewskie mięso jest królewskie nie tylko z nazwy. Dziewczynom nie wolno zadawać się z dworzanami czy gwardzistami. Nawet plotka, że między Frilly a Sailem do czegoś doszło, mogłaby obojgu zrujnować życie. A do tego nie dopuszczę.

– Wzdychają za tobą w rodzinnych stronach jakieś dziewczyny? – pytam ciekawa, jak wygląda życie Saila poza armią.

Ten znów reaguje z chłopcim urokiem.

– Tylko kilka – odpowiada ze śmiechem. – Góra trzy czy cztery. I w sumie mogłyby wzdychać bardziej.

– Co ty nie powiesz... – podśmiewam się. – Mam nadzieję, że jesteś dla nich dobry.

– Bardzo dobry. Chłopak z południowej dzielnicy umie to czy tamto.

Znów parskam śmiechem.

– Tak? Powiesz mi, co to za magiczne sztuczki?

Sail pełen zapału otwiera usta i już ma zacząć opowiadać, gdy nagle zjawia się Digby i mierzy go karcącym spojrzeniem.

– Żadnego opowiadania faworycie o „sztuczках” – ucina, rozdrażniony. – Chcesz, żeby król skrócił cię o głowę i zatknął ją pozłożoną na bramie?

Sail natychmiast błędnie i kręci przecząco głową.

– Nie, dowódcu.

Wzdycham, patrząc na mojego wiecznie naburmuszonego obrońcę.

– Musisz być takim malkontentem, Dig?

– Do powozu. – Tyle w odpowiedzi ma mi do powiedzenia Digby.

– Nie, dziękuję – odpowiadam słodko.

Digby wzdycha, że znów się upieram, a ja uśmiecham się na widok jego zbolącej miny. To nie pijacka gra, ale i tak coś najbardziej przypominającego zabawę w całej historii naszych kontaktów. Odzywa się do mnie więcej niż kiedykolwiek wcześniej i uważam to za swoje zwycięstwo.

Jedziemy dalej, a Sail raczy mnie kolejnymi opowieściami o dorastaniu w towarzystwie czterech starszych braci. Słucham z taką uwagą, że zapominam niemal o bolących nogach.

Kłębiące się nad nami chmury coraz bardziej przypominają wzburzające się morze. W powietrzu wisi arktyczna mgiełka.

Konie, idące z przodu, wydeptują ścieżkę dla pozostałych, jednak brodenie w kopnym śniegu jest wycieńczające – nawet dla zaprawionych w bojach wierzchowców naszego królestwa. Dlatego Digby dopilnowuje częstych zmian na przedzie kolumny.

Bniemy przez noc, a temperatura zdaje się raptownie spadać. Moje obolałe wcześniej nogi stają się teraz odrętwiałe. Gdy dodatkowo wzmaga się wiatr, robi się naprawdę strasznie. Sail nie ma nawet chęci napawać się faktem, że wygrałby zakład.

Nawałnica przybiera na sile, a my z coraz większym trudem stawiamy jej opór. Wszyscy kulą się na koniach, okutani burkami po same oczy, próbując nie dać się przesywającemu zimnu. Digby cofa się galopem w moją stronę. Jego ciężka peleryna powiewa na wietrze jak cienka chusteczka.

– Do powozu! – woła. Tym razem jest to rozkaz.

Natychmiast potakuję ruchem głowy. Nie zamierzam się z nim teraz sprzeczać. Zresztą, byłabym głupia, gdybym nie skorzystała z okazji, by ukryć się przed lodowatym wichrem.

Niebo zdaje się nas ostrzegać. Jakby dawało nam szansę się przygotować, nim chmury rzucą na nas to, co mają w swoich trzewiach. Uwielbiam jechać wierzchem przez otwartą przestrzeń, ale naprawdę nie chcę być na zewnątrz, gdy zacznie się śnieżyca.

Cały czas mając u boku Saila, zawracam Rzeńskiego i ruszam w stronę powozu. Przy samym zaprzęgu zeskakuję na ziemię i czule poklepuję swojego wierzchowca. Potem, trawiona wyrzutami sumienia, patrzę na Saila.

– Na pewno nie możesz...? – pytam, wskazując na powóz.

Sail kręci głową.

– Nic mi nie będzie. My, żołnierze Szóstego Królestwa, jesteśmy twardzi i chłód się nas nie ima! – zmyśla, puszczając do mnie oko. Gdy mówi, jego oddech natychmiast przemienia się w obłok pary. – Niech panienka wskakuje do środka, bo sama się zaziębi.

Woźnica zatrzymuje się akurat na tyle, bym zdążyła wspiać się do wnętrza i dygocząc,

zatrzasnąć za sobą drzwiczki. Gdy rusza dalej naprzód, zaczynam rozcierać nogi i energicznie roztrzepywać ręce. Próbuję ulżyć zmęczonym mięśniom i tchnąć choć trochę ciepła w kończyny.

Przez okno widzę, że pogoda jest coraz gorsza. Mój wzrok nie sięga daleko, bo za całe oświetlenie mam podskakujące latarnie powozu i skryty za chmurami księżyc.

Jeszcze godzina i nawałnica uderza z całą mocą. Wicher wyje. Jego podmuchy są tak silne, że szyby powozu drżą, a cały zaprzęg kołysze się, jakby miał zaraz się przewrócić. Przesiadam się, by dociążyć zagrożoną stronę i pomóc utrzymać równowagę.

Zaczyna się gradobicie: słyszę, jak o dach uderzają tysiące bryłek lodu. Stukot jest tak donośny, że całkowicie zagłusza koński krok i skrzypienie kół powozu. Sypiący się na nas z nieba zmrożony groszek przysłania wszystko. Nerwowo skubię paznokcie. Nie mogę znieść myśli o tym, że gwardzistów i ich koni nic nie chroni przed żywiołem. Uderzenia gradu muszą być naprawdę bolesne. Widzę na szczęście, że zbaczamy z trasy i kierujemy się w stronę widocznego nieopodal zagajnika. To nie potężne sosny smołowe, ale wystarczy za chwilowe schronienie. Dzięki Najwyższemu!

Czy mówiłam wcześniej, że posuwamy się bardzo powoli? Teraz jest dziesięć razy gorzej. Okładani gradem i smagani wiatrem potrzebujemy aż godziny, by dotrzeć do linii drzew.

Przewodnicy kolumny właśnie wjeżdżają pomiędzy nie, gdy czuję potężne szarpnięcie. Wozem rzuca tak mocno, że upadam na siedzisko po przeciwnej stronie, jednocześnie uderzając głową o ściankę.

– Szlag! – krzyczę, rozmasowując potylicę i gramoląc się z powrotem na drugie siedzisko. Powozem raz jeszcze mocno trzęsie i omal znów nie tracę równowagi. Tym razem jednak udaje mi się zaprzeć o ścianki i nie upaść.

Zaprzęg zatrzymuje się na dobre – nie wiem, czy celowo, czy dlatego, że ugrzązł w śniegu. W mgnieniu oka zjawia się Digby. Szybkim ruchem otwiera drzwiczki i sprawdza, czy jestem cała.

– Nic mi nie jest – zapewniam go.

– Powóz ugrzązł – wyjaśnia, przytrzymując dla mnie drzwiczki.

Gdy wysiadam, natychmiast wpadam w śnieg niemal po kolana.

– Wszystko w porządku? – woła Sail, podprowadzając Rzeńskiego.

W odpowiedzi kiwam tylko głową. Krzycząc pod wiatr, tylko na próżno zdarłabym sobie gardło.

Umieszczam stopę w strzemieniu i wspinam się na siodło. Sail, który trzyma za uzdy oba nasze konie, zaczyna prowadzić je przez kopny śnieg. Ich ciężkie kopyta pomału przebijają się przez gęstą biel.

Mrużąc oczy w śnieżnej zadymce, zauważam, że pozostałe powozy również ugrzęzły. Śnieg ma miejscami blisko metr, koła ani drgną. Gwardziści pokrzykują do siebie, brodząc w puchu. Starają się uwolnić konie i pomóc dziewczynom z powozu, by doprowadzić je w osłonięte miejsce.

Ja i Sail docieramy tymczasem za linię drzew i natychmiast czujemy ogromną ulgę. Tu grad nie jest już dotkliwy. Raz po raz przez gałęzie prześlizgują się pojedyncze kryształki, ale jest o niebo lepiej.

Gwardziści rąbią i układają drewno. Chcą jak najszybciej rozpalić ogień. Mokre polana nie chcą się jednak zająć mimo kolejnych iskier.

I wtedy do stosu drewna podchodzi poważny jak zwykle Digby. Jeden zamach krzesiwem i pojawia się płomień – podpałka momentalnie się zajmuje, jakby nie śmiała mu się sprzeciwić.

Sail prowadzi mnie i konie w miejsce, gdzie uwiązano pozostałe wierzchowce. Śnieg został odgarnięty, więc mają nieco miejsca, by odetchnąć. Czeka już też na nie bela siana.

Zsuwam się z siodła, chcąc pomóc przy Rześkim, ale Sail nalega, bym poszła ogrzać się przy ogniu. On zajmie się końmi. Prowadzi mnie w stronę jednej z kłód leżących wokół ogniska.

Siadam. Jestem wycieńczona i drzę z zimna. Mam wrażenie, że przemarzłam po sam szpik.

Pomału schodzą się kolejne dziewczyny. Siadają na pniakach wokół ognia i tulą się do siebie, by łatwiej się rozgrzać.

Patrzę, jak gwardziści gromadzą opał, rozbijają namioty i wznoszą ze śniegu zapórę, mającą osłonić nas od wiatru. Żaden z nich ani na moment nie przystaje, tymczasem ja nadal drzę, przysuwając osłonięte rękawiczkami dłonie do nikłych płomieni.

Gwardziści znoszą niewielkie cegły i układają je przy ogniu. Gdy te już się nagrzeją, przeniosą je na nasze posłania, by łatwiej było nam się w nich ogrzać. Nasza straż pracuje żwawo i sprawnie. Jestem pod wrażeniem, jak szybko radzą sobie z kolejnymi czynnościami.

Już wkrótce wszystko wokół jest gotowe, a każdy dostępny odstęp między drzewami zajmują namioty.

Pada grad. Jego kryształki rykoszetują od kory drzew, raniąc ją. Ciągły stukot przywodzi na myśl tysiące maleńkich wybuchów. Tymczasem gałęzie w koronach drzew skrzypią żałośnie, targane potężnymi podmuchami.

Nadejście nawałnicy było kwestią czasu. I tak mieliśmy szczęście, że dotychczasowe noce były spokojne.

Zauważam Saila, który kończy właśnie rozbijać mój namiot. Podchodzę do niego, gdy naciąga materiał, mocując go kołkami do podłoża.

– Może ci pomóc? – pytam, podnosząc nieco głos, by mnie usłyszał.

W tej samej chwili zjawia się Digby, który niesie futra dla mnie.

– Nie. Żadnego pomagania – rzuca stanowczo.

– Panienko Auren, to my służymy tobie, nie na odwrót – dodaje Sail.

– To dobrze się składa – odpowiadam – bo ja nie potrafiłabym rozbić namiotu.

Sail się śmieje.

Gdy namiot już stoi, on i Digby sprawnie umieszczają wewnątrz futra. Dostaję też własną latarnię, która zapewni mi światło i odrobinę dodatkowego ciepła. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, bo mój namiot stoi najbliżej ognia, a w dodatku nie dzielę go z nikim. Tymczasem gwardziści i pozostałe dziewczyny będą tłoczyć się po pięć, sześć osób. Pożytek z tego chociaż jest taki, że będą się wzajemnie ogrzewać.

Nie tyle zjadam, co pochłaniam na raz swoją rację prowiantu i czarkę gorącej wody. Potem, nie zwlekając, ruszam w stronę namiotu.

Noc potrwa jeszcze kilka godzin, ale sądząc po sile wiatru, nie zanoszą się na to, byśmy wkrótce mogli ruszyć dalej.

Gdy Sail widzi, że się zbliżam, podnosi się z pniaka leżącego obok mojego namiotu. To on będzie trzymać wartę, gdy ja będę w środku spać. Teraz podtrzymuje dla mnie połę namiotu.

– Chyba wygrałem zakład, co? – zagaja.

– Właściwie to nie dali nam się założyć, prawda?

Sail śmieje się, kręcąc głową. To, że humor nie opuszcza go nawet w trudnych warunkach, świadczy o wielkiej sile jego charakteru.

– Dzisiaj miała panienska szczęście. Następnym razem tak łatwo nie odpuszczę.

– Dzięki za ostrzeżenie. Dobranoc.

– Dobranoc, pani.

Wsuwam się do środka i związuję połę. Potem szybko zdejmuję z siebie strój podróży, zakładam grubą wełnianą koszulę nocną i zagrzebuję się w posłaniu. Buty zostawiam w pobliżu

latarni, by podeschły.

Cegła w nogach posłania promieniuje rozkosznym ciepłem. Wiem jednak, że nie będę się nim cieszyć długo. Wiatr i grad nie ustają, a chłód próbuje wdzierać się do wnętrza każdą, najmniejszą nawet szparą.

Pogoda przez tydzień była stabilna. Teraz się załamała, a z nieba runęła na nas lodowata nawałnica. Gdy słyszę, jak szaleje na zewnątrz, nachodzi mnie myśl, że brzmi to jak ostrzeżenie.

Zbyt późno dotrze do mnie, że powinnam była tego ostrzeżenia usłuchać.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 21

Nawałnica szaleje i szaleje.

Nie brzmi jak zrozpaczona wdowa, ale jak wzgardzona kobieta, mszcząca się lodem i wichrem. Dokładnie tak, jak przepowiedział Sail.

Mijają trzy długie dni i trzy jeszcze dłuższe noce. Gdy ustają gradobicie i śnieżycy, zaczyna padać bezlitosny, kłujący deszcz. Woda przemacza nasze obozowisko, by następnie zamarać tuż po dotarciu do podłoża.

Wszyscy, nawet pogodny zwykle Sail, są przygnębieni. Mam też chwilami wrażenie, że Rześki wkrótce się zbuntuje. Wciąż przygasa nam ogień. Choć gwardziści wnoszą z drewna kolejne osłony, wiatr i deszcz są górą. W końcu postanawiają rozpiąć nad ogniem grubą tkaninę jednego z namiotów. Rozwiązanie się sprawdza; deszcz przestaje padać bezpośrednio na płomień. Gorzej, że odtąd żołnierze będą spać jeszcze bardziej stłoczeni.

Nie ma jak polować. Zresztą w taką pogodę zwierzyna i tak się nie pokazuje. To oznacza, że za jedyny prowiant mamy suszone mięso i orzechy. Nic świeżego i nic ciepłego poza wodą uzyskaną z topienia śniegu.

Wszyscy niemal nie wychodzą z namiotów. Znudzeni, zmarznięci i źli klną w niewzruszone niebo. Aż wreszcie czwartego dnia nawałnica ustaje. Budzę się przy dźwięku trzaskających w ogniu polan, nie wycia wiatru czy bicia gradu. Gdy po raz pierwszy od wielu godzin wyglądam z namiotu, widzę, że błoto i słońca wreszcie zniknęły. W ich miejsce pojawiło się trzydzieści centymetrów świeżego puchu. Białe płatki leniwie wirują w powietrzu w kojącym tańcu.

– Dzięki Najwyższemu.

Sądząc po pozycji słońca na niebie, do zmierzchu została nie więcej niż godzina. Rozglądam się. Większość gwardzistów przeszukuje teren lub próbuje uwolnić unieruchomione wozy. Pozostali ostrzą klingi lub jedzą. Po wszystkich widzę jednak, że są w lepszym nastroju. Słyszę, jak żartują. Na ich twarze wróciły uśmiechy.

Większość przywykła do mojego widoku, w końcu całe dnie spędzamy razem w podróży. Wciąż jednak zdarzy się, że ktoś ciekawsko zerknie na mnie ukradkiem. Poza Sailem i Digbym żaden z gwardzistów się do mnie nie odzywa. Może to za sprawą przestroż Midasa. Lub Digby'ego. Najprawdopodobniej obu.

Czekając na zapadnięcie zmroku, sprzątam swój namiot. Wiem, że zaraz po zwinięciu obozowiska ruszymy w dalszą drogę.

Myję się, korzystając z dzbanka z wodą i zimnej, mokrej szmaty. W podróżowaniu nie ma nic eleganckiego ani wytwornego. Tęsknię do rzeczy, którymi byłam na co dzień rozpieszczana – jak moje łóżko i poduszki czy wanna. Na samą myśl o gorącej kąpieli aż wyrывa mi się jęknięcie. Tu muszę zadowolić się pospiesznym myciem przy użyciu strzępu materiału. Gdy przesuвам chłodną tkaniną po skórze, z zimna dostaję gęsiej skórki i dzwonię zębami.

Wylanie zawartości dzbanka na włosy wymaga ode mnie sporej odwagi. Z wrażenia niemal piszczę. Udaje mi się jednak przemyć głowę i opłukać włosy, nim zupełnie drętwięją mi palce.

Ubieram się, mając wciąż lekko wilgotną skórę. Zaplatam wstęgami włosy, po czym owijam nimi tułów. Zawsze to kolejna warstwa chroniąca przed zimnem.

Gdy akurat wciągam pod grubą spódnicę wełniane rajtuzy, do mojego namiotu zostaje wsunięta taca z jedzeniem. To pewnie Digby osobiście dopilnowuje, bym zjadła coś przed wyruszeniem w drogę.

Sięgam po tacę i okrywwszy nogi futrem, jem na posłaniu. Mam przed sobą kawałek pieczystego i choć mięso jest zupełnie nieprzyprawione, zjadam je błyskawicznie. Jest cudownie ciepłe i świeże. Niemal rozplywa się w ustach w porównaniu z tym suszonym świństwem, którym faszerowałam się od kilku dni.

Zjadam wszystko i powstrzymuję się, by nie wylizać talerza. Potem, chcąc pomóc w zwijaniu obozu, składam futra i pakuję do kufrów swoje ubrania. Przygaszam też nieco latarnię.

Gdy wychylam się z namiotu, obozowisko wokół jest już zlikwidowane. Gwardziści zakładają zbroje i przysypują palenisko śniegiem. Konie już odwiązano i wpięto do zaprzęgów przy uwolnionych i naprawionych powozach.

Na horyzoncie majaczy tymczasem cień nocy, gotowej zalać świat mrokiem.

– Panienska Auren gotowa? – Słyszę zza pleców głos Saila.

Strącam z policzka zbłąkany płatek śniegu.

– Bardziej niż gotowa – odpowiadam. – Myślałam już, że nigdy się nie wypogodzi.

– Straciliśmy kilka dni. Grunt jest skutny lodem, ale świeży śnieg ułatwi nam jazdę. Do Piątego Królestwa już niedaleko.

– Świetnie – mówię, ruszając za Sailem w stronę ustawionych rzędem koni.

Wtem zatrzymuje mnie Digby.

– Ma panienska mokre włosy.

– Jesteś niesamowicie spostrzegawczy – przekomarzam się z nim, jednocześnie nasuwając na głowę kaptur.

Teraz jednak również Sail marszczy brwi.

– Ma rację. Przeziębci się panienska.

– Nic mi nie będzie.

– Póki włosy nie wyschną, zostanie panienska w powozie – komenderuje Digby.

Posyłam mu gniewne spojrzenie. Nie mam najmniejszej chęci kisić się w powozie, mając za sobą trzy dni zamknięcia w namiocie.

– Wolalabym jechać wierzchem.

Digby kręci odmownie głową.

– Przecież będę jechać w kapturze – nalegam.

Digby nie odzywa się więcej. Podchodzi tylko do powozu i otwiera przede mną drzwiczki. Widzę, że tym razem nie da się ugadać. I tak zresztą nie widzę w pobliżu Rzeńskiego.

– W porządku – rzucam gderliwie. – Ale jak tylko przeschną mi włosy, przesiadam się w siodło. Będę jechać równo z tobą i zagadywać cię godzinami! – ostrzegam.

Nie dam głowy, ale mam wrażenie, że kąciki jego ust drgnęły ku górze.

– Ha! Prawie się uśmiechnąłeś! – obwieszczam triumfalnie, po czym zwracam się do Saila: – Też to widziałeś, prawda?

Sail potakuje, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Jak najbardziej – odpowiada.

Digby przewraca oczami, wskazując kciukiem środek powozu.

– Do środka, panienko.

– Dobrze już, dobrze – odpowiadam, po czym pokornie wspinam się do wnętrza.

Sail z uśmiechem zamyka za mną drzwiczki. Opieram się na wyściełanym siedzisku. Po chwili zaprzęg rusza. Nareszcie.

Cóż, pożytek z całego tego postoju jest choć taki, że nie boją mnie już mięśnie.

Rozplątnę warkocz, licząc na to, że dzięki temu moje włosy szybciej wyschną. Ledwie ruszyliśmy, a ja już potwornie się nudzę.

Opieram się o ściankę powozu i przysmykam oczy. Zastanawiam się, ile jeszcze dni zajmie nam dotarcie do Piątego Królestwa. Wiem, że nawałnica pokrzyżowała nam nieco plany, ale nie jestem pewna, ile wynosi nasze opóźnienie.

Delikatne kołysanie sprawia najwyraźniej, że zasypiam, bo kolejne, co pamiętam, to moment, w którym otwieram raptownie oczy. Rozglądam się po pojeździe i zaraz orientuję się, że zgasa latarenka oświetlająca jego wnętrze.

Pod futrem jestem jeszcze owinięta wstęgami. Zawsze to dodatkowa ochrona przed chłodem. Czuję też dłonią, że moje włosy zdążyły wyschnąć. Złote kosmyki opadają swobodnie na moje ramiona.

Wodzę wokół wzrokiem nieco zdezorientowana. Nie jestem pewna, co właściwie mnie obudziło. Dopiero wtedy orientuję się, że zaprzęg się zatrzymał.

Na zewnątrz jest nadal ciemno, więc nie możemy być w drodze od zbyt dawna. Powóz pewnie znów ugrzązł, a ja ocknęłam się od szarpnięcia przy zatrzymaniu.

Przecieram ręką zaparowane okno, ale nic nie widzę. Wszystko na zewnątrz skrywa gęsty całun ciemności. Stukam niepewnie w szybę.

– Digby? Sail?

Nie odpowiadają. Nie słyszę też głosów innych gwardzistów. Czuję, jak po moim ciele zaczyna pełznąć panika. Po raz pierwszy od wielu dni moja dłoń bezwiednie wędruje do blizny na szyi.

Przysuwam się do drzwi i przyciskam twarz do okna, usiłując cokolwiek dojrzeć. Na próżno. Widzę jedynie błądy poblask leżącego wokół śniegu. Wszystko inne tonie w mroku.

Sięgam dłonią ku klamce. Chcę wysiąść i spróbować czegokolwiek się dowiedzieć. W tej samej chwili drzwi otwierają się raptownie. Cofam się przestraszona, ale uspokajam się, widząc przed sobą Saila.

– Na Najwyższego! Aleś mnie wystraszył. Co się stało?

– Panienka Auren wybaczy – przeprasza, widząc moją dłoń nerwowo zaciśniętą na szyi. Opuszczam rękę, a Sail odchrząkuje.

– Digby nakazał postój – wyjaśnia. – Jadący na czele zobaczyli w oddali coś, co ich

zaniepokoiło. Wysłaliśmy naprzód zwiadowców.

– Co to było? To, co ich zaniepokoiło?

– Jeszcze nie wiadomo.

Przesuwam się na siedzisku, chcąc wysiąść, lecz Sail nie schodzi mi z drogi.

– Digby nie chce, by opuszczała panienka powóz – mówi, patrząc na mnie przepraszająco.

To, co słyszę, ani trochę mnie nie dziwi. Mam już jednak serdecznie dość siedzenia w zamknięciu. Czuję się w tym powozie jak w pułapce.

Wystarczyło, że opuściłam zamek, a coś się we mnie zmieniło. Jakby ktoś wyjął korek z olbrzymiej wanny, w której byłam zanurzona – woda spłynęła, a ja nie muszę już walczyć, by utrzymać głowę na powierzchni. Zniknęło całe towarzyszące temu napięcie. Nie liczę już oddechów, nie walczę o życie.

Nie będę umiała wrócić do tego, co było. Umysłowo, emocjonalnie, ani nawet fizycznie. Wystarczy, że o tym pomyślę, a oblewa mnie zimny pot. Po prostu wiem, że dłużej tego nie zniosę.

Dlatego – wbrew poleceniu i pomimo tego, że na zewnątrz może mi coś grozić – nie zamierzam zostać w powozie. Jest zbyt klaustrofobiczny. Zbyt boleśnie przypomina mi o latach walki o to, by nie utonąć.

Przepycham się więc obok Saila i skaczę w mrok.



ROZDZIAŁ 22

Moje buty miękko lądują w śniegu. Wydostałam się z powozu. Sail klnie pod nosem, ale nie próbuje mnie zawrócić. Lubię to w nim.

– Gdzie reszta gwardzistów? – pytam.

Sail wskazuje przed siebie.

– Tam, pod szczytem wzgórza. To lepsze stanowisko obserwacyjne.

Kiwam głową. Ruszamy przez śnieg.

Gdy mijamy powóz z mięsem, jedna z dziewczyn wychyla się, by zobaczyć, co się dzieje.

Niezlomni woźnice czekają w pogotowiu na swoich ławkach. Dopilnowują, by konie zachowały spokój, bo te zaczynają już nerwowo przebierać kopytami.

Teraz z powozu wychyla się Rissa. Ku mojemu zdziwieniu woła mnie. I to po imieniu! Nie odezwała się do mnie słowem od uczt, gdy widziałyśmy się w towarzystwie króla Fulkego.

– Co się dzieje? – pyta.

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam szczerze.

Spojrzenie jej niebieskich oczu błądzi po tonącym w mroku otoczeniu. Powóz haremowy przynajmniej nadal jest oświetlony od środka.

– Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz – rzuca, po czym chowa się do środka, nie czekając na moją odpowiedź. Wraca do prowadzonej ożywionym szeptem rozmowy z Rosh i Polly.

Wciąż lekko zaskoczona, jeszcze przez moment patrzę w okno powozu. Potem ruszam dalej. Sama nie wiem, czy cieszyć się, że Rissa się do mnie odezwała, czy czuć się urażona jej obcesowością.

Sail patrzy na mnie i uśmiecha się nieco ironicznie, nic przy tym nie mówiąc.

– No co? – pytam.

– Nic. – Wzrusza ramionami. – Dziwię się, że nie poprosiła panienka o książkę.

– O książkę?

– Żeby rzucić jej w głowę – odpowiada, po czym śmieje się z własnego żartu. Po chwili,

choć z pewnym zażenowaniem, wtóruję mu i ja.

– Próbowałam jej pomóc! – tłumaczę się.

Sail tymczasem śmieje się tak mocno, że aż gubi dech.

– Muszę zapamiętać, żeby nigdy panienki nie prosić o pomoc!

– Głupek – droczę się z nim, nie potrafiąc się nie uśmiechnąć.

– To zdecydowanie moja ulubiona pałacowa opowieść...

Z cichym jęknięciem przesuвам dłonią po twarzy.

– Wy, gwardziści, to niezłe plotkary. Wszyscy już o tym wiedzą?

– Tak.

– Na Najwyższego... – Kręcę głową.

Sail przestaje się śmiać.

– Proszę się nie wstydić. Ta historia naprawdę mi się podoba.

Zerkam na Saila spode łba, ale ten porozumiewawczo unosi dłonie.

– Nie tylko z powodu, który pewnie przyszedł panience na myśl – wyjaśnia. – Szczerze mówiąc – dodaje po chwili – nie byłem taki pewien, czy chcę posady w tym konwoju. Mimo że na zamku byłem tylko wartownikiem na murach. To nudna robota i człowiek odmraża sobie ja... znaczy marznie – poprawia się, zażenowany.

– Spokojnie, możesz mówić „jaja”. Naprawdę nie musisz się przy mnie pilnować. Jestem przecież mięsem.

– Jest panienka kimś znacznie więcej. Wiem to. I powinna panienka dopilnować, by inni traktowali ją odpowiednio.

Jestem zdumiona jego słowami. Z moich ust znika uśmiech. Jakby to, co powiedział Sail, odgrodziło nas od siebie jakąś barierą powagi. Właściwa naszym rozmowom swoboda nagle gdzieś uleciała.

– Jak mówiłem... – przerywa po chwili niezręczną ciszę Sail – nie byłem wcale pewien, czy chcę tu trafić, mimo że oznaczało to dla mnie spory awans. Ale wtedy zacząłem rozmawiać z innymi, których wybrał Digby. Wymienialiśmy się opowieściami i tak usłyszałem o tym, jak biedna panienka Rissa dostała książkę w twarz. – Sail śmieje się pod nosem. – Niektórzy gwardziści myśleli, że zachowała się wtedy panienka...

– Jak ostatnia suka? – podsuwam.

Sail patrzy na mnie lekko zmieszany.

– No właśnie... – przytakuje. – Ale kilku z nas domyśliło się, że było inaczej. Że zauważyła panienka, jak bardzo panienka Rissa jest zmęczona. Wpadliśmy na to, co chciała panienka zrobić.

– Musieliście być z siebie bardzo zadowoleni.

– To prawda, ale dla mnie to było coś więcej. Od tamtego momentu naprawdę cieszyłem się, że wybrano mnie do konwoju. Wiedziałem już, że nie będę służył za przybocznego jakiejś rozwydrzonej snobce. Zrozumiałem, że nie jest panienka nadętą kurtyzaną, która siedzi w wieży, polerując złotą skórę i pogardzając wszystkimi naokoło.

Aż się krzywię, gdy przed oczami staje mi jego wizja.

– Zależało panience, żeby wyciągnąć panienkę Rissę z tarapatów. By to zrobić, gotowa była panienka nawet wyjść na tę złą. Pomysł panienki był może nieco brutalny i chyba nie do końca przemyślany... ale był! Zamiast beczynnie się przyglądać, zrobiła coś panienka.

– Tak... rozwaliłam jej nos – odpowiadam beznamiętnie.

Sail wzrusza ramionami.

– Dzięki temu przez resztę wieczoru mogła odpoczywać.

– Taki był mój zamiar – mówię, odwracając wzrok. – Ale jak sam wiesz, wykonanie

pozostawiało sporo do życzenia.

– Widzi panienka? – Sail mówi to takim tonem, jakby właśnie dowiódł swojej racji. – Nie jest panienka taka, jak niektórzy sądzą. I niczym sobie nie zasłużyła na wrogość.

Przypatruję się Sailowi, gdy brniemy razem przez śnieg. Odgarniam włosy za uszy. Muszę przyznać, że jestem poruszona. Tym, co właśnie usłyszałam, i tym, jak mnie postrzega. Nie wiem jednak, co odpowiedzieć. Otwieranie się i szczerść przychodzą mi z trudem. Nic w tym dziwnego, zważywszy że niemal całe życie uczyłam się wszystko w sobie tłumić.

Sail najwyraźniej zauważa, że ugrzęzłam i nie radzę sobie z ciężarem jego obserwacji. Robi więc to, za co go uwielbiam. Natychmiast sprawia, że atmosfera znów staje się swobodna, a na moją twarz powraca uśmiech.

– Jeśli wolno mi udzielić małej rady: niech następnym razem nie rzuca panienka książkami – rzuca wesoło.

– Zapamiętam – odpowiadam rozbawiona.

Docieramy wreszcie pod szczyt niewielkiego wzgórza. Widzę już sylwetki trzymających warte gwardzistów i blask trzymany przez nich latarni. Moje podwiewane wiatrem włosy znów próbują uciec spod kaptura. Poprawiam je tuż przed tym, jak dołączamy do grupy wartowników.

Większość z nich siedzi nadal na koniach. Kilku stoi na ziemi i rozmawia. Niemal wszyscy natomiast wpatrują się w horyzont. Na samym czele w otoczeniu kilku innych gwardzistów stoi Digby.

– Na co tak patrzycie? – pytam, stając obok niego.

Z ust Digby'ego wyrywa się znużone westchnienie.

– Co tu robi królewska faworyta? – zwraca się do Saila.

Sail nerwowo drapie się po karku.

– No... wyszło tak, że...

– To nie jego wina – mówię z naciskiem, chcąc oszczędzić mu kłopotów. – Co się dzieje?

Digby raz jeszcze wzdycha, ale o dziwo udziela mi odpowiedzi.

– Zwiadowcy meldują, że widzieli poruszenie w śniegu.

– Jak to: „poruszenie”? Trafili na czyjeś ślady?

Digby kręci przecząco głową.

– Nie, widzieli w oddali ruch. Śnieg się przemieszczał.

– Co mogło to spowodować?

Gwardziści patrzą po sobie.

– Lawina – mówi jeden z nich.

Robię wielkie oczy.

– Chodzi o tamtą górę – wyjaśnia, wskazując przed siebie, inny z wartowników, brodacz o karmelowym zarostie. – Obserwujemy ją, ale niczego nie wypatrzyliśmy. Kolejny zwiadowca ruszył naprzód. Ma przyjrzeć się miejscu, w którym dostrzegli ruch. Będzie nasłuchiwał, czy zanosi się na lawinę.

Mrużę oczy, starając się dostrzec cokolwiek w miejscu wskazanym przez gwardzistę. Nie widzę jednak nic poza czarnymi sylwetkami szczytów. Pomiędzy nami a górami zaś rozciąga się Jałowa Ziemia: smagana wiatrem dolina na granicy Piątego i Szóstego Królestwa. Skute lodem pustkowie.

– Może nas dosięgnąć lawina?

– Tak – odpowiada ponuro Digby.

– Zamięć zostawiła po sobie w okolicy dużo świeżego śniegu – wyjaśnia brodacz.

– Lawina, która zejdzie z tych gór, przetoczy się przez całą dolinę. To śliski, równy teren. Nie ma tu nic, co mogłoby spowolnić lawinę. Przeciwnie, może ona nawet przyspieszyć i bez trudu nas

dosięgnąć.

Cieężko przełykam ślinę. W żołądku czuję potężną gulę.

– Nie możemy zostać tu i prowadzić obserwacji? – pyta Sail.

– Dłuższe czekanie to wystawianie się na zmianę pogody – mówi Digby. – Będziemy tylko zużywać zapasy. To proszenie się o to, żeby pochłonał nas śnieg.

– I tak musimy tędy przejść – wyjaśnia brodac. – To jedyna droga do Piątego Królestwa.

Pocieram ramiona dłońmi. Na szczycie wzgórza chłód jest bardziej dotkliwy.

– Kiedy wróci zwiadowca? – pytam.

Guardziści wymieniają wymowne spojrzenia.

– No właśnie... – zaczyna jeden z nich. – Powinien już tu być.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 23

Gwardziści próbują nie dać tego po sobie poznać, ale są zaniepokojeni. Po postawie ich ciał, od stóp po ramiona, widać, że udziela im się napięcie.

Tu, na bezimiennym wzgórzu na samym krańcu Szóstego Królestwa, czuję się nagle naga. Bezbronna. Niczym drzewo odarte z kory.

Przez chwilę wszyscy milczymy. Wpatrujemy się w majaczącą w oddali górę, pod którą udał się zwiadowca. Widoczne na śniegu ślady samotnej pary stóp zmierzających w jej kierunku pomału nikną pod padającym puchem. Mijają kolejne dłużące się minuty. Czekamy wytrwale, lecz po zwiadowcy nadal ani śladu. Stojący obok Digby zaciska wargi. Wygląda, jakby zmagał się z podjęciem decyzji.

Po chwili odzywa się do swoich ludzi:

– Wy trzej za mną. Spróbujemy odszukać zwiadowcę. Pozostali – trzymać się przy zaprzęgach. Bądźcie w gotowości do dalszej jazdy.

Trzej pierwsi gwardziści potakują głowami, po czym niezwłocznie dosiadają koni. Digby tymczasem zwraca się do Saila.

– Masz jej pilnować – rzuca szorstko.

Sail salutuje mu, uderzając prawą pięścią w lewy naramiennik zbroi.

– Tak jest! – odpowiada.

Digby patrzy teraz na mnie. Jego spojrzenie zdaje się mówić: „Tylko grzecznie mi tu!”.

Chcąc zapewnić go, że nie ma się czego obawiać, próbuję powtórzyć żołnierskie pozdrowienie. Kłopot w tym, że robię to nieco za energicznie i uderzam się w ramię o wiele za mocno.

– Auu! – jęczę, rozmasowując je z grymasem bólu.

Digby wzdycha i raz jeszcze patrzy na Saila.

– Masz jej mocno pilnować.

– Ej! – protestuję oburzona.

Sail z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu.

– Tak jest, dowódco.

Digby wsuwa stopę w strzemień i wspina się na siodło. Ja tymczasem szczerzej otulam się futrem.

Na gwizd Digby'ego on i trzech gwardzistów rusza galopem w dół zbocza, w kierunku, w którym podążył wcześniej zwiadowca. Żołnierz jadący na czele oświetla drogę latarnią na tyczce. Nie mam pojęcia, jakim cudem zamierzają przy takiej widoczności odszukać zwiadowcę, ale liczę na to, że im się to uda i szybko wrócą. Bezczyenne czekanie budzi we mnie niezdrowe emocje. Czuję, jak kiełkuje we mnie lęk. Czuwając przy zaprzęgach, jesteśmy jak stojąca woda, którą spisano na straty.

– Myślisz, że go znajdą?

Sail z przekonaniem kiwa głową.

– Tak, wystarczy, że pojedą jego śladem.

– W tych ciemnościach? – pytam niepewnie.

– Spokojnie. – Sail patrzy na mnie krzepiąco. – Digby to najlepszy gwardzista, jakiego widziałem. Jest inteligentny i ma prawdziwy instynkt. Myślę, że zwiadowca po prostu pobłądził. W tych warunkach o to nietrudno.

Potakuję ruchem głowy, tłumiąc w sobie resztkę obaw. Nie chcę dać ich po sobie poznać.

– Chodźmy, panienko Auren. Lepiej, żeby wróciła panienka do powozu i dłużej nie marzła.

Waham się. Jeszcze przez chwilę patrzę za kołyszącą się w oddali latarnią. Widać już tylko ją, sylwetki jeźdźców dawno rozmyły się w mroku. Z oddali jej blady blask przypomina świetliki widywane na południu Orei. Ponoć w szczególnie ciemne noce pojawiają się one na odludnych drogach, by pomóc zbłąkanym wędrowcom trafić do domu.

Od pamiętnej nocy, gdy poczułam sztylet na swojej szyi, ciągła obecność Digby'ego dodawała mi otuchy. Nie rozmawiamy o tym – to nie w jego stylu – ale wiem, że był przy mnie niemal bezustannie. Nieraz, wybudzona z koszmaru sennego, wyglądałam z klatki i widziałam go stojącego za kratą. Był tam i strzegł mnie, choć początek jego warty przypadał dopiero kilka godzin później. Zupełnie jakby wiedział, że potrzebuję jego obecności. Jakby wiedział, że wciąż stają mi przed oczami ostrze sztyletu i bryzgająca krew – cienka granica między życiem a śmiercią.

Wiedział to i stawiał się co noc, by mnie chronić. Choćby tylko przed fantomowym lękiem i koszmarami.

Może to głupie, ale patrząc teraz, jak się oddala, czuję na plecach pazur pełzającego strachu. Moje wstęgi bezwiednie się wzdrygają.

– Niech się panienka nie obawia. – Sail jak zwykle przejrzał moje myśli. – Niedługo wrócą.

– A jeśli zejdzie lawina?

Sail ze spokojem prowadzi mnie w dół zbocza.

– Spokojnie, panienko. Taki drobiazg jak lawina go nie powstrzyma. – Uśmiecha się.

– Jest zbyt uparty. Poza tym to naprawdę znakomity żołnierz.

– Naprawdę? To chyba nie cierpi tego prowadzenia mnie za rączkę? – żartuję sucho, próbując udawać mniej zaniepokojoną, niż jestem.

Sail kręci przecząco głową.

– Słyszałem, że sam poprosił o ten przydział.

– Naprawdę? – Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Tak.

Na mojej zmarzniętej twarzy nieśmiało maluje się uśmiech. Wiedziałam! Wiedziałam, że

mnie lubi.

– Jeszcze zagra ze mną w pijacką grę!

Sail się śmieje.

– Nie lada zadanie przed panienką. W życiu nie widziałem, żeby odpuścił i zaszalał. Ale jeśli komuś miałoby się udać, to tylko panience!

– Wiesz już, dlaczego stoimy? – Pada nagle pytanie.

Rissa i kilka innych dziewczyn wysiadło z powozu. Stoją nieopodal w kręgu.

– Zaginął zwiadowca. Pojechali go szukać.

Rissa wydaje się nieco zafrasowana.

– Zostaniemy tu na noc?

Sail kręci głową, opierając dłoń na rękojeści miecza.

– Jak tylko wrócą, ruszamy dalej – mówi, po czym zwraca się do mnie: – Chodźmy, trzęsie się panienka jak osika. Pora schronić się w powozie.

Nie próbuję oponować. Mijamy stojące w kręgu dziewczyny i dochodzimy właśnie do mojego zaprzęgu, gdy nagle rozlega się grzmot.

– Znowu? – Patrzę z jękiem w niebo.

Nie uśmiechają mi się kolejne dni postoju na zimnym wietrze i w strugach lodowatego deszczu.

Sail marszczy brwi. Nie patrzy jednak w niebo, a w stronę gór.

– To chyba nie był grzmot.

– Ej, co to? – woła jedna z dziewczyn, wskazując przed siebie.

Wszyscy wysiadają z zaprzęgów i zbiegają się, by popatrzeć. Dołączamy do nich również Sail i ja. W oddali, w głębi doliny, widać światło.

– To płomień? – zastanawia się Polly.

Ciepły blask migocze w oddali pomarańczową poświatą. Jest jak barwna ryska na tafli ciemności.

– Może to latarnia zwiadowcy? – sugeruje ktoś inny.

– Nie – odpowiada Sail, kręcąc głową. – Skoro widzimy to z takiej odległości, to coś znacznie większego niż latarnia.

Ledwie Sail kończy to mówić, tajemnicze światło rozszczepia się na dziesiątki mniejszych. Te rozpraszają się błyskawicznie, mijając się i przenikając wzajemnie, by ostatecznie utworzyć linię w poprzek doliny – tak długą, że trzeba wodzić po niej wzrokiem, jeśli chce się prześledzić ją w całości.

– Co to, na Najwyższego... – Urywam, bo z oddali znów dobiega ten sam odgłos. Do złudzenia przypominający grzmot. To dźwięk tak niski, że nieomal bardziej się go czuje, niż słyszy. I rzeczywiście – nie dobiega z nieba.

Za tajemniczym rzędem świateł, u podnóża góry, śnieg się porusza. Pędzi w dół. Wzbija białe pióropusze i na moment przyćmiewa zupełnie feerię świateł w dolinie.

– O Najwyższy, lawina! – krzyczy jedna z dziewczyn. Dwie kolejne zaczynają piszczeć w panice i rzucają się do ucieczki.

Ja tymczasem patrzę jak oczarowana. I widzę zaraz, jak cienie, które wzięłam mylnie za fragment podnóża góry... odrywają się od niej i zaczynają zmierzać ku widocznym niżej ognikom. I ciemne kształty, i światła przemieszczają się coraz szybciej i zdają się pędzić w naszą stronę. Powietrze raz jeszcze przeszywa niski łoskot, a ja czuję w ciele narastające wraz z lękiem napięcie.

– To nie lawina – szepcze stojący obok mnie Sail, a we mnie z każdą sekundą wzbiera przerażenie. Czuję, jak chwyta mnie za gardło i dławi mój oddech.

– Do stu kurew! – klnie jeden z gwardzistów. – To śnieżni korsarze!

Jedno mrugnięcie oczu. Jeden oddech. Jeden ułamek chwili, gdy do wszystkich docierają te słowa. I nagle zaczyna się chaos.

Nim dociera do mnie, z czym właściwie mamy do czynienia, Sail chwyta mnie za rękę i ciągnie za sobą. Z trudem biegnę za nim przez kopny śnieg, ale on nie odpuszcza i nie daje mi ani na moment zwolnić. Kompletnie pobladł. Widzę, że jest przerażony.

– Szybciej! – krzyczy, ciągnąc mnie w stronę powozów.

Jak tylko mogę, staram się za nim nadążyć, choć brnę po kostki w śniegu, a mokra spódnica coraz bardziej mi ciąży.

Za wolno. Choć biegnę, co sił, nie daje mi spokoju myśl, że uciekamy zbyt wolno.

Wokół padają komendy. Mężczyźni krzyczą coś między sobą, a ja nie potrafię nawet skupić się na dość długo, by zrozumieć znaczenie ich słów. Sail tymczasem wciąż ciągnie mnie za sobą. Pozostałe kobiety dołączają do nas. Krzyczą i potykają się, usiłując za nami nadążyć.

Śnieżni korsarze. Zaraz zaatakują nas śnieżni korsarze.

Słyszałam o nich, ale byli raczej jak bohaterowie mrocznej legendy. Nigdy nie sądziłam, że zetknę się z nimi twarzą w twarz. Mówiono mi, że przemierzają Jałową Ziemię i czają się na łupy w porcie Breakwater. Polują na towary na szlakach handlowych i rabują, co tylko mogą. Nazywają siebie samych „Czerwonymi Kamratami”. Twarze skrywają zawsze za krwistoczerwonymi chustami. Słyszałam nieraz, jak Midas gniewał się o to, że znów złupiono jakiś transport. Jestem pewna, że za każdym razem stali za tym właśnie oni.

Od nikogo nie słyszałam jednak, by mogli czaić się na nas. Przecież ich celem są zwykłe statki i konwoje towarowe. Nie kolumny powozów!

Sail i ja biegniemy najszybciej, jak potrafimy. Nim docieramy do mojego powozu, jeszcze kilkakrotnie daje się słyszeć głuchy łoskot. Teraz towarzyszy mu jednak inny, nowy dźwięk. Sail i ja przystajemy na moment i oboje nadstawiamy uszu.

Nowy dźwięk jest donośny. Niski. Nierówny.

– Co to jest? – pyta jedna z dziewczyn.

Jedna za drugą w pośpiechu pchają się do powozów.

Tajemniczy hałas narasta. Jest wciąż odległy, ale powtarzalny. Wydaje się, że nie pochodzi z jednego źródła, a z kilku.

Ułamek sekundy później orientuję się, że to głosy. Setki głosów zlewających się we wspólny bitewny okrzyk! Zbliżają się. Są coraz to głośniejsze.

– Musimy ruszać! Natychmiast! – woła Sail do pozostałych. Część gwardzistów jest już na koniach, pozostali popędzają dziewczyny i pomagają im wsiadać do powozów.

– Do środka! – Sail o mało nie urywa drzwiczek, otwierając je przede mną. Potem błyskawicznie je zatrzaskuje, a ja zasuwam od środka rygiel. Moje serce łomocze, wtórując kolejnym salwom bitewnych okrzyków, przetaczających się przez jałową równinę.

– Gdzie woźnica, do cholery? – Słyszę krzyk Saila.

Kolejne piski. Kolejne dziewczyny zbiegają się do powozów. Kolejni gwardziści dosiadają koni.

– Szlag!

Widzę przez okno, jak Sail porzuca swojego konia, by biegiem ruszyć w stronę mojego zaprzęgu. Znika mi z oczu, gdy wskakuje na ławkę woźnicy.

– Naprzód, na przełęcz! Chronić królewską faworytę! – woła.

Tuż po tym powietrze przeszywa ostry trzask lejc. Powóz gwałtownie wrywa naprzód, a ja o mało nie upadam na podłogę. Sail ostro pogania konie. Brniemy przez śnieg tak szybko, jak to tylko możliwe.

Miota mną po wnętrzu kabiny. Co i rusz przelatuję z jednej strony na drugą. Jedyne, co teraz słyszę, to tętent kopyt i skrzypienie toczących się po głębokim śniegu kół.

Po obu stronach mojego powozu pojawiają się zaraz gwardziści. Jadą równo z nami, gotowi w każdej chwili mnie bronić. Złote peleryny powiewają za ich plecami, kaptury w pędzie zsuwają się z głów. Nie rozpoznaję w ciemnościach ich twarzy – wszystkie przypominają teraz zjawy.

Przez lewe okno widzę też jeden z powozów haremowych. Pędzi równo z nami. Pozostałe są poza zasięgiem mojego wzroku.

Staram się teraz wyrzucić na drogę przed nami. Chcę wiedzieć, jak daleko od przełęczy się znajdujemy. Ocenić, czy mamy szansę w porę do niej dotrzeć. Po chwili znam już prawdę. Zrozpaczona stwierdzam, że nie mamy szans. Przełęcz jest za daleko.

Słysząc krzyki. Zerkam to w lewo, to w prawo. Ilekroć odwrócę się w którąś stronę, mam wrażenie, że gdzieś w ciemnościach zniknął kolejny gwardzista. Za szybko wirują płatki śniegu – przez to jeszcze trudniej mi coś dostrzec. Dodatkowo powozem miota na wszystkie strony. Zewnętrzna latarnia uderza o ściankę i pojawia się płomień, który jednak w oka mgnieniu gaśnie.

Pędzimy teraz na złamanie karku w przerażających ciemnościach. Krzyki i odgłosy walki stają się tak głośne, że zagłuszają tętent kopyt, bicie kół i trzask lejc. W którąkolwiek stronę skręci Sail, nie jesteśmy w stanie od nich uciec. Choć konie biegną ile sił.

Są blisko. Jakby zasadzili się na nas. Jakby wiedzieli.

Zaczyna trawić mnie strach. Mój oddech staje się nierówny, a pole mojego widzenia zaczyna się zwężać.

Wstęgi, które dotąd oplatały mój tułów, opadają mi na kolana i wiją się po nich, jakby szykowały się do obrony. Gdy drżą mi ręce, wślizgują się pomiędzy moje palce, oplatają moje dłonie i kciuki. Czuję ich jedwabisty, kojący dotyk. Są jak uścisk dłoni przyjaciela, który chce nam dodać otuchy. Odwzajemniam go.

Głośno. Wokół jest niesamowicie głośno. Wiem, że są blisko.

Cały powóz trzeszczy i stuka od potężnej prędkości i podmuchów wiatru. Na zewnątrz słysząc nagle łoskot. Ktoś krzyczy. Koń rży. Wiatr przycicha.

Widzę za oknem kule światła. Są tuż. To niewiarygodne, jak szybko nas dopędziły. Widzę za nimi niewyraźne, potężne cienie. Światła rzucają czerwony blask. Są jak ostrzeżenie. Omen, od którego nie potrafię oderwać oczu.

Jedno z kół uderza nagle o coś twardego. Zostaje wyrzucona w powietrze i tylko dzięki wstęgom, które natychmiast zapierają się o ścianki powozu, boleśnie nie upadam. Sail coś krzyczy, ale nie daję rady wychwycić jego słów. Sekundę później powóz skręca gwałtownie w lewo. Koła odrywają się od ziemi. Krzyczę przerażona, gdy zaczynamy obracać się w powietrzu.

Przez ułamki sekund jesteśmy jakby nieważcy. Zawisamy w powietrzu uwolnieni od ciężenia. Moje ciało unosi się jak na niewidzialnych żyłkach.

W mgnieniu oka jednak nieważkość ustaje. Boleśnie spadamy z powietrznej poduszki. Powóz przewraca się i koziołkuje. Tym razem nawet wstęgi nie uchronią mnie przed uderzeniami.

Zostaję ciśnięta z wielką mocą. Raz po raz rzuca mną w inną stronę. Toczę się wraz z całym powozem, nabierając prędkości. Bez cienia kontroli. Bez szans na łagodne wyhamowanie. Dopada mnie ponura świadomość, że jestem zdana na łaskę upadku, który powstrzyma tylko ostateczna kraksa.

Jestem jak bezwładna szmaciana kukła. Zaczynam się już bać, że to spadanie i koziołkowanie nie skończy się nigdy. Że na zawsze zostanę uwięziona w toczącej się siłą

rozpędu ciemnej kabinie. W powietrze wzbijają się odłamki szkła, drzazgi i ostre kawałki złocień.

Aż wreszcie, po jeszcze jednym obrocie, powóz z donośnym trzaskiem zatrzymuje się na boku, uderzywszy w zaspę śnieżną. Uderzam głową o ściankę. Towarzyszy temu odgłos przyprawiający o mdłości.

Czuję ukłucie bólu. Nim całkiem ciemnieje mi w oczach, widzę przed nimi krwistoczerwony rozbłysk.

Tracę przytomność, wciąż słysząc dobiegające z zewnątrz głosy. Są jak mętna otchłań, w którą do reszty się zapadam.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 24

Promyki dawno niewidzianego słońca koją moje oczy. Gładzą czule zamknięte powieki. Mruczę błogo przez sen. Wzbiera we mnie radość, powracają przyjemne wspomnienia. Zwracam twarz ku ciepłemu światłu, ale nie udaje mi się go w pełni poczuć.

Kolejne jedwabiste muśnięcie czoła i udaje mi się otworzyć oczy. I wtedy nieoczekiwanie wita mnie ukłucie bólu. Mrugam powiekami w rytm nieznośnego pulsowania, które czuję w głowie. Dwie wstęgi opadają z mojej twarzy, by zacząć teraz gładzić mnie po rękach – jakby to je chciały w następnej kolejności obudzić.

Więc to nie były promyki słońca, a moje wiecznie gotowe, opiekuńcze wstęgi... Kojący blask był tylko omamem w mojej głowie.

Jęcząc, siadam i próbuję zorientować się w przestrzeni. I wtedy przypominam sobie, co się wydarzyło. Gdy dopada mnie terażniejszość, całe moje ciało natychmiast się napina. Rozglądam się i widzę strzaskany, wciąż leżący na boku powóz.

Czuję, jak przez wybitą szybę pada na mnie śnieg. Moje nogi zdążyły zdrętwieć. Podciągam stopy bliżej tułowia, a tymczasem moje oczy pomału przyzwyczajają się do niemal całkowitej ciemności. Próbuję się podnieść. Dźwigam się na nogi, sięgając do góry, ku klamce znajdujących się nade mną drzwi. Udaje mi się ją namacać, ale zaraz wzdrygam się, słysząc na zewnątrz odgłosy walki. Wokół rozlega się szcęk mieczy; tego dźwięku nie da się pomylić z żadnym innym. Słyszać też jęki rannych i krzyk kobiet. To wszystko sprawia, że waham się, czy nie pozostać jeszcze chwili w ukryciu – czy nie zwinąć się w kłębek i nie zakryć dłońmi uszu. Zmuszam się jednak, by utrzymać się na nogach. Stoję dalej, choć drżą mi kolana i czuję kolejne fale nudności. Walczę ze sobą, bo nie wolno mi znów zemdleć. Nie wolno mi tchórzyć i się ukrywać.

Tam, na zewnątrz, jest Sail. Są inni gwardziści i pozostałe dziewczyny.

Chwytam pewniej klamkę, mocniej staję na nogach i wyglądam przez zbitą szybę. Na razie chcę tylko szybko się rozejrzeć. Ledwie jednak wychylam się przez okno, tuż przed sobą widzę mężczyznę. Z łoskotem wskakuje na powóz.

Przestraszona natychmiast się cofam. Próbując jak najszybciej schować się znów do wnętrza, uderzam i tak już obolałą głową o ramę okna. Jakbym miała jeszcze szansę się ukryć...

Nie zdążam się wycofać. Intruz wbija we mnie wzrok i leżąc na ściance powozu, chwyta mnie za ramiona. Szarpie mną, próbując wydostać mnie na zewnątrz. Opieram się i krzyczę, ale na próżno. Podciąga mnie z taką łatwością, jakbym nie ważyła nic. Jakby moje desperackie próby obrony nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

Mężczyzna wyciąga mnie żelaznym chwytem na zewnątrz. Czuję, jak przesuwam biodrami po ostrych resztkach strzaskanego okna. Jeszcze chwila i stoję na bocznej ściance powozu. Wtedy intruz niespodziewanie odwraca się i spycha mnie z niego.

Nie mam nawet dość czasu na wdech. Nagle lecę przed siebie głową naprzód.

Upadam na śnieg. Lądowanie jest twarde i bolesne, bo trafiam w ukrytą tuż pod puchem skałę. Wargą i ramieniem uderzam o jej ostrą krawędź i natychmiast czuję w ustach smak krwi. Krzywię się z bólu.

Wciąż oszołomiona słyszę, jak intruz zręcznie zeskakuje na ziemię. Mocnym chwytem za kołnierz futra stawia mnie na nogi. Gdy tak mną szarpie, materiał boleśnie naciska mi na gardło.

W bladym świetle przysłoniętego chmurami księżycy udaje mi się wypatrzyć front zaprzęgu. Jeden z koni, wciąż przypięty do dyszla, leży martwy. Drugi zniknął, pozostawiając po sobie tylko strzępy ogłowia i lejc.

Po Sailu ani śladu.

Dłoń w owijce z grubego białego materiału chwyta mnie za podbródek. Intruz zwraca ku sobie moją twarz i zmusza mnie, bym na niego spojrzała. Pierwsze, co zauważam, to że jest od stóp do głów ubrany w białe futro. Idealny kamuflaż, nie licząc krwistoczerwonej chusty – owianego złą sławą znaku rozpoznawczego Czerwonych Kamratów.

– Co my tu mamy? – Jego głos, choć przytłumiony, brzmi bardzo szorstko. Jakby jego krtań dawno skostniała w tej lodowatej krainie. Każde słowo wydobywające się z jego gardła jest jak ostry sopel lodu.

– Zostaw ją, bydlaku!

Błyskawicznie zwracam się w lewo, by zobaczyć Saila. Został obezwładniony przez trzech korsarzy. Prowadzą go przed sobą na ostrzu noża. Nie ma już na sobie złotego pancerza ani peleryny. Zabrali mu nawet mundur. Jest teraz ubrany tylko w cienką tunikę i spodnie. Ma spuchniętą, posiniaczoną twarz. Na łuku brwiowym widać zaschniętą krew. Może to ślady wypadku powozu, a może walki z napastnikami.

Trzymający mnie korsarz śmieje się, słysząc Saila. Ten nadal się szarpie, ale zaraz otrzymuje potężny cios w brzuch. Zgina się wpół i krztusi. Oddycha ciężko, boleśnie skulony, a z jego ust na mokry śnieg sączą się krople krwi.

– No dobrze, popatrzmy... – Korsarz, który mnie schwytał, ściąga kaptur z mojej głowy.

Gdy tylko moja twarz zostaje odsłonięta, znów chwyta mnie za podbródek i wykręca moją głowę tak, by skierować ją ku światłu. Gdy przygląda się mojej cerze i moim włosom, jego oczy robią się coraz większe. Nie wiem, ile dokładnie widzi, ale chyba to, co zobaczył, mu wystarczy.

– Do stu kurew, patrzcie na tę!

Czuję ukłucie w żołądku. Wzbiera we mnie przerażenie. Wstęgi kurczowo przylegają do moich pleców.

– Ma pomalowaną całą twarz!

Mrugam powiekami. Nie chcę dać po sobie poznać ulgi. Nie śmiem się odezwać.

Zbir przytrzymujący Saila oblizuje wargi.

– Mmm, ładniutka jest. Kapitan Fane będzie ją chciał lepiej obejrzeć.

Korsarz puszcza mój podbródek z cichym jękiem zawodu.

– Wy ich zabierzcie – woła do trzech kamratów, po czym wsuwa palce do ust i ogłuszająco gwizdże. – Ja się zajmę wyciąganiem powozu.

Jeden z korsarzy się śmieje.

– Powodzenia! Jest ciężki jak sto skurwysynów. Zobacz, ile na nim złota.

– Ciężki, znaczy swoje wart! – odkrzykuje ten stojący za mną.

Gdzieś za plecami słyszę ruch. Po chwili widzę, że nadciągają kolejni Czerwoni Kamraci. Zjawili się najwyraźniej na sygnał mojego oprawcy. Ten puszcza mnie i przekazuje innemu korsarzowi. Boleśnie czuję na ramieniu jego żelazny uścisk.

Chociaż próbuję się opierać, korsarz bezceremonialnie wlecze mnie naprzód. Sail i ja jesteśmy teraz prowadzeni w stronę szczytu wzgórza. Rozbity powóz zostaje gdzieś za nami, w dole.

Sail nie spuszcza ze mnie wzroku. Choć korsarze obchodzą się z nim brutalnie, robi, co może, by iść jak najbliżej mnie. Jakby starał się własnym ciałem osłonić mnie przed niebezpieczeństwem.

– Nie kombinuj, kurwa! – rzuca szyderczo jeden ze zbirów, ostrzegawczo przysuwając ostrze do boku Saila.

Oczy mam pełne łez. Lodowatych łez.

– Przepraszam, pani – mówi Sail. Na jego twarzy malują się przygnębienie i poczucie klęski.

Korsarze zabrali mu nie tylko zbroję, ale i hełm. Teraz, gdy jest wyraźnie przestraszony, wydaje się jeszcze bledszy niż zazwyczaj. Tylko sińce i zaschnięta krew nadają jego twarzy barwę. Przybity i przerażony, jest niemal nie do poznania – w tej chwili próżno szukać u niego właściwych mu cech – serdeczności i radości.

– To nie twoja wina, Sail – odpowiadam cicho, próbując nie myśleć o bólu w ramieniu. Korsarz trzyma mnie tak mocno, że niemal odcina dopływ krwi do mojej ręki. Całe moje ciało chce drżeć z przerażenia. Powstrzymuję je jednak – jakbym tamowała dłonią krwotok z paskudnej rany.

– To jest moja wina – oponuje Sail drżącym głosem. Serce mi się kraje na to jego bolesne wyznanie. Z trudem patrzę, jak ciężko porusza grdyką, walcząc ze wzbierającą paniką. Widzę, jak walczą ze sobą. Nawet w tak dramatycznych okolicznościach nie chce okazać słabości.

Nie potrafię teraz myśleć o niczym innym niż o historiach, które Sail opowiadał mi podczas długich nocy w siodle. Mówił mi o swoich czterech starszych braciach, biegających boso po ubogiej dzielnicy Highbell, i o surowej, ale bezgranicznie oddanej matce. Wspominał, jak dawała im bury i goniła miotłą, ale też nie spała całą noc i nie ustawała w poszukiwaniach, jeśli któryś z synów nie pojawił się na kolacji.

Nie zasłużył na taki los. Wyszedł z dzielnicy nędzy, a dosłużył się posady przybocznego królewskiej faworyty. Wszystko to bez grosza przy duszy. To najserdeczniejszy i najzyczliwszy człowiek, jakiego poznałam. Nie mogę patrzeć, jak bezimienny zbir popędza go przed sobą nożem.

Sail patrzy na mnie. Jego podbite oko z każdą chwilą coraz bardziej ciemnieje i zachodzi opuchlizną. Wygląda na umęczonego. Ale nie swoim stanem, a troską o mnie! Widzę, jak jego grdyka znów nerwowo się porusza.

– Miałem panię strzec. Miałem bronić...

– I broniłeś – przerywam mu z naciskiem. Nie pozwolę, byś obwiniał się o to, co nas spotkało. – Nic więcej nie mogłeś zrobić.

– Zamknąć mordy, wy tam! Albo was zakneblujemy – warczy prowadzący mnie korsarz,

po czym potrząsa mną, by pokazać, że nie żartuje. Choć ze wszystkich sił staram się opierać, jestem bezradna wobec jego siły.

Niebieskie oczy Saila kipią gniewem. Ja jednak daję mu głową znak, by nie reagował. By nie próbował walczyć. Idziemy dalej w milczeniu. Blizna na mojej szyi zdaje się aż pulsować – jest jak bolesne, fizycznie namacalne przeczucie. Jak zły omen zwiastujący, że moje życie znów zawiśnie na włosku.

Moje wstęgi aż rwą się, by otoczyć moją szyję – by osłonić to szczególnie wrażliwe miejsce. Utrzymuję je jednak w ryzach.

Za nami rozciąga się ponury widok na przełęcz. Przez otwartą przestrzeń pomiędzy szczytami pędzą lodowate podmuchy, które dodatkowo utrudniają nam marsz. Szybko odwracam głowę. Nie chcę patrzeć na przełęcz – przypomina rozdziawione od śmiechu usta. Zupełnie jakby góra z nas szydziła.

Przełęcz. Tak odległa. Zbyt odległa. Zdawała się naszą jedyną szansą, choć wcale nią nie była. Nie mogło udać się nam w porę do niej dotrzeć.

Góry wokół nas o tym wiedzą.

Zewsząd słychać szyderczy chichot wiatru.



ROZDZIAŁ 25

Prowadzą nas coraz wyżej i wyżej. Zostawiamy głębokie ślady w ciężkim śniegu. Sail i ja brniemy przez niego z trudem, przy każdym kroku bojąc się upadku. Korsarze za to zdają się po nim płynąć, jakby zapadanie się i opór śniegu nie stanowiły dla nich najmniejszej trudności.

Do szczytu pozostaje ledwie kilkadziesiąt kroków. Każdy z nich kosztuje mnie jednak tyle wysiłku, że gdy docieramy na miejsce, dyszę ciężko. Do tego czuję się obolała od ciągłego szarpania za ramię.

W pierwszym momencie nie poświęcam grama uwagi widokom, które rozpościerają się ze szczytu. Jestem zbyt zajęta łapaniem oddechu. Gdy jednak po chwili udaje mi się rozejrzeć, szeroko otwieram oczy. Słyszę, że i Sail z wrażenia robi głośny wdech.

Koniec z pustką i krajobrazem białego, jałowego bezkresu. Przed nami nagle jest aż gęsto. Patrzymy ze szczytu wzgórza na trzy potężne statki z białego drewna. Choć stoją na śniegu, wyglądają jak zacumowane w oceanicznym porcie. Nie mają jednak żagli ani wiosł. Te potężne maszyny przemierzają nie wzburzone morza, a lądy. Za napęd zaś służy im siła innego rodzaju.

– Ogniopazury... – szepcze Sail w niemal nabożnym zdumieniu.

Wybałuszonymi oczami wpatruję się w przepotężne śnieżne koty. Są po prostu ogromne. Każdy z nich mierzy ponad trzy metry. Ich wielkie, zakrzywione kły sięgają znacznie poniżej ciężkiej linii żuchwy, a każdy z nich rozszerza się w coś na kształt szufli. Widać, że te zwierzęta przystosowały się do forsowania śniegów i lodu.

O zawrót głowy przyprawia jednak nie tylko ich wielkość, ale także... ich płonące łapy. Nie wszystkie ogniopazury podtrzymują w tej chwili płomień. U niektórych widać go na wszystkich czterech kończynach, u kolejnych tylko na jednej, a jeszcze u innych – na żadnej. Jakby stado nie mogło się namyślić, iloma nogami brodzić w piekle.

Teraz już rozumiem, dlaczego widzieliśmy z oddali kule ognia.

Gdy jeden z korsarzy trzaska batem, by popędzić naprzód bestie w zaprzęgu, cały rząd ogniopazurów wydaje z siebie gardłowy ryk. Przeszywający dźwięk niesie się wokół echem

i wprawia w drżenie ziemię pod naszymi stopami.

Natychmiast rozpoznaję odgłos, który mylnie braliśmy za grzmot.

– Myślałam, że ogniopazury to istoty z mitów... – mówię zdumiona.

– Raczej z koszmarów – śmieje się jeden z korsarzy. Choć jego twarz jest zasłonięta, wyczuwam, że się uśmiecha. – Jednym uderzeniem łapy potrafią zabić człowieka.

Patrząc na korsarza, staram się nie drżeć.

– Pochlastają cię pazurami albo spalą na popiół. Tak czy siak, zdechniesz w bólu – dodaje jeszcze.

Nie chcę się nawet zbliżać do tych potworów. Kłopot w tym, że korsarze zaczynają prowadzić nas właśnie w ich kierunku. Popychają nas przed sobą w dół drugiego zbocza, ku czekającym statkom. Przed nami aż roi się od ich kamratów. Są ich setki.

Rozglądam się uważnie wokół, starając się wyłowić wzrokiem jakąś znajomą twarz. Targają mną sprzeczne uczucia: jednocześnie mam nadzieję, że uda mi się jakąś dostrzec, i modłę się, by tak się nie stało.

Gdy zbliżamy się do statków, widzę kolejne ślady walki. Mijamy martwe konie i kolejny rozbity powóz ogołocony ze złocień. Korsarze zdemontowali lub odrąbali każdy cenny element.

Są brutalnie metodyczni i precyzyjni. Nie pomijają ani jednego kufra. Ani jednej złotej zasłonki.

Konie, które przeżyły, są teraz prowadzone na mniejsze statki. Słyszę stukot ich kopyt na drewnianych trapach. Większość wyraźnie boi się ogniopazurów. Z oddali dostrzegam Rzeńskiego. Poznaje go po kawałku złotej dratwy, który wplotłam w jego ogon.

Wszędzie roi się od korsarzy. Łupią pozostałości naszej kolumny i zaganiają na statki krzyczące rozpaczliwie dziewczyny z haremu. Wszyscy mają na sobie identyczne białe stroje. Ich twarze ukryte są za taką samą krwistoczerwoną tkaniną, spod której widać jedynie oczy.

Płomienie z łań zaprzęgowych bestii rozświetlają otoczenie migoczącym światłem. To jakimś sposobem sprawia, że wszystko robi jeszcze bardziej ponure wrażenie.

Gdy odwracam wzrok od statku, zauważam krew rozprysniętą na śniegu. Jest tak ciemna, że wydaje się czarna. Zaraz moje spojrzenie natrafia też na kolejne nieruchome ciała gwardzistów.

Idący w milczeniu obok mnie Sail na moment nieruchomieje, a ja czuję, jak znów wzbiera we mnie przerażenie. Wypełnia moje płuca niczym gryzący dym. Parzy mnie w oczy. Zatrzuwa moje ciało.

Gdzie tylko spojrzę, widzę martwych lub pojmanych gwardzistów. Korsarze zabierają im wszystko, każą rozbierać się aż do bielizny. Ci żołnierze, którzy wciąż żyją, są zakrwawieni i posiniaczeni. Drżą z zimna, bo nie mają już nawet butów. Każdy, najmniejszy nawet element ich rynsztunku trafi zaraz na statki.

Przygryzam język tak mocno, że czuję na policzku miedziany smak. Dłuższą chwilę nie cofam zębów. Gryzę.

Gdy znajdujemy się w pobliżu statków, dzięki żarowi bijącemu od łań bestii nieco mniej odczuwam wszechogarniający ziąb. Nie umiem się jednak z tego cieszyć. Nie przynosi mi to ani krzty otuchy.

Wodząc wzrokiem pomiędzy korsarzami, wypatruję gwardzistów. Szukam zwłaszcza tej jednej, najważniejszej twarzy. Nigdzie jednak jej nie widzę. Po Digbym ani śladu.

Wychodzi nam na spotkanie gburowaty korsarz.

– Następne mięso? – pyta, patrząc na mnie. – Dawać ją tam! – Wskazuje głową za siebie, a mój wzrok natychmiast podąża za tym gestem. Widzę stojące w szeregu dziewczyny i Roshę – męskiego członka haremu. Przygląda im się grupa zbirów. Korsarze patrzą pożądliwie na

dziewczyny i obmacują je. Rosha natomiast rzucają na kolana. Plują na niego. Drwią.

Chłopak zwiesza głowę.

Odwracam się teraz w drugą stronę.

– Sail... – zaczynam, by natychmiast urwać.

Jeden z korsarzy wlecze mnie za sobą, gdy tymczasem Sail prowadzony jest w przeciwną stronę.

– Wszystko będzie dobrze! – woła do mnie. Ja jednak, nawet zdruzgotana i oszołomiona, wyczuwam w jego drżącym głosie niepewność.

– Sail! – krzyczę rozpaczliwie, czując, jak wzbiera we mnie panika. – Sail! – próbuję raz jeszcze, usiłując wyrwać się prowadzącemu mnie zbirowi.

Wszystko na próżno. Cały mój opór jest na nic. Gdyby nawet udało mi się wyrwać, wokół i tak są setki korsarzy.

– Wszystko będzie dobrze, panienko! – woła jeszcze kilkakrotnie Sail, ale na jego twarzy widzę strach. Brzmi, jakby rozpaczliwie zaklinał rzeczywistość.

Korsarz wlecze mnie brutalnie naprzód i po chwili Sail zupełnie znika mi z oczu. Trafiam do szeregu z pozostałymi dziewczynami. Czekamy ustawione przed największym ze statków. Tuż za nami ponad gruntem unosi się para. To płomienie z łap ogniopazurów topią śnieg.

Zostaję przeprowadzona na drugi koniec szeregu i po chwili widzę nieopodal Saila. Doprowadzono go w miejsce, gdzie czekają już inni pojmani, i rzucono na kolana jak pozostałych żywych gwardzistów. Pilnujący go korsarz kopie go potężnie w bok, by nie próbował się podnieść. Sail krztusi się i obejmuje rękoma tułów, lecz nie opuszcza głowy. Wciąż patrzy w moją stronę. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby chciał mnie zapewnić, że nie zostawi mnie samej.

Słyszę cichy jęk i zwracam się w lewo. Widzę, że stojąca obok mnie Polly płacze, drżąc z zimna. Po jej piegowatej twarzy jedna za drugą płyną łzy. Szlocha tak mocno, że jej oddech się rwie. Jej sukienka jest rozerwana, gorset ma w strzępach. Rozpaczliwie próbuje przytrzymać kawałki materiału, lecz to na nic. Jest półnaga, jej piersi są niemal w całości odsłonięte.

Wzbierają we mnie złość i desperacja. Natychmiast zrzucam z siebie futro i okrywam nim Polly. W pierwszej chwili odtrąca moją dłoń, jednak zaraz orientuje się, kto jej dotknął. Przestaje się opierać.

– Co robisz? – pyta. Jej ton nie pobrzmiewa już drwiną.

Nie odpowiadam. Chwytam ją tylko za rękę i przewlekam jej dłoń przez rękaw. Potem robię to samo z drugą, by na koniec zapiąć guziki. To ostatnie przychodzi mi z trudem. Ręce drżą mi tak bardzo, że muszę próbować kilka razy.

Okryta futrem i zapięta Polly patrzy na mnie. Na jej policzku widzę pręgę. Musiała zostać mocno uderzona.

– Dzięki – rzuca niewyraźnie.

Kiwam głową. Chłód daje mi się teraz bardziej we znaki, ale przecież mogło być gorzej. Jasna strona? Wciąż mam na sobie pończochy i grubą wełnianą spódnicę. Co mają powiedzieć rozebrani niemal do naga gwardziści? Jedno spojrzenie na nich przyprawia mnie o bolesny grymas. Jeśli szybko się nie ogrzeją, będą grozić im odmrożenia.

– Co oni z nami zrobią? – pytam, przypatrując się pracującym korsarzom. Kilku z nich zerka w naszą stronę, pilnując, żebyśmy nie ruszały się z miejsca. Ale większość dziewczyn i tak nie śmie nawet drgnąć.

Widzę, że kilka miejsc w szeregu dalej Rissa rozmawia cicho ze stojącą obok dziewczyną. To nowy nabytek haremu, jest tu jedną z najmłodszych. Nie dowiedziałam się jeszcze nawet, jak ma na imię.

Jest drobna i wymizerowana. Ma czarne włosy, oczy o kształcie migdałów i wygląda na przerażoną. Rissa zauważa, że się jej przyglądam. Choć trzyma dziewczynę za rękę, próbując dodać jej otuchy, wyraz jej twarzy jest ponury.

Stojąca obok mnie Polly śmieje się gorzko.

– A jak myślisz? – odpowiada. – Przecież to piraci! Słyną z brutalności i bezwzględności. Kto inny by się uchował na tym pustkowiu? Jak dobrze pójdzie, zabawią się nami i odsprzedadzą dalej. Tak jak odsprzedają wszystko, co ukradną.

Czuję dreszcz na całym ciele. Moja dłoń znów wędruje do blizny na szyi. Byłam przerażona w noc, gdy miałam trafić do sypialni Fulkego. Ale to? Opanowuje mnie strach, o jakim wcześniej nie miałam pojęcia. To zupełnie inna forma niewoli.

Wystarczy raz spojrzeć na korsarzy, by wiedzieć, że nie chcemy trafić na ich statki. Tyle że nie mamy dokąd uciec. Tuż za nami czają się ogniopazury, a przed nami roi się od zbirów. Nie ma gdzie się skryć.

Surowy głos w mojej głowie mówi, że sama jestem sobie winna. Że nigdy nie powinno było mi się marzyć opuszczenie bezpiecznej klatki.

Byłam głupia.

Powoli oswajam się z ponurą rzeczywistością. Marznąc i trzęsąc się na wietrze, coraz boleśniej uświadamiam sobie, co nas czeka.

Tymczasem cały czas pada śnieg. Powoli syjące się z nieba płatki osiadają na naszych drżących ramionach. Nie wiem, jak długo już tu stoimy.

Korsarze skrupulatnie rozdzielają nasz ekwipunek i prowiant. Sortują, dzielą na osobne stosy i przenoszą na statki wszystko – aż po najmniejszy kawałek solonego mięsa.

Niemal nadzy gwardziści wciąż kłęczą na śniegu. Są wycieńczeni. Dwóch z nich nie daje już rady i pada na ziemię. Koledzy mobilizują ich i pomagają im wstać.

Jeden się podnosi. Drugi nie.

Sail już chwilę temu zaczął szczerkać zębami z zimna. Nawet z odległości kilku metrów widzę, że ma sine usta. Po tym, jak kazano mu kłęczeć, jego cienkie spodnie są przemoczone na kolanach.

Na naszych skroniach i potylicach zamarza pot. Pomimo fal ciepła wytwarzanego przez łapy bestii kąśliwe zimno wciąż daje się nam we znaki. Słabniemy i podupadamy na duchu. A jednak, pomimo tego wszystkiego, Sail wciąż nie spuszcza ze mnie wzroku. Pozostaje niezłomny, nie pochyla głowy.

Gdy się trzęsę, gdy drżą mi wargi, gdy po moim policzku spływa łza – on trwa, uśmiecha się do mnie smutno i bez słów zdaje się mówić: „Nie bój się”.

Nadal mnie chroni. Nadal daje mi oparcie. Wystarczy spojrzenie jego dobrych niebieskich oczu.

Więc i ja nie przestaję patrzeć na Saila, gdy pada kolejny gwardzista. Ani gdy jeden z ogniopazurów ryczy tuż za mną i omal mnie nie przypała. Nie odwracam wzroku, gdy jedna z dziewczyn zaczyna rozpaczliwie szlochać.

Cały czas patrzę.

Aż nagle ktoś się pojawia. Schodzi ku nam z największego statku. Słyszę odgłos ciężkich butów stąpających po białym drewnianym trapie. Każdy kolejny krok sprawia, że boję się coraz bardziej. Łomocze mi serce.

Gdy czuję za sobą obecność tajemniczego mężczyzny, po raz pierwszy odrywam wzrok od twarzy Saila.

Na jego widok Czerwoni Kamraci natychmiast przerywają pracę. Wszyscy bez wyjątku zwracają się w jego stronę.

Kątem oka i ja staram się mu przyjrzeć.

Jak pozostali, ma na sobie strój z białego futra i czerwoną chustę. Jego głowę zdobi jednak groźnie wyglądający piracki kapelusz. Ma barwę zgaszonego karmazynu – jakby skóra, z której go wykonano, nasiąkła krwią. Zatknięte w niego pojedyncze czarne pióro jest jak insygnium śmierci. Widząc je, nie mam już wątpliwości, na kogo patrzę.

To kapitan Czerwonych Kamratów.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 26

Kapitan zwraca się do czekającego na dole trapu mężczyzny.

– Jak nam poszło, kwatermistrzu?

– Największy łup, jaki trafiliśmy, kapitanie. Mieli złoto. Miałeś rację, są od Midasa.

Choć twarz kwatermistrza jest ukryta za chustą, słyszę każde jego słowo i widzę, jak jego oczy lśnią z ekscytacji.

– Hm – odpowiada tylko kapitan.

Przesuwa wzrokiem po śniegu, po czym jego spojrzenie pada na klęczących gwardzistów. Na ich widok unosi czarną brew.

– Już ich rozebraliście?

Kwatermistrz, śmiejąc się, staje za kapitanem.

– Ich zbroje były połączane. Nawet buty mieli szyte złotą nicią.

Kapitan zaciera ręce. Nie po to, by się ogrzać. To gest zadowolenia starego bandyty.

– Znakomicie.

– Mieli też dobre konie – ciągnie kwatermistrz. – Załadowaliśmy je już na statek.

Kapitan kiwa głową. Teraz wreszcie jego wzrok pada na nas.

– Aż tyle było kobiet?

– To dziwki. Tak mi wyglądają.

Ta wiadomość wzbudza wyraźne zainteresowanie kapitana, który zbliża się, by lepiej nam się przyjrzeć. Śnieg trzeszczy pod jego ciężkimi butami. Wodzi po nas świdrującym spojrzeniem, dokładnie nas oglądając.

– To nie są zwykłe dziwki – mruczy pod nosem, wskazując na strój jednej z dziewczyn. Ta stoi ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. – Spójrz, jak są ubrane – zwraca się do kwatermistrza. Twarz kapitana pozostaje zakryta, ale coś mówi mi, że widnieje na niej teraz szeroki uśmiech. – To mięso z haremu Midasa.

Oczy kwatermistrza lśnią.

– Słyszeli, załoga? – woła do kamratów. – Będziemy mieli królewskie używanie!

Odpowiadają mu okrzyki entuzjazmu. Korsarze przypominają teraz rozradowane wilki wyjące do księżyca. Stojąca obok mnie Polly jęczy cicho.

Kapitan przemaszerowuje wzdłuż całego szeregu i przygląda się uważnie każdej z nas. Gdy dociera do Polly, ta drży tak mocno, że obawiam się, że zemdleje. Kapitanowi nie podoba się, że jej ciało okrywa futro. Wykonuje szybki gest i natychmiast zjawia się kwatermistrz. Jednym ruchem uwalnia poły, odpruwając guziki na przedzie. Polly krzyczy, próbując się okryć, ale inny korsarz natychmiast unieruchamia od tyłu jej ręce.

Gdy Polly stoi już obezwładniona, kapitan odsuwa poły futra i ogląda jej ciało.

– Niezłe cycki. Midas ma przynajmniej dobry gust – rzuca. Jego wzrok wędruje następnie w górę. Kapitan patrzy Polly w twarz.

– Spójrz na mnie, dziewczyno – mówi.

Lecz Polly kurczowo zaciska powieki i kręci odmownie głową. Ze spuszczoną brodą kuli ramiona.

Kapitan przymruża oczy.

– Trochę wyniosłe te królewskie zabawki, co, kwatermistrzu?

Korpulentny mężczyzna potakuje. Jest tu chyba drugi po kapitanie.

– Prawda, ale nauczmy je rozumu.

Kwatermistrz podchodzi do Polly, chwyta jej włosy i szarpie jej głową do tyłu. Ta krzyczy z bólu i szeroko otwiera oczy.

– Nie jesteś już na zamku, masz robić, co każe kapitan Fane! Jeśli mówi, że masz na niego spojrzeć, to patrzysz, jasne?

Polly jęczy cicho, po czym nagle przewraca oczami do tyłu, a jej ciało wiotczeje. Traci przytomność. Korsarze pozwalają jej upaść. Jej delikatne ciało głośno uderza o śnieg. Żaden ze zbirów nie zadaje sobie trudu, by ją podnieść.

Kapitan Fane cmoka z dezaprobatą.

– Chuchra. Trzeba będzie nad nimi popracować.

Czuję, jak drżą mi ręce, które chowam w tkaninie spódnicy.

Niebo nad nami wciąż spowija całun nocy. Jesteśmy jak jego zakładnicy.

W oddali majaczy przełęcz, niczym ziewająca paszcza gór. Gdybyśmy dotarli do niej w porę, zdążylibyśmy przekroczyć granicę. Bylibyśmy już w Piątym Królestwie.

Nie mieliśmy jednak szans. Byliśmy zbyt daleko.

Co się stanie, jeśli nie dotrzemy do Piątego Królestwa?

Po jakim czasie Midas zdecyduje się rozesłać zwiadowców?

Czy uda mu się mnie odszukać, nim będzie za późno?

Zaczyna wrzeć we mnie cierpkie poczucie winy. Jakby moje własne ciało było na mnie wściekłe. Czy to kara? Czy bogowie i boginie szydzą ze mnie, bo zamarzyło mi się opuszczenie klatki? Może los udziela mi upomnienia za to, że nie doceniałam tego, co mam. Że nie potrafiłam być za to dość wdzięczna.

Kapitan staje teraz naprzeciwko mnie. Mój wzrok wędruje powoli w górę, ku jego twarzy. Twarzy, z której biją okrucieństwo i bezwzględność.

Biały strój. Czerwona chusta. Brązowe oczy.

Nie powinnam była odwracać wzroku od Saila. Powinnam nadal patrzeć mu w oczy. Czerpać ze wsparcia, które mi dawał. Czułam się dzięki niemu bezpieczna.

Kapitan od niechcienia wodzi po mnie wzrokiem. Robi wrażenie wręcz znudzonego kolejnymi oględzinami. Nagle jednak nieruchomieje i zaczyna baczniej mi się przyglądać.

Serce zaczyna bić mi mocniej.

– Światło! – Kapitan pstryka palcami, nie odwracając ode mnie wzroku.

W środku cała drzę. Słyszę zbliżające się kroki i metaliczny brzęk. Jednocześnie nie potrafię przestać patrzeć na kapitana. Paraliżuje mnie strach. Mam wrażenie, jakby zaciskał dłoń na mojej szyi.

Zaraz ktoś podsuwa pochodnię. Płomień syczy cicho, trawiąc kolejne płatki śniegu. Jego środek jest krwistoczerwony – jakby zapalono go od łapy którejś z bestii.

Kapitan Fane sięga po pochodnię i przysuwa ją do mojej twarzy. Płomień jest tak blisko, że niemal parzy mnie w zmarznięte policzki. Bijący od ognia blask oświetla moją twarz, szyty złotą nicią strój, połyskującą skórę moich butów i złote kosmyki moich włosów.

Spojrzenie kapitana nie jest już nieobecne i obojętne. W jego brązowych oczach widać przyjemne zaskoczenie. Nawet poczucie triumfu.

To sprawia, że przechodzi mnie dreszcz.

Kapitan podaje pochodnię kwatermistrzowi. Ten natychmiast ją od niego odbiera. Fane tymczasem sięga po jeden z moich warkoczków i przysuwa go bliżej światła. Po kilku sekundach puszcza go, by przyrzeć się z kolei mojej ręce. Zrywa mi rękawiczkę, po czym wnikliwie wodzi wzrokiem po mojej dłoni i palcach. Moja skóra skrzy się złoto w świetle pochodni.

– Coś takiego... – mruczy pod nosem, po czym energicznym ruchem zrywa z głowy chustę. Pozwala opaść jej na szyję, jakby była szalem.

Jest młodszy, niżbym się spodziewała. Najwyżej tuż po trzydziestce. Ku mojemu obrzydzeniu przyciąga moją rękę do ust i oblizuje skórę poniżej kciuka. Wzdrygam się, usiłując cofnąć rękę, ale na próżno. Kapitan trzyma ją mocno. Polizawszy moją skórę, pociera ją. Sprawdza, czy złota powłoka zacznie odchodzić.

Farba. Tamten korsarz był przekonany, że pomalowano mnie farbą.

Kapitan zorientował się właśnie, że jest inaczej.

Na jego odsłoniętą twarz, którą widzę teraz w całości, wypełza niepokojący uśmiech. W miejscu kilku brakujących zębów ma drewniane uzupełnienia tej samej białej barwy, co statek. Nosi krótką ciemnoblonde brodę zaplecioną w warkoczek. Lewe ucho ma przekłute dużym czerwonym ćwiekiem. Wolę nie myśleć, czy drewno barwiono krwią.

Jego uśmiech i spojrzenie sprawiają, że czuję, jak zasycha mi w ustach. To jedno z tych spojrzeń, które mówią kobiecie wszystko o mężczyźnie, w którego ręce wpadła. Czuję, że moje płuca są puste, nie ma w nich powietrza. W przeciwnym razie krzychałabym na całe gardło. Ale nie mogę. Jedyne, co czuję, to paraliżujący strach i wyrzuty sumienia.

Kapitan nagle chwyta mnie za nadgarstek i wyciąga z szeregu. Omal nie tracę równowagi. On tymczasem energicznie unosi moją rękę ponad głowę. Jakby wykonywał gest zwycięstwa lub chwalił się zdobyczą.

– Kamraci! Dokopaliśmy się do skarbu! – Jego głos niesie się echem przez jałowe pustkowie. – Mamy złotą dziwkę Midasa!



ROZDZIAŁ 27

Po słowach kapitana korszarze przez ułamek sekundy są w szoku. Zapada głucha cisza, a ja czuję, jak setki par oczu kierują się na mnie. Przypatrują mi się oceniająco, po czym niemal natychmiast ich zdumienie ustępuje czemuś innemu. Czemuś gorszemu.

Rozlegają się okrzyki. Głośniejsze nawet niż ryk ogniopazurów. Aż podskakuję ze strachu. Próbuję uwolnić rękę, ale kapitan trzyma mój nadgarstek żelaznym chwytem.

Patrzy na mnie, szczerze zachwycony.

– Patrzcie tylko. Nawet ubranie ma złote! I włosy! – Fane puszcza mój nadgarstek, by chwycić w garść kilka złotych kosmyków. – Złota zabawka Highbell! – woła do swoich ludzi. – Mamy faworytę Midasa!

Korszarze śmieją się i pokrzykują. Są rozradowani i dumni z siebie.

– On zapłaci... – udaje mi się wykrztusić słabym głosem.

Fane puszcza moje włosy. Serce wali mi jak młotem, skóra na głowie pulsuje bólem.

– Gwardziści, dziewczyny, ja... – dukam. – Midas zapłaci ci za nas okup, jaki tylko zechcesz. Tylko nie rób nam krzywdy.

Fane uśmiecha się szyderczo.

– O nie, nie zażądam okupu. Więcej zarobię, jeśli cię sprzedam.

Jakby otworzyła się we mnie ziejąca otchłań. Słowa kapitana wpadają wprost w nią.

– Zatrzymam ją sobie, póki nie znajdzie się kupiec. Trafi do tego, kto da więcej. Rozpuść wici, że jest na sprzedaż.

– Rozkaz – przytakuje kwatermistrz. – Na faworytę Midasa będzie wielu chętnych.

– Reszta mięsa niech zabawia naszych. Należy im się coś po robocie – dodaje zaraz Fane.

Zbiry wiwatują i pokrzykują radośnie. Dziewczyny płaczą.

Fane patrzy teraz na wciąż leżącą na śniegu Polly.

– Zagoń je do roboty. Mają na siebie pracować. Nauczcie je trochę życia.

Kwatermistrz potakuje ruchem głowy.

– Zrobi się, kapitanie.

Fane odpowiada skinieniem głowy. W jego oczach pojawia się przerażający, drapieżny błysk.

– Niech i ja się nacieszę. Złota niewolnica Midasa zamieszka w mojej kajucie.

Zaczynam drżeć jeszcze mocniej na całym ciele, od stóp po podbródek. Widzę już, jaki ból chce mi zadać Fane, z jaką siłą chce się na mnie rzucić. Wszystko to mówią mi jego oczy.

Chwyta dłonią moją pierś. Zaczyna ugniatać ją ohydny, lubieżnym dotykiem. Próbuję się uwolnić, lecz on tylko śmieje się i ściska mocniej.

– Już ja ją sobie ułożę – cedzi. – I będę się przy tym świetnie bawił. Do stu kurew, faworyta Midasa! – Fane śmieje się w głos, jakby sam nie mógł uwierzyć we własne szczęście. – Chciałbym zobaczyć minę tego bydlaka, kiedy dowie się, że ją miałem. Że zabawiłem się z nią, a potem ją odsprzedałem!

Do oczu napływają mi łzy. Krztuszę się nimi i widzę jak przez mgłę. Nie czuję już rąk i nóg. To wszystko jakiś koszmar. Czekam, aż się z niego przebudzę.

Palce kapitana coraz mocniej zaciskają się na moim ciele. W pewnym momencie krzyczę z bólu.

– Głośna jest. Lubię to – rzuca Fane, po czym chwyta mnie za kołnierz i znów dobiera się do moich piersi.

Aż nagle rozlega się czyjś głos.

– Nie śmieję jej, kurwa, tknąć!

Kapitan nieruchomieje. Po chwili cofa dłonie i odwraca się.

– Kto to powiedział?

Jeden ze zbirów podchodzi do klęczącego Saila.

– On, kapitanie.

Mój wzrok natychmiast wędruje w stronę Saila. Korsarz wymierza mu właśnie potężnego kopniaka w plecy. Mój gwardzista pada naprzód, twarzą w śnieg. Fane rusza w jego stronę, a ja czuję w powietrzu grozę. Znów pada na mnie strach.

– Jak się nazywasz? – pyta Fane, zatrzymując się tuż obok Saila.

Ten z trudem podnosi się na kolana. Unosi głowę i patrzy niepokornym wzrokiem na kapitana.

– Sail – odpowiada.

Fane uśmiecha się szyderczo, przekrzywiając głowę.

– Słyszycie, załoga? Mamy wreszcie żagiel na statku![2] – Wokół rozlega się złośliwy rechot. W tle czerwone płomienie rozświetlają czerń nocy.

– No dobrze, Sail. Masz mi coś do powiedzenia? Chyba tak, skoro wydarłeś się jak kotka w rui.

Korsarze znów wybuchają szyderczym śmiechem. Sail pewnie by spłoszył, gdyby nie to, że jego policzki już są czerwone od zimna. Gwardzista nie daje się jednak zastraszyć. Wciąż patrzy kapitanowi w oczy, a jego spojrzenie jest przepojone nienawiścią.

Zastępy korsarzy milkną. Wszyscy patrzą. Czekają, co się wydarzy.

Tylko nic nie mów, Sail. Nic nie mów!

Sail nie zamierza jednak milczeć.

– Masz jej nie dotykać – powtarza z naciskiem, tonem podszytym wściekłością, a ja czuję ukłucie pod sercem...

Kapitan Fane zanosi się śmiechem.

– No patrzcie, załoga! Mamy tu śmiałka! Takich się w armii Midasa nie widuje.

Korsarze się śmieją, a pozostali klęczący gwardziści zwieszają głowy. Upokorzenie i okrucieństwo spadają na nich tak jak śnieg.

Sail tymczasem zaciska dłonie w pięści. Niezrażony, patrzy Fane'owi w oczy.

– To faworyta króla. On sownie za nią zapłaci, jeśli wróci do niego nietknięta. Słyszałem, co mówiłeś – nie masz racji. Nikt nie da ci za nią więcej niż Midas. On jeden ma nieograniczone środki.

– Taaak, król o złotym dotyku... – cedzi Fane cierpko z okrutnym uśmiechem. Widać, że na samo wspomnienie Midasa budzi się w nim nienawiść. A może także zawiść?

– Chyba już czas, żeby dostał lekcję – zastanawia się na głos kapitan. – Pora, żeby zrozumiał, że są rzeczy, których nie może sobie kupić. Tak... chyba zatrzymam sobie jego złotko właśnie w tym celu.

Sail już ma mu odpowiedzieć, ale milknie, gdy kapitan nachyla się do niego. Są teraz oko w oko. Niebieskie kontra brązowe. Dobroć kontra okrucieństwo.

Fane przesuwa palcami po śniegu, od niechcenia zagarnia go w dłoń.

– Posłuchaj mnie uważnie, Sail – zaczyna po chwili. Mówi cicho, ale nie na tyle, bym go nie słyszała. – Będę ją jebał. Kiedy będę chciał i gdzie będę chciał. – Fane mówi to zupełnie swobodnie, jakby rozmawiali o pogodzie. – Wykorzystam ją, jak zechcę. Wytresuję ją.

Ton kapitana jest obojętny, zblazowany. Fane ani trochę nie przejmuje się tym, że Sail dosłownie trzęsie się ze złości.

Zaczynam szlochać. Niekontrolowanie łkam.

– Obetnę jej trochę tych złotych kosmyków i wyślę je Midasowi. Bo mam ochotę się z nim podrażnić. I wiesz co? Wyślę mu też trochę włosów z jej złotej cipy. – Fane, wstając, wysypuje zgromadzony w dłoni śnieg na głowę Saila. Potem protekcyjnie klepie go po twarzy. Sail boleśnie krzywi się z zimna, gdy topniejące kawałki śniegu zsuwają mu się po twarzy i tułowiu na przemoczone spodnie.

Kapitan tymczasem nabiera kolejną garść śniegu.

– Kiedyś, prędzej czy później, mi się znudzi – kontynuuje Fane – a wtedy sprzedam ją temu, kto da najwięcej. Ale nim to się stanie, miną całe tygodnie. Może nawet miesiące.

Na głowę Saila trafia kolejna garść śniegu. Część przykleja się do jego włosów, część zsuwa się po jego zmarzniętych plecach. Fane przez cały czas chłonie wyraz twarzy Saila, wpatrując się w niego jak kot zabawiający się półżywą myszą. Kamraci nie odrywają od niego wzroku. Czerwone chusty na ich twarzach wyglądają jak krwawe, bezduszne uśmiechy.

– Kiedy z nią skończę, będzie truchłem pełnym spermy. – Sail się wzdryga. Drży teraz tak bardzo, że jego zęby dzwonią głośno, uderzając o siebie.

Moje serce tłucze się jak oszalałe. Jakby chciało przebić się ku ziemi i schować głęboko pod jej powierzchnią.

Kapitan kolejny raz nabiera do ręki śniegu. Jest w swojej szyderczej gierce konsekwentny i metodyczny.

– Ale ciebie nie będzie to już nawet obchodzić. Wiesz dlaczego? – pyta Fane, kolejny raz obsypując Saila śniegiem.

Chłopak zwiesza głowę, jakby była zbyt ciężka, jakby to zimne upokorzenie czyniło ją niemożliwą do udźwignięcia.

Kapitan jakby tylko na to czekał. Podnosi się i otrzepuje dłoń z resztek śniegu.

Moje serce nadal wali jak oszalałe. Błaga o choćby cień wytchnienia.

– Nie będzie cię to obchodzić – ciągnie Fane, patrząc z góry na Saila – bo będziesz martwy.

W moje serce jakby uderzył taran. Na ułamek sekundy przytomnieję. Byle mrugnąć powiekami. Byle zdążyć raz spojrzeć.

Sail i ja znów patrzymy sobie w oczy. Zanurzam się w błękitcie jego tęczy, którego on

sam nie jest nawet świadomy. Znów ogrzewa mnie dobro płynące z jego spojrzenia. Jego oczy mówią do mnie. Mają dla mnie obietnicę.

Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Sail się myli. Nie wie nawet, jak bardzo.

Nie zdąża nawet skinąć mi głową. Fane błyskawicznie wyciąga sztylet z pochwy przy biodrze i wbija go w pierś Saila. Prosto w serce.

– Nie!!!

Ruszam przed siebie biegiem. Bezwiednie. Nim zdążę pomyśleć. Nie udaje mi się jednak zrobić nawet trzech kroków, zostaję natychmiast zatrzymana. Obezwładniona przez czyjeś potężne łapska.

Krzyczę na całe gardło. Wyrzucam z siebie wściekłość, z moich ust wydobywa się dźwięk nie z tego świata. Gdy przeklinam skryte za chmurami gwiazdy, mój rozpaczliwy wrzask niesie się echem aż po przełęcz.

Mój krzyk płoszy konie i sprawia, że ogniopazury gniewnie prychają. Przeklina los z mocą, która zagłuszyłaby najpotężniejsze nawałnice. Nie milknie nawet, gdy czyjaś dłoń potężnie mnie policzkuje.

Z piersi Saila tryska krew. Na jego tunice natychmiast pojawia się wielka szkarłatna plama. Płaczę gorącymi łzami, które momentalnie stygną, ściekając po moich policzkach.

Żelazny uchwyt odpuszcza, gdy padam na ziemię. Zrozpaczona, na kolanach pełnę w stronę Saila. Nie czuję już nawet bijącego od śniegu zimna, tylko raz po raz wykrzykuję jego imię. Czas jakby stanął w miejscu.

Sail wciąż patrzy na mnie swoimi niebieskimi oczami. Jego powieki jednak raz po raz opadają. Mrugając resztkami sił, kieruje wzrok w dół – ku ostrzu i krwi broczącej z rany.

Dopadam do niego w momencie, gdy jego ciało chyli się naprzód i bezsilnie opada. Próbuję podtrzymać go za ramiona, lecz na próżno. Sail pada na śnieg. W ostatniej chwili udaje mi się tylko sprawić, by upadł na plecy – twarzą ku niebu.

Krztusi się krwią. Wraz z nią ucieka z niego życie. Jego usta są potwornie sine. Mają niemal tę samą barwę, co jego oczy. Gdy na niego patrzę, serce prawie wyrywa mi się z piersi.

Sail patrzy na mnie, a ja bezradnie łkam. Moje łzy spadają na jego twarz i mieszają się z jego łzami. Ciało Saila drży w konwulsjach.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze! – kłamię dla niego, tak jak on kłamał dla mnie.

Sail ostatkiem sił chce przytaknąć mi skinieniem głowy.

Umiera.



ROZDZIAŁ 28

Moje serce przestaje łomotać. Już nie wyrywa się z piersi. Jakby ucichło i się poddało. Jakby zamarło wraz z oddechem Saila.

Krew sącząca się z jego uchylnych ust ścieka po jego uchu na śnieg.

Zewsząd dobiegają głosy. Korsarze krzyczą do siebie, śmieją się, przechodzą z miejsca na miejsce. Nie zwracam na nich uwagi. Trwam przy Sailu, trzymając dłoń na jego nieruchomej twarzy.

– Na pokład z nią! – Pada komenda.

Ostatni raz przesuвам dłonią po piersi Saila – ktoś mną szarpie i gwałtownie stawia mnie na nogi. Próbuję nadal patrzeć w te dobre niebieskie oczy, ale szybko zostaję odciągnięta.

Tym razem wzrok Saila nie podaży za mną, jego oczy zgasły wraz z nim. Na jego nieruchomych powiekach osiadają płatki śniegu.

Powietrze przesywa głuchy łoskot. Tym razem to naprawdę grzmot. Gdy korsarze wloką mnie w stronę statków, patrzę w górę, na coraz bardziej niespokojne niebo.

Kiedy znajdujemy się na trapie największego z okrętów, zrywa się lodowaty wiatr. Niebo przecinają błyskawice; nawałnica zbiera się do uderzenia.

Łagodnie opadające płatki śniegu zastąpił zacinający lodowaty, zamarzający w powietrzu deszcz. Razi nas tysiącami ukłuc, jakby chmury uznały, że pora zesłać zemstę – ukarać ludzkość za to, czego dopuściła się pod ich płaszczem.

Ale nawet lodowaty wichur i deszcz nie ostudzą mojego bólu. Mój przyjaciel, mój radosny obrońca, nie żyje.

Sail nie żyje.

A wszystko dlatego, że do końca starał się mnie chronić. Walczył o mnie i dawać mi oparcie.

Rozpacz. Rozpacz przesywa mnie na wylot jak ostrze sztyletu.

Gdy widzę, jak kilku zbirów kopie ciało Saila, coś we mnie pęka. Zaczynam szarpać się, wierzgać i krzyczeć z całych sił. Zaraz jednak czuję na sobie żelazny chwyt kwatermistrza. Mało

nie wyłamuje mi żuchwy.

– Dosyć tego! – krzyczy.

Stojący za mną korsarz jeszcze zaciska chwyt, do reszty mnie unieruchamiając. Wydaję z siebie wściekle warknięcia. Odgłosy furii ani trochę nieprzypominające ludzkich.

Wpatruję się w kwatermistrza z nienawiścią. Nienawiścią wobec niego, wszystkich jego kamratów, a przede wszystkim – wobec ich przywódcy.

Kwatermistrz mruży tylko oczy. Potem sięga do kieszeni po kawał brudnej szmaty i wciska mi go do ust. Knebel wypełnia je tak mocno, że nie daję rady nawet gryźć.

– Cisza! – cedzi kwatermistrz. Wpycha mi knebel niemal w gardło. Zaczynam się krztusić.

Popychana naprzód stawiam ostatni krok na trapie. Potem korsarze rzucają mnie na pokład. Moje już wcześniej obolałe ciało uderza o twarde deski. Jednocześnie wciąż krztuszę się przez knebel w ustach. Zaraz wyciągam go i odrzucam z obrzydzeniem.

Zanim zdążę wstać, na pokład zagonione zostają pozostałe dziewczyny. Zostałyśmy bezceremonialnie załadowane na statek. Dla korsarzy nie jesteśmy ludźmi, tylko łupem – kolejnymi skradzionymi przedmiotami.

Nagle tuż przed moją twarzą pojawia się czyjaś ręka. Gdy z niepokojem zerkam w górę, widzę Rissę.

– No? – rzuca w moją stronę zniecierpliwionym tonem.

Chwytam jej wyciągniętą dłoń. Rissa podciąga mnie i pomaga mi wstać. Mamrocę pod nosem, chcąc jej podziękować. Niespodziewanie jednak dostaję kuksańca w bok.

Gdy zwracam się w tę stronę, widzę złośliwie uśmiechniętą Mist. Jej czarne włosy są zmierzwione i splątane, oczy podpuchnięte i zaczerwienione.

– Uważaj – warczy na mnie, ocierając rękaw w miejscu, którego niechcący dotknęłam.

Może to dlatego, że na moich oczach zamordowano mojego przyjaciela, może dlatego, że mam nerwy w strzępach, a może dlatego, że zostałam pojmana przez bezdusznych bandytów – wzbiera we mnie ślepa furia. Nie potrafię zapanować nad własną wściekłością. Wszystkie moje dwadzieścia cztery wstęgi błyskawicznie się rozwijają. Zdziwienie w oczach Mist zaraz ustępuje miejsca przerażeniu – gdy widzi, że wstęgi pędzą wprost ku niej. Zostaje popchnięta z wielką siłą. Lecąc ponad pokładem, przewraca po drodze kilka innych dziewczyn, a nawet paru zbirów. Z krzykiem upada na deski, ale błyskawicznie zrywa się na nogi. Moje wstęgi już jej nie dziwią. Liczy się dla niej tylko to, by zaatakować.

Zakrzywia palce jak szpony, a ja czekam na jej cios. Nim jednak Mist zdąży ruszyć do ataku, pomiędzy nami staje Rissa.

– Nie szarpać mi się! – krzyczy, obrzucając nas obie gniewnym spojrzeniem.
– Zapomniałyście, gdzie jesteśmy?

Na jej słowa wypuszczam powietrze, rozluźniam wstęgi i nieco się uspokajam. Za to Mist nie ma chyba podobnego zamiaru. Wciąż patrzy na mnie nienawistnie ponad ramieniem Rissy. Jej spojrzenie nie daje mi spokoju.

Myślałam, że zareagowałam agresją pod wpływem stresu. Z przemęczenia i nadmiaru emocji. Teraz jednak widzę po jej oczach, że było inaczej. To nie był irracjonalny wybuch spowodowany rozpaczą. W jej spojrzeniu jest prawdziwy jad.

– To jej wina! Przez nią tu wylądowałyśmy! – syczy wściekle.

Rozdrażniona marszczę brwi.

– O czym ty mówisz, do diabła?! Niby dlaczego to moja wina?

Mist przesuwa wzrokiem po pozostałych dziewczynach, które patrzą na nią zdumione.

– Same słyszałyście: „Chronić królewską faworytę!” – wyrzuca z siebie z jadowitym

sarkazmem.

Nieruchomieję. Sail rzeczywiście wypowiedział te słowa, gdy wpadliśmy w korsarską zasadzkę. Dopiero teraz dociera do mnie, jak musiały one zabrzmieć dla pozostałych.

– Kiedy przyszło co do czego, gwardziści chronili ją, nie nas! – mówi Mist. – Zawsze liczy się tylko ona! Midas wiecznie stawia ją na pierwszym miejscu. Nawet w tej pieprzonej podróży była inaczej traktowana! Nie możemy za długo jechać, bo faworyta się zmęczy. Musimy oszczędzać prowiant, bo ma być zapas dla faworyty! Nie możemy przyspieszyć, bo faworyta chce sobie pojeździć na koniu, na którego nie wiadomo, po jaką cholere wsiada! Wiecznie tylko ona i ona!

Spojrzenia pozostałych dziewczyn jak na komendę kierują się ku mnie.

– Kiedy na nas napadli, znów liczyła się tylko ona! To ją starali się wywieźć w bezpieczne miejsce! My byliśmy bez znaczenia! Każdą z nas można zastąpić, nikogo nie obchodzimy! – Mist zaczyna łkać. Jej drobne ramiona drżą. – Teraz trafiłyśmy do niewoli. I myślicie, że co niby z nami zrobią?

Rosh próbuje delikatnie ją objąć i uspokoić, ale Mist odtrąca jej rękę. Patrzy wciąż na mnie, a w jej oczach kipi nienawiść.

– Zrobią z nas ścierwo. Będą się z nami zabawiać, aż nie zostanie z nas nic. Będziemy towarem, który odsprzedadzą dalej. Za to ją król na pewno ocali! Będzie negocjował, zapłaci okup. Swoją faworytę oczywiście musi uratować. Nami nie będzie się przejmował.

O ile wcześniej moje wyrzuty sumienia były jak lekkie oparzenie, teraz są jak otwarta, głęboka rana. Do dziewczyn dociera sens słów Mist, a ja stoję bezradnie, czując tylko, jak zasycha mi w gardle. Bo i cóż miałabym powiedzieć? Wiem, że wszystkie dziewczyny przyznają jej rację. O pewnych rzeczach decydowano za mnie, ale choć nie jestem im winna, to prawda pozostaje jednakowo paskudna.

Jak sama czułabym się na ich miejscu? Co pomyślałabym, słysząc to nieszczęsne „Chronić królewską faworytę!”?

– Dobra, cicho! – Rissa raz jeszcze próbuje uspokoić sytuację. – Było jak było, ale nie pogarszajmy jeszcze samej swojej sytuacji.

Jej usta, zwykle tak zmysłowe, są zaciśnięte. Jej blond włosy zmierzwiłone i rozrzucone na sukience poplamionej krwią. Cudzą krwią.

Rissa patrzy po pozostałych dziewczynach – swoich współlokatorkach z haremu, swoich przyjaciółkach.

– Jesteśmy w tym fachu najlepsze. Nie jesteśmy byle dziwkami spod płotu. Sam król wybrał nas do swojego haremu! Jeśli chcemy przetrwać, musimy się wykazać. Wiemy, jak to zrobić. Każda z nas potrafi czarować.

Dziewczyny z haremu ustawiają się na śródkręciu w ciasny krąg. Rozmawiają, mnie pozostawiając poza nim. Wszystkie stoją do mnie plecami. Jestem znów sama, izolowana – nawet teraz, gdy wszystkie jesteśmy w tym samym koszmarnym położeniu.

Ale czy mam prawo być zaskoczona? Nie ma co się im dziwić, że mnie nienawidzą.

Odwracam się więc od nich i od poczucia wykluczenia. Idę na krawędź pokładu i z całej siły zaciskam dłonie na drewnianym relingu.

Jedyny człowiek, z którym chciałabym teraz porozmawiać, jedyny, który umiałby mnie pokrzepić, leży w śniegu z przebitym sercem. Nie żyje.

Mój jedyny przyjaciel zginął przeze mnie.

Wodzę spojrzeniem po terenie poniżej statku. Ziemia zasłana jest ciałami porzuconymi przez korsarzy. Nikt ich nie pogrzebie. Zostaną na zawsze na tej jałowej ziemi, pozostawione na pastwę śniegu i wiatru.

Tymczasem Czerwoni Kamraci wciągają na pokład trap. Rozlega się dęcie w róg – niechybny sygnał, że ruszamy.

Sprzed dziobu dają się słyszeć trzask płomieni i porykiwanie ogniopazurów. Ich gardłowe odgłosy wprawiają w drżenie niemal każdą deskę pokładu. Ja jednak nie przestaję przeszukiwać wzrokiem otoczenia. Gdzie on jest, gdzie jest...

Wpatruję się ile sił, pomiędzy moimi brwiami powstaje zmarszczka, bo nigdzie go nie widzę. Rozpoznaję kolejnych poległych gwardzistów, ale nie jego...

Gdy statek zaczyna sunąć po zmrożonym gruncie, przepatruję otoczenie coraz bardziej nerwowo. Jestem coraz bardziej dezorientowana.

Powinien być tam, tuż za burzą.

Widzę krew na śniegu. Widzę miejsce, gdzie otrzymał cios w serce.

A jednak sam Sail... zniknął.

Patrzę dalej, kurczowo zaciskając palce na relingu. Nigdzie nie ma po nim śladu – jakby ot tak wstał i odszedł. A to przecież niemożliwe!

A jednak... nie widzę go. Nie leży tam, gdzie padł...

Nagle moją uwagę zwraca dobiegający z rufy ochrypły śmiech korsarzy. Odwracam się i widzę ich – stojących w czerwonym świetle rozpalonych właśnie latarni.

Nie powinnam była się odwracać.

Nie powinnam była patrzeć.

Zaczynam łąkać i natychmiast zasłaniam usta dłonią. Bezradnie słucham bezdusznego śmiechu korsarzy. Czerwone chusty na ich twarzach ani trochę go nie tłumią.

Nie mogłam wypatrzeć Saila nie dlatego, że szukałam w złym miejscu, ani też nie dlatego, że w cudowny sposób przeżył i zbiegł. Nie widziałam go, bo korsarze zawlekli jego zwłoki na statek.

Teraz z przerażeniem odkrywam, co z nim zrobili.

Nieruchome ciało Saila przytroczono sznurami do drewnianego pala, a ten następnie ustawiono pionowo na pokładzie.

Jego martwe oczy są wciąż otwarte i patrzą gdzieś w mrok, w pustkę. A przecież to spojrzenie było przeznaczone dla mnie! Podarował mi je, chcąc do ostatniego tchnienia dodawać mi otuchy.

– No, w końcu mamy żagiel! – woła któryś z korsarzy. Może kapitan, a może kto inny. Nie jestem pewna, bo za bardzo dzwoni mi w uszach. Widzę też jakby przez mgłę.

– Ciekawe, czy będzie łopotał na wietrze! – szydzi ktoś.

Okrutny rechot korsarzy jest tak donośny, że niemal zagłusza pioruny i trzask bata, którym okładane są ogniopazury.

Statek sunie naprzód, płynąc po ruchomych śniegach.

Za rufą zostawiamy zwłoki poległych gwardzistów.

Zbezczeszczone ciało Saila wciąż wisi wysoko na palu. Przypomina upiorny galion pod bukszprytem żaglowca. Na jego piersi zdążyły zamarznąć resztki krwi.

Jego oczy barwy oceanu, choć już mnie nie widzą, wciąż są jednak otwarte.

Odwracam się i wymiotuję na białe deski pokładu.



ROZDZIAŁ 29

Korsarze dają nam wreszcie spokój. Przez godzinę czy dwie są zajęci pracą. Prowadzą tajemniczą nawigację, dzięki której wiedzą, dokąd kierować się w mroku nocy.

Na pokładzie jest sporo pokrzykiwania i ruchu. Nasz ciągnięty przez ogniopazury potężny statek przewodzi flotylli. Dwa kolejne podążają za nami.

Wkrótce wzbijamy się w powietrze.

Statki osiągają optymalną prędkość. Pędzą przez skutą lodem jałową równinę. Ogniopazury są jak przepotężne psy zaprzęgowe. Biegają bez wytchnienia pod dyktando bata. Flotylla się unosi – statki niemal bez oporu suną ponad zmrożonym pustkowiem. Nasze twarze wciąż smaga zmrożony deszcz. Smukłe kadłuby, pędząc naprzód, wzbijają śnieżne pióropusze – zupełnie jakby pruły morskie fale.

Choć zimny wiatr rozwiewa mi włosy i smaga moją przemoczoną sukienkę, nie siadam. Nadal trzymając się drewnianego relingu, stoję wyprostowana i patrzę na przytroczone do pala ciało Saila.

Znów wzbiera we mnie gniew. Taki sam jak ten, który sprawił, że moje wstęgi wystrzeliły w stronę Mist.

Smutek po śmierci Saila był zimny. Ten gniew żarzy się gorącem. Jest krwistoczerwony jak chusta na twarzy kapitana.

Patrzę na Fane'a, który stoi na dziobie, wykrzykując komendy. Pióro zatknięte w jego kapelusz gnie się na wietrze. Przy pasie kapitana połyskuje sztylet. I to on przykuwa moją uwagę.

Puszczam reling. Palce dłoni, z której Fane zerwał rękawiczkę, mam przykurczone z zimna. Ale nie dbam o to. Nie dbam o to, że jest środek ponurej nocy, a z nieba strugami leje się marznący deszcz, ani o to, że porywam się sama na całą załogę zbirów. Nie bacząc na nic, idę w stronę kapitana.

Bo Sail był moim przyjacielem.

Bo to, co mu zrobili, jest złe.

Wstęgi suną za mną po pokładzie. Z każdą sekundą idę coraz bardziej wyprostowana.

Każdy mój krok jest pewniejszy. Gdy przypominam sobie ostatnie, krzepiące spojrzenie Saila, w mojej głowie rozbrzmiewa mantra.

To, co mu zrobili, jest złe. To, co mu zrobili, jest złe.

Nikt nie próbuje mnie zatrzymać, nikt nie patrzy nawet w moją stronę. Korsarze zupełnie się ze mną nie liczą. Podobnie jak z pozostałymi dziewczynami. Najlepszy dowód, że nikt nas nie pilnuje. Korsarze byli pewni, że będziemy tylko tulić się do siebie nawzajem i płakać w kącie.

Niedoczekanie. Nie po tym, co zrobili z Sailem.

Każdy ma jakieś granice. Moje zostały przekroczone, gdy w ten sposób go upokorzyli.

To aż zdumiewające, z jaką łatwością pokonuję całą długość pokładu i mijam wszystkich zupełnie nie niepokojona. To dzięki arogancji mężczyzn mających kobiety za nic.

Będzie ona początkiem ich końca.

Mijam odwieszoną broń i zwoje lin. Mijam korsarzy zajętych dzieleniem łupu. Meandrując między nimi, docieram na sam dziób.

Staję niedaleko kapitana.

Wszystkie moje dwadzieścia cztery wstęgi poruszają się jak macki. Po dwanaście satynowych wypustek unosi się w perfekcyjnej symetrii po każdej ze stron mojego kręgosłupa – od nasady karku po kość krzyżową. Są jak węże gotowe do ataku.

Ale nie na kapitana, a na więzy krępujące ciało Saila.

Część dziewczyn dostrzegła mnie już ze śródokręcia. Wymieniają nerwowe spojrzenia, a niektóre dyskretnie przesuwiają się naprzód, by lepiej widzieć pośród zacinającego deszczu. Stoję u podstawy masztu, na którym zawieszono Saila, i zadzieram głowę ku górze. Precyzyjnie i z rozmysłem kieruję każdą ze wstęg. Choć po chwili wszystkie są mokre od ulewy, nadal zręcznie rozwiązują kolejne węzły, a gdy któryś stawia opór, zaostwiają swoje krawędzie i nacinają linę. Jedwabiste złoto wciną się w sznurowy splot. Porusza, szarpie i tnie bez najmniejszego trudu.

– Ej!

Nie przejmuję się, słysząc gniewny krzyk. Nie przejmuję się korsarzami, którzy w końcu mnie zauważyli. Moje wstęgi wciąż niestrudzenie rozplątują i tną, a gdy jeden z korsarzy podbiega do mnie, chcąc chwycić mnie za ramię, jedna z nich już na niego czeka. Błyskawicznym ruchem wciną się w jego rękę, przebijając grubą burkę z futra, jakby była z papieru.

Słysząc przytłumiony, zdumiony krzyk. Korsarz odskakuje do tyłu i chwytą się za krwawiącą rękę. Nie zajmuję się nim dłużej, skupiam się wyłącznie na Sailu. Chcę wreszcie go stamtąd zdjąć. Chcę, by wreszcie znalazł się na dole!

Moje wstęgi jakby napędzał gniew – ta krwistoczerwona siła. Mój umysł nie musi niemal wydawać im poleceń. Choć są ciężkie i namokłe, sprawnie uwalniają ciało Saila z kolejnych oplotów.

Aż nagle ktoś chwytą mnie od tyłu i obraca.

Staję oko w oko z kapitanem Fane'em. Ma odsłoniętą twarz. Jego brązowe oczy patrzą na mnie wściekle.

– Co ty, kurwa, robisz?! – warczy.

Łapie mnie za ramiona z taką siłą, że jego chwyt jest bolesny mimo moich grubych rękawów. Próbuję się opierać, ale uderzenia moich dłoni na nic się zdają. Ledwie je zauważa, bo bardziej zajmuje go to, co dzieje się w górze. Tam moje wstęgi kończą właśnie przecinać ostatni sznur.

Fane wytrzeszcza oczy.

– Kur... – Nie zdąża nawet zakląć, bo w tym momencie zwłoki Saila spadają na nas

całym swoim ciężarem. Przygniała nas ostygłe ciało, zeszywniałe mięśnie. Oboje upadamy. Siła uderzenia uwalnia mnie z chwytu kapitana.

Łąduję na pokładzie z nogami mojego przyjaciela na piersi. Słyszę zbliżające się kroki i podniesione głosy przekrzykujące wiatr. Zaraz wytaczam się spod Saila i szybko rozprostowuję wstęgi, by następnie owinąć nimi jego ciało. Oplatam go od szyi po miednicę, po czym zaczynam mocno ciągnąć.

Ciało jest ciężkie i równie przemoczone jak ja sama. Nie daję jednak za wygraną i centymetr po centymetrze przeciągam je po mokrym pokładzie. Palą mnie mięśnie grzbietu i jestem wycieńczona, ale nie mam czasu przystanąć. Bo korsarze są tuż. Fane z podle jadowitym wyrazem twarzy patrzy, jak przysuwam ciało Saila do krawędzi pokładu.

– Ani kroku dalej! – krzyczy. Jednak nie do mnie, a do swoich ludzi. – Sam się nią, kurwa, zajmę!

Czuję ukłucie strachu, ale nie daję tego po sobie poznać. Nie zwalniam kroku.

Bo nic mnie już nie obchodzi.

Nie obchodzi mnie żądza ukarania mnie wymalowana na twarzy Fane'a. Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobi.

Zabił mojego przyjaciela, a ja nie mogłam temu zaradzić.

Mogę natomiast zaradzić temu, co dzieje się teraz. Mogę nie dopuścić, by korsarze bezczęścili dalej ciało Saila. I nie dopuszczę!

Dyszając, zaciskam zęby. Czuję, jak po moich skroniach płyną pot i lodowate krople deszczu. Uwalniam dwie wstęgi i ustawiam je w gotowości po bokach ciała. Tylko czekają, aż ktoś spróbuje się do mnie zbliżyć.

Korsarze jednak cofają się na rozkaz Fane'a. Jesteśmy więc tylko on i ja. Wolno – zbyt wolno – przesuwam po pokładzie ciało Saila. Kapitan tymczasem jest coraz bliżej. Zaciska pięści. W jego oczach wrze gniew.

W końcu uderzam plecami o reling otaczający pokład. Nie zwlekając, wsuwam ręce pod ramiona Saila. Z całych sił, pomagając sobie wstęgami, próbuję go unieść.

Jest ciężki. Bardzo ciężki.

Moje plecy wrzynają się w drewnianą poręcz. Urywany, ciężki oddech rozsadza mi pierś. Przez wiatr i deszcz prawie nic nie widzę. Jestem przemarznięta. Moje palce są mokre i zgrabiałe.

Dźwignięcie Saila kosztuje mnie tyle wysiłku, bo przez długie lata w klatce moje ciało osłabło. Rozleniwiło się. Byłam bierna, beczynna.

Teraz jestem słaba. Cholernie słaba.

Moje złote oczy odnajdują dziewczyny z haremu, znajdujące się na burcie. Stoją w kupie, jedna tuż przy drugiej. Jakby chciały oprzeć się w ten sposób pogodzie i całemu światu.

– Pomóżcie mi – błagam.

Patrzę na Polly, którą przed chłodem i deszczem znów chroni moje złote futro. Ona jednak stoi nieruchomo, nieporuszona.

– Proszę! – wołam do stojącej obok Rissy. Ona również ani drgnie.

Może więc Rosh? Ten jednak odwraca wzrok, gdy tylko czuje na sobie moje spojrzenie.

Wyrutek. Odszczepieniec. Jestem nim nawet teraz – gdy usiłuję zrobić coś dla jednego z naszych strażników i obrońców. Dla kogoś, kto dla każdej z nas miał życzliwość i uśmiech.

Jestem zdana na siebie.

Fane się śmieje.

– Nawet koleżanki dziwki ci nie pomogą! – szydzi, zadowolony z siebie.

Pociągam nosem. Nie zamierzam się teraz poddać. Sail nie zrobił tego do chwili, w której

wydał swoje ostatnie tchnienie, i jestem mu winna to samo.

Zrobię to.

Dyszę z wysiłku. Napinam wstęgi ile sił, czując rwące palenie mięśni i skóry na plecach.

Kapitan prowokacyjnie przysuwa się do mnie o kolejny krok. Jest blisko, ale nie dość blisko, bym mogła go pochwycić wstęgami.

Fane cały czas im się przygląda, śledzi wzrokiem ich ruchy. W oczach ma podły błysk. Na jego usta znów wypełza bezduszny uśmiech odsłaniający drewniane zęby.

– Patrzcie, załoga! Idealna kukielka do ruchania. Ma nawet własne sznurki!

Zewsząd dobiega śmiech. Rechet korsarzy jest plugawy, ich słowa jeszcze gorsze. Nie dopuszczam ich jednak do siebie. Pośród drwin zaciskam zęby jeszcze mocniej i udaje mi się szarpnąć ciałem Saila. Wreszcie jest pewnie podparte.

Mój grzbiet krzyczy. Czuję, jak wraz z deszczem płynie po nim pot. A jednak to wciąż za mało! Brakuje jeszcze trochę...

Fane z okrutnym rozbawieniem przygląda się moim wysiłkom. Muszę wyglądać żałośnie, gdy przemoczona do cna usiłuję dźwignąć cięższego od siebie o kilkadziesiąt kilogramów gwardzistę.

– Chcesz go wyrzucić za burtę i zrobić sobie z niego sanki? – pyta kapitan. Część załogi natychmiast wybucha śmiechem.

Fane szeroko rozkłada ręce i wykonuje pełny obrót.

– Mam dla ciebie złą wiadomość. To sam środek Jałowej Ziemi, ty głupia cipo! Nigdzie nie uciekniesz.

Moje ciało drży, a wstęgi są naprężone do granic wytrzymałości. Nie poddaję się jednak.

Kapitan robi kolejny krok naprzód. Sprawdza, gdzie postawię granicę. Szuka luki.

Postanawiam chwycić Saila również dwoma ostatnimi, wolnymi wstęgami. Odtąd jestem wobec Fane'a bezbronna, ale to nieważne. Bo nic nie będzie już ważne, jeśli nie dam rady. Ostatnie dwie wstęgi mają akurat dość siły. Fane rzuca się naprzód, ale się spóźnia – udaje mi się wyrzucić ciało Saila za burtę. Wypuszczam je ze wstęg, a resztę robi grawitacja. Sail spada i ląduje w potężnej śnieżnej zaspie gdzieś w dole. Wyglądam za burtę, dysząc. Żegnam go łzami, które natychmiast zamarzają na lodowatym wietrze. Statek pędzi dalej.

W ułamku sekundy dopada do mnie Fane i z siłą imadła chwyta w garść moje wstęgi. Ścisną je w jeden pęk i szarpie nimi, sprawiając, że z bólu wyginam plecy.

– Głupia dziwka – syczy. – Męczyłaś się nadaremnie. Nawet nie potrafiłaś skoczyć.

Fane odciąga mnie od burty i zaczyna wlec za sobą.

Myli się. Nie próbowałam uciec i ani przez moment nie zamierzałam skoczyć. I tak nie przeżyłabym upadku. A nawet jeśli – wkrótce znów by mnie złapali.

Udało mi się. Zrobiłam dokładnie to, co chciałam. Uwolniłam Saila – z tego pokładu i od tych ludzi. Tak, jego grobem będzie zaspą gdzieś pośrodku pustkowia, ale to nadal bez porównania lepsze. Nie mogłam dopuścić, by choć sekundę dłużej wisiał przywiązany do pala.

Fane brutalnie wlecze mnie po pokładzie w stronę swojej kajuty. Ku karze, którą już wcześniej zapowiadały jego oczy.

– Nie będziecie już mogli bezcześcić jego ciała – mówię śmiałym tonem.

Jasna strona tej sytuacji? Cóż, pozostaje mi myśl o tym, co właśnie udało mi się zrobić. Wszystko inne maluje się w ponurych barwach.

Rozgniewany moimi słowami Fane jeszcze mocniej ścisną moje wstęgi – zmęczone, przemoczone i obolałe jak ja sama.

– W porządku – cedzi słowa tuż przy mojej szyi, prowadząc mnie naprzód. – W takim razie zbeczeszczę twoje.

СНОМІКО _ WАРNІА



ROZDZIAŁ 30

Gdyby moje wstęgi nie tkwiły przemoczone, zmęczone i zgniecione w garści Fane'a, mogłabym wyrwać mu je i się bronić. Niestety – nie dam rady. Trzyma je zbyt mocno, a ja przy każdym ruchu czuję palący ból skóry i mięśni. Jakby jedno mocniejsze szarpnięcie dzieliło go od oderwania ich żywcem od mojego grzbietu. Mam wrażenie, że mógłby to zrobić z taką samą łatwością, jak wyłupić mi oko. Raz po raz próbuję się uwolnić, ale na próżno. Nie mam już siły. Cały jej mizerny zapas włożyłam w wyrzucenie ciała Saila poza pokład tego przeklętego statku.

Dobrze chociaż, że mi się udało.

Cała ta sytuacja sprawia, że składam sobie w myślach obietnicę. Jeśli to wszystko przetrwam, jeśli Czerwoni Kamraci nie zrobią ze mnie ludzkiego wraku, to nigdy już nie pozwolę sobie tak się zaniedbać. Powinnam była być mądrzejsza po doświadczeniach dzieciństwa. Jak mogłam do tego stopnia popaść w samozadowolenie i lenistwo! Gdybym tylko mogła cofnąć czas, potrząsnęłabym sama sobą. Stałam się jak Dukat – szczerozłoty nieruchomy ptak na złotej żerdzi!

Jeśli przetrwam to wszystko, jeśli przeżyję, nigdy więcej nie dopuszczę do czegoś takiego! Nie będę bierna i nie dam się dławić mężczyznom w garści.

Blizna na mojej szyi jest jak mroczne memento. Zbieram się w sobie. Czuję, jak narasta we mnie determinacja. Jednocześnie, gdy blizna przypomina mi o sobie, przed oczami staje mi Digby. Czy korsarze zabili zwiadowcę, a on i jego ludzie podążyli za nim wprost w śmiertelną pułapkę? Nie wiem i nie śmiem spytać. Jeśli żyją, nie zamierzam przypadkiem wydać ich Fane'owi. Mam jednak jeszcze i inny, bardziej ponury powód: po prostu nie zniosłabym myśli, że również oni zginęli z rąk korsarzy.

Po prostu nie dam rady. Nie teraz.

Mój umysł chce na razie wierzyć, że Digby wciąż gdzieś tam jest. Że żyje i być może nawet odnajdzie leżącego w śniegu Saila; że pożegna go i pochowa, godnie wyprawiając jego duszę w zaświaty.

Miło móc choć karmić się taką myślą.

Nie zwalniając uścisku, Fane doprowadza mnie na rufę statku i po kilku stopniach pcha do kapitańskiej nadbudówki. Jej ściany są gładkie, nie licząc niewielkiego okapu tuż nad drzwiami i wrytego na nich czerwonego znaku.

Fane przyciska moją twarz do zamkniętych drzwi. Drewno wrzyna mi się w policzek, jakby drzazgi miały zaraz pokaleczyć moją skórę.

Kapitan jedną ręką wciąż trzyma mnie za wstęgi niczym psa na smyczy. Drugą sięga do kieszeni po klucz i po chwili umieszcza go w zamku. Kolejny raz próbuję się uwolnić, ale nie mam dość siły. Wiem jednak, że nie chcę znaleźć się we wnętrzu. Wiem, że gdy tylko przekroczę próg, stanie się coś złego.

– Nie szarp się, bo urządzę cię jeszcze gorzej! – grozi Fane.

To oczywiście sprawia, że jeszcze bardziej rozpaczliwie próbuję się wyrwać. Kapitan jednak dociska mnie do drzwi biodrem i nogami. Jestem bezradna. Mam chęć płakać z bezsilności, ale pohamowuję łzy. Nie czas się załamywać. Nie mogę dać się złamać!

Słychać zgrzyt klucza w zamku. Potem Fane chowa go z powrotem do kieszeni. Nim jednak zdąży wepchnąć mnie do środka, rozlega się głos kwatermistrza.

– Kapitanie, jastrząb.

Fane, wciąż przyciskając mnie do drzwi, odwraca się. Nie widzę kwatermistrza, ale słyszę jego kroki na schodach.

– Właśnie przyleciał – wyjaśnia, stając tuż obok nas. Kątem oka widzę płowego ptaka o czarnym dziobie siedzącego na jego przedramieniu. Wczepia się szponami w rękaw grubej futrzanej burki.

Kapitan odpina od nogi ptaka małą metalową kasetkę. Wyciąga z niej pergaminowy rulonik, rozwija go i osłaniając od zacinającego deszczu, zaczyna czytać. Czarna bazgranina, którą widzę kątem oka, jest dla mnie zupełnie nieczytelna. Kapitan za to w skupieniu przebiega wzrokiem kolejne linijki. Z warkoczyka na jego brodzie kapią krople deszczu.

Fane mamrocze coś niezrozumiale, po czym oddaje pergamin i kasetkę kwatermistrzowi.

– Odpiszemy? – pyta kwatermistrz.

– Nie warto. Będą tu, zanim jastrząb dostarczy wiadomość.

Kwatermistrz, marszcząc brwi, umieszcza pustą kasetkę z powrotem przy nodze ptaka. Gdy tylko jest już zabezpieczona, jastrząb podrywa się do lotu i bezgłośnie znika pośród ulewy.

– Kto nas odwiedzi? – pyta kwatermistrz.

Fane w odpowiedzi tylko wyciąga przed siebie dłonie.

– Daj szarfę.

Kwatermistrz mruga zaskoczony, ale sięga zaraz pod burkę i odwija z tułowia szeroki biały pas.

Teraz Fane skupia się na mnie. Bez słowa zaczyna oplatać mnie moimi własnymi wstęgami. Naciąga je przy tym tak mocno, że z bólu zgrzytam zębami. Owija je całe wokół mojego tułowia, by następnie końcówki zapleść w węzeł. Teraz nie jestem w stanie nimi poruszać.

– Zagoń mięso Midasa do roboty w kuchni – rzuca Fane do kwatermistrza. – Kuk za godzinę musi być gotowy z kolacją. Będziemy mieć gości. – Znów wyciąga przed siebie dłonie.

Kwatermistrz natychmiast podaje mu szarfę. Fane obwiązuje mnie nią równie ciasno, jak wcześniej wstęgami, i ją również zabezpiecza węzłem. Chce dopilnować, by moje wstęgi były całkowicie unieruchomione.

Obraca mnie i nachyla się do mnie. Znów znajdujemy się oko w oko. Jego spojrzenie jest surowe, gniewne.

– Jeśli którakolwiek będzie nieposłuszna albo zacznie cokolwiek kombinować, rozebrać,

wychłostać i wyrzucić za burtę.

– Tak jest, kapitanie. – Kwatermistrz potakuje głową, patrząc przy tym na mnie. Choć jego twarz przesłania chusta, wiem, że szczerzy się w sadystycznym uśmiechu.

Fane rzuca mi ostatnie gniewne spojrzenie, po czym popycha mnie ku kwatermistrzowi. Sam szybkim krokiem rusza w stronę dziobu, wykrzykując komendy związane ze zmianą kursu.

– No dobra, idziemy – mówi kwatermistrz. – I ani się waż ruszać tymi swoimi mackami. Bo utnę ci je przy samej dupie.

Czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Jakby wstęgi usłyszały groźbę kwatermistrza.

Ten prowadzi mnie teraz z powrotem na śródokręcie, gdzie czeka reszta dziewczyn.

– Ruszać się, cipy! Za mną! – Kwatermistrz nie ogląda się nawet, by sprawdzić, czy dziewczyny usłuchały polecenia. Prowadzi mnie dalej naprzód, ku schodom prowadzącym pod pokład. Gdy schodzimy po skrzypiących stopniach, słyszę jednak za nami kroki kolejnych par stóp.

Pokonujemy wąski korytarz, kierując się ku rufie. W końcu docieramy do podłużnego kambuza. Pokładowa kuchnia cuchnie ziemniakami i dymem. Za to wreszcie mamy schronienie od deszczu i wiatru. W kambuzie jest ciepło za sprawą rozgrzanej żeliwnej kuchni.

Ściany i podłogę wyłożono tym samym białym drewnem, które widać wszędzie na statku. Tyle że tu jest ono mocno zabrudzone. W wielu miejscach widać osad z sadzy, plamy i resztki jedzenia.

Przy kuchni stoi kuk – jedyny jak dotąd z korsarzy, który nie ma na sobie stroju z białego futra. Jest ubrany w zwyczajne spodnie i prostą skórzaną kamizelkę. Na jego odsłoniętych umięśnionych ramionach widać szereg nieco nieudolnie wykonanych tatuaży.

Jest niski i krępy. Ma przekrzywioną szczękę i brwi tak gęste, że zastanawiam się, czy cokolwiek ponad nimi widzi. Na nasz widok na jego twarz wypełza nieprzyjemny grymas.

– I na cholerę mi kobiety w kuchni?

– Rozkaz kapitana – odpowiada kwatermistrz. – Mamy mieć gości. Trzeba będzie podać kolację na pokładzie. – Ruchem głowy wskazuje na nas. – Dostajesz je do pomocy.

Kuk wyrzuca z siebie wiązanek przekleństw, ale kwatermistrz nic sobie z tego nie robi.

– Kolacja ma być gotowa za godzinę – rzuca tylko.

Kuk wykonuje ordynarny gest, ale zaraz zaczyna sięgać do kufrów po cynowe miski i przybory kuchenne.

Po chwili w kambuzie zjawia się zbir ze sztyletem. Widać będzie naszym psem łańcuchowym.

Kwatermistrz patrzy na nas.

– Ostrzegam was. Kuk to z nas wszystkich najgorsze bydlę. Jeśli dacie dupy u niego na robocie, to chłosta i wypad za burtę będzie waszym najmniejszym problemem.

Pożegnawszy nas tymi krzepiącymi słowami, kwatermistrz przepycha się między nami w stronę schodów i wychodzi. Zostajemy z kukiem, który przyglądając się nam złowieszczo przymrużonymi oczami, ociera ścierką pot z czoła.

– No? Na co, kurwa, czekacie? Łapy wam wygotuję, jak się zaraz nie weźmiecie do roboty! Samo się nie robi!

Cała się spinam. Podobną reakcję widzę u innych dziewczyn. Wtedy jednak naprzód wychodzi Rissa. Znów występuje jako przewodniczka grupy, a reszta zaraz za nią podąża.

Ja sama trzymam się z tyłu. Próbuję nie wzdygać się, gdy kuk miota przekleństwa i rzuca szykowanym przez nas jedzeniem. Staramy się robić, co każe, choć w przemoczonych ubraniach nadal szczękamy zębami z zimna. Gdy jedna z dziewczyn przypadkiem rozlewa wodę na podłogę, kuk nakazuje jej wycierać ją żałośnie małym skrawkiem szmaty.

Ja tymczasem pokornie kroję, mieszam i ubijam, starając się nie rzucać w oczy kukowi ani naszemu psu łańcuchowemu. Gdy ten pierwszy warczy na nas i miota przekleństwa, próbuję dyskretnie, centymetr po centymetrze, rozplątać wstęgi. Nie wiem, kto przez jastrzębia skontaktował się z kapitanem ani kto ma zjawić się na statku. Nie mam jednak dobrych przeczuć. Nikt porządny nie siadłby do kolacji z Czerwonymi Kamratami.

Inna rzecz, że ktokolwiek to był, nie mógł trafić lepiej. Przecież gdyby nie list, byłabym już w łapach kapitana. Na samą myśl o tym przebiega mnie dreszcz.

Wiem jednak, że to tylko chwila wytchnienia. Wyrok na mnie i tak ma zostać wykonany. To tylko kwestia czasu. Nim ta koszmarna noc dobiegnie końca, Fane znów się do mnie dobierze.

Jedynę więc, co mi pozostaje, to niepostrzeżenie rozplątać wstęgi.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 31

Kwaternistrz nie przesadzał, mówiąc o kuku. Jedyne wskazówki, na jakie można liczyć z jego strony, to warknięcia i rzucone w naszą stronę patelnie. Posługuje się nimi, ilekroć uzna, że nie dość szybko się ruszamy, lub gdy ośmielimy się go o cokolwiek spytać.

Biegamy po kambuzie oszalałe, jak kury z obciętych głowami. Żadna z nas w życiu nie pracowała w kuchni, tymczasem poziom precyzji poleceń kuka to zwykle coś w rodzaju: „Róbcie te jebane biszkopty!”. Robi się coraz cieplej i duszniej. Powietrze przesycają para, pot, dym i wilgoć z naszych przemoczonych ubrań. Ciężko jest cokolwiek robić w takich warunkach, ale kuk nie daje nam chwili wytchnienia, a żadna z nas nie śmie mu się narazić. Godzina upływa nam na gorączkowej, wytężonej pracy, ale na moje oko udaje się nam przyrządzić jedzenia dla dwóch takich statków jak nasz.

W pewnym momencie gwałtownie hamujemy. Ostrzega nas o tym jedynie porykiwanie ogniopazurów i nim większość z nas zdąży się zorientować, mało nie traci równowagi. Nie mamy jednak czasu dojść do siebie, bo natychmiast rozlega się wrzask kuka. Gdy tylko statek się zatrzymuje, ten popędza nas, byśmy zastawiały nakryciami stoły.

Ruszamy za dogląającym nas zbirem na górę, niosąc w rękach talerze, półmiski i kufle. Gdy wychodzimy na pokład, okazuje się, że ulewa ustała. Tylko wiatr wieje wciąż zawzięcie.

Idziemy za korsarzem przez mokry pokład aż na rufę, ku drzwiom znajdującym się na prawej burcie, jeszcze za kwaterą kapitana. Znajduje się tam ciasna mesa, gęsto zastawiona rzędami drewnianych stołów i zabudowanych ław. Miejsca pomiędzy nimi jest niewiele, jednak my sprawnie przeciskamy się bokiem i wkrótce wszystkie stoły są nakryte.

Przypadek sprawia, że staję ramię w ramię z Mist. Ta patrzy na mnie tak, że aż robi mi się zimno. Ciska swoje talerze na blat, po czym przepycha się ku wyjściu. Widać, że nie zamierza stać obok mnie ani sekundy dłużej niż to konieczne.

Gdy Mist ostentacyjnie się oddala, czuję na sobie wzrok pozostałych dziewczyn. Wzdycham i biorę się do rozstawiania talerzy, które porzuciła na blacie. Kończę jako ostatnia. Pozostałe dziewczyny stoją już w rzędzie, szykując się do powrotu do kuchni. Pora przynieść do

mesy dania.

Idę kilka kroków za resztą. Pilnujący nas korsarz uśmiecha się złośliwie.

Tymczasem wciąż nie udało mi się uwolnić ani jednej wstęgi. Są nie tylko ciasno związane, ale co gorsza wciąż mokre – co sprawia, że zadanie jest jeszcze trudniejsze.

Sfrustrowana zaciskam wargi, jednak zaraz na moment zapominam o wstęgach. Gdy wychodzimy na pokład, pozostałe dziewczyny nagle się zatrzymują, a ja zauważam, że... coś się zmieniło. Dopiero po chwili orientuję się, co tak zbiło nas z tropu. Cisza.

Ostatnie godziny upływały w ciągłym hałasie: wrzaski, komendy, odgłos statków sunących przez pustkowie, szkwalisty wiatr i tłukący o pokład deszcz. Teraz wszystko to ustało. Nie słychać nic.

Omijam dziewczyny, przeciskając się pomiędzy nimi a relingiem. Jestem ciekawa, co sprawia, że zapadła taka niczym niezakłócana cisza.

Docieram w miejsce, z którego łatwiej mi się rozejrzeć, i wszystko staje się jasne. Cała załoga ustawiła się na śródkręciu frontem do opuszczonego z burty trapu. Na samym środku stoi kapitan Fane – chustę wciąż ma spuszczoną na szyję, ale jego głowę znów dumnie zdobi kapelusz z piórem. Tuż za nim, nieco po prawej, stoi kwatermistrz z dłonią opartą na rękojeści szabli. W powietrzu czuć napięcie właściwe chwilom wyczekiwania. Udziela się ono wszystkim bez wyjątku i skuteczniej nawet niż kłuszący wiatr sprawia, że wszyscy zamierają w ciszy i bezruchu.

Moje serce bije coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo. Choć nie wiem przecież, na co czekamy. Czuję jednak, że... coś nadciąga.

Rozglądam się i upewniam, czy nikt na mnie nie patrzy. Wszyscy jednak jak jeden mąż wypatrują tego, na kogo czeka kapitan. Tego, kto przez jastrzębia wysłał do niego wiadomość. Nawet zbir pilnujący nas wcześniej niczym pies na łańcuchu wpatruje się teraz w trap.

Takiej sytuacji po prostu nie mogę nie wykorzystać.

Stojąc z boku, wciśnięta pomiędzy burtę a grupę dziewczyn, lekko się obracam. Wciąż jest mi chłodno, ale pobyt w ciepłej kuchni sprawił chociaż, że moje ubranie nieco podeschło. Teraz wiatr, choć zimny, pomaga moim włosom i sukience dalej schnąć.

Wykorzystując moment nieuwagi całej załogi, zabieram się znów do rozplątywania wstęg. Ich końcówki wciąż poruszają się z trudem, a Fane związał je tak ciasno, że każdy ruch nimi sprawia mi ból. Jakbym uciskała siniec na skórze.

Postanawiam zaryzykować i ostrożnie wsuwam rękę za plecy, pod szeroką szarfę kwatermistrza. Tkanina jest naprężona, ale daje się minimalnie rozciągnąć. Udaje mi się wcisnąć pod nią dłoń i namacać jeden ze splotów. Rozglądam się szybko, po czym jeszcze bardziej skręcam plecy ku burcie – by dać sobie szansę niepostrzeżenie wsunąć pod szarfę drugą rękę. Palce moich dłoni spotykają się. Czuję pod nimi największy i najczulszy ze splotów.

Pilnując się, by nie zdradzić niczego wyrazem twarzy, z głową zwróconą w tę samą stronę, co wszyscy, zaczynam pieczołowicie rozsypywać wstęgi. Modłę się przy tym, by nikt nie spojrzał w moją stronę.

Nagle, pośród wiszącego w powietrzu nieznośnego napięcia, coś się zmienia. Coś zakłóca niezmaconą dotąd ciszę. Z trapu dobiega narastający powoli odgłos kroków.

Jedna para stóp. Potem dwie. Potem trzy. W niemal idealnie równych odstępach pną się ku górze trapu. Każdy kolejny krok jest głośniejszy.

Łup. Łup. Łup.

Korsarze zdają się odrętwiali ze strachu. Ich kapitan staje jeszcze bardziej na baczność. Widząc to, coraz bardziej gorączkowo pracuję palcami. Rozpaczliwie staram się oswobodzić wstęgi, czując, że nadciąga niebezpieczeństwo.

Słyszę teraz towarzyszący krokom metaliczny brzęk zbroi – podobny odgłos wydają pustynne grzechotniki. Gdzie pancerze i kolczugi, tam zwykle miecze i sztylety, myślę. I wciąż rozpaczliwie usiłuję uwolnić choćby jedną wstęgę. Sęk w tym, że nie udaje mi się na tyle poluzować węzła, by móc pociągnąć za którąkolwiek pętlę. Serce tłucze mi się w piersi. Muszę natychmiast się oswobodzić. Muszę uporać się z tymi węzłami. Muszę...

Na pokład wchodzi dwunastu żołnierzy. Wmaszerowują na śródokręcie dwójkami, po czym ustawiają się naprzeciw kapitana Fane'a w szyku o kształcie klina. Ich widok robi wrażenie. Mają na sobie czarne jak węgiel zbroje. Umundurowanie dopełniają skórzane brązowe spodnie i krzyżujące się na piersi pasy. U boku każdy z żołnierzy ma onyksową pochwę. Rękojeści mieczy wykonano z sękatego, przedziwnie powykrzywianego drewna. Wszyscy zbrojni mają hełmy na głowach, a sama ich postura wystarczy, by zasiać lęk. Czuję, jak na ich widok zasycha mi w gardle – lecz nie za sprawą ich bojowego wyglądu, a godła, które dostrzegam na ich pancerzach. Natychmiast rozpoznaję drzewo o nienaturalnym kształcie, bezlistne, o ciemnych korzeniach i czterech zakrzywionych konarach przypominających czarcie szpony. To znak Czwartego Królestwa, a ci zbrojni to żołnierze Króla Gnilca.

Zapuscili się daleko poza granice swojego państwa.

Gdy na nich patrzę, moje palce nieruchomieją na splotach. Armia króla Ravingera wzbudza postrach we wszystkich królestwach Orei. Nieraz słyszałam o przerażającej sile bojowej i brutalności jego zbrojnych.

Chcę jeszcze się cofnąć, spróbować zniknąć w cieniu. Ze strachu nie potrafię jednak oderwać stóp od pokładu.

Wszyscy milczą. Nikt nie śmie drgnąć. Choć żołnierze są już na pokładzie, kapitan Fane wciąż czeka. Nie wiem na co...

Zdezorientowana marszczę brwi, lecz wtedy moje wątpliwości rozwiewa odgłos kroków. Po trapie wchodzi trzynasty zbrojny. Mija swoich ludzi – wyprężonych na baczność i przywodzących na myśl mur z czarnej cegły. Jest wysoki, bardzo. Po prostu nie sposób nie zwrócić na niego uwagi. Ma na sobie taką samą czarną zbroję i brązowe skórzane umundurowanie jak pozostali zbrojni, ale poza wzrostem wyróżnia go na ich tle coś jeszcze...

– Czy to są... kolce? – szepcze jedna z dziewczyn.

Zaraz słyszę też wypowiedane nerwowym szeptem słowa „przeklęty” i „zły”. Któraś z dziewczyn tłumaczy pozostałym, że to twór króla Ravingera – monstrum stworzone wbrew naturze z gnijących resztek, by stać na czele armii Czwartego Królestwa.

Ale to nieprawda.

Marszałek, z którego ramion i kręgosłupa sterczą kolce, nie jest przeklęty. Ten mężczyzna, tak rosły, że patrząc na niego, Fane musi zadzierać głowę, nie jest monstrum o ciele zdeformowanym mocami króla Ravingera.

Nie, ta złowroga, przerażająca samą swą obecnością postać jest czym innym. I niczym więcej.

Wróżem.



ROZDZIAŁ 32

Królestw Orei nie zawsze było sześć.

Przed tysiącem lat na skraju świata rozciągało się Siódme Królestwo. Za smołowymi sosnami, za górą Highbell, daleko za Jałową Ziemią, a nawet za arktycznymi morzami – Słońce i Księżyc ledwie muskały jego horyzont. Siódme Królestwo znajdowało się tak daleko, że płaska ziemia kończyła się tam urwiskiem – krańcem, za którym nie było już nic.

Siódme Królestwo żyło pośród wiecznej szarości; bez światła dnia i bez nocy. I to tam znajdował się most. Lemuria, most, który wiódł donikąd.

Była to ledwie smuga szarego szutru. Dróżka wiodąca przez krawędź świata, poza zasięg naszego wzroku. Ot, skrawek łądu ciągnący się przed siebie – nic poniżej ani wokół. Wokół była jedynie ciemna, nieprzebyta pustka. Mówiono, że gdy ktoś zboczy z mostu, będzie spadać całą wieczność i nawet bogowie go nie odnajdą, by udzielić mu łaski śmierci.

Monarchowie Siódmego Królestwa byli jednak uczonymi. Nie wierzyli w mity ani opowieści o nieznanym bezkresie. Posłali więc Lemurią żołnierzy i odkrywców, by ci dowiedzieli się, dokąd wiodzie most. Przez kolejne lata setki Oreńczyków wyruszały na most, by nigdy już nie powrócić.

Przeważał pogląd, że to na nic. Że królewskie przedsięwzięcie to samobójczy wysiłek, który należy zarzucić. Z czasem zamiast uczonych i zbrojnych na most zaczęto posyłać złodziei i dłużników. I oni przepadali bez wieści, na próżno.

Aż pewnego dnia mostem przyszła z drugiej strony kobieta. Nie była zbrojną ani uczoną. Nie została wysłana przez króla. Była... przeoczeniem. Sierotą po kimś, kto poszedł na most i nie wrócił. Gdy miała dziesięć lat, przemknęła obok wartowników i bez słowa zanurzyła się w bezkres, chcąc odszukać ojca.

Nikt o tym nie wiedział. Nikt jej nie zauważył.

Przemierzała czas i przestrzeń, zmagając się z szaleństwem, głodem i pragnieniem. Podczas gdy wszyscy inni dawali w końcu za wygraną i rzucali się z mostu w otchłań, ona parla

naprzód. Udało jej się dokonać czegoś, czemu nie sprostał żaden z mężczyzn. Saira Turley jako jedyna przekroczyła most Lemuria, by następnie powrócić.

Nie wróciła jednak sama. Bowiem most, ta droga pośród nicości, prowadził do innego świata. Świata magii.

Saira nie odnalazła ojca, ale za to odkryła Annwyn, krainę poza światem. Krainę Wróżów.

Saira przeszła ich ziemię i wylądowała na ich niebie. Ptaszyna – tak o niej mówili. Ptaszyna ze złamanym skrzydłem.

Przygarnęła ją grupa Wróżów. Opiekowali się nią, a ona zachwycała się nimi i ich niezwykłą mocą. W czarodziejskim rajku zyskała nową rodzinę i z nią związała swoje życie. Sercem jednak nie opuściła Orei – krainy, gdzie pochowano jej matkę i gdzie żyły ciepłe wspomnienia o jej ojcu.

Kiedy Saira miała dziewiętnaście lat, zakochała się we Wrózu, księciu Lydii. Mówiono, że ich miłość była głębsza niż morza Annwynu, że z pieśni ich serca zrodziła się muzyka. Niedługo przed ślubem książę ofiarował Sairze dar na miarę swojej miłości. Nie mógł przywrócić jej ojca, ale mógł przywrócić jej dom. Zabrał więc Sairę na most Lemuria – na skraj annwynskiego nieba – i zakrzywił go. Odnalazł w czasie i przestrzeni wątek łączący obie krainy i sprawił swoją mocą, że Annwyn znalazł się bliżej Orei – tak by odtąd Saira, kiedy zechce, mogła odwiedzać ojczyznę.

Orea i Annwyn stały się siostrzanymi krainami. Wszystkie siedem królestw świętowało, gdy Wróże i Oreańcy jednoczyli się w jeden lud. Lemuria przestała być drogą śmierci – bez końca i donikąd. Stała się odtąd prawdziwym mostem pomiędzy krainami. By go przekroczyć, trzeba było ledwie minut.

I tak przez setki lat współistnieliśmy i mieszałyśmy się ze sobą. To zza Lemurii, od Wróżów, pochodzi oreańska magia. Teraz jednak z biegiem kolejnych dziesięcioleci zanika. Bo zza mostu nie przybywają już Wróżowie, a i Oreańcy nie przeprawiają się do Annwynu. Jest tak od trzystu lat, odkąd Wróżowie zdradzili Oregę.

Na długo po tym, jak Saira i jej książę wydali z siebie ostatnie tchnienie, w Annwynie dorósł kolejny monarcha. Ów król opowiedział się przeciw wspólnemu życiu z Oreańczykami. Przeciw mieszaniu się z niższymi istotami. Zerwał czasoprzestrzenną nić, którą z miłości do Sairy połączył dwa światy jej mąż. Annwyn i Orea gwałtownie oddaliły się od siebie. Most został przerwany.

Leżące na skraju świata Siódme Królestwo pochłonęła magiczna otchłań. Ani jego ziem, ani mieszkańców nigdy już potem nie widziano. Most Lemuria runął w pustkę. Rozsypał się w nicość.

Tak więc to Wróżom Orea zawdzięcza magię. Jest to jednak dar gorzki, bo podszyty zdradą.

Nie ma już Siódmego Królestwa. Nie ma współistnienia w pokoju. Nie ma już mostu do Annwynu. I nie ma już Wróżów.

Tak przynajmniej zwykło się wierzyć.



ROZDZIAŁ 33

Bębny. Moje serce łomocze tak, jakby w moich żyłach biły bębny. Zbyt głośno, zbyt szybko, zbyt gwałtownie.

Zawsze sądziłam, że opowieści o marszałku – nawet te spisane w rękopisach z biblioteki Highbell – są wyolbrzymione. Że celowo okraszono je większym dramatyzmem, by usprawiedliwić tchórzostwo tych, którzy nie sprościli mu na polu bitwy i uciekli.

Marszałek stał się współczesną legendą. Synonimem grozy. Bohaterem czarnych legend, jak król Ravinger. Wielu nazywa go „Katem”, bo ponoć z łatwością skraca żołnierzy o głowę. Ja jednak nigdy nie dowierzałam tym opowieściom. Wątpiłam, by był aż tak przerażający.

Słyszałam też oczywiście pogłoski, jakoby był Wróżem. Jakoby miał więcej annwyńskiej krwi niż jakikolwiek inny Oreańczyk. Jednak i do tych opowieści podchodziłam z rezerwą. Widziałam w nich pogłoski, bajania i wyolbrzymienia – być może rozpowszechniane przez samego króla Ravingera, by dowódca jego armii miał większy postrach.

Teraz jednak widzę go na własne oczy. I wiem już, że to nie kolejny Oreańczyk o rozrzedzonej przez pokolenia magicznej krwi po annwyńskich przodkach.

To ktoś więcej.

Dowodzą tego już same kolce. Większość pisemnych przekazów na temat marszałka sugeruje, że to tylko element jego zbroi – ozdobnik mający robić wrażenie.

Widzę jednak, że jest inaczej.

Kolce. Jego wzrost. Aura, którą wokół siebie roztacza. Wszystko to jest aż nadto prawdziwe, a ja nie wiem sama, co myśleć.

Nie potrafię oderwać od niego wzroku. Łapię się na tym, że policzyłam czarne kolce na jego plecach. Wychodzi ich z jego kręgosłupa sześć – pierwszy, najdłuższy, pomiędzy łopatkami, ostatni, najkrótszy, w dole pleców. Wszystkie są lekko zagięte ku dołowi. Wystają przez otwory w zbroi, a w świetle pokładowych latarni kładzie się na nich złowrogi czerwony poblask.

Marszałek ma kolce również na przedramionach. Te są krótsze, lecz robią wrażenie równie ostrych i śmiertelnych. Na każdej ręce, od nadgarstka po łokieć, jest ich po cztery.

Boję się nawet wyobrażać sobie, jak marszałek wygląda bez hełmu. Wedle niektórych podań ma rogi. Inne wspominają o szpetnych bliznach na twarzy. Jeszcze inne o kłach. Wedle źródeł pisanych z kolei marszałek potrafi zabijać wzrokiem – dosłownie spalać ofiary spojrzeniem.

Nie chcę się przekonać, czy którakolwiek z tych wersji jest prawdziwa. Chcę natomiast dowiedzieć się, dlaczego tu jest. Dlaczego gdzieś pośrodku Jałowej Ziemi spotyka się z Czerwonymi Kamratami.

– Czołem, kapitanie. – Daje się słyszeć niski głos. Na sam jego dźwięk dziewczyny obok mnie nieruchomieją ze strachu.

– Czołem, marszałku – odpowiada Fane z lekkim skinieniem głowy. – Jestem zdumiony, widząc cię tak daleko od Czwartego Królestwa. Wiadomość od ciebie mnie zaskoczyła.

– Hm.

Fane ewidentnie chciał skłonić marszałka, by ten wyjawiał mu coś więcej. Wydaje się jednak niezrażony, że mu się to nie udało.

– Słyszeliśmy, że mieliście problemy na granicy.

– Drobną niedogodność, ale król postanowił zareagować. Nie toleruje napaści na swoje ziemie.

– Oczywiście. To cechuje wielkich przywódców.

Mało nie dławie się własnym językiem, słysząc ten lizusowski ton.

– Jak tam w Ziemi Jałowej i Breakwater? Piractwo nadal popłaca?

– Nie narzekam – odpowiada Fane z szelmowskim uśmiechem.

– Zwykle jesienią nie zapuszczacie się tak daleko na północ.

Nie padło żadne pytanie, ale nawet dla mnie oczywiste jest, że marszałek oczekuje wyjaśnień.

Fane wymienia szybkie spojrzenia z kwatermistrzem.

– Dostaliśmy cynk – odpowiada po chwili. – Musieliśmy zboczyć na te tereny, ale na szczęście opłaciło się. Niedługo wracamy do doków.

Gdy to słyszę, opadają mi ręce. Nie potrafię utrzymać ich przy wstęgach.

„Cynk”?!

Fane i jego ludzie napadli na nas, bo ktoś dał im cynk?

Wpatruję się w kapitana, jakby świdrowanie go wzrokiem mogło sprawić, że poznam odpowiedź.

– Interesujące – odpowiada Kat, poruszając nieznacznie rękoma. Na jego kolce raz jeszcze pada szkarłatny poblask. – Czyżby ten cynk miał jakiś związek z dwunastoma jastrzębiami, które rozesłaliście dwie godziny temu?

Fane nieruchomieje.

– Skąd o tym wiecie?

Marszałek w odpowiedzi unosi tylko pięść. Następnie otwiera ją, upuszczając na pokład zwinięty skrawek pergaminu. Jak na komendę to samo robią stojący za nim zbrojni. Na deski śródkręcia spada kolejnych jedenaście wiadomości.

Na twarzy Fane’a widać oburzenie. Jednocześnie rozdziawia usta i porusza nimi jak ryba wyciągnięta z wody.

– Co? Jak...

Marszałek rzuca w jego stronę sakiewkę. W ostatniej chwili łapie ją kwatermistrz.

– To za jastrzębie.

Kapitan i kwatermistrz patrzą na marszałka kompletnie zbici z tropu.

– Przechwyciliście wszystkie nasze wiadomości? – dopytuje z naciskiem wściekły Fane.

– Tak – odpiera marszałek, przekrzywiając lekko głowę.

Fane zaciska szczękę, zgrzytając drewnianymi zębami.

– Dowiem się, dlaczego, marszałku?! To jest napaść. Moi ludzie nie za takie rzeczy zabijali.

Groźba nie robi najmniejszego wrażenia ani na Kacie, ani na jego ludziach. Jeśli ktoś wydaje się nieswój, to kamraci Fane’a. Korsarze wymieniają nerwowe spojrzenia, wyraźnie obawiając się starcia ze zbrojnymi Kata.

– Nie ma potrzeby przelewać krwi – mówi marszałek spokojnie. – Zresztą, pomogliśmy wam.

– Niby w jaki sposób? – cedzi gniewnie kapitan.

Marszałek postępuje o krok naprzód. Jeden krok, z pozoru nic nieznaczący. A jednak – ten mały uszczerbek na przestrzeni dzielącej Kata od Fane’a sprawia, że dłoń tego drugiego sięga do rękojęści sztyletu. Tego samego, którym przebił serce Saila.

– Zbyt ochoczo wzięłeś się do szukania kupca. To błąd – tak szybko chwalić się łupami. Ale nie stracisz, Fane. Zrobię ci przysługę. – Marszałek nie podnosi głosu ani o odrobinę. I to właśnie sprawia, że przygryzam dolną wargę. Zaczynam się bać.

– Kupię od ciebie ludzi Midasa – mówi po chwili.

Kapitan Fane znów rozdziawia usta.

– Ty? Po co?

Marszałek nie zdjął hełmu, ale jestem niemal pewna, że w tej chwili szeroko się uśmiecha.

– To już zostanie między Midasem a Ravingerem – odpowiada.

Mój żołądek się skręca, jakby próbował się wyżyć. Słyszę, jak obok jedna z dziewczyn zaczyna łkać ze strachu. Być porwaną przez korsarzy to jedno – zostać kupioną przez marszałka wojsk Ravingera to coś zupełnie innego. Gnilec słynie z bezdusności na polu walki. Jego armia to machina przemocy, której nikt nigdy nie pokonał.

A teraz ten człowiek chce nas.

To już zostanie między Midasem a Ravingerem.

To zdawkowe wyjaśnienie mi wystarczy. Nie mam już wątpliwości, co marszałek robi na Jałowej Ziemi i po co dobija targu z Fane’em. Król Ravinger wysłał wojska przeciwko Midasowi. A my akurat wpadliśmy mu w ręce.

Kapitan raz jeszcze wymienia spojrzenia z kwatermistrzem. Widać, że obaj się głowią.

Po chwili Fane zdejmuje dłoń z rękojęści sztyletu i zwraca się do marszałka.

– Jak już wiesz z moich listów... – zaczyna nieco drażliwie – mam nadworne dziwki Midasa i kilku jego gwardzistów. Zamierzałem na wybrzeżu rozdzielić ich i sprzedać.

Marszałek odwraca w końcu wzrok od Fane’a. Skręca nieco głowę, a ja – przysięgam – czuję natychmiast na sobie jego spojrzenie. Jego wzrok zatyka mi dech w piersi. Czuję się jak mucha schwyтана w żywicę. Nie mogę się ruszyć, czuję, jak mój puls szaleje.

Zaraz jednak marszałek wie dzie wrokiem dalej. Spojrzenie jego niewidocznych oczu przesuwa się bez emocji po zbitych w grupę dziewczynach.

Nieśmiało łapię oddech. Tym razem mucha miała szczęście...

– Powiedziałem: zrobię ci przysługę – ciągnie marszałek, zwracając się znów do kapitana.

– Kupię ich wszystkich. Razem z końmi. Możesz sobie wziąć te ich złote pancerze. Nie będą im potrzebne.

Fane przymruża nieufnie oczy. To, jak dużo wie marszałek, wyraźnie wzbudza jego podejrliwość.

– Słono za nich zapłacisz. Spodziewałem się ofert od wielu kupców.

– Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia – odpowiada pewnym głosem Kat.
Fane przestępuje z nogi na nogę.

– Moi ludzie chcieli nacieszyć się zdobyczą... Choć przez dwa tygodnie.

Jeszcze mocniej skręca mnie w żołądku. Fane naprawdę nie ma wstydu. Jak gdyby nigdy nic przyznaje, że on i jego zbiry chcieli zabawić się z nami i jest im nie na rękę sprzedać nas od razu. Myśl o tym, jak nas upodlił, sprawia, że wrze we mnie żółć. Czuję się, jakbym mogła z miejsca zionąć na niego ogniem i spalić go na popiół.

– Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia, Fane – powtarza z naciskiem Kat.

Zapada cisza. Mijają sekundy, a wokół słychać jedynie wiatr. Wszyscy – dziewczyny, korsarze i zbrojni – wpatrują się w milczeniu w kapitana i marszałka. Czekają, co się wydarzy.

Noc ponad nami jest ciemna i ponura jak zawsze. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyrwę się z tych mroków i wydarzających się w nich nieszczęść, czy moje życie już na zawsze pozostanie równią pochyłą.

W końcu Fane kiwa głową.

– W porządku. Siadajmy do stołu. Zawsze powtarzam, że targu najlepiej dobijać przy winie i dobrym jedzeniu.

Marszałek odpowiada skinieniem głowy i unosi dłoń.

– Zatem prowadź, kapitanie. Chcę posłuchać o wydarzeniach tej nocy. Jestem pewien, że jest o czym opowiadać.

Fane szczyrzy się w uśmiechu.

– O tak! A kiedy Midas dowie się, że twój król ma jego żołnierzy i jego dziwki, zaczniesz odchodzić od zmysłów.

Spod hełmu marszałka dobiega niski, złowieszczy śmiech, a mnie aż przechodzi dreszcz.

– Na to właśnie liczę, kapitanie.



ROZDZIAŁ 34

Zdarzyło mi się widzieć lisy w kurniku. Rzucają się na nieszczęsne ptaki, które chciały tylko spokojnie robić swoje – znosić jaja. Lisy wpadają do środka, zmuszając je do rozpaczliwych prób lotu. Bawią się ich kosztem. Widziałam już kiedyś, jak kurnik zmienia się w tuman piór, strachu i odgłosów przerażenia.

Kolacja na statku to podobna sytuacja.

Czerwoni Kamraci są jak lisy. Zaczepiają, sztydzą i obmacują. Sprawdzają, czy uda im się sprawić, że któraś z dziewczyn z przerażenia spróbuje odlecieć.

Tego wieczora na kolacji są jednak nie tylko lisy, ale i wilki.

Zbrojni marszałka zajmują całą ławę w mesie. Siedzą ciasno, ramię w ramię – ponurzy, złowieszczy i stanowczo zbyt rośli jak na tę przestrzeń. Do jedzenia zdjęli hełmy, lecz żaden nie odzywa się choćby słowem. Pozostają czujni, jak tropiące wilki. Prawdziwe drapieżniki na tle hałastry.

– Ty nie. – Nasz pies łańcuchowy zatrzymuje mnie, gdy chcę wejść do mesy z dwoma dzbanami wina.

– Co takiego?

– Weź od niej te dzbany – zwraca się zbir do stojącej za mną Rissy.

Ta unosi brwi.

– Przecież niosę już tacę.

– Gównu mnie to obchodzi. Bierz od niej wino.

Rissa zaciska wargi, ale odwraca się w moją stronę. Ruchem głowy wskazuje na tacę z wypiekami.

– Stawiaj – mówi do mnie.

Na ile to możliwe, odsuwam ciastka na bok i stawiam pośrodku tacy oba dzbany z winem. Obarczona dodatkowym ciężarem Rissa rusza natychmiast w stronę stołów. W mesie są już pozostałe dziewczyny. Część podaje dania, część trafiła już na kolana korsarzy, którzy wpychają im łapy pod sukienki.

Czuję się niezręcznie, stojąc w zejściówce obok pilnującego nas zbira.

– Co mam robić? – pytam.

Korsarz opiera się o ścianę i czubkiem sztyletu wydłubuje sobie brud spod paznokci.

– Nie wiem. Masz się nie pokazywać tym z Czwartego Królestwa. Rozkaz kapitana.

Nagle wszystko staje się jasne.

– Kapitan nie chce, żeby zobaczył mnie marszałek...

Korsarz uśmiecha się szyderczo, nie przestając dłubać pod swoimi odrażającymi pazurami.

Zaglądam do jasno oświetlonej mesy. Gdy statek stoi, jest na nim dziwnie cicho. Na ławie najbliższej wejścia widzę zbrojnych z Czwartego Królestwa. Fane i marszałek siedzą niedaleko, ale plecami do mnie, przy osobnym, dwuosobowym stoliku. Mają stamtąd widok na pozostałe ławy.

Marszałek zdjął hełm, ale z miejsca, w którym stoję, nie jestem w stanie dojrzeć jego twarzy. Z pewnością mogę powiedzieć tylko tyle, że nie ma rogów. Na jego głowie nie widzę nic poza krótkimi, gęstymi czarnymi włosami.

– Skoczę do kuchni po dokładki – rzucam pod nosem, kierując się ku wyjściu.

Korsarz ze sztyletem rusza niestety za mną. Nie uda mi się tym razem wymknąć. Cóż, nie liczyłam, że będzie łatwo.

Wchodząc z powrotem do kambuza, o mało nie dostaję czymś w twarz. Uchylam się w ostatniej chwili, by zaraz usłyszeć odgłos uderzającej o ścianę mokrej szmaty.

– Bierz się do sprzątania! – warczy na mnie kuk z drugiego końca pomieszczenia.

Z trudem powstrzymuję westchnienie. Zdejmuję jedyną rękawiczkę, która mi pozostała, wsuwam ją do kieszeni i sięgam po szmatę. Zaczynam wycierać blaty, a ukradkiem znów zabieram się do rozplątywania wstęg. I wreszcie, zgarbiona przy pracy, czując na karku krople potu, rozwiązuję pierwszy węzeł. To małe zwycięstwo sprawia, że serce zaczyna mi bić szybciej. Zerkam przez ramię – na szczęście żaden z korsarzy nie patrzy na moje plecy. Kuk jest zajęty jedzeniem w samotności, a zbir z nożem dłubie sobie w zębach – czubkiem tego samego ostrza, którym wcześniej czyścił paznokcie.

Znów patrząc przed siebie, zabieram się do szorowania, a jednocześnie – do rozplątywania. Trzeba mi tylko wytrwałości.

Gdy niemal wszystko jest już czyste, do kambuza wchodzi Polly. Ma czerwone policzki i szkliste oczy.

– Chcą jeszcze piwa – mówi głuchym, zgaszonym tonem. Słysząc, że ma dość.

– Wyglądam ci na oberżystkę?! – warczy na nią kuk. – Sama je sobie weź!

Polly wygląda na zdezorientowaną. Szybko wstaję i odkładam szmatę.

– Chodź – mówię do niej i ruszam w stronę spiżarni.

Gdy jesteśmy już w środku, pokazuję jej każdą z piwem i kufle. Jednocześnie czuję, jak Polly mi się przygląda. Zerka na mnie w sposób, który natychmiast zdradza, że ma do mnie wiele pytań.

– Czy ty... możesz coś nimi zrobić? No wiesz, żeby zaatakować ich i uciec? – mówi ledwie słyszalnym szeptem, ale rozumiem każde słowo.

– Nie. Kapitan je związał i nie daję rady ich rozplątać – odpowiadam równie cicho, obawiając się zerknąć przez ramię w stronę kuka i zbira z nożem.

Polly, rozczarowana, wypuszcza powietrze nosem.

– Muszę im zanieść więcej, a sama tyle nie udźwignę – mówi tym razem na głos, sięgając po dwa pełne dzbanki. – Wezmiesz jeszcze dwa? – pyta.

W pierwszym odruchu waham się, ale zaraz napełniam dwa kolejne dzbanki, biorę je

w ręce i ruszam za Polly. Kuk zerka na nas spode łba. Pies łańcuchowy niestety nie opuszcza nas na krok. Gdy jesteśmy tuż przed mesą, zatrzymuję się.

– Nie wolno mi tam wchodzić – wyjaśniam.

Sfrustrowana Polly wzdycha ciężko.

– Dobra, kogoś tu po nie przyślę.

Nim przekroczy próg mesy, bierze głęboki wdech. Rusza naprzód, starając się trzymać głowę wysoko i uśmiechać beztrudnie. Niemal się nie krzywi, gdy któryś ze zbirów klepie ją w pośladek. Pokornie nachyla się do niego i nalewa mu piwa. To gra. Jedno wielkie przedstawienie.

W mesie jest głośno i gwarno, a korsarze nie wylewają za kołnierz. Z jedzenia nie zostało już nic. Widzę, jak Polly podchodzi do Rissy i szepcze jej coś do ucha. Rissa rusza zaraz w moją stronę i wyciąga ręce po dzbany z piwem.

– Niezła popijawa – mówię cicho, podając jej.

– Tym lepiej dla nas – szepcze, puszczając do mnie oko. – Jeśli uda nam się ich spić, może część padnie. Zawsze to o kilku bydlaków mniej.

Rissa odwraca się i rusza przed siebie z wystudiowanym wyzywającym uśmiechem. Wie, jak zadowolić hałastrę. Będzie wzorowo grać swoją rolę, byle wyjść cało z opresji. Sama postępuje tak, jak doradzała pozostałym dziewczynom. Każda z nich jest profesjonalistką i widać to w ich uśmiechach, minkach i zmysłowym kołysaniu bioder. Są jak sarny, którym przyszło zabawiać drapieżniki. Będą kusić i dadzą się oglądać, ale nie zamierzają dać się ugryźć. Taki jest przynajmniej plan.

Oby wypalił.

Widok na salę przesłania mi nagle zagniewana twarz. To Mist. Ma włosy w nieładzie i mokry gorset – nie wiem, czy wciąż od deszczu, czy przez nieuwagę któregoś z biesiadujących zbirów.

– Jakie to typowe – cedzi na mój widok. – Faworyta nie musi nawet podawać do stołów!

– Nie woln... – zaczynam, lecz Mist natychmiast wchodzi mi w słowo.

– Z łaski swojej odnieś chociaż do kuchni te brudne gary – rzuca. – Chyba że do tego też się nie niżysz?

Zgrzytam zębami, próbując zachować spokój.

– Rozumiem, dlaczego jesteś zła. Naprawdę. Ale zamiast wyżywać się na mnie, oszczędzaj lepiej siły na nich – mówię, wskazując ruchem głowy na siedzących w milczeniu żołnierzy.

– Jakby cokolwiek cię to obchodziło...

Obchodzi mnie. Oczywiście, że obchodzi. Mist nie uwierzy mi jednak, choćbym nie wiem jak się zarzekała. Wpycha mi do rąk stos brudnych talerzy, po czym odwraca się na pięcie.

Wracam do kambuza. Tam spędzam kolejną godzinę nad wiadrem zimnej, zawierającej ledwie odrobinę mydła wody, szorując do czysta całą zastawę. Dziewczyny jedna po drugiej znoszą mi kolejne naczynia, a ja nabawiam się stopniowo bólu pleców i spierzchnięć na dłoniach.

Nie marnuję jednak czasu. Rozładowując frustrację szorowaniem naczyń, jednocześnie cierpliwie poruszam wstęgami, starając się uporać z kolejnymi splotami. Centymetr po centymetrze brnę do celu, pomagając sobie przy tym szarfą. Szczęście, że ją mam, bo pozwala mi ona skutecznie maskować ruchy wstęg.

Nie odpuszczać. Byle nie odpuszczać.

Gdy wreszcie kończę zmywać, stróżujący zbir podciąga mnie za ramię ku górze.

– Chodź. Chcę zobaczyć, co się dzieje na pokładzie.

Ocieram mokre, zmarznięte ręce o sukienkę. Próbując nadażyć za korsarzem, omal się nie

potykam. Spieszy mu się. Widać, że ma już serdecznie dość robienia za moją niańkę.

– Trzymaj się mnie i ani słowa, jasne?

Kiwam głową i ruszam za nim na górę. Tam, na śródkręciu, wszystkie dziewczyny z haremu czekają już ustawione w szereg. Już niedługo znikną ze statku. Zbrojni z Czwartego Królestwa zabiorą je ze sobą, a ja zostanę. Sama, w potrzasku. Mimo że bez krat, to znów będę więźniem.

Sama nie wiem, co gorsze – wilki czy lisy. Okrutni korsarze czy żołnierze wrogiego państwa...

Tak chciałabym znaleźć się teraz obok Midasa. Na samo jego wspomnienie do oczu napływają mi łzy. Zrobiłabym wszystko, by móc go teraz zobaczyć. Tak chciałabym, by znów obronił mnie i uratował – jak wtedy, wiele lat temu.

Mój wybawca wędrowiec. Mój obrońca i król.

Midasa tu jednak nie ma i nie zjawi się. Nie wie przecież nawet, że wpadłam w tarapaty. A gdy się dowie, będzie już za późno.

O wiele za późno.



ROZDZIAŁ 35

Nerwowo splatam przed sobą palce dłoni, tworząc z nich figury niemal tak zawile, jak węzły na moich wstęgach.

Oto tu, na korsarskim statku, stanęłyśmy nagle na rozdrożu. Sama nie wiem, czyj los jest gorszy, a którzy oprawcy okrutniejsi.

Mówią: „Lepsze znane zło”. Lecz co robić, gdy co i rusz pojawia się nowe? Gdy los co chwila napuszcza na nas innych zbirów?

Jeśli Midas nie przybędzie mi na ratunek, będę bez szans. Nie ucieknę sama ani korsarzom, ani zbrojnym marszałka. Zresztą nawet gdyby mi się udało – dokąd bym poszła? W każdą stronę kilometrami ciągną się lodowate pustkowia. Tułając się sama przez śniegi, mogłabym bardzo łatwo kompletnie pobłądzić. Sama jednak nie wiem – może to nawet byłoby lepsze? Może lepiej byłoby paść w śnieżną zaspę i nigdy już się nie obudzić? Objęcia chłodu i śmierci mogłyby okazać się czulsze niż mężczyźni, których mam wokół. To niemal pewne.

Nie wiem, do kogo gorzej jest trafić w niewolę. Wiem natomiast, że przeraża mnie perspektywa bycia oddzieloną od pozostałych. Może i dziewczyny z haremu mnie nie lubią. Może nawet nienawidzą. Ale mimo wszystko są częścią mojego domu, wspomnieniem utraconego bezpieczeństwa.

Szczególnie oporny węzeł na wstęgach omal nie sprawia, że krzywię się z bólu. Z trudem udaje mi się nad sobą zapanować. Zaraz jednak wracam do cierpliwego rozplątywania. Jeśli uda mi się uwolnić wstęgi, mogę mieć choć cień szansy. Może choć zyskam nieco na czasie. W przeciwnym razie szybko skończę w kajucie kapitana.

Na środku pokładu marszałek i Fane nadal pertraktują. „Kat” znów ma na głowie swój czarny hełm. Mozolne negocjacje dobiegają właśnie końca, bo widzę, jak kapitan kiwa twierdząco głową.

Dobili targu.

Historia się powtarza. Poprzednio też o moim losie miał przesądzić pakt zawarty przez dwóch mężczyzn. Kobiety nie wychodzą dobrze na umowach zawieranych za nie za ich plecami.

Marszałek skinieniem głowy przywołuje żołnierza trzymającego szkatułę. Ten podsuwa go kapitanowi, a gdy Fane go otwiera, aż rozdziawia usta na widok liczby złotych monet. Z wybałuszonymi w chciwej radości oczami szczerzy się w uśmiechu.

– No to się dogadaliśmy! – mówi z satysfakcją.

Chce zabrać szkatułę, ale żołnierz nie wypuszcza jej z rąk. Fane patrzy na marszałka zaskoczony.

– O co chodzi?

– Najpierw towar.

– Oczywiście. – Fane kiwa głową. – Kwatermistrz zaraz zaprowadzi was na dwa pozostałe statki. Tam wydadzą wam gwardzistów Midasa i konie.

Marszałek skinieniem głowy poleca żołnierzowi, by puścił szkatułę. Gdy Fane odbiera ją z jego rąk, niemal ugina się pod jej ciężarem. Zaraz przekazuje ją dwóm swoim ludziom.

– Niech ta noc będzie do końca pomyślna, marszałku. Przekaż moje ukłony swemu królowi – mówi kapitan, uchylając kapelusza.

– Nie tak szybko, Fane.

Kapitan przystaje i zwraca się znów w stronę marszałka. Korsarze niosący szkatułę również się zatrzymują. A mnie znów zaczynają drżeć ręce.

– Dostałeś kwotę ustaloną za wszystkich ludzi Midasa – mówi marszałek.

Na jego słowa kapitan mruga, marszcząc jednocześnie brwi. W pierwszej chwili wydaje się zaskoczony, ale ja już wiem. Wiem, nim okryta hełmem głowa marszałka zwraca się w moją stronę. Mam wrażenie, że od samego początku wiedział, gdzie jestem.

Kat unosi rękawicę i wskazuje mnie palcem. Serce zamiera mi w piersi.

– Zapłaciłem również za nią.

Fane rozdziawia usta, gdy dociera do niego, że marszałek go przejrzał.

– O nie... – protestuje, kręcąc głową. Pióro na jego kapeluszu wtóruje jego sprzeciwowi.

– Ona nie była i nie jest na sprzedaż. Wszyscy inni są twoi, ją zatrzymuję dla siebie.

Marszałek opuszcza dłoń, nadal patrząc na kapitana. Choć jest daleko, z łatwością wyczuwam, że jest niezadowolony.

– Powiedziałem „wszyscy”, Fane, i nie zmienię zdania. Myślałeś, że dostaniesz tyle złota za zbieraninę nałożnic, kilka koni i paru półżywych gwardzistów? – Marszałek kręci głową. Jego głos jest równie złowieszczy i lodowaty jak jałowe pustkowia wokół nas. – Faworyta Midasa też pójdzie z nami.

Oddycham z trudem. Jakby przygniótł mnie nagle ciężar szkatuły pełnej złota. Oszałałe łomotanie mojego serca zdaje się nieść echem po całym moim ciele.

Fane zaciska dłoń w pięści. Jego oczy rozbłyskają gniewem.

– A jeśli odmówię?

Daje się słyszeć okrutny, przyprawiający o dreszcze śmiech marszałka. Śmiech sadystycznego zbrodniarza. Taki, jaki można usłyszeć tuż przed torturami z rąk szaleńca.

– Nie spodoba ci się to, co się stanie, jeśli odmówisz. Ale wybór jest oczywiście twój.

Żuchwa kapitana drga w nerwowym tiku, gdy jego wzrok pada na zbrojnych marszałka. Ci jak niewzruszone posągi czekają tylko na rozkaz. Korsarzy jest znacznie więcej, ale w starciu nie miałyby to chyba najmniejszego znaczenia.

– Skąd o niej wiesz? – pyta Fane. – Nie wspominałem o niej w żadnej z wiadomości.

– Ty masz swoich informatorów, ja mam swoich.

Nie wiem, jak rozumieć wymijającą odpowiedź marszałka, ale czuję, jak coraz bardziej pocą mi się dłonie. Kwatermistrz mówi coś kapitanowi na ucho, ale ten zbywa go z gniewnym grymasem na twarzy.

Fane przestępuje z nogi na nogę. Pomiędzy nim a marszałkiem trwa pojedynek na spojrzenia. Sądziłam, że już wcześniej napięcie na pokładzie było nieznośne, ale myliłam się. Teraz jest bez porównania gorzej. Nawet zbrojni z Czwartego Królestwa jakby zamarli.

Wodzę wzrokiem między jednym a drugim dowódcą, nerwowo przygryzając dolną wargę. Gdyby dano mi wybór, sama nie wiem, do którego wolałabym trafić. Czy wybrałabym zdeprawowanego herszta Czerwonych Kamratów, czy przerażającego naczelnika wojsk króla Ravingera? Wybór między dżumą a cholera.

– Zgoda – mówi po dłuższej chwili Fane. Jego ton jest cierpki. To pojedyncze słowo pada z jego ust jakby z wyrzutem.

I tak oto wiem już, dokąd ruszę z rozdroża. Mój los zostaje przypieczętowany.

– Kwatermistrz, przyjrzyjcie się gwardzistom i koniom – poleca kapitan. – Żeby marszałek nie miał zastrzeżeń do ich stanu. Potem wróćcie po kobiety. Nie będziemy ich trzymać na mrozie. – Fane patrzy na Kata. – Nie chcemy przecież, żeby zamarzły, zanim zdążą opuścić Jałową Ziemię.

Marszałek nie odpowiada nawet słowem. Kwatermistrz odchrząkuje nerwowo, po czym występuje przed szereg.

– Tak jest – potwierdza. – Marszałku, jeśli pozwolisz, zaprowadzę cię teraz na nasze mniejsze statki.

Marszałek przesuwając wzrokiem po dziewczynach i po mnie. Przez moment milczy.

– Dobrze – rzuca po chwili oschle z krótkim skinieniem głowy. – Kapitanie, ja i moi ludzie wyruszymy o pełnej godzinie.

Po tych słowach rusza trudem w dół. Podąża za nim sześciu zbrojnych. Sześciu pozostałych zostaje na pozycjach, by trzymać wartę.

Fane zaciska nerwowo wargi, po czym zwraca się do swoich ludzi:

– Zanieść złoto do mojej kajuty.

Dwóch korsarzy dzwigających szkatułę niezwłocznie wykonuje jego polecenie.

Kapitan przygląda się teraz stojącym w szeregu dziewczynom, zwłaszcza tym, które ze wzrokiem utkwionym w pokład drżą z zimna w postrzępionym, wciąż wilgotnym ubraniu. Po chwili przywołuje trzech ludzi.

– Zabrać dziewczyny do mesy – rozkazuje. – Pilnować ich, póki nie wróci marszałek. Niech mi żadna nie próbuje wyskoczyć za burtę i uniknąć wyjazdu. Marszałek zapłacił, a ja nie zamierzam zwracać mu ani pół dukata.

Nie wiem, czy mnie słuch nie myli, ale mam wrażenie, że któryś z żołnierzy parska śmiechem.

– Tak jest, kapitanie – potwierdza korsarz.

Dziewczyny pokornie podążają w stronę mesy, prowadzone przez trzech ludzi Fane'a. I ja ruszam za nimi ze spuszczoną głową, w której trwa gonitwa myśli.

Gdy jesteśmy już prawie na miejscu, ktoś nagle chwyta mnie i Rissę za ramię.

– Ani słowa – cedzi Fane tonem groźby.

Pozostałe dziewczyny zerkają w naszą stronę, ale widząc wyraz twarzy kapitana, natychmiast odwracają wzrok. Fane bez słowa oddziela nas od grupy i popycha w stronę swojej kabiny. Żołnierze nawet tego nie zauważają. A może jest im to obojętne.

Moje serce łomocze. Mało nie tracę równowagi. Czuję na ciele dreszcze i zimny pot.

– Kat myśli, że taki jest sprytny... Ale niech mnie diabli wezmą, jeśli się z wami nie zabawię, zanim was stąd wywiezie – cedzi jadowicie kapitan.

Jestem tak przerażona, że ledwie trzymam się na nogach. Rissa na moment również nieruchomieje.

– Za dużo zachodu mnie kosztowało, żeby was w porę złapać – sarka Fane pod nosem, jakby mówił do siebie. – Należy mi się...

Strach miesza się we mnie z rozżaleniem. I ze wzbierającą z każdą chwilą złością.

To miało być naszym jedynym zadośćuczynieniem! Korsarze mieli nie tknąć mnie ani żadnej z dziewczyn. Czy nie mogłyśmy liczyć choć na tyle?! Skoro zostajemy sprzedane diabłu, demony powinny nas oszczędzić!

Zanosi się jednak na to, że będzie inaczej. Z każdą sekundą jesteśmy coraz bliżej kajuty Fane'a, a ja tracę resztki nadziei. Fane weźmie nas sobie, bo uważa, że mu się „należy”. Jakbyśmy były napiwkami albo nagrodą pocieszenia.

Dlaczego znów padam ofiarą męskiej chciwości? Czy ciąży na mnie jakaś klątwa? Czy to tylko za sprawą koloru mojej skóry, czy może noszę w sobie coś, co skazuje mnie na takie życie? Odpowiedź jest tu chyba bez znaczenia, ale samych pytań nie czyni to mniej bolesnymi. Są jak blizna na mojej szyi.

Wymieniam spojrzenia z Rissą. W jej niebieskich oczach widać smutek. Zwiesza głowę. Obie z trudem nadążamy za tym, jak obchodzi się z nami los.

Kapitan zatrzymuje się przed drzwiami i sięga po klucz. Dwaj korsarze niosący złoto czekają z boku. Po chwili klucz obraca się w zamku, a Fane daje swoim ludziom znak, by wnieśli szkatułę do środka. Gdy wykonują jego polecenie, ja unoszę wzrok ku niebu. Wypatruję. Na próżno. Jak za każdym razem, gdy spotykało mnie coś złego, na niebie nie widać było ani jednej gwiazdy. Żadnego światełka, żadnego, choćby bladego, blasku. Tylko ciemne chmury i czarny bezkres nocy.

Czekam na ratunek. Na brzask. Na pojedynczą gwiazdę. Na isierkę nadziei.

Nadaremnie.

Zostaję wciągnięta do kajuty i tracę niebo z oczu. Moja nadzieja gaśnie jak zduszony palcami knot.



ROZDZIAŁ 36

W kajucie kapitana nie ma czego podziwiać. Choć może to ja przywykłam mieć przesadne oczekiwania. Tak to bywa, gdy mieszka się w zamku ze szczerego złota.

Rozglądam się jednak bacznie po kajucie, bo rozpaczliwie potrzebuję czegoś, co zaprzątnie moją uwagę, co odwróci ją od odgłosu zamykanych przez Fane'a drzwi. Przez wszystkie lata w klatce dźwięk skobła nigdy nie wydał mi się tak ogłuszający jak tu.

Wpatruję się w najciekawszy element wnętrza – potężne okno na całą szerokość rufy, sięgające od podłogi po sufit. W dole widać tonące w półmroku połacie śniegu. Niebo nieznacznie się przeciera. Czerń nocy zaczyna się rozrzedzać.

Na lewo ode mnie stoi biurko. Jego blat zasypany jest mapami i różnymi papierami. Wzdłuż ścian ustawiono rzędem beczki i szkatuły – wszystkie szczelnie zamknięte, zazdrośnie strzegące swojej zawartości. Widać, że niektóre z nich Fane wykorzystywał jako stoliki – stojące na nich świece, płacząc woskowymi łzami, utworzyły wokół siebie postrzępione zacieki.

W prawo nie chcę długo patrzeć. Czeka tam łożo ocienione częściowo grubą czerwoną draperią zwieszoną ze słupków baldachimu. Pościel jest wymięta. Kilka poduszek wała się po podłodze. Na prześcieradle zauważam plamę i mam szczerą nadzieję, że jest od piwa...

Rissa i ja czekamy bez ruchu. Kapitan podchodzi tymczasem do biurka i odkłada na blat kapelusz. Zaraz pozbywa się też czerwonej chusty. Potem sięga po srebrny flakon i łąpczywie z niego pociąga. Pijąc haustami, patrzy na nas. Czując na sobie jego wzrok, zaczynam drżeć jak smagane wiatrem igły potężnych sosen smołowych – wyrywane przez szkwały z gałęzi i spadające w mrok.

– Graj. – Rissa wypowiada to słowo tak cicho, że ledwie ją słyszę. Dzięki niej przypominam sobie jednak, że pozostaje nam odgrywać spektakl. Muszę wejść w rolę, a prawdziwą siebie ukryć gdzieś głęboko, gdzieś, gdzie Fane nigdy nie sięgnie – z dala od czekającego nas koszmaru.

Musimy grać. Wystąpić dla niego i w ten sposób razem przez to przebrnąć.

Jedno wyszeptane przez Rissę słowo dodaje mi otuchy na tyle, że przestaję drżeć. Mój

oddech się uspokaja.

Jestem jej wdzięczna. Za pokrzepienie i przypomnienie, że nie jestem sama. Wolałabym, by nie musiała przechodzić przez to ze mną, a jednak cieszę się, że jest obok.

– Kapitanie, masz tu... spory dobytek – zaczyna Rissa swobodnym, uwodzicielskim tonem. Próbuje zredukować napięcie, rozluźnić atmosferę. Wszystko, co robi, jest z rozmysłem wystudiowane. Od brzmienia jej głosu po każdy ruch.

Fane nie daje się wciągnąć w rozmowę. Odstawia tylko flakon i niedbale zrzuca z siebie futro.

– Przykro mi, nie ma czasu na gadanie – rzuca po chwili. – Rozbieraj się i kładź na łóżko.

Rissa przełyka ślinę, ale nie daje się zbić z tropu.

– Oczywiście, kapitanie – mruczy.

Jest spokojna, opanowana, uwodzicielska. Wciela się w uosobienie zmysłowości. Rusza w stronę łóżka, powoli zdejmując z siebie ubranie. Z gracją i wyzywającą swobodą. Gdy Fane patrzy na nią, ja przyglądam się jemu. Widzę, jak wzbiera w nim cielesny głód. Widzę, jak oblizuje wargi.

Rissy nie powinno w ogóle tu być – w tej cuchnącej alkoholem norze, przy poplamionym łóżku, pośród ścian, do których starym woskiem poprzyklejano mapy. Rissa to wspaniałe, smukłe ciało. Rissa to wytworność – a to miejsce jest szpetne i obskurne, niegodne kogoś takiego jak ona.

Gdy tylko jej zręczne palce rozpinają ostatni guzik, a sukienka zsuwa się po jej ciele na podłogę, dziewczyna przyklęka na łóżku. Czeka na kolejne polecenie kapitana. Blond włosy spływają kusząco po jej skórze.

Na dworze Midasa widziałam ją nagą setki razy. Zdążyłam przywyknąć do widoku jej ciała. Fane za to wpada w niemy zachwyty, by po chwili poderwać się na nogi i pięcioma długimi krokami znaleźć się przy łóżku. W ułamku sekundy jest przy Rissie i przyciska ją swoim ciałem do pościeli. Wygląda, jakby zamierzał ją pocałować, ale w ostatniej chwili chwytą ją za włosy i odwraca. Rissa krzyczy zaskoczona, znajdując się nagle w pozycji na czworakach. Jej krzyk momentalnie milknie, bo Fane wciska jej twarz w materac.

Serce znów zaczyna łomotać mi ze strachu, za to Rissa nie daje łatwo za wygraną. Wciąż próbuje rozgrywać sytuację. Zwraca twarz policzkiem do dołu i patrzy na kapitana, który maca jej nagie pośladki i wpycha jej palce w krocze.

– Kapitanie... lubię, kiedy mężczyzna wie, czego chce. – W głosie Rissy pobrzmiwa wyzywająca chryпка.

– Cisza – ucina ostro Fane.

Nie zadaje sobie nawet trudu, by zdjąć tunikę. Rozpina tylko pas i klęcząc za Rissą, zsuwa spodnie do kolan. Po czym bez ostrzeżenia ostro w nią wchodzi. Wciąż ściskając w garści jej włosy, szybko pracuje biodrami. Rissa jakimś cudem nie wzdryga się ani nie krzyczy. Wygina grzbiet i udaje, że porusza się z nim jednym rytmem. Unosi głowę z poduszki, zapiera się dłońmi o materac i dalej odgrywa swoją rolę. Gdy jednak wydaje z siebie cichy jęk mający dać Fane'owi poczucie, że świetnie mu idzie, ten przyciąga za włosy jej głowę i zatyka jej usta dłońią. Dawanie jej rozkoszy ani trochę go nie obchodzi. Nie zamierza nawet udawać.

Sięga do twarzy Rissy i chwytą ją za żuchwę. Gdy, przyduszona, wydaje z siebie chrapliwy odgłos, zaciska tylko mocniej jej usta.

– Mówiłem, kurwa, cisza! – warczy agresywnie, nie zwalniając tempa.

Siedzę bez ruchu oparta o drzwi, czując, jak moje wstęgi wiją się boleśnie w niezliczonych splotach. Podczas gdy na zewnątrz ciemność zdaje się rzednąć, tu jakby gęstniała. To, jak Fane wykorzystuje Rissę, sprawia, że wszystko wokół wydaje się brudne. To

coś zupełnie innego niż z Midasem. Widząc go z nią czy z innymi, czułam zazdrość, ale nigdy wstę. Nigdy nie współczułam kobiecie w jego łóżku.

Teraz współczuję Rissie.

Po zachwycie w oczach Fane'a nie ma śladu. Zaciska tylko zęby i agresywnie porusza owłosionym ciałem. Rissie pozostaje nic nie mówić i wytrzymać. Tyle że Fane jej to utrudnia. Próbuje spowodować, by znów wydała z siebie dźwięk. Chce mieć pretekst, by dalej się na niej wyżywać. Ilekroć usłyszy choćby głośniejszy oddech, staje się jeszcze brutalniejszy i jeszcze bardziej agresywny. Gdy Rissa odnajduje mnie spojrzeniem, widzę, że jej niebieskie oczy są pełne łez. Ma dość. Tak, jest mięsem, ale mięsem królewskim. O Midasie natomiast można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest drapieżcą. Nie poniża swoich nałożnic. Wykorzystuje je dla swojej przyjemności, ale przemoc go nie podnieca.

Gdy widzę udręczoną, zapłakaną twarz Rissy, mnie samej do oczu cisną się łzy. Nie mogę dłużej beczynnie się temu przyglądać.

– Kapitanie... – odzywam się, postępując o krok naprzód. – Ją to boli.

Fane posyła mi przez ramię sadystyczne spojrzenie.

– O tak. Zaraz zaboli też ciebie, kurewko – cedzi przez zęby. Jego blond włosy opadają ze skroni tłustymi od potu strąkami.

Strach niczym kamień toczy się po moim ciele, przygotowując mnie o fizyczny ból. Jednak kiedy Fane naciera na Rissę tak mocno, że ta uderza głową o wezglowie łóżka, robię dwa kolejne kroki naprzód.

– Dość! – rzucam ostro.

Na twarzach obojga widać zaskoczenie, że odważyłam się sprzeciwić. U Fane'a jednak niemal natychmiast ustępuje ono miejsca obietnicy kary. Ten sadystyczny błysk widziałam w jego oczach już wcześniej.

Wychodzi z Rissy i gwałtownie odpycha jej ciało na materac. Idzie teraz na mnie z przerażającym wyrazem twarzy.

W oknie za jego plecami widzę, że niebo się rozjaśnia. Mrok nocy coraz bardziej rzednie, zbliża się szary świt. Ciemna sylwetka Fane'a odcina się na tle kielkującego brzasku.

Gdy podchodzi bliżej, opanowuję odruch, by się wycofać. Nie oddaję pola. Trzymam głowę prosto. Fane zbeczczył zwłoki Saila, a teraz zbeczczy ciało Rissy. Rissy, która gotowa była na wszystko, byle przetrwać – która znając swój fach, odegrałaby dowolną rolę i zmierzyła się z każdą zachcianką kapitana. Bo tak wielką ma w sobie siłę.

Ja za to znów przekonałam się, gdzie są moje granice.

– Mówiłem: ma być cisza! – Fane policzkuje mnie wierzchem dłoni tak szybko, że nie zdążam nawet przygotować się na cios. Upadam na podłogę, nie zdoławszy wyhamować rękoma uderzenia. Czuję palący ból, ale nie mam nawet ułamka sekundy, by dojsć do siebie. Fane natychmiast kopie mnie w żebra. Mocno.

Wydaję z siebie przyduszony krzyk. Jakby zagrała we mnie naderwana struna. Dźwięk wyrывa się z moich ust, pozostawiając w nich miedziowy posmak.

Leżę odurzona bólem. Ledwie się orientuję, gdy Fane sięga do mojej sukienki i rozrywa ją od przodu. Próbuję go odepchnąć, po czym błyskawicznie kulę się i przyciskam do siebie rękoma naderwany gorset.

Fane prostuje się z szyderczym uśmiechem.

– Widzę, że Midas nie potrafi tresować swoich kurew – mówi, sięgając do wciąż wiszących mu w kolanach spodni. – Na szczęście ja wiem, jak to się robi. A teraz siedź cicho, kurewko. Patrz i ucz się.

Fane uśmiecha się szyderczo, po czym wyciąga ze spodni pas i rusza w stronę Rissy.

Zamachuje się na nią – bez powodu, tylko dlatego, że jest bydlakiem. Skórzany pas z trzaskiem uderza o ciało Rissy. Gdy ta krzyczy, sadysta Fane znów drze się na nią, że ma być cicho. To jej wina, wrzeszczy. Na jego usta wypełza okrutny uśmieszek, a jego kutas napręża się i drga. Fane znów ostro wchodzi w Rissę. Krzyk bólu jest dla niego jak afrodyzjak.

Ja tymczasem wciąż leżę na podłodze, czując promieniujący ból w całym boku. Delikatnie dotykam miejsca, w które trafił but kapitana, i natychmiast aż syczę. Mimo bólu muszę jednak się podnieść. Po prostu muszę. Rissa łka, a za oknem wreszcie świta. Po niebie rozlewa się blade brzask.

Próbując zapanować nad oddechem, z trudem stoję na nogi. Mój policzek piecze, a bok aż krzyczy z bólu. Choć jestem nienaturalnie zgarbiona, udaje mi się jednak podnieść. Przytrzymuję gorset, próbując nie dopuścić, by odpadł od mojej piersi. Jak mogę, staram się opanować przy tym drżenie dłoni.

Gdy patrzę w stronę łóżka, widzę, że Fane owinał pas wokół szyi Rissy i pieprzy ją, pociągając za niego. Na jej skroniach widzę krople potu.

Czuję gniew. Narasta we mnie – jest jak mój własny wewnętrzny świt. Zaciskam zęby i zwieram dłonie w pięści.

Zza horyzontu wyłania się słońce, a wraz z jego pojawieniem się wzbiera we mnie siła. Czuję na skórze ciarki.

Ruszam naprzód przez tonące nadal w półmroku pomieszczenie. Światło dnia jest wciąż bardzo słabe, lecz ja już czuję się lepiej. Nie przypadkiem powtarzam zawsze, że umiem odnajdywać jasną stronę.

Gdy tylko pada na mnie światło niemego, szarego brzasku, ciarki na mojej skórze się nasilają, rozgrzewając ją.

Szorując butami po drewnianej podłodze, kuśtykam w stronę łóżka. Jasne oczy Rissy zaraz mnie odnajdują. Twarz ma zniekształconą bólem i czerwoną od ucisku pasa.

Prostuję palce i poruszam nimi.

Kiedy słyszę jęk rozkoszy Fane'a, kielkujący we mnie gniew rozkwita pełnią nienawiści. Kapitan zauważa, że Rissa zerka w moją stronę, i sam ogląda się przez ramię.

– Co, już nie możesz się doczekać? – Uśmiecha się szyderczo, widząc, że się zbliżam.
– W porządku. Wezmę cię od razu. Zobaczymy, o co tyle hałasu z tą złotą cipą...

Fane przestaje zaciskać pas. Rissa opada na materac, krztusząc się i kaszląc.

Kapitan rusza teraz w moją stronę ze złym błyskiem w oku.

– Będę się świetnie bawił, zadając ci ból...

Jest tuż przede mną, gotów uderzyć, chwycić mnie za włosy lub rzucić na kolana. Nie jestem pewna, co zamierzał – tak szybko zamachuje się ręką w moją stronę.

To bez znaczenia. Jestem jeszcze szybsza.

Bez cienia zawahania, bez namysłu, wykonuję ruch. Nie do tyłu, a w stronę kapitana. W ułamku sekundy skracam dystans i otwartą dłonią uderzam o skórę na szyi kapitana.

Tylko tyle. Choć Fane jeszcze o tym nie wie, to wystarczy.

Na razie mruga, zdezorientowany. Nie rozumie, dlaczego jego uniesiona dłoń nagle się zatrzymała; dlaczego nie spada na mnie i mnie nie obezwładnia.

Stoimy twarzą w twarz. Tak blisko, że czuję cuchnący, alkoholowy oddech Fane'a i widzę, jak jego ciało przebiega dreszcz. Uchyła usta, jakby chciał spytać, co, u diabła, się dzieje. Nie zdąża. Wydaje z siebie tylko urwany wpeł, nienaturalny charkot.

Gdy zaciskam mocniej dłoni na szyi kapitana, ten do reszty nieruchomieje. Rissa wzdycha głośno, widząc, co się dzieje: spod moich przytkniętych do skóry Fane'a palców zaczyna rozchodzić się fala. Przemiana jest niczym woda wypełniająca naczynie: rozlewa się pomału po

jego ramionach, a następnie rękach, tułowi i nogach. Czuję, jak nasiąka nią jego skóra, jak chłoną ją jego krew i organy. Twarz zostawiam na koniec, bo chcę, by zobaczył wszystko. By widział, co go spotkało. Chcę, by do samego końca patrzył mi w oczy i przeglądał się w obietnicy zemsty.

Ostatnie, co udaje mu się zrobić, to otworzyć szeroko oczy ze zdumienia. Nie zdąża już nawet mrugnąć ani zaczerpnąć powietrza. I nie zrobi tego już nigdy.

Mgnienie oka temu jego twarz była czerwona, tunika poplamiona trunkiem, członek różowy, a oczy brązowe. Teraz zastygł w czasie – od brody po czubki butów. Lśniący, nieruchomy, po wieczność żądny zemsty.

Przemieniłam skurwysyna w szczerę złoto.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 37

Złoto pod moimi palcami jest zimne i twarde. Po ciepłe i sprężystości nie ma już śladu. Jest tylko przedmiot. Rzecz przypominająca ciśnień w wodę kamień.

Przyglądam się zastygłej twarzy: wygiętej wardze, ledwie widocznym nierównościami zębów, oczom, które zamarły w panice.

Czuję, jak łomocze mi serce, i wiem, że to nie ze strachu. Moje ciało oddycha ujawnioną prawdą.

Jeden po drugim odrywam palce od szyi Fane'a, który jest już tylko skorupą z kruszcem, i pozwalam ręce opaść.

– Ty... Co... Co ty zrobiłaś? – Rissa patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami, zastygła w bezruchu i przerażeniu. Jej wzrok przeskakuje to na znieruchomiałą postać Fane'a, to na mnie – jakby wahała się, które z nas stanowi większe zagrożenie. Jej oddech jest nierówny, urywany – nie wiem, czy przez to, co właśnie zobaczyła, czy przez to, jak obszedł się z nią Fane. Może po doświadczeniach ostatnich minut jest po prostu w szoku.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Rissa tylko mruga powiekami. Wciąż patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami i włosami w nieładzie. Na jej policzkach przysychają łzy.

Jestem nieco oszołomiona. Kiełkujący w mojej głowie ból rozlewa się na moje skronie. Z każdą sekundą czuję się coraz cięższa. Pocieram czoło, jakbym mogła powstrzymać w ten sposób wzmagający się ból. Opadam z sił. Jestem jak drzewo, z którego spuszczana jest żywica.

– Taki jest lepszy, prawda? – mówię do Rissy, wskazując na nieruchomego Fane'a. – Nie gada, nie porusza się... – Zerkam na członka kapitana, który zastygł w pozycji na baczność, i nachodzi mnie pewna myśl. – Możemy uroczyście odłupać mu go młotkiem, chcesz?

Z ust Rissy dobiega nieokreślony dźwięk. Nie jestem pewna, czy łka, próbuje krzyknąć czy po prostu się śmieje. A może to wszystko naraz? Uwalnia się zaraz od pasa na szyi i rozmasowuje czerwone pręgi po jego uderzeniach. Potem nieco chwiejnie staje na nogi i wskazuje na kapitana.

– Auren, jak ty to zrobiłaś? – pyta.

– No... – Zawieszam głos.

Rissa, nieskrępowana swoją nagością, obchodzi naokoło zastygłego w złocie Fane’a. Wciąż drżącą dłoń ściska w pięść i stuka kilkakrotnie w jego tors.

– Niech to Najwyższy... Faktycznie szczerze złoto – szepcze pod nosem. – Czy on... nie żyje? – pyta po chwili. W jej oczach wciąż widać niepokój.

– O tak – zapewniam ją. – Zimny trup. Bardzo, bardzo nieżywy.

Rissa zdaje się oddychać z ulgą całym ciałem.

– Ale przecież król Midas... – zaczyna po chwili, jednak urywa. Ja zaś nie próbuję podchwycić jej słów. I tak wyjawiałam już zbyt wiele na swój temat.

Zresztą nie wiem tak naprawdę, jak to było z Midasem i ze mną. Rissa nie dowie się ode mnie nic ponad to, co już zobaczyła.

Gdy przestępuje z nogi na nogę, podłoga niepokojąco skrzypi. Obie zamieramy, by zaraz zorientować się, że deski uginają się pod ciężarem uśmierconego kapitana.

– Chyba... mamy problem – krzywię się.

– Myślisz? – Rissa patrzy na mnie udreżonym wzrokiem.

Jeśli podłoga się zarwie, złoty Fane narobi potwornego hałasu. A wtedy natychmiast zbiegną się korsarze. Nie mogę do tego dopuścić, bo wtedy wszyscy zobaczą, co zrobiłam. Żle się stało, że wie już Rissa, natomiast jeśli zbiry Fane’a dowiedzą się, co potrafię... Na samą myśl o tym przebiega mnie zimny dreszcz.

– Rissa. – Zmuszam ją, by podniosła wzrok i spojrzała na mnie. – Nie wolno ci nikomu powiedzieć, co widziałaś. Nigdy – dodaję z naciskiem. – Musisz to zachować w tajemnicy. Proszę.

Namyśla się. Widzę, że w jej głowie obracają się trybiki. Bardzo chciałabym wiedzieć, o czym teraz myśli.

– Mówiłaś mi, żeby przestał – odzywa się po chwili.

– Tak.

Rissa znów namyśla się chwilę.

– Kiedy poprzednio próbowałaś mi pomóc, rzuciłaś mi książką w twarz...

– Czasem działałam impulsywnie... – przyznaję, krzywiąc się.

– Właśnie widzę – odpowiada Rissa, patrząc na kapitana.

Znów zapada cisza, a ja z każdą jej sekundą coraz bardziej się niepokoję. Owszem, postawiłam się Fane’owi, ale zbyt późno. Rissę i tak zdążyła spotkać krzywda, więc nie sądzę, żebym zaskarbiła sobie dziś jej lojalność.

Po chwili jednak Rissa kiwa głową.

– W porządku – mówi.

Tyle musi mi na razie wystarczyć. Z ulgą wypuszczam powietrze i pomału opanowuję drżenie rąk. Staram się nie dać zmęczeniu i narastającym obawom.

– Dobra, mamy mało czasu. Marszałek niedługo wróci, a nikt nie może zobaczyć kapitana w tym stanie.

W spojrzeniu Rissy widać desperację.

– Niby jak chcesz go ukryć? – pyta.

Rozglądam się po kajucie, nie umiając jej na razie odpowiedzieć. Modlę się tylko, by podłoga wytrzymała jeszcze trochę.

Nie wiem, co robić. Nie wystarczy przecież, że przykryjemy Fane’a pledem. Jego kamraci zaraz coś zwęszą, jeśli nie wyjdzie niedługo z kajuty. Mój wzrok pada jednak na szkatułę ze złotymi monetami i nagle wpadam na pomysł.

– Mam! – mówię do Rissy. – Ubieraj się.

Rissa natychmiast sięga po sukienkę i zakłada ją na siebie. Ja tymczasem zaglądam do otwartej szafy kapitana i podnoszę z podłogi jego grube białe rękawice. Gdy wsuwam je na dłonie, zmieniają natychmiast kolor – jakby zanurzono je w kadzi z roztopionym złotem.

Kapitan rozdarł front mojej sukienki, więc muszę się jakoś okryć. Sięgam po wiszący na kołku krótki płaszcz. W odróżnieniu od reszty garderoby kapitana – złożonej z jednolicie białych skór i futer – na plecach i rękawach jest przyozdobiony długimi brązowymi piórami. Płaszcz, dzięki warstwie puchu, jest lekki, ale zdumiewająco ciepły. Jednocześnie, ponieważ nie sięga do samej ziemi, nie ogranicza zbytnio moich wstęg.

Zapinam guziki na przedzie. Płaszcz skutecznie skrywa mój rozdarty gorset. Rissa jest już ubrana i patrzy na mnie pytająco.

– Dobra, co teraz?

Przenoszę spojrzenie z kapitana na widoczne za nim okno. Rissa podąża za moim wzrokiem.

– Niewykonalne – mówi, gdy tylko orientuje się, co mam na myśli.

– Nic innego nam nie zostaje – odpowiadam. – Nikt nie może zobaczyć go w takim stanie. Pod żadnym warunkiem.

Rissa nieco teatralnie wypuszcza powietrze. Widać, że ma chęć zaoponować, ale ostatecznie mamrocze coś tylko pod nosem. Związuje włosy, by nie opadały jej na twarz. Ja tymczasem ściagam z łóżka pościel.

Szczerze mówiąc, Rissa może mieć rację, twierdząc, że porywamy się na coś niewykonalnego. Nie mamy jednak innego wyjścia niż spróbować. Szczęście, że Fane zastygł blisko okna – dzięki temu w ogóle mamy jakieś szanse powodzenia. I tak nie jestem pewna, czy uda się nam wypchnąć bydlaka za burtę, ale musimy spróbować.

Rissa i ja szybko bierzemy się do roboty. Obie wiemy, że czas jest na wagę złota. Związujemy na prześcieradłach pętle i zarzucamy je na szyję kapitana. Zostawiamy przy tym długi wolny koniec, by móc ciągnąć za prześcieradła jak za liny. Podchodzę teraz do okna i odbezpieczam rygle. Dzięki Najwyższemu oba skrzydła otwierają się bez trudu. Gdy okno staje otworem, do wnętrza wpada zimny podmuch, niosący wirujące płatki śniegu. Czuję na sobie spojrzenie Rissy. Wiem, że ciśnie jej się na usta wiele pytań, ale nie mogę dać jej ich teraz wypowiedzieć. Nie zdążyłabym zresztą na nie odpowiedzieć, nawet gdybym chciała.

Raz jeszcze upewniam się, czy pętle pewnie leżą. Potem obie ustawiamy się tak, by mieć okno za plecami.

– Plan jest taki, że ciągniemy z całej siły i próbujemy skurwysyna przewrócić? – pyta Rissa.

– Zasadniczo... tak – odpowiadam.

Rissa kręci głową, ale pociera o siebie dłońmi. Jest gotowa.

Obie chwytamy mocno za prześcieradła i owijamy je sobie o ręce.

– Na trzy – instruuję. – Jeden... dwa... trzy!

Ciągniemy co sił, zapierając się nogami, zaciskając ręce i uginając karki. Rissa aż stęka z wysiłku. Fane jednak ani drgnie. Jeszcze chwila i obie w tym samym momencie puszczaamy prześcieradła, klnąc i dysząc.

– Szlag... – mamroczę pod nosem, czując jednocześnie, jak znów wzbiera we mnie panika. Przecież nie możemy tak zostawić złotego Fane'a! To wykluczone. – Kurwa! – rzucam sfrustrowana, kopiąc kapitana w złotą łydkę. Kiepski pomysł; klnę znowu, cofając obolałą stopę.

Rissa patrzy na mnie, przekrzywiając głowę.

– Będziesz kopać posąg z litego złota? Może lepiej nie...

– Jednak było warto... – rzucam burkliwie pod nosem.

Rissa jakby namyślała się przez moment. Potem wstaje, bierze zamach i wymierza pięścią potężny cios prosto w penisa Fane'a. Gdyby wciąż był człowiekiem z krwi i kości, musiałoby to bardzo zboleć.

– Auuu! – Złoty członek oczywiście ani drgnął, za to Rissa rozciera teraz obolałą rękę.

– Miałaś rację – mówi jednak po chwili. – Warto.

– Warto, warto... – wzdycham.

Obie rozglądamy się, głowiąc się, co robić. Okno jest tuż, a jednak wciąż za daleko.

Po chwili mój wzrok pada na dwa haki w ścianie obok okna. Zawieszona jest na nich jedna z szabel kapitana. Mój mózg pracuje na wysokich obrotach i zaraz wpadam na kolejny pomysł. Zdejmuję ze ściany szablę i rzucam ją na łóżko. Potem sięgam po zrolowane prześcieradło, przytwierdzam je do haków i sprawdzam, jak mocno trzyma.

– Co robisz? – pyta Rissa. Ja tymczasem uwieszam się na prześcieradle ciężarem całego ciała. Haki nadal ani drgną. Dobry znak. Oby tylko mój pomysł okazał się mieć sens.

– Bierz krzesło i ustaw je za Fane'em. Użyjemy tego haka jako bloczka – wyjaśniam, wskazując na prześcieradło przewleczone przez zaczep, ale nadal owinięte wokół szyi kapitana. Ja będę ciągnąć, a ty stań na krześle i pchaj od tyłu głowę. Może tak zdołamy go przewrócić. Dalej poleci już sam.

Rissa potakuje i zaraz przyciąga stojące przy biurku krzesło. Potem staje na siedzisku, by znaleźć się możliwie wysoko. Ja zajmuję miejsce przed ścianą i chwytam mocno za prześcieradło. Używam obu rąk, ale i czterech wstęg, które udało mi się uwolnić. Nie liczę jednak na nie zbytnio – są zmęczone i obolałe. Rissa natomiast przygląda im się z mieszanką obawy i fascynacji.

– Gotowa? – pytam, nim to jej przyjdzie do głowy o coś spytać.

Rissa w odpowiedzi zapiera się nogami na siedzisku krzesła i opiera ręce na głowie Fane'a.

Ja zaciskam dłonie na prześcieradle i odliczam raz jeszcze.

– Jeden... dwa... trzy...

Rissa pcha, ja ciągnę, podłoga znów skrzypi, a do wnętrza wpada przez okno kolejny zimny podmuch. Złoty Fane tymczasem nadal ani drgnie. Naprężam całe ciało, próbując dobyć z siebie maksimum siły i determinacji. Mój obolały bok rwie z bólu. Moje wstęgi zdają się kruche jak motyle skrzydła, a mięśnie grzbietu palą, ale nie dają za wygraną.

No, przewracaj się...

Przewrócę skurwiela albo zemdleję. Wóz albo przewóz. Wstrzymując powietrze w płucach, ciągnę dalej ile sił. Bez wytchnienia. Musi mi się udać. Musi.

Słyszę, jak Rissa sapie z wysiłku i frustracji. Ja tymczasem pocę się na całym ciele i zaczyna mi się robić słabo. Ale nadal nie odpuszczam. Każda z nas wkłada w to tyle siły, ile tylko ma. Jeśli teraz się poddamy, nie damy rady spróbować jeszcze raz. To nasza ostatnia szansa. Wiem to ja i wie to Rissa. A jednak – Fane wciąż nie drgnie ani o centymetr. Do oczu napływają mi łzy. Jestem bliska załamania. Nie damy rady. Ja nie dam rady. Spontaniczna decyzja, by zabić tego skurwiela, będzie mnie samą prawdopodobnie kosztować życie. Świadomość tego do reszty podcina mi skrzydła. Na co było to wszystko?! Sromotność mojej porażki jest aż przerażająca. Nie chcąc zgodzić się na taki los, zaciskam zęby. Tak mocno, że zaczynam bać się, że je połamię. Całe moje ciało drży, mam mroczki przed oczami. Nadal jednak ciągnę z całych sił. Co dostaję w zamian za swój wysiłek? Odgłos prującej się tkaniny i coraz bardziej złowieszcze skrzypienie podłogi.

Łkam. Rissa wydaje z siebie przyduszony, bolesny jęk. Słyszac, jak drze się

prześcieradło, zaczynam tracić resztki nadziei.

I wtedy nagle wydarza się nieomal cud. Moje wstęgi się rozświetlają. Światło jest blade, słabe. Przypomina latarnię zanurzoną w głębokiej wodzie. Ale jest! Rozpoznaję to samo jedwabiste ciepło, dzięki któremu ocknęłam się po wypadku powozu. Wzdycham cicho, widząc, jak cztery wstęgi zdają się ożywać – niesione jakąś nową falą energii, której zupełnie się nie spodziewałam. Rozwijają się na całą długość, puszczając prześcieradło i oplatając tułów Fane’a. Następnie ciągną za niego z taką siłą, że zaczynam krzyczeć z bólu. Czuję się, jakby miał mi pęknąć kręgosłup. Dzięki ich sile kapitan chwieje się jednak naprzód. Ten niewielki ruch to wszystko, czego nam trzeba.

Rissa krzyczy zaskoczona, bo nagle traci punkt podparcia. Złoty Fane zmierza wprost do otwartego okna. Jego golenie z trzaskiem uderzają o okienną ramę, ale jest już w objęciach ciężenia. Teraz ono dokończy dzieła.

Moje wstęgi błyskawicznie się wycofują, a kapitan z impetem leci w dół – jak potężne ścięte drzewo. W locie jeszcze się obraca. Widzę, jak prześcieradła na jego szyi łopoczą z pędem powietrza.

Po chwili ciężko uderza o ziemię, wzbijając pióropusz śniegu. Rissa i ja patrzymy po sobie, mrugając. Pomału dociera do nas, że nam się udało. Upewniam się jeszcze, czy nikt się nie zorientował. Na szczęście pozostałe korsarskie statki stoją z innej strony, a świt ledwie się zaczął – pustkowiu wokół nas wciąż pogrążone jest w mroku.

Z trudem łapiąc oddech, obie wyglądamy przez okno. Wpatrujemy się w miejsce, gdzie Fane wylądował w śniegu. Stojącym kutasem do góry.

Kąciki ust Rissy unoszą się w uśmiechu.

– Śmierć akurat na jego miarę – rzuca, a ja parskam słabym od zmęczenia śmiechem.

Choć jedyne, co marzy się teraz mojemu ciału, to paść na podłogę, zmuszam się, by podejść do biurka. Chwytam szkatułę ze złotymi monetami, ale nie daję rady jej podnieść. Moje obolałe ciało ma już dość. Zaraz jednak przychodzi mi z pomocą Rissa. Razem unosimy szkatułę i ją również wyrzucamy za okno. Patrzymy, jak spada, by ostatecznie wylądować o jakiś metr od kapitana. Jej uderzenie o ziemię wzbudza białe confetti płatków śniegu.

– Wytłumaczysz mi, dlaczego właśnie wyrzuciliśmy za okno złoto? – pyta Rissa.

– Żeby Fane miał motyw – odpowiadam słabym, zmęczonym głosem.

Do wnętrza nawiewa coraz więcej śniegu. Wymiatam go na zewnątrz na tyle starannie, na ile potrafię, po czym zamykam okno. Oby tylko uwierzyli teraz w naszą opowieść. Oby statki ruszyły, nim ktoś zobaczy Fane’a.

Ostatni raz patrzę w stronę złotej postaci. Na twarzy Fane’a na wieczność będzie malować się zdumienie. Na wieczność też zostanie ze spodniami spuszczone do kostek. Odchodzi za to bogatszy niż w swoich najśmielszych snach. Jego pech, że jest zbyt martwy, by się tym nacieszyć. Prawdziwa tragedia dla człowieka, którego motywowały w życiu tylko pieniądze i przyjemności. Ta ostatnia myśl daje mi niesamowitą satysfakcję.

Odwracam się od okna i wzdycham wycieńczona. Ledwo trzymam się na nogach. Moje wstęgi zwisają ciężko ku ziemi, oklapłe i znów zagasłe.

Ale udało nam się! Plan się powiódł.

– Wszystko dobrze? – pyta Rissa.

W odpowiedzi wrzuszam ramionami. Za nami dopiero połowa bitwy, a ledwie dałyśmy radę. Pozostaje nam mieć nadzieję, że śnieg nie przestanie padać, nasze kłamstwo okaże się wiarygodne, a statki wkrótce ruszą dalej. Połyskująca złotem prawda na zawsze pozostanie wtedy pogrzebana na śnieżnym pustkowiu.

Sęk w tym, że nawet jeśli stanie się to wszystko, nasze życie nadal będzie

w niebezpieczeństwie. Nasza niewola u Czerwonych Kamratów dobiega końca, ale trafimy z niej wprost do bezdusznych siepaczy Ravingera.

Sama już nie wiem, co gorsze.

Ale wkrótce się dowiem.

CHOMIKO - WARNIA



ROZDZIAŁ 38

Rozlega się pukanie do drzwi kapitańskiej kajuty. Mało nie podskakuję ze strachu.

– Kapitanie, wracają! – Słysząc z drugiej strony głos któregoś z korsarzy.

Rissa robi natychmiast wielkie oczy.

– Co robimy? – pyta, bezgłośnie poruszając wargami.

Zmuszona podjąć działanie, wskazuję natychmiast na łóżko. Obie z Rissą pędem ruszamy w jego stronę.

– Kładź się – szepczę.

Rissa robi, o co proszę. Rzucam jej jeszcze pozostawiony przez kapitana pas.

– Przywiąż nadgarstek do słupka.

– Serio? – Rissa patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Zaufaj mi. I wymnij jeszcze sukienkę.

Rissa krzywi się, ale błyskawicznie krępuje własny nadgarstek, a potem wolną ręką odgina gorset, mnie tkaninę sukienki i zarzuca ją ku górze. Ja tymczasem bezszelestnie kładę się na podłodze przy łóżku. Następnie jedną ze wstęg przywiązuję własny nadgarstek do słupka baldachimu. Choć staram się zaplatać ją jak najdelikatniej, przy każdym okrężnym ruchu czuję ból – jakbym próbowała unieść coś naderwanym mięśniem. Muszę jednak wytrzymać, jeśli mamy wypaść przekonująco.

Wolną ręką rozpinam guziki kapitańskiego płaszcza. Nie odsłaniam się całkiem, jednak na tyle, by ten, kto wejdzie, od razu zauważył mój rozdarty gorset. Podwijam materiał spódnicy na wysokość ud. Liczę na to, że widząc większy kawałek ciała, korsarze zrobią się mniej dociekliwi.

Znów rozlega się pukanie do drzwi.

– Kapitanie? Idzie pan? Są już przy trapie.

Patrzę na leżącą na łóżku Rissę.

– Jeśli umiesz płakać na zawołanie, to jest na to niezły moment – szepczę do niej.

Rissa uśmiecha się szelmowsko.

– Pewnie, że umiem.

– Kapitanie, jest pan tam? – rozlega się zza drzwi. Słychać też niewyraźne, prowadzące rozmowę głosy. Po chwili dołącza do nich odgłos zbliżających się kroków. To kwatermistrz. Teraz on próbuje wywołać kapitana z kabiny.

W tym momencie Rissa pstryka palcami, żeby zwrócić moją uwagę.

– Co jest? – pytam. Wtedy bez słów wskazuje w stronę kapitańskiego biurka. Marszczę brwi i podążam wzrokiem za jej palcem wskazującym, by zaraz zorientować się, że kapelusz i burka Fane’a wciąż leżą na wierzchu.

– Jasna cholera... – szepczę wściekła pod nosem.

Nachodzi mnie myśl, by zerwać się z podłogi i szybko wyrzucić je za okno. Ale nie zdążę – kwatermistrz dobija się już do drzwi.

– Kapitanie, wchodzę!

Gdy korsarze biorą się do wyważania drzwi, Rissa zaczyna płakać. Ja tymczasem wzdrygam się przy każdym kolejnym uderzeniu. Po chwili drzwi puszczają, a do kajuty wpada kwatermistrz z kilkoma zbirami. Natychmiast zauważają mnie i Rissę, ale wciąż rozglądają się za kapitanem.

– Kapitanie? – woła kwatermistrz.

Gdy staje się jasne, że Fane’a w kajucie nie ma, wyraźnie pochmurnieje i rusza w stronę łóżka.

– Gdzie on jest? – rzuca ostro.

Rissa zanosi się głośnym płaczem i łka. Albo jest świetną aktorką, albo nagle górę wzięły nad nią tłumione emocje. Ja staram się cały czas wyglądać na wystraszoną. Przychodzi mi to bez trudu, bo naprawdę się teraz boję.

Kwatermistrz staje naprzeciwko mnie i zerka to na mnie, to na Rissę.

– Pytam, kurwa, gdzie kapitan!

– Kapitan... Kapitan Fane... On... – Rissa urywa, zanosząc się szlochem.

Zirytowany kwatermistrz patrzy teraz na mnie i boleśnie trąca czubkiem buta moją goleń.

– Niech, kurwa, któraś natychmiast zacznie gadać!

Udaję, że zmagam się ze wstęgą krępującą mój nadgarstek.

– Przeprowadził nas tu... – zaczynam po chwili nerwowo. – Kazał nam siedzieć cicho, a potem wziął tę szkatułę ze złotem... – mówię wysokim, drżącym głosem. – Wziął tę szkatułę ze złotem i się wymknął. A nas zamknął tutaj!

Stojący z tyłu dwaj korsarze nieruchomieją i wymieniają spojrzenia.

– Wymknął się... – powtarza spokojnie kwatermistrz.

Kiwam głową, czując pełzający lęk.

Uwierz mi. Błagam, uwierz.

Kwatermistrz cofa się i zaczyna rozglądać po kajucie. Serce wali mi jak oszalałe, gdy zbliża się do biurka, gdzie wciąż leżą kapitańska burka i kapelusz, a przyspiesza jeszcze bardziej, gdy mija okno.

Nie wyglądam. Na Najwyższego, tylko nie wyglądam.

– Gdzie stało złoto? – pyta ostro.

Jeden z korsarzy wskazuje miejsce.

– Postawiliśmy je tu, kwatermistrzu.

Kwatermistrz klnie i kopie stojący obok antałek. Ten leci przez całą szerokość kajuty i rozbija się o ścianę.

– Wziął pierdolone złoto, a nas zostawił!

– Ale jak niby uciekł bez statku? – zastanawia się jeden z korsarzy.

– Musiał mieć to zaplanowane – odpowiada kwatermistrz. – Wziął któregoś ogniopazura albo dogadał się z tymi chujami od Ravingera.

Z ust kwatermistrza wylatuje kolejna wiązanka krwistych przekleństw.

– To szczone bydlę! Już ja go, kurwa, urządzę, jeśli jeszcze kiedyś...

– Kwatermistrzu! – W drzwiach pojawia się kolejny załogant. – Marszałek czeka. Zaczyna się niecierpliwie.

– Kurwa! – Sfrustrowany kwatermistrz rwie sobie włosy z głowy.

Odwraca się zaraz gwałtownie i patrzy prosto na nas. Nieruchomieję. Znow zaczynam się bać, a mój ból głowy natychmiast dziesięciokrotnie się wzmacnia.

– Co robimy? – pyta korsarz.

Wściekły kwatermistrz wypuszcza przez zęby powietrze.

– Jeśli powiemy załodze, że kapitan uciekł ze złotem, a marszałek zabiera dziwki, to będziemy tu zaraz mieli bunt... – Kwatermistrz posyła nam ponure spojrzenie. – Zaprowadzić je do marszałka.

Korsarz w drzwiach otwiera usta, by zaproponować.

– Ale...

– Natychmiast! – ucina kwatermistrz. – Myślisz, że przeżyjemy starcie z ludźmi Kata, jeśli nie dotrzemy umowy? Marszałek zapłacił i nie odjedzie bez dziwek, zwłaszcza bez tej złotej. Nie będzie go obchodziło, czy dalej mamy złoto, czy nie.

Korsarze patrzą po sobie wyraźnie niezadowoleni, ale ruszają w naszą stronę.

– Ruszać się, cipy – burczy jeden z nich.

Sięgam szybko do wstęgi zaplecionej wokół słupka i udaję, że ją odwiązuję. Jeszcze temu zbirowi przyszedłoby do głowy rozrywać ją albo przecinać... Gdy tylko uwalniam wstęgę, korsarz chwyta mnie za ramię i wyprowadza z kajuty. Czuję przez ubranie jego żelazny chwyt. Tuż za nami drugi załogant prowadzi Rissę.

Ledwie mijamy drzwi, gdy z kajuty rozlega się głos kwatermistrza.

– Zaraz! Przecież to burka kapitana... Nie poszedłby nigdzie bez niej.

Idąca za mną Rissa potyka się, a w mojej głowie natychmiast rozlega się alarm.

– Ej, wy tam! Stać! – woła kwatermistrz.

Eskortujący nas korsarze natychmiast zatrzymują się tuż przed nadbudówką. Słychać kroki nadchodzącego kwatermistrza, a ja czuję, jak zaczynają mi drżeć kolana.

Kwatermistrz staje naprzeciwko nas, trzymając w ręku burkę i kapelusz kapitana.

– Macie mi coś do powiedzenia? – pyta, patrząc to na jedną z nas, to na drugą.

Boję się spojrzeć na Rissę. Wpatruję się tylko w futrzaną burkę, którą kwatermistrz potrząsa nam przed oczami.

– O... o czym? – Staram się brzmieć żałośnie i robić wrażenie zdezorientowanej.

– Chcecie mi powiedzieć, że kapitan wziął szkatułę i wyszedł sam w śnieżycę i nawet, kurwa, nie pomyślał, żeby zabrać futro?!

Ton kwatermistrza tak ocieka gniewem, że aż kulę się w środku. Udaje mi się jednak wydusić z siebie odpowiedź:

– Może... może po prostu się spieszył?

Kwatermistrz przymruża oczy i robi krok w moją stronę. Odruchowo próbuję się wycofać i niemal wpadam na ścianę. Jak mogę, odwracam przy tym twarz od kwatermistrza.

Nie dotykaj mnie, nie dotykaj...

W jego oczach widać krwiożerczy blask.

– Kłamiesz, kurwa, co? Czego mi nie chcesz powiedzieć?

Omam nie uginają się pod moją kolana. Całe moje tułowie się napina i nie ma to nic

wspólnego z moimi związanymi wstęgami. To strach sprawia, że całkiem sztywnieję.

– Ja... – Nie udaje mi się wykrztusić z siebie żadnego z kłamstw i wymówek, które próbowały mi przyjść do głowy. Czuję, jak zasycha mi w ustach. Moja głowa znów zdaje się pulsować. Do tego jestem potwornie zmęczona. Słaba. Mam za sobą kolosalny wysiłek, a moje ciało ma już tylko chęć paść na ziemię. Pewnie dawno by to zrobiło, gdyby nie zabójcza dawka emocji.

Kwatermistrz przysuwa twarz do mojego policzka. Zamieram.

– Jeśli nie zaczniesz gadać, zaraz wsadzę ci coś w te złote usta. A potem wyleję na ciebie tyle spermy, że zaczniesz nam tu rdzewieć. Rozumiesz, kurwa?! Pytam ostatni raz: gdzie kapitan Fane? – Ton kwatermistrza jest mroczny i wściekły.

Kącikami oczu znów widzę mroczki. Mój umysł rozpaczliwie stara się coś wymyślić, załatać jakoś lukę w naszej wersji. Ale po takiej nocy zwyczajnie nie daje rady. Kuleje.

Jak mogłam mieć nadzieję, że ten numer przejdzie? Moja utkana z kłamstw wersja zaczyna się pruć, a ja mogę tylko desperacko próbować przytrzymać nić.

– Jak chcesz – ryczy mi w twarz kwatermistrz. – Już ja cię zmuszę do...

Nie zdąża nie tylko spełnić swojej groźby, ale nawet dokończyć zdania. Przerywa mu niski głos. Brzmi jak odgłos wulkanu pośród mroku nocy.

– Co to ma znaczyć, kwatermistrzu?



ROZDZIAŁ 39

Na dźwięk głosu marszałka kwatermistrz błyskawicznie zwraca się w jego stronę, a ja szeroko otwieram oczy ze zdziwienia. Tuż obok nas stoi Kat w asyście dwóch zbrojnych. Roztaczają we trzech aurę grozy, są jak żywy mrok. Marszałek ma na głowie hełm, ale nawet nie widząc jego twarzy, wiem, że jest wściekły.

– Odsuń się od faworyty. Natychmiast.

W tonie marszałka nie ma krzty kurtuazji. Nie pozostawia miejsca na sprzeciw. Nie musi nawet podnosić głosu, by brzmieć przerażająco.

Kwatermistrz natychmiast staje wyprostowany.

– Okłamała mnie! Zanim ją zabierzecie, dowiem się, dlaczego łąga!

Jestem tak zdumiona odwagą kwatermistrza, że na moment przestaję myśleć o własnym strachu. Jednak z boku słyszę ciche łkanie Rissy. Jakby się bała, że zostaniemy wciągnięte w jakieś śmiertelne starcie. Być może słusznie. Trzej stojący za kwatermistrem korsarze sięgają już nerwowo do rękojeści mieczy.

Towarzyszący marszałkowi zbrojni stoją bez ruchu. Sam Kat też nie sięga po broń. Nie robi nawet kroku naprzód ani nie wdaje się w spór.

Nie. Marszałek się śmieje.

Dźwięk dobiega spod jego hełmu i rozlewa się w powietrzu, sprawiając, że korsarze nieruchomieją. Ten śmiech to przestroga. To śmiech szaleńca, który obiecuje rzeź.

Marszałek roztacza wokół siebie gęstą jak smoła aurę grozy. Sprawia, że czuję na skórze nienaturalny chłód. Kolce na jego rękach lśnią czernią jak gardziel otchłani, gotowa połknąć kwatermistrza w całości. Ze strachu robi mi się niedobrze.

Oto potwór, którym król Ravinger szczuje Oreę. Koszmar senny każdego mężczyzny mającego iść na wojnę, o którym krążą opowieści i legendy. Nic dziwnego, że nikt nie chce mierzyć się z nim na polu bitwy.

Choć stojący obok mnie kwatermistrz ma na twarzy chustę, widzę, że blednie. Patrzy na marszałka jak ofiara, która nie doceniła siły drapieżnika.

– W porządku... zabierajcie ją – duka szorstko. Próbuje brzmieć pewnie, ale jego głos jest podszyty strachem. – Kurwie i tak nie można wierzyć.

– Dobra decyzja – mówi marszałek miękko, a mimo to złowieszczo.

Kwatermistrz zgrzyta zębami, słysząc jego protekcyjny ton. Odwraca się jednak i wycofuje do kajuty kapitana – jak pies z podkulonym ogonem. Rozsądnie. Pozostali korsarze przez moment patrzą gniewnie na żołnierzy, ale po chwili dołączają do niego.

Oddychając z trudem, patrzę teraz na marszałka. Sama jego obecność przeraża mnie tak bardzo, że nie potrafię cieszyć się tym, iż uniknęłam przesłuchania kwatermistrza.

– Idziemy – nakazuje marszałek cicho, ale stanowczo.

Odwraca się i rusza przed siebie, a dwaj zbrojni czekają na mnie i Rissę. Z oporem oddalamy się od kapitańskiej nadbudówki i dołączamy do nich. Mój krok jest niepewny.

Idąc po pokładzie, czujemy na sobie spojrzenia Czerwonych Kamratów. Ich czerwone chusty są jak szydercze uśmieški. Jednak zbrojni marszałka nic sobie z nich nie robią. Niewzruszeni idą naprzód, prowadząc mnie i Rissę ku przyprószonemu śniegiem trapowi.

Ostatni raz wodzę wzrokiem po rzędach bezimiennych czerwonych chust. Gdy mój wzrok pada na słup, na którym korsarze zawiesili Saila, mam chęć splunąć im pod nogi. Powstrzymuję się jednak. W milczeniu Rissa i ja ruszamy trapem w dół, po śladach idącego na czele marszałka. Za sobą mamy dwóch zbrojnych. Jestem tak wycieńczona, że każdy krok po nachylonym, ośnieżonym trapie przychodzi mi z trudem. Staram się koncentrować i ostrożnie stawiać stopy, ale czuję, jak drżą mi nogi. Nie mam już sił.

Nie jestem nawet zaskoczona, gdy na oblodzonym kawałku drewna tracę równowagę i zaczynam upadać. W ostatniej chwili udaje mi się skrócić w lewo, by nie wpaść w Rissę. Efekt jest jednak taki, że spadam z trapu. Szczęście, że byliśmy już niemal na samym dole – jest jasna strona sytuacji...

Spadając, wystawiam przed siebie ręce i wolne wstęgi. Staram się zamortyzować nimi uderzenie. Mimo tego ciężko upadam w śnieg. Zaraz czuję też wilgoć mokrego puchu rozchodzącą się po moich rękawiczkach i spódnicy. Upadając, ledwo zdołałam się podeprzeć. We wstęgach czuję teraz ostry ból. Ale przynajmniej uniknęłam upadku na twarz.

Jestem tak wycieńczona i oszołomiona, że przez chwilę nie wiem, czy zdołam o własnych siłach dźwignąć się na nogi. Nie mogę się jednak poddać. Jeśli zapadnę się dalej, będzie mi grozić niebezpieczeństwo.

Wzdrygam się przestraszona, gdy powietrze przeszywa trzask bata, a następnie ryk niezliczonych ogniopazurów. Korsarskie statki zaczynają sunąć po lodzie, a ja leżę tak blisko, że czuję, jak drży ziemia pod mną.

Gdy jednak statki ciągnięte przez bestie przyspieszają, widzę po raz pierwszy, co kryło się za nimi. Przez białe pustkowie ciągną się szeregi setek – jeśli nie tysięcy – żołnierzy Czwartego Królestwa. Rozrzuceni jak kamienie po śnieżnym bezkresie zdają się być wszędzie. Staje się jasne, dlaczego korsarze nie śmieli sprzeciwić się marszałkowi. Wobec takiej siły sami wydaliby się na rzeź.

Aż przewraca mi się w żołądku na widok armii, którą mam przed sobą. Mój umysł nie potrafi objąć jej liczebności. To nie jest oddział zwiadowczy ani świta towarzysząca marszałkowi w poselstwie do Midasa. To cała armia króla Ravingera, która zmierza na wojnę. Uniknęłam Czerwonych Kamratów tylko po to, by wpaść w ręce nieprzyjaciela. Nieprzyjaciela idącego na wojnę z moim królem. Marszałek będzie teraz mieć we mnie złotą kartę przetargową. Groza wzbiera we mnie tak, że robi mi się słabo. Nie wiem, czy zaraz nie zwymiotuję.

Nagle widzę tuż przed sobą parę czarnych butów. Leżę wciąż bezradnie na śniegu. Jedyne, co mogę zrobić, to zamrużyć powiekami.

Jest źle. Naprawdę źle.

– Ciekawe... Bardzo ciekawe... – Głos marszałka zdaje się szorować niczym tarka po mojej skórze.

Moja grdyka porusza się nerwowo. Czuję suchość w ustach. Po chwili pomału podnoszę wzrok na górującego nade mną marszałka. Za nim, w oddali, zaczyna się przemieszczać armia, ale nie patrzę teraz na żołnierzy. Zbyt zaprzęta mnie on sam. Trzyma pod pachą zdjęty z głowy hełm, a ja po raz pierwszy mam szansę zobaczyć jego twarz.

Nie ma rogów ani lśniących morderczo oczu. Jego policzka nie szpeci nawet żadna straszna blizna. Wszystko to były demoniczne bajki, koszmarnie legendy. Orea widać nie umiała po prostu zmierzyć się z prawdą – wypierała ją, oderwana od naszej historii sprzed wieków. Bała się choćby pomyśleć, że wciąż są wśród nas Wróże pełnej krwi. Moc króla Ravingera stała się wymówką, by wierzyć przekłamaniom i pogłoskom lub całkiem negować to, co było kiedyś. A jednak marszałek nie jest demonem ani monstrem stworzonym przez Gnilca na tronie. W samej jego obecności czuć szczególnie rodzaj charyzmy. Nie mogąc oderwać od niego wzroku, chłonę każdy szczegół jego wyglądu.

Tęczówki jego oczu są czarne jak bezksiężycowa noc. Mają tę samą barwę, co źrenice. Gęste czarne brwi nadają obliczu marszałka srogi, złowieszczy wygląd. Ponad każdą z nich widać rząd bardzo krótkich, niespełna centymetrowych kolców o tym samym odcieniu, co te na jego plecach i przedramionach. Z tą różnicą, że drobne kolce powyżej oczu nie są zakrzywione i nie wydają się tak ostre. Jego nos jest prosty i wyraźnie zaznaczony, zęby równe i białe, o nieco dłuższych niż zwykle kłach. Na jego skroniach widać delikatne, skręcające łukiem ku kościom policzkowym srebrnoszare, opalizujące niemal łuski. Podobne do tych, które pokrywają ciała jaszczurek zamieszkujących Popielne Wydmy.

Marszałek ma jasną karnację, gęste czarne włosy i postrzępioną brodę kryjącą mocno zarysowaną kwadratową szczękę. Uwagę zwracają jego łagodnie spiczaste uszy. Jego ciało jest potężne. Przy blisko dwóch metrach wzrostu jest barczysty i umięśniony. Mam przed sobą prawdziwy destylat grozy.

Jest przerażający, a zarazem nieziemski. Tak bardzo annwyński, tak bardzo nie z tego świata. Cała Orea mogła zapomnieć, jak to jest znaleźć się w obecności prawdziwego Wróza. Mogła chcieć uwierzyć, że jedyne, co pozostało nam po Wróżach, to odrobina odziedziczonej po nich magii. Widok marszałka przeczy temu wszystkiemu.

Orea czuje się zdradzona, ale najsilniejszym uczuciem w tej historii jest strach. To dlatego rządzić wolno jedynie tym, w których żyłach płynie magia. To dlatego królowa Malinea musiała wyjść za Midasa – zasiadający na tronie władca musi mieć moc. Jeśli Wrózowie postanowią kiedyś wrócić i dokończyć to, co zaczęli, tylko królowie władający magią będą w stanie obronić swoje królestwa.

Ciekawa jestem, czy król Ravinger w pełni zdaje sobie sprawę, kogo ma na swoich usługach. Czy wyczuwa moc, która kipi ukryta za fasadą aparycji marszałka. Czy i jemu wydaje się ona równie przytłaczająca.

Kłęczę bezradna u stóp Kata, czując na sobie jego wzrok. Wycieńczone wstęgi ostatkiem sił starają się podtrzymać moje ciało. Moje serce łomocze.

Udaje mi się zdobyć na zryw, jakimś cudem wykrzesać z siebie resztki energii. Z trudem dźwigam się na nogi. Gdy tylko staję o własnych siłach, moje wstęgi ciężko opadają w śnieg. Nie mają już nawet siły, by owinać się o mój tułów.

Marszałek przekrzywia głowę i mi się przygląda. W jego widoku jest teraz coś zwierzęcego: wodzi po mnie wzrokiem od stóp do głów, a ledwie widoczne łuski na jego kościach policzkowych mieniają się w szarym świetle świtu. W końcu spojrzenie jego czarnych jak

noc oczu zatrzymuje się na mojej twarzy i spotyka z moim – złotym i zalęknionym. Korsarskie statki oddalają się, żołnierze maszerują, a marszałek i ja wciąż przypatrujemy się sobie nawzajem. Stoimy tak blisko siebie, że widzę, jak na jego czarnych rzesach osiadają płatki śniegu. Widzę, jak lśnią gładkie kolce powyżej jego brwi.

Nie umiałabym nazwać go przystojnym – na to wygląda zbyt demonicznie. Ma w sobie jednak rodzaj przerażającej szlachetności. Jego obecność przyprawia o lęk, ale i robi kolosalne wrażenie. Choć jest mi potwornie zimno, dłonie pocą mi się w rękawiczkach. Mój puls zdaje się bliski rozsadzenia od środka moich żył.

Wzmagający się wiatr wprawia w ruch pióra na skradzionym kapitanowi płaszczu. Potęguje to tylko wrażenie, że całe moje ciało drży.

Moc. Obecność marszałka ma w sobie moc i śmierć, jakby nawet jego aura była świadoma swojej niszczyielskiej siły.

Po długim milczeniu znów daje się słyszeć jego głos.

– A więc to jest ukochana maskotka Midasa...

Marszałek przygląda się piórom na moich rękawach, po czym przenosi wzrok na leżące w śniegu wstęgi. W tym momencie w jego oczach pojawia się błysk zainteresowania. Raz jeszcze patrzy mi w oczy.

– Nie spodziewałem się takiej złotej rybki – mówi.

Z jakiegoś powodu dotyka mnie to, że nazwał mnie „maskotką”. Zaciskam pięści na tkaninie spódnicy.

– Wiem, kim jesteś – odpowiadam ostrym tonem. Oskarżycielskie słowa ulatują z moich ust wraz z obłokiem pary.

Na usta marszałka wypełza pomału szyderczy, złowieszczy uśmiech. Czuję kolejne ukłucie strachu, gdy robi krok naprzód. Ten niewielki ruch jakby wyssał powietrze z przestrzeni pomiędzy nami.

Nachyla się ku mnie, a ja czuję na sobie przytłaczający ciężar jego aury. Jakby poddawała mnie próbie. Badała.

Pomimo mrozu i ogłuszającego hałasu, pośród sunących po lodzie statków i maszerujących wojsk, jego słowa rozbrzmiewają donośnie w moim uchu, zdając się niemal żarzyć.

– Zabawne. Miałem to samo powiedzieć o tobie.



ROZDZIAŁ 40

KRÓL MIDAS

Byłem we wszystkich królestwach Orei.

Pierwsze Królestwo jest ciepłe, lesiste i pełne pysznych głupców, mających się za znawców sztuk. Drugie to ledwie spalona słońcem połać piasku, rządzona przez bezbarwnych, purytańskich monarchów. Trzecie jest ciekawsze: jego wybrzeża usiane są mrowiem prywatnych wysp, które odwiedzić można wyłącznie na zaproszenie władcy. Jego jedyną zgorą jest to, że dzieli bagnistą granicę z Królestwem Czwartym. Ziemie króla Ravingera nie interesują mnie zaś

ani trochę.

Coraz bardziej natomiast lubię Królestwo Piąte.

Opieram dłonie o balustradę balkonu i spoglądam w dół. Ziemia skrzy się srebrem i bielą śniegu, ale ja natychmiast kieruję wzrok ku stojącym pośród dziedzińca lodowym posągom. Pielęgnuje się je tu równie pieczołowicie jak królewski ogród. Każdy ich skrawek, każdy kształt jest wykuty absolutnie perfekcyjnie. Jakimż cudem i radością dla oczu się staną, gdy lód przemieni się w złoto.

W Highbell nie ma lodowych posągów. Śnieżyce i burze są tam zbyt gwałtowne. Tu, w Piątym Królestwie, wieczny mróz jest łagodniejszy. Czasem tylko spadnie nieco świeżego, skrzącego się śniegu.

Przyglądam się jeszcze przez chwilę rzeźbiarzom przy pracy, po czym wracam do środka. Pozwalam, by balkonowe drzwi same się za mną zatrzasnęły.

Na zamku Ranhold zakwaterowano mnie w południowym skrzydle. Wnętrza wykończone są tu w tonacjach bieli i purpury. Szary kamień i żelazo nadają całości konstrukcji odpowiednią wytrzymałość. To miejsce pełne elegancji i przepychu – jak najbardziej na miarę przybyłego z wizytą króla. Sęk w tym jednak, że nie zjawiłem się tutaj ze zwykłą wizytą.

Siadam przy ustawionym w rogu komnaty biurku. Błat przyozdobiono świeżymi zimowymi kwiatami, których lodyżki zanurzone są w zmrożonej wodzie.

Gdy siedzę pogrążony w lekturze dokumentów, rozlega się pukanie do drzwi. Po chwili do komnaty wślizguje się mój doradca, Odo.

– Panie, list do ciebie.

Wyciągam dłoń po pergamin, zerkając cały czas na rozłożony na biurku spis. Przełamuję pieczęć i nieco od niechcienia zaczynam czytać. Zaraz jednak przerywam i wracam do początku tekstu. Zaczynam czytać jeszcze raz. I jeszcze raz. Moje ciało tężeje. Przy trzeciej lekturze wpadam w furję.

– Panie? – Odo czeka na moje instrukcje. Chce wiedzieć, czy zechcę odpowiedzieć od razu.

Ale żadnej odpowiedzi nie będzie.

– Mają ją – mówię, mnąc pergamin w garści. Cedzę ponuro przez zęby. Mój puls przyspiesza z każdą sekundą w miarę jak dociera do mnie, co się stało.

Odo jeszcze nie rozumie.

– Kto ma kogo, panie? – pyta niepewnie.

W mgnieniu oka zrywam się na nogi, po czym jednym zamaszystym ruchem zrzucam wszystko z biurka. Książki z łoskotem spadają na posadzkę, a pojedyncze kartki wzbijają się w powietrze. Zmrożony wazon roztrzaskuje się o ścianę.

Mój wystraszony doradca cofa się o krok, robiąc wielkie oczy. Podąża za mną zalekzionym spojrzeniem, gdy zaczynam krążyć po komnacie z pięściami zaciśniętymi tak mocno, że kości w moich palcach nieomal pękają.

– Wasza królewska mość? – zwraca się do mnie Odo z wahaniem.

Ja jednak ledwie go słyszę. Nie baczę też na wartowników, którzy usłyszawszy hałas, weszli do komnaty. W moim umyśle trwa nawałnica. Grad myśli bije o moje skronie i ścieka deszczem po całym moim ciele. Nikt nie śmie podejść do mnie ani zadać kolejnego pytania. Wszyscy boją się zapewne, że zatknę ich pozłoczone głowy na zamrożonej szpicy ponad bramą zamku.

Nie czuję nawet bólu, gdy z całej siły uderzam pięścią w ścianę. Nie dbam o krew sączącą się z moich kostek na biały dywan i plamiącą go wściekłą czerwienią. Nie obchodzi mnie nic, bo

odebrano mi to, co dla mnie najcenniejsze – moją złotą kobietę, moją najulubieńszą, mój skarb.

Skradziono mi ją. Wróg ma ją w swoich mackach.

Kipiąc gniewem, patrząc na świat zza czerwonej mgły, zwracam się ku gwardzistom. Mój zabójczo precyzyjny plan pozbycia się króla Fulkego będzie niczym w porównaniu z tym, jak obejdę się z ludźmi, którzy śmieli odebrać mi Auren.

Jest moja. By ją odzyskać, zniszczę każdego, kto stanie mi na drodze.

CHOMIKO - WARNIA



ZŁOTA WINOROŚL

CZEŚĆ PIERWSZA

Był raz pewien skąpy człowiek,
który posiadał skarb –
lśniąca winorośl złotą.

Ujrawszy mieniające się listki,
wyszeptał: „Będziesz moją”.

Dostrzegł ją gdzieś wśród gruzów,
gdy polną drogą wędrował.

Odkopał, w dłonie ujął czule
i do kieszeni schował.

Do domu winorośl zaniósłszy,

w jej blask wpatrywał się chciwie.

Ręce jak do modlitwy składał

w zachłanności przyływie.

Taka szansa na bogactwo

przytrafia się mało komu.

Zasadził chciwiec winorośl

u samych drzwi swego domu.

Rosła dawniej w ukryciu,

aż wzrok skąpca na nią padł.

Ten złota zapragnąwszy,

do swego obejścia ją skradł.

W obejściu winorośl zasadziwszy,

zazdrośnie ją zaraz ogroził,

by złotych listków blask

jej obecności nie zdradził.

Gdy pąki wydała złote,

skąpiec gałązki oskubał.

Nie namyślając się długo,

na targ do miasta się udał.

Długi spłacił, co chciał, kupił,

lecz to mu nie starczało.

Miał coraz więcej i więcej,

a wciąż było mu mało.

W winorośli korzeniu bowiem

chciwość się zatliła.

Z pąkami młodymi wzrosła

i skąpca usidliła.

Ten winorośli doglądał, podlewał,

lecz długo cieszyć się nią nie miał.

Roślina więdła, jej barwa bladła.

Skąpca wkrótce rozpacz dopadła.

Oto nikło najcenniejsze, co miał.

Blask złoty z dnia na dzień gasł.

Winorośl złotodajna obumierała.

O żal i namysł skąpca przyprawiała.

Razu pewnego skąpiec rozzłoszczony

począł włosy rwać sobie z głowy.

Gdy ciemny kosmyk na winorośl padł,

z ofiarą jego ciała odżył jej blask.

Rozradowany skąpiec wszystko zrozumiał

i odtąd włosów swych nie żałował.

Za nożyce co raz chwycił ochoczo,

Patrząc, jak młode listki się złocą.

Winorośl, by piąć się w górę,

w zamian czegoś chciała.

Skąpiec dał jej w podzięce

ten skrawek swego ciała.

Takiej ceny winorośl sobie zażyczyła

i tak oto skąpca owego

na dobre już usidliła.

CIĄG DALSZY NASTĄPI...

CHOMIKO - WARNIA



Podziękowania

Myślałam, że publikowanie każdej kolejnej książki będzie coraz prostsze. Myliłam się – nadal nie jest to dla mnie łatwe. Chcę podziękować mojej rodzinie i przyjaciółom za miłość i nieustające wsparcie.

Dziękuję mojemu mężowi za to, że dzień w dzień jest prawdziwą gwiazdą mojego życia. Bez ciebie nie dałabym rady. Bardzo, bardzo cię kocham.

Moją córeczkę chciałabym przeprosić za wszystkie te chwile, gdy zamiast się z nią bawić, musiałam pracować. Pamiętaj zawsze, że cokolwiek robię, uwielbiam cię bardziej niż wszystkie morskie fale razem wzięte.

Podziękowania dla taty. Obserwujesz każdą premierę mojej książki i chociaż nie masz pozwolenia, by je czytać, dopingujesz mnie i doceniasz każde słowo. Dziękuję ci.

Mamie dziękuję za to, że po przeczytaniu moich pierwszych tekstów powiedziała, że są dobre – choć zapewne były do niczego. Dodałaś mi otuchy. Dzięki tobie nie zraziłam się i pisałam dalej.

Dziękuję mojej siostrze, bo gdyby nie ona, w ogóle nie zajęłabym się pisaniem. To przy tobie nabrałam literackiej pewności siebie, jednocześnie świetnie się bawiąc i mnóstwo ucząc.

Dziękuję Ives (Ivy Asher). Dzięki tobie każda moja kolejna książka jest lepsza. Gdy mi nie idzie, słuchasz mnie i pozwalasz się wyzalić. Jesteś moim oparciem we wszystkich sferach pisarskiego życia. Cholerna szczęściara ze mnie, że cię mam.

Dziękuję Ann Denton i CR Jane – moim doborowym czytelniczkom wersji beta. Bardzo pomogłyście mi w tworzeniu sagi *Gild* i dodałyście mi pewności siebie, której tak potrzebowałam. Ale i tak nie liczcie, że zdradzę wam zakończenie!

Helaynie dziękuję za to, że wygładziła moją sagę (Widzisz? Pamiętam!).

I wreszcie dziękuję WAM, najważniejszym, moim czytelnikom! Wiem, że *Gild* różni się nieco od tego, co pisałam wcześniej. Jestem wam naprawdę wdzięczna, że daliście mi szansę. Dziękuję za wasze wsparcie, wasze posty, komentarze i recenzje. Są dla mnie bardzo ważne, a wasz entuzjazm napędza mnie do dalszej pracy. Z całego serca wielkie dzięki!

Raven

СНОМІКО _ WАРNІА

[1] *Highbell* (ang.) – dosł. wysoki dzwon.

[2] *Sail* to po angielsku żagiel (przyp. tłum.).

CHOMIKO - WARNIA

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz

CHOMIKO - WARNIA

СНОМІКО _ WАРNІА